

KRZYSZTOF KOCHAŃSKI

Mageot

GNEW

Rozdział 1.

Silne dłonie starannie złożyły pas na szerokiej ławie. Miecz stuknął głucho o drewno. Eratur Merkalen, komendant Straży Wermontu, zrzucił z siebie skórzany kaftan i z westchnieniem ulgi oparł dłonie o stół. Stał w rozkroku, lekko pochylony, i wodził wzrokiem po ścianach. Lubił swój dom. Lubił do niego wracać, a musiał to czynić często, bo na tam polegała służba u księcia Grademieun.

Czuł znużenie, ale to również lubił – fizyczne zmęczenie, zwłaszcza wówczas, gdy przychodził czas odpoczynku i spokoju. Tak jak teraz. Wyprawa, z której powrócił, była ciężkim doświadczeniem, przyniosła jednak wiele łupów i radości ze zwycięstwa. Zadowoleni byli wszyscy, od szeregowego strażnika po komendanta, może z wyjątkiem tych, którzy polegli. Lecz kto to może wiedzieć na pewno.

W każdym bądź razie ród Rollinamanów, władający sąsiednim księstwem Kentgerontmontu, został skutecznie ukarany za swoje zaborcze zapędy i tylko miłosierdziu księcia Grademieun zawdzięcza ocalenia. Książę, oszczędzając władców księstwa, zyskał ich wdzięczność miast nienawiści ludu. A gdy w dodatku wdzięczność wyraża się daninami w złocie i trzodzie, miłosierdzie okazuje się doskonałym pociąganiem politycznym, choć może ryzykownym na dłuższą metę.

– Wina! – krzyknął Merkalen do młodego sługi, który przygotował stół do posiłku. – Nie wiesz, czego potrzeba żołnierzowi, gdy wraca do domu?

– Tak, panie!

Merkalen ugasił pragnienie. Nie wypił dużo, gdyż był zmęczony, a w tym stanie wino szybko uderza do głowy.

– No, co tam? – zadał zdawkowe pytanie słudze, który na te słowa poczerwieniał i nerwowo, bez celu, począł przestawiać naczynia.

– Hej! Mówię do ciebie! To tak cieszysz się z mojego powrotu..?. – Naraz coś go tknęło. – Gdzie Onrazja? – zapytał.

Sługa znieruchomiał. Milczał.

– Jest we dworze? – nalegał Merkalen. – Księżna nie ma chyba serca, że nie wypuści dziewczyny, aby powitała ojca!

Gliniana misa wysliznęła się z rąk sługi, który niespodziewanie wybiegł z izby, jak spłoszone zwierzę. Ucieczka była tak niedorzeczna, że Merkalen zwątpił w wiarygodność swych zmysłów.

– Co jest, do diabła?! – ryknął, czerwieniejąc się na twarzy. – Wracaj natychmiast!

Zerwał się z miejsca, zapominając, że trzyma kielich. Wino czerwoną strugą polało się na koszulę i przesyciło powietrze swym aromatem. Merkalen zaklął raz jeszcze,

otrzepując zmoczone płótno.

Gdy podniósł wzrok, ujrzał stojących w drzwiach trzech ludzi: swego zastępcę w Straży Wermontu – Biernolda – oraz dwóch strażników.

– Wreszcie – rzekł, opanowując gniew. – Dziwiłem się, że księżę Grademieun nie wyjechał mi na spotkanie. Czyżby wystarczyły mu wieści gońców i nie chce ze mną rozmawiać?

Biernold natarczywie wpatrywał się w Merkalea i jakby celowo odwlekał chwilę, w której będzie musiał otworzyć usta. Nagle wprawnym ruchem wyciągnął z pochwy miecz. Dwaj strażnicy nie musieli tego robić; swoją broń trzymali w rękach od momentu wejścia.

– Księżę nie chce z tobą rozmawiać, Eraturze – powiedział Biernold. – Mam rozkaz zabić cię.

Dziwnie dalekie wydały się Merkaleowi te słowa, jakby dotyczyły kogoś obcego. Wiele można oczekiwać, wracając ze zwycięskiej wojennej wyprawy, ale nigdy nie tego, co właśnie miało miejsce.

– Mam uczynić to teraz. Natychmiast – mówił Biernold. – Wybacz mi, Eraturze, lecz rozkaz księcia jest dla mnie najwyższym prawem.

– Chyba śnię! – wybuchnął wreszcie Merkale. – Co za bzdury opowiadasz, przyjacielu? Mnie zabić?! Dlaczego to?! – Mimochodem rzucił szybkie spojrzenie w bok, na leżący na ławie miecz. Niestety, był poza zasięgiem ręki.

A jednak Biernold się zawahał.

– Mogłem spodziewać się, że nic nie wiesz – rzekł. – Inaczej nie zastałbym cię w domu... A byłoby to lepsze i dla ciebie, i dla mnie.

Merkale westchnął głęboko. Stał pośrodku izby, w rozchełstanej, mokrej od wina koszuli i z wściekłością zaciskał szczęki.

– Mów o co chodzi! – zawołał. – Albo rozwalę ci głowę, nie bacząc na żelazo, którym się zasłaniasz!

Strażnicy postąpili o krok przed Biernolda, który powstrzymał ich ruchem ręki. Twarz miał spokojną i opanowaną.

– Gniew przez ciebie przemawia i zaślepia cię – powiedział cicho. – Byłem twoim przyjacielem i jestem nim nadal. Nie przeciwko mnie powinienes kierować nienawiść.

– Żądam wyjaśnień!

Biernold skierował ostrze miecza w dół i nakazał strażnikom opuścić izbę. Ci spojrzeli po sobie ze zdumieniem, ale wyszli, nawykli do posłuszeństwa.

– Trudno mi o tym mówić – rzekł Biernold, gdy za strażnikami zamknęły się drzwi. – Grademieun polecił cię zgładzić, ponieważ obawia się zemsty. Zna twoją porywczosć...

odwagę... i wie, że nie darujesz mu... – urwał nagle.

Merkalen zeszytniał. Już wiedział, co się stało, ale nie mógł w to uwierzyć.

– Onrazja... – szepnął. Wciąż jeszcze się łudził. Jak największej łaski czekał zaprzeczenia.

– Więc wiesz? – Biernold zmarszczył brwi.

– Nic nie wiem. Skąd mam wiedzieć. Ale mój sługa... orf, dziwnie się zachował...

– Pewnej pijackiej nocy książę zhańbił twoją córkę. Nie mogąc tego znieść, wyskoczyła z wieży wprost na kamienie. Znalazłem się przy jej zwłokach jako jeden z pierwszych... To była szybka śmierć, jeśli ma to dla ciebie znaczenie.

Merkalen zamknął oczy. Krew odpłynęła z pokrytej zarostem twarzy, pogłębiając jeszcze jej bladość. Nagle kaszlnął, skulił się i ramiona opadły mu bezwładnie. Cofnął się i usiadł na ławie.

– Słusznie myśli książę Grademieun – rzekł twardo. Nastąpiła cisza, mącona niewyraźnym szmerem rozmowy strażników za drzwiami.

– Nie! – zaprzeczył Biernold. – Przychodząc tu, zamierzałem być posłuszny rozkazowi, ale teraz... nie mogę. W dodatku twoja splamiona winem koszula...

– Moja koszula? – Merkalen rzucił na wół przytomne spojrzenie.

– To znak szczęścia. Wiesz przecież. Człowiek skąpany w winie jest znakiem powodzenia dla tych, którzy go oglądają. Zabijając ciebie, zniszczyłbym własny los, odebrałbym sobie szansę szczęścia. Nie mogę tego zrobić.

– Grademieun cię zniszczy!

– Nie, jeśli uciekniesz. Przekażę, że nie zastałem ciebie w domu, że dowiedziałeś się o wszystkim wcześniej.

– A oni? – Merkalen wskazał na drzwi.

– To oddani mi ludzie, a złoto skutecznie zamknie im usta.

Merkalen wstał. To były pierwsze energiczne ruchy, jakie wykonał od dłuższego czasu. Chwycił pas z mieczem i starannie zapiął klamry.

– Nie zapomnę ci tego, Biernoldzie – powiedział.

– Wręcz przeciwnie, zapomnij. Ja nie będę pamiętał.

– Dzięki! – Wkładając kaftan, Merkalen dotknął lepkiego sukna na piersi. – Mnie niepotrzebne jest szczęście. Chyba tylko w jednym: żebym mógł dopaść Grademieuna.

– Nie myśl o tym. Jest zbyt potężny, a gdy dowie się, że uciekłeś, będzie się miał na baczności.

Merkalen roześmiał się ponuro.

– Nie pomoże mu to!

Podszedł do okna i uchylił okiennicę. Na twarzy poczuł orzeźwiający chłodny wiatr.

To pochmurny dzień chylił się ku końcowi, lecz było jeszcze jasno. Dobrze, że zbliża się noc. Noc jest dobrą porą. Nie tylko na ucieczkę.

Jednym skokiem przesadził parapet. Dotarłszy do brukowanej ulicy, zwolnił kroku; bez względu na okoliczności nie miał zamiaru przemykać się chyłkiem. Ruch był jeszcze dość intensywny. Przejeżdżały wózki kramarzy, nierzadko ciągnięte przez właścicieli, postukiwały kopyta wierzchowców i zwykłych szkap, ciężko pracujących na swoją porcję obroku. Eratur Merkalen był znaną postacią w mieście, przechodnie ustępowali mu z drogi i kłaniali się, okazując szacunek, lecz on z rzadka odpowiadał na pozdrowienia.

Na skrzyżowaniu skręcił, lecz nie była to ulica prowadząca ku najbliższym rogatom miasta. Dobrze, że Biernold nie mógł tego widzieć, gdyż zapewne pożałowałby swojej wielkoduszności.

Dwór księcia Grademieun był wysokim, zbudowanym z kamienia i cegły budynkiem, okolonym solidnym murem, w którego szczyt wtopiono krótkie, ostro zakończone stalowe pręty. Prowadziło tu tylko jedno wejście – przez szeroką bramę, przed którą dniem i nocą wartowało dwóch strażników. Gdy Merkalen przechodził obok nich, wyprostowali się rutynowo, oddając honory. Widać nie wiedzieli nic o rozkazach księcia i wciąż uważali Merkalea za komendanta.

Pewnym krokiem podążył wzdłuż zadbanego żywopłotu, za którym kilka dziewcząt z dworskiej służby przycinało kwiaty. Żywopłot był wysoki, lecz głowa Merkalea górowała ponad nim. W pewnej chwili jedna z kobiet spostrzegła jego czarną czuprynę i skudłaczoną brodę, i upuściła trzymane w rękach kwiaty. Powiedziała coś do swoich towarzyszek i wtedy wszystkie spojrzały w stronę komendanta, szepcząc coś do siebie. Odprowadzały go wzrokiem, gdy po szerokich kamiennych schodach wchodził do domu.

– Prowadź do księcia! – rozkazał strażnikowi pełniącemu służbę na dolnym korytarzu.

– Pan Wermontu wyjechał na polowanie – oznajmił wartownik. – Nie ma go... – dodał niepewnie i cofnął się o krok, widząc, jak twarz Merkalea purpurowieje. Znał ten kolor. Znali go wszyscy podwładni komendanta. Oznaczał gniew.

– Gdzie książę?! – krzyk odbił się echem po budynku. Muskularna dłoń przycisnęła strażnika do ściany.

– Mówię prawdę, panie!

Z trzaskiem otworzyły się boczne drzwi i na korytarz wyskoczyło kilku strażników. Dwóch innych zbiegało z piętra po schodach, z obnażonymi mieczami.

Zobaczywszy Merkalea, zatrzymali się jak na rozkaz. Gdy nadbiegł dowódca warty, odsunęli się na boki, a zaskoczenie na ich twarzach ustąpiło miejsca ciekawości.

– Witam, komendancie – powiedział dowódca, oglądając się za siebie, jak gdyby

oczekiwał pomocy, ale to on był najwyższy rangą. – Melduję wartę w gotowości. Stan...

– Gdzie Grademieun? – przerwał Merkalen. Uwolnił się z uścisku wartownika, który pośpiesznie się odsunął, masując obolałe gardło.

– Wyjechał na polowanie. Dziś rano.

– Uciekł! Ach tak. Z drogi! – rzekł krótko, odsuwając ręką dowódcę warty.

– Dokąd, komendancie?

– Do komnaty księcia, do sypialni, wszędzie! Chcę zobaczyć, że go nie ma!

– Nie wierzysz mi, panie?

– Z drogi!

– Rozkaz!

Dowódca warty pobladł. Jego sytuacja była nie do pozazdroszczenia. Musiał wykonać rozkaz komendanta i przeczuwał w tym nieszczęście dla siebie. Bo dowódca wiedział, co stało się z córką Merkalea. Wszyscy o tym wiedzieli, choć oficjalna wersja była odmienna. Odmowa wykonania rozkazu, zważywszy wzburzenie komendanta, mogła oznaczać dla dowódcy utratę życia. To do Merkalea wciąż jeszcze należała władza, nie zdjęta żadnym książęcym rozporządzeniem.

– Wracajcie do swoich zajęć! – krzyknął dowódca do swoich podwładnych. Sam zamknął się w wartowni, pragnąc, aby to wszystko okazało się snem.

Grademieuna rzeczywiście nie było. Merkalen biegał po komnatach, lecz jedynie płoszył służbę. W pierwszym odruchu chciał pozostać i poczekać na powrót księcia, lecz szybko uzmysłowił sobie bezsens takiego posunięcia. Grademieun zaraz po przekroczeniu granic miasta dowiódł się o wszystkim i, zmuszony do działania, przestanie dbać o pozory. Dowódca straży pewnie już wysłał gońca z wiadomością.

Ruszył ku wyjściu, gdy nagle w końcu korytarza dostrzegł niewysokiego mężczyznę, z wydatnym brzuchem podrygującym w rytm kroków. Był to sekretarz księcia Grademieun, który podczas nieobecności Pana Wermontu sprawował pieczę nad dworem. Jego małe oczka mrugały nerwowo, arece były w ciągłym ruchu, jakby nie wiedział, co z nimi począć.

– Cóż wyprawiasz, panie?! – zawołał gniewnie, zatrzymawszy się przed Merkalemem. – Jak śmiałeś, niczym zbój, wtargnąć do domu księcia bez jego wiedzy? – mówiąc, dyszał ciężko i pryskał śliną. – I kto? Sam komendant Straży Wermontu! Zapłacisz za swą śmiałość, gdy księżę wróci.

Merkalen spojrział na niego z pogardą.

– Jestem zbójem, i cóż z tego? Jeśli mnie tak nazywasz, to co powiesz o Grademieunie, mordercy?!

Sekretarz oniemiał. Jego trzepoczące powieki znieruchomiały nagle, a nalane

tłuszczem policzki nadeły, jakby nie mógł złapać oddechu.

– To kłamstwo – rzekł wreszcie. – Twoja córka popełniła samobójstwo...

Dłonie Merkalena, niczym szpony, pochwyciły go za koszulę i uniosły stopę nad podłogą.

– A kto ją do tego doprowadził? Kto?!

Sekretarz otworzył usta, ale nie potrafił wykrztusić słowa. Nieoczekiwanie Merkalen odepchnął go, rzucając na podłogę. Wyciągnął miecz. Służący, który przypatrywał się im z daleka, umknął na ten widok szybciej niż zając. Merkalen skierował ostrze miecza ku sekretarzowi i mrużąc oczy, powiedział:

– Konia dla mnie albo wyrżnę tu wszystkich!

Sekretarz zerwał się z podłogi ze zdumiewającą przy jego tuszy zwinnością i pobiegł wykonać polecenie. W tej chwili mało obchodził go gniew księcia Grademieun. Pragnął jedynie, aby ten szalony człowiek opuścił wreszcie dwór.

Rozdział 2.

Rankiem Merkalen obudził się głodny i tak zmęczony, jakby w ogóle nie spał. Trudno jedną niespokojną nocą odrobić trudy wyprawy do Kentgerontmontu i wrócić do równowagi po ciosie, jakim była śmierć Onrazji. Ale nie mógł i nie chciał spać dłużej, znajdował się zbyt blisko Wermontu. Wczoraj gnał wierzchowca – byle szybciej i dalej – tak, że ten padł niemal pod nim, i dopiero w tym zagajniku zatrzymał się na spoczynek.

Przeciągnął się, aż chrupnęło w stawach. Ciężka to była noc, nawet dla żołnierza. O tej porze roku ziemia jest wilgotna, a skórzany kaftan był jedyną rzeczą, którą mógł się okryć. Podszedł do konia i rozpełtał go, klepiąc przyjaźnie po szyi. Wierzchowiec zarżał, lecz odstąpił od człowieka, pochylając się nad rzadkimi źdźbłami trawy.

– Obaj jesteśmy głodni, przyjacielu – rzekł Merkalen. – No, ale pora na nas, musimy jechać dalej.

Trzeba jechać. Najpierw do jakiejś wioski, zdobyć żywność, a potem? Dokąd potem?

Tego nie wiedział. Będąc u szczytu kariery, utracił wszystko i teraz nie miał nic i na niczym mu nie zależało. Prócz jednego – pragnienia zemsty. Ale musi przeczekać, aż Grademieun przestanie go ścigać – bo nie wątpił, że ściga go teraz Straż Wermontu. Jego Straż! Ludzie, których szkolił, dla których był najwyższą władzą po księciu, z którymi przeżył wiele wojennych wypraw. Teraz oni ścigają jego, jak zdrajcę!

Merkalen musiał zdusić w sobie bezsilność i czekać. Czekać. Jak długo?

Dosiadł konia. Ogier, którego przyprowadził sekretarz Grademieuna, był naprawdę dobry – warto go było oszczędzać na nie wiadomo jak długą drogę – więc Merkalen nie jechał szybko.

Step ciągnął się aż po kres horyzontu. Merkalen znał ten szlak, wiodący do księstwa Kentgerontmontu. To właśnie stąd przybył wczoraj zaledwie, choć wydawało mu się, że to było tak dawno. Obrął drogę przypadkowo i teraz postanowił z niej nie zbaczać. Dlaczegoż nie jechać tam właśnie, do podbitego kraju, gdzie nikt jeszcze nie wie o jego konflikcie z władcą Wermontu?

Okolo południa Merkalen począł rozglądać się uważniej po okolicy. Niedaleko przepływała rzeka, pamiętał to, a coraz dotkliwiej odczuwał pragnienie. Gdy ujrzał w oddali kępę drzew, przyspieszył; tam właśnie była woda. Po chwili nie musiał już poganiać wierzchowca, zwierzę poczuło niesiony wiatrem zapach sitowia.

Był już zupełnie blisko rzeki, gdy między drzewami zauważył ludzi. Ich odzienie rozpoznał z daleka, rozpoznałby je na samym końcu świata. Strażnicy Wermontu.

Przez moment serce Merkalena zabiło silniej, gdyż przypuszczał, że los naprowadził go wprost na księcia Grademieun. Dobry to znak czy zły? Książę nie wie jeszcze, że on

żyje. Cóż robić, uciekać czy próbować walki?

Tamci dostrzegli go wcześniej i ku Merkalenowi zdążyło trzech jeźdźców. To nie był Grademieun. W zbliżających się strażnikach rozpoznał żołnierzy garnizonu pozostawionego w Kentgerontmoncie jako znak zwierzchnictwa Wermontu. Jednym z nich był dowódca placówki, co zdumiało Merkalea.

– Witajcie – rzekł do nich, gdy się zbliżyli. – Witaj, Kessuly. – Skierował wzrok na dowódcę garnizonu. – Co tutaj robisz?! Dlaczego opuściłeś posterunek?

Zapytany nabrał tchu, po czym wybuchnął potokiem słów.

– Stała się straszna rzecz, komendancie. Rollinamanowie oszukali nas! To był podstęp... zdrada... Mówiłem, żeby ich nie oszczędzać!

Wzburzony Merkalen przez chwilę poczuł się znów komendantem Straży Wermontu, człowiekiem odpowiedzialnym za zbrojną potęgę księstwa.

– Jak to się stało?! Mów!

Kessuly gniewnie zacisnął dłonie na lejcach.

– Wyjechałeś w południe, panie, i do wieczora było spokojnie. Ludzie Rollinamana zaskoczyli nas nocą, podczas snu. Podłożyli ogień pod wszystkie budynki, w których nocowaliśmy. Tylko nieliczni zdołali uciec z płomieni i podjąć obronę. Wielu nie przebudziło się nawet; wino, które piliśmy rozradowani zwycięstwem, okazało się zatrute. To był mój błąd, komendancie, nie powinienem pozwolić im pić... Zbyt słabe rozstawiłem warty... Gotowy jestem zapłacić życiem za tę klęskę...

– Co dalej? – ponaglił Merkalen.

Zorganizowałem obronę wraz z tymi, którzy wina nie spożywali lub wypili go zbyt mało, aby ulec truciźnie. Kentgerontmontczycy otoczyli nas pierścieniem, spychali w pożar. Na tle ognia byliśmy widoczni z daleka, ich kusznicy razili nas z ciemności, a my nie mieliśmy żadnej osłony. To było przerażające, panie, wybac mi, że mówię tak ja, żołnierz, ale jeszcze teraz czuję swąd palonych ciał i słyszę krzyki. Byli tacy, których wino tylko sparaliżowało; płonąc, wołali o pomoc, a my nie mogliśmy nic zrobić, to było gorsze od mieczy wrogów... W końcu zdołałem przebić się z kilkunastoma ludźmi, tymi, którzy dopadli koni. Piesi nie mieli szans. Na szczęście Kentgerontmontczycy zaniechali pościgu... Tak oto wracamy. Niechlubny to powrót, hańba dla żołnierza!

– Ilu was jest?

– Jedenastu, ale czterech dość poważnie rannych. – Kessuly pokazał ręką na kępę drzew. – Reszta jest nad rzeką. A ty, panie, jakim trafem znalazłeś się tutaj? I to sam?

Merkalen nie odpowiedział. Spiął konia i podążył we wskazanym kierunku.

Jedenastu! Czyli nic! Jeszcze nigdy Straż Wermontu nie odniosła tak dotkliwej porażki. Opuszczając Kentgerontmont, komendant pozostawił w garnizonie trzystu ludzi. Czy

mógł przypuszczać, że pokonani Rollinamanowie podniosą tak szybko głowę?

Kessuly dogonił Merkalea. Dwaj strażnicy jechali nieco z tyłu.

– Nie byłoby tego, gdybyśmy nie oszczędzili rodziny Rollinamanów – rzekł nagle jeden z nich.

Merkalen odwrócił głowę w jego stronę, aż tamten z respektem wstrzymał konia.

– To prawda, panie – poparł go Kessuly. – Tylko Rollinaman, żaden władcy tyran, mógł zdecydować się na tak szaleńczy krok. Przecież to oczywiste, że tam powrócimy, książę Grademieun mu tego nie daruje... ani ty, panie! Rozniesiemy w proch Kentgerontmont, przyjdzie to nam z łatwością! Mimo wszystko nie zostało ich wielu.

Merkalen wciąż milczał. Co mógł obchodzić go Kentgerontmont czy ambicje Rollinamana? Jego życie jako Strażnika Wermontu już się skończyło. Książę Grademieun był dla niego nie panem, lecz wrogiem...

– Nie obchodzi mnie to – mówił głośno i powoli, jakby sam chciał dobrze zapamiętać te słowa.

– Nie rozumiem... – Kessuly zeszywniał. Wreszcie dotarło do niego, że musiało wydarzyć się coś niezwykłego.

Dojechali do rzeki. Obozujący strażnicy przyjęli ze zdumieniem obecność komendanta. Niespodziewanie Merkalen wyciągnął miecz i machnął nim kilkakrotnie.

– Podejdźcie, żołnierze! – zawołał. – Mam ważną wieść i chcę, aby dobrze zapadła ona w waszą pamięć!

– Oto ja, Eratur Merkalen! A oto mój miecz! Moją siłę i waleczność znacie wszyscy bardzo dobrze. Czy jest wśród was ktoś, kto mógłby zaprzeczyć, że w całym Wermontie nie ma wojownika, który mógłby mi sprostać w uczciwej walce? Powiedzcie to od razu, nie będę szukał zemsty za szczere słowa!

Odpowiedziała mu cisza i wyczekujące spojrzenia.

– Czy jest wśród was ktoś, kto miałby coś przeciwko mnie? W którego sercu tkwi uraza przeze mnie nie dostrzeżona? Mówcie śmiało, gdyż jest to jedyna chwila, gdy możecie o tym powiedzieć bez obawy. Wiecie, że nie znoszę sprzeciwów, lecz dzisiaj czynię wyjątek i przyrzekam, że zapomnę, cokolwiek bym usłyszał.

Gdy i tym razem nikt nie odpowiedział, słowa Merkalea stały się twardsze i bardziej zdecydowane:

– A może ktoś z was chciałby się ze mną zmierzyć? Może wszyscy naraz? Czy sądzicie, że wszyscy razem wzięci, jak stoicie, zdołalibyście mi sprostać? Widzę po waszych oczach, że nikt tak nie uważa. I macie rację! Biada temu, kto jest moim wrogiem. Komu zaprzysiągłem śmierć, ten ją dostanie nieuchronnie! I ostatnie pytanie, żołnierze. Nim je zadam, raz jeszcze przyrzekam, że zduszę w sobie urazę, jeśli

odpowiedź będzie inna, niż oczekuję. Wolno wam powiedzieć teraz wszystko... Czy jesteście pewni, że wasze zaufanie do mnie jest niepodważalne? Że możecie mi ufać jak bratu i najlepszemu przyjacielowi? Zaraz! – Uniósł rękę, uciszając gwar obecnych, którzy w podnieceniu zaczęli zadawać pytania. – Jeśli tak jest, to chce, żebyście ze mną zostali, poszli za mną wszędzie, gdzie przeznaczenie skieruje moje kroki.

Merkalen zamilkł i spoglądał na twarze strażników. Były pełne zapału. Ale nie znali jeszcze prawdy, nie wiedzieli, że w Wermoncie już nie on jest komendantem Straży. Musiał im to wyznać, aby ich decyzja była świadoma. Jeśli w przyszłości miał na nich polegać, nie mógł tego zataić.

Rozdział 3.

Noc była ciepła, ale nie gasili ognisk, które tu, w środku lasu, stanowiły ochronę przed drapieżnikami. Większość żołnierzy z oddziału spała, stłoczona w prowizorycznych szałasach; dwóch wartowników krążyło wokół obozowiska.

Trzech ludzi siedziało przy ognisku, prowadząc cichą rozmowę. Merkalen i Kessuly spoglądali wyczekująco na trzeciego mężczyznę, który dopiero co przybył do nich na zdrożonym wierzchowcu.

– Kiedy należy się ich spodziewać, Wysbandzie? – zapytał Merkalen.

Mężczyzna o imieniu Wysband uniósł głowę. Blask ognia nadawał jego prostym, czarnym włosom srebrzystą barwę.

– Może jutro – odparł. – Wyruszyli z Wermontu przede mną, a nie sądzę, by nieznajomość położenia waszego obozu była dla nich specjalną przeszkodą. Pomoże im zbroja Mageota.

– Jakoś nie wierzę w jej niezwykłą moc – oświadczył Kessuly.

– Ona ich prowadzi – w głosie Wysbanda wyczuwało się pewność. – Widziałem, jak działa, i teraz uwierzę we wszystko, cokolwiek o niej usłyszę. Byłem przy tym, gdy Grademieun wcisnął w nią sekretarza, a potem rozkazał go zabić. Najpierw było kilku strażników, potem kilkunastu, nie wiem już ilu, w każdym razie znacznie więcej, aniżeli mogło dostać się do człowieka w zbroi, otoczonego na dziedzińcu ze wszystkich stron. Doszło do tego, że ranili się wzajemnie w tym tłoku i nic nie mogli zrobić. Ich miecze nie tknęły nawet Zbroi Mageota, jakby otaczał ją następny, niewidzialny pancerz. Chroniony taką osłoną sekretarz początkowo kulił się ze strachu, ale potem nabrał odwagi, uwierzcie mi – chodził pośród atakujących strażników niczym rolnik po polu pełnym dojrzałego zboża i się śmiał. Śmiał w głos i nieuzbrojonymi rękami odrzucał na bok walczących, jakby to były wypchane kukły, a nie zaprawieni w walce żołnierze.

Trzeba wam było widzieć twarz Grademieuna, gdy sekretarz stanął w końcu przed nim i wyciągnął dłoń w stalowej rękawicy. Jak ta twarz zszarzała i wyostrzyły się jej rysy. Był to tylko moment, ale wszyscy zamarli, sądząc, że oto zamysł księcia obraca się przeciwko niemu samemu. I ja również przez chwilę sądziłem, że jestem świadkiem buntu, lecz tak się nie stało. Sekretarz oddał hołd i poprosił o pozwolenie zdjęcia zbroi. Rzecz jasna, otrzymał je natychmiast, zyskując przy okazji jeszcze większe zaufanie Grademieuna. Stało się dla mnie jasne, że nikomu innemu książę nigdy nie powierzy Zbroi Mageota. Jest zbyt tchórzliwy, by używać jej samemu, ale i zbyt rozsądny, by ryzykować, że ktoś mógłby wykorzystać ją przeciw niemu. Dlatego sekretarz przewodzi grupie, którą wysłano przeciwko wam.

– Działamy już cztery miesiące – powiedział Kessuly – i jak dotąd wychodzimy zwycięsko z potyczek z ludźmi księcia. Oni po prostu nie mają ochoty występować przeciwko Merkalenowi, który przewodził nimi tyle lat. A sekretarz księcia? Znaie go lepiej ode mnie. Może za młodu potrafił walczyć, lecz teraz jest tłusty, a jego mięśnie dawno zwiotczały z powodu bezczynności. Żadna zbroja mu nie pomoże.

– Mylisz się! – zaprotestował Wysband. – Nie widziałeś zbroi. Nie mówiłbyś tak, gdybyś ją widział!

– Znam Wysbanda od lat – odezwał się Merkalen – i wiem, że nie zwykł rzucać słów na wiatr. Jeśli tak twierdzi, to znaczy, że niebezpieczeństwo istnieje. Sam zresztą słyszałem kiedyś o sile zbroi, choć dotąd traktowałem to jako jedną z wielu bajek o legendarnym Mageocie, człowieku stawiającym magię nad wszystkie wartości świata. Teraz sam nie wiem co o tym myśleć... Skąd u Grademieuna ta zbroja?

– Książę oświadczył, że zdobył ją jego dziad i do tej pory leżała zapomniana w piwnicach dworu – odparł Wysband. – Ale słyszałem też od służby pałacowej, że kilka tygodni temu przybył do nas pewien kupiec, który opuścił Wermont już pierwszej nocy, ponoć objuczony złotem i darami. Czy to prawda – nie wiem.

– To nieważne – zdecydował Merkalen. – W każdym razie mamy problem. Widzę niebezpieczeństwo nie w samej potędze zbroi, lecz w sile, z jaką oddziałuje na żołnierzy. Z sekretarza żaden wojownik, ale wyobrażasz sobie, Kessuly, reakcję naszych ludzi, gdy ich miecze nie będą mogły go dosięgnąć?

Kessuly chwycił polano i wrzucił je w płomienie. Żar uderzył w twarze mężczyzn.

– Musimy zatem ustalić plan działania – podjął Merkalen. – Należy wyjaśnić żołnierzom sytuację i w związku z tym mam prośbę, Wysbandzie. Nie opowiadaj za wiele o zbroi Mageota, zostaw to mnie. Gdy będziesz pytany, mów o niej raczej z lekceważeniem... Ilu Strażników Wermontu towarzyszy sekretarzowi?

– Około trzydziestu.

– A więc liczebnie siły będą wyrównane. Grademieun nie przypuszcza chyba, jak rozrósł się mój oddział w ciągu tych kilku miesięcy. Albo tak bardzo ufa sile zbroi.

– I jedno, i drugie – powiedział Wysband. – Z tego, co wiem, uważa, że głodujesz w lesie z garstką ludzi, których w dodatku trzymasz przy sobie siłą. Nie mieści mu się w głowie, że ktoś dobrowolnie mógłby wystąpić przeciw niemu.

– Tym lepiej dla nas – stwierdził Kessuly.

Merkalen skinął głową.

– O świcie opuścimy obóz i gdzieś w pobliżu zorganizujemy zasadzkę. Mamy tę przewagę, że o nich wiemy, oni zaś prawdopodobnie liczą na zaskoczenie. Pomylą się. Takich walk się nie przegrywa.

– A zbroja? – zapytał Wysband. – Co będzie, jeśli sekretarz okaże się nie do pokonania?

– Weźmiemy sznury i sieci – zaproponował Kessuly. – Jeżeli nasze miecze go nie zmiażdżą, w co nie mogę uwierzyć, wówczas pojmiemy go żywcem i zedrzymy ten diabelski pancerz.

Nagle zaśmiał się.

– W ten sposób zdobędziemy naprawdę cenne trofeum, księżę Grademieun nie będzie miał wesołej miny, gdy się dowie, kto teraz jest właścicielem zbroi.

– To dobry plan – rzekł Merkalen, spoglądając w zamyśleniu ponad dogasającym ogniem. – Zbroja Mageota może być dla nas wygraną, o jakiej marzyłem, dzięki której nawet potęga Grademieuna może się złamać.

Trzasnęła pękająca w ogniu głownia.

– Gniew w tobie nie osłabł? – zapytał cicho Kessuly.

Merkalen odetchnął głęboko.

– Nie zaznam spokoju, dopóki Grademieun jest wśród żywych. Nie mam innego celu w życiu.

Rozdział 4.

Miedzy drzewami ukazał się człowiek. Merkalen rozpoznał go i zdradził miejsce kryjówki wołaniem naśladującym krzyk sokoła.

Kessuly stanął przed nim zdyszany. Rozluźnił węzeł przy pochwie miecza, którą podwiązał, by broń nie przeszkadzała mu w marszu.

– Są – powiedział. – Po śladach w obozie zorientowali się, że opuściliśmy go niedawno, i teraz idą naszym śladem. Konie zostawili, widocznie wciąż myślą, że uda im się nas zaskoczyć... Ale idą prosto jak strzeł, jakby doskonale wiedzieli, gdzie jesteśmy.

– A sekretarz?

– Jest w zbroi, tak jak mówił Wysband... Inaczej ją sobie wyobrażałem, wygląda jak zwyczajny, stalowy pancerz. Dobra kowalska robota, ale nic nadzwyczajnego.

Przeszli dalej, przeciskając się przez krzewy ku skrajowi niewielkiej polany.

– Jeśli nie zgubią tropu, powinni wyjść stamtąd. – Merkalen wskazał na prawo.

– Nie zgubią – rzekł wyłaniający się z listowia Wysband. – Zostawiliśmy wystarczająco wyraźne ślady.

– Mam rację? – zapytał Kessulego.

Ten skinął głową.

– Idą. Zaraz powinni tu być, ale wygląda na to, że żadne ślady nie są im potrzebne, sekretarz kieruje nimi, jakby znał nasze położenie...

– To zbroja...

– Lub zdrajca!

– Zbroja!

Merkalen uciszył ich.

– Obejdź wszystkie stanowiska i sprawdź gotowość ludzi – polecił Wysbandowi. – Żadnych rozmów i działania bez rozkazu.

– Gdzie są kusznicy? – zapytał Kessuly.

– Po lewej. Chodźmy tam. To od nich się zacznij.

Czekali długo, wreszcie trzasnęły łamane gałęzie i u krańca polany ukazała się grupa Strażników Wermontu. Nie wszyscy weszli na wolny od drzew teren. Kilku żołnierzy obchodziło polanę, przeczesując chaszczę. Merkalen dostrzegł ten manewr i gestem nakazał gotowość kusznikom. Czekał na pierwszy krzyk, który musiał nastąpić, gdy któryś ze strażników natknie się na jego ludzi.

Nie był to krzyk, lecz stłumiony jęk, świadczący o tym, że zginął pierwszy z wrogów.

Z kusz wystrzeliły pociski, wywołując wśród Strażników Wermontu chwilowe zamieszanie. Kilku z nich osunęło się na ziemię, zabitych bądź rannych. Posypała się

jeszcze jedna seria bełtów miotanych z rezerwowych kusz, ale okrągłe tarcze strażników już zwróciły się ku strzelającym. Z gąszczu wyskoczyli ludzie Merkalena, krzyżąc i wywijając uniesionymi mieczami. Również kusznicy opuścili swoje stanowiska i wybiegli na polanę. Merkalen nie mógł pozwolić sobie na zachowanie rezerw, jedna potyczka musiała zdecydować o wszystkim.

Sytuacja rozwijała się pomyślnie. W pierwszym starciu zabili czwartą część żołnierzy Grademieuna, i to bez strat własnych; przewaga wynikająca z zasadzki przyniosła oczekiwane efekty.

Tylko Merkalen nie walczył. Obserwował sekretarza, którego nietrudno było rozróżnić pośród wojowników odzianych w skórzane kaftany; czarna zbroja przyciągała wzrok. Ale sekretarz wyróżniał się nie tylko tym – jego ruchy były spokojne i metodyczne, jak gdyby uczestniczył w przedstawieniu bezpiecznym niczym przechadzka po ulicy... Żołnierze Merkalena mieli przykazanie unikać z nim starcia, nim nie zostaną pokonani strażnicy, ale nie można było wymagać, by i sekretarz zastosował się do tego. Miał krótki miecz, używany raczej do treningu niż walki, ale go nie oszczędzał.

Działo się tak, jak przepowiedział Wysband. Sekretarz nie drgnął nawet wówczas, gdy stalowe ostrze przejechało po pancerzu na wysokości karku. Żaden cios nie czynił mu krzywdy. Nikt spośród tych, ku którym człowiek w zbroi kierował swą broń, nie potrafił się obronić.

Mimo wszystko Merkalen jednak wygrywał. Przewaga liczebna jego strony była coraz wyraźniejsza – tak jak przewidywał to plan: należy zwyciężyć Strażników Wermontu, a sekretarzem zająć się pod koniec walki. Dlatego Merkalen wyczekiwał, oszczędzał siły na ostateczną rozgrywkę. W krzakach leżała sieć, którą miano spętać Grademieunowego wysłannika.

Taki był plan i Merkalen nie wątpił w jego powodzenie, do chwili gdy Kessuly – wbrew ustaleniom – zaatakował sekretarza. Nikt nigdy nie dowiedział się, dlaczego to zrobił. Może chciał udowodnić Wysbandowi, że jego strach przed zbroją jest niczym nie uzasadnionym tchórzostwem? Może uważał przebieg walki za tak pomyślny, że przystąpił do realizacji ostatniej części planu? A może po prostu zapragnął sławy wojownika, który pokonał moc zbroi Mageota.

Przewaga umiejętności i wyszkolenia w walce była zdecydowanie po stronie Kessulego, lecz w tym pojedynku to nie wystarczało. Ilekroć Kessuly zadawał decydujący cios, tylekroć jego miecz chybiał, ześlizgiwał się przed czarną zbroją, wytracając w jednej chwili impet uderzenia.

Wtedy właśnie nastąpił przełomowy moment potyczki. Później Merkalen

wielokrotnie wracał myślami do tej chwili, usiłując dociec, co było większym błędem: przedwczesny atak Kessulego czy też jego własna reakcja. A może niczego nie można było uniknąć, bez względu na okoliczności? Stało się... Miecz sekretarza nagle dosięgnął celu, rozdarł brzuch Kessulego i zanurzył się we wnętrznościach, a wszystko to na oczach Merkalena. Stał oniemiały, czując, jak chłód przeszywa go od piersi do samych stóp; tylko trzewia miał gorące, jakby to jego wnętrza dosięgła stal.

Porywczosć zawsze dominowała w charakterze Merkalena, lecz nigdy jeszcze nie obróciła się przeciw niemu, tak jak stało się to tym razem. Błąd Kessulego pociągnął za sobą następny – ogarnięty wściekłością Merkalen włączył się do walki, choć plan przewidywał, że uczyni to znacznie później. W jednej chwili znalazł się przed sekretarzem. Wbił wzrok w szczeliny przyłbicy, ale nie o, dostrzegł w nich niczego prócz ciemności. Z całych sił uderzył mieczem.

Widział wcześniej, jak to wygląda, ale nie mógł oprzeć się zdumieniu, gdy żelazo odbiło się, niczym od muru, nie czyniąc przeciwnikowi krzywdy. Siła uderzenia omal nie wybiła mu broni z rąk.

Sekretarz nie skontrował ataku. Odwrócił się, nie podejmując walki, i ruszył z pomocą Strażnikom Wermontu. Jego obecność wzmocniła ich szyki, jakby siła zbroi emanowała i na nich.

Może krew Kessulego roznieciła ogień w duszy sekretarza, bo zniknął spokój i powolność jego ruchów, walczył teraz zdecydowanie, z zadziwiającą zwinnością. Eratur Merkalen krążył za nim jak cień, ale nic nie mógł zrobić; człowiek w zbroi bezkarnie zabijał jego ludzi, wykorzystując przewagę magicznego odzienia. Merkalen pomyślał o ukrytej w zaroślach sieci i nagle zdał sobie sprawę, że jest już za późno, że tylko cud mógłby zmienić wynik potyczki. Przegrywał, choć jeszcze przed chwilą zwycięstwo wydawało się być w zasięgu ręki.

Rozpoczął odwrót. Niespodziewanie stwierdził, że jest przy nim tylko Wysband, a resztkę jego oddziału, tych kilku ludzi zaledwie, którzy zostali jeszcze przy życiu, pierzcha w popłochu w las. Dopiero wówczas sekretarz stanął przed Merkalenem twarzą w twarz. Niski śmiech, niczym z dna głębokiej studni, wydobył się z jego krtani. Zmęczeni i zrani krwią Strażnicy Wermontu odsunęli się.

– Uciekajmy, panie – wyszeptał Wysband. – Nasza śmierć niczego tu nie zmieni.

Merkalen milczał. Wysband cofnął się o krok i dodał:

– Twoja śmierć jest właśnie tym, czego pragnie Grademieun.

Te słowa wystarczyły. Nieznaczące skiniecie głową i obaj odwrócili się równocześnie, wykorzystując fakt, iż strażnicy odstąpili, pozostawiając zakończenie walki zbroi Mageota. Uwłączający to był odwrót dla Merkalena – po raz pierwszy uciekał przed

wrogiem bez planu odwetu. Niegdyś wolałby umrzeć niż znosić takie upokorzenie, lecz teraz był kimś innym, musiał żyć, bo wraz z nim żyła i zemsta. Żył gniew.

Rozdział 5.

Las skończył się nagle. Wybiegli na otwartą przestrzeń stepu, skapaną w słonecznym świetle, słysząc dobiegające z oddali odgłosy pogoni. Musieli przystanąć dla uspokojenia oddechu.

– Nawet teraz zbroja pomaga sekretarzowi – rzekł Wysband. – Prowadzi go nieomylnie ku tobie, gdziekolwiek byś się znajdował. Odnalazła cię raz, odnajdzie i drugi. Skąd ona się wzięła?

– Nie wierzę w tego kupca – odparł Merkalen. – To musi być własność Grademieunów z dawnych wieków. Prawdopodobnie niegdyś ród postanowił, że świat winien zapomnieć o przedmiocie dającym człowiekowi taką moc.

– Dlaczego?

– Ze względu na brak gwarancji, że zbroja zawsze będzie należała do nich. Ten, kto zdołałby im ją odebrać, mógłby sięgnąć po więcej. Dysponowałby potęgą, a dla Grademieunów potęga oznacza władzę, rzecz dla nich najważniejszą. Dopóki są posiadaczami zbroi Mageota, dopóty z jej strony nic im nie grozi. Pokazanie jej światu jest kuszeniem losu.

– Panie! – Żrenice Wysbanda rozszerzyły się. – Książę ujawnił zbroję...

– Z mojego powodu – dokończył nie bez satysfakcji Merkalen. – Dlatego teraz rozdzielimy się. Oni chcą mnie, nie ciebie. Pójdziesz skrajem lasu, kryjąc się wśród drzew.

– A ty?

– Przez step. – Merkalen wskazał przed siebie; na linii horyzontu płaski teren wznosił się i ginął w zamglonym powietrzu.

– To Wzgórza Demonie!

– Tylko szaleńczy krok może mnie uratować. Jeśli zginę tam... to stanie się jedynie to, co niechybnie spotka mnie tutaj.

– Może moja pomoc...

– Nie. Już mi pomogłeś, jak nikt inny... Zegnaj, przyjacielu. Jeśli kiedyś się spotkamy... a nawet jeśli nie... nigdy nie zapomnę, co dla mnie zrobiłeś.

Rozdział 6.

Buty zastukały na kamieniach, Merkalen dotknął dłonią pierwszej skały, rozgrzanej w słońcu jak on sam. Wydawało mu się, że ucieka już całą wieczność. Obejrzał się przez ramię. Grupa pościgowa nieustępliwie parła ku niemu. Nagle spostrzegł, że pośród żołnierzy brakuje człowieka w zbroi. Pozostał z tyłu, siedział teraz wśród wysokich traw, ledwie widoczny. Odpoczywał? A może jest ranny?

Sytuacja wyjaśniła się, gdy daleko, na tle zamglonego pasma lasu, pojawiły się konie. To po nie posłał sekretarz i teraz czekał, by usprawnić pościg.

Merkalen spojrział na Wzgórza Demonie, pokryte niską trawą i fioletowiejącym mchem pagórki, wśród których białe liczne skupiska skał. Tam konie nie dadzą może wrogowi aż takiej przewagi. Brudny i spocony ruszył dalej.

Wreszcie minął najwyższy punkt wzniesienia i zniknął ścigającym z oczu. Przed sobą zobaczył niekończące się pasmo wzniesień i białych skał. Zszedł w przełęcz, gdy u góry, na tle pogodnego nieba, pojawił się pierwszy jeździec, a zaraz za nim następny. I następny. Wyglądali jak wyciosani w skale, plamy na bliskim horyzoncie.

Widzieli Merkalea dokładnie, nie mógł się ukryć i chyba dlatego zwlekali. Czekali, aż dołączą ich towarzysze, pewni, że ofiara nie zdoła już umknąć. Gdy zaczęli schodzić ze wzgórza, Merkalen naliczył dziesięciu. Poczłł gniew, lecz stłumił go; rozumiał, że przeciw zbroi Mageota walczyć nie można.

Wchodził na kolejne wzgórza. Zmierzał ku dużej grupie skał, wśród których Strażnicy Wermontu będą zmuszeni zejść z koni. Słyszał pogłos wydawany przez końskie kopyta, parskanie zmęczonych zwierząt i nawoływania strażników. Byli już w odległości dogodnej do strzału, ale nie strzelali; może nie mieli kusz lub byli tak pewni siebie, że zamierzali dopaść go żywego.

Skały były strome, lecz pełne załamań i krawędzi, umożliwiających wspinaczkę. Merkalen wykonywał automatyczne ruchy, nierzadko niemal pełzał na brzuchu, bo zmęczenie coraz bardziej dawało mu się we znaki. Nagle wyciągnięta ręka niczego nie znalazła, Merkalen zachwiał się, przez chwilę balansował, usiłując złapać równowagę, po czym upadł twarzą do przodu. Mimo rozpostartych szeroko ramion nie mógł się zatrzymać, zsuwał się po zawalonej skalnymi odłamkami pochylni. Wbijał palce w podłoże, ale wyłamywał tylko paznokcie. Spadał. Słoneczne światło zniknęło, jakby w jednej chwili zapadła czarna noc...

Ocuciły go spadające z góry kamyki. Leżał na wilgotnej skale, w ciemnościach – tylko u góry widniała szczelina światła. Był w jaskini. Znowu spadły kamyki i do Merkalea dotarły głosy strażników. Schodzili po niego.

Dźwignął obolałe ciało. Z ulgą stwierdził, że kości ma całe, a ból pochodzi od stłuczeń i nadwerżonych mięśni. Rozejrzał się, ale ciemność była nieprzenikniona. Sprawdził pas. Miecz znajdował się na swoim miejscu.

Namacał ścianę i posuwał się wzdłuż niej, gdy nagle sparaliżował go strach. Nasłuchiwał, a serce biło w piersiach głośno niczym dzwon. Nic. Skąd więc strach?

Wciąż nic się nie działo; przed nim panowała ta sama ciemność i cisza, a zza pleców dobiegały głosy strażników. Strach jednak go nie opuszczał.

Wzgórza Demonie.

Był we wnętrzu jednego z nich.

Wzgórza otaczała ponura legenda. Rządziło tu zło – tak opowiadano – a człowiek był niepożądany, obcy. Śmiałkowie, którzy próbowali zapuszczać się w te strony, nigdy nie wracali. Merkalen zwykł trzeźwo oceniać legendy, lecz wiedział, że w każdej tkwi ziarno prawdy, dlatego wbrew zdrowemu rozsądkowi poczuł ulgę, że w pobliżu znajdują się ludzie. Choć wrogowie, to jednak istoty z krwi i kości.

Niespodziewanie z góry dobiegł krzyk i równocześnie posypała się lawina kamieni. Po chwili coś ciężko uderzyło o ziemię. Merkalen na oślep ruszył w tym kierunku, ostrożnie badając butami teren.

To był jeden ze strażników. Merkalen dotknął jego twarzy i poczuł na dłoni ciepło oddechu. Odskoczył. Słyszał, jak tamten usiłuje wstać, sapiąc i pojękując. Z góry wołali inni strażnicy. Nie miał wyjścia – wyciągnął miecz i uderzył; raz tylko, lecz skutecznie.

Cofając się, zdał sobie sprawę, że oto w Demonich Wzgórzach zagościła śmierć. Czyja to ofiara: człowieka czy demona?

Po omacku posuwał się naprzód, w jednej ręce trzymając miecz, a drugą dotykając zimnej skały. Może strach, od którego przecież on sam nie jest wolny, powstrzyma pogoń? Szedł powoli, uważając, by nie potknąć się na nierównościach lub głazach napotykanym na drodze. Nagle powrócił lęk, silny, wciąż narastający. To samo uczucie, które ogarnęło go po odzyskaniu przytomności. Niełatwo było się od niego uwolnić.

– Merkalen! – rozległ się okrzyk niesiony przez echo.

Fala gorąca ogarnęła jego skronie, lecz trwało to tylko chwilę. Rozpoznał głos sekretarza.

– Wracaj, Merkalen! Zapuszczając się w tę otchłań, tracisz duszę. A księżę Grademieun odebrać ci może tylko życie. Rozważ to. Poddaj się i jedź z nami do Wermontu. Nie gub samego siebie!

Merkalen zrozumiał, że sekretarz także się boi. Zbroja Mageota i posłuszeństwo wobec Pana Wermontu nie potrafiły stłumić tego uczucia. Dlatego Merkalen nie odpowiedział, chciał, aby jego milczenie pogłębiło niepokój ścigających.

Szedł dalej i w chwili, gdy pomyślał, że może krąży po obwodzie jaskini, zobaczył światło – blask dnia przedzierający się przez odległą szczelinę. Po kilku krokach zaczął rozróżniać niewyraźne kontury skał. Poczł ulgę i dumę. Oto on, Merkalen, przeszedł samotnie przez wnątrze Demoniej Góry i żyje!

Za plecami usłyszał śpiew; sekretarz prowadził strażników, każąc im śpiewać dla podniesienia ducha. Węc szli za nim, uparcie i nieustępliwie.

Merkalen zaczął bieć. Ścigający nie widzieli jeszcze, że skalny chodnik się kończy, należało więc zyskać na czasie.

Znalazł się w obszernej jaskini – to w niej było najwięcej światła – i zatrzymał się raptownie. Drugie wyjście z jaskini, w miejscu gdzie światło rozjaśniało mrok, znajdowało się wysoko, niemal pod stropem, a strome i gładkie ściany nie dawały nadziei na wspięcie się po nich.

Jeszcze raz rozejrzył się bacznie, poszukując jakiejś kryjówki, lecz na próżno. Odwrócił się, by wrócić w ciemność. Może uda się przycziąć w jakimś załomie i tamci go miną.

Nie. Nie miną. Zbroja Mageota nie przegapi swojej ofiary.

Nieoczekiwanie Merkalea ogarnął spokój. Nie musiał już dokonywać wyboru, bo go nie miał. Gotów do walki, stanął obok wejścia tak, by wchodzący nie od razu mogli go spostrzec, i czekał, a spokój go nie opuszczał. Tak jak zawsze podczas bitwy.

I wtedy zobaczył demona.

Ze skalnej półki spoglądała para gorejących oczu. Szary, niewyraźny kształt niemal zlewał się ze skałą, co nie pozwalało na ocenę wielkości istoty. Merkalen usłyszał dźwięk przypominający warczenie dzikiego zwierzęcia i nagle pod tymi niesamowitymi oczami ujrzł białe zęby, rząd spiczastych kłów.

Pieśń Strażników Wermontu ucichła, rozległy się krzyki, ścigający dostrzegli światło. Tupot nóg zbliżał się, a Merkalen nie mógł oderwać wzroku od hipnotyzującego spojrzenia jaskiniowej istoty. Wreszcie wbiegli rozkrzyczani, całą gromadą, prowadzeni przez człowieka w zbroi.

Merkalen skoczył ku środkowi jaskini i to prawdopodobnie uratowało mu życie, bo oto kształt ze skalnej wnęki runął w dół.

Demon zaatakował.

To prawda, że Strażnicy Wermontu zostali zaskoczeni, ale nawet gdyby tak nie było, nie zdołaliby się obronić. Atak był szybszy niż zdolność koncentracji człowieka; szary kształt zadawał śmierć w tempie, w jakim wystrzelony z kuszy bełt osiąga drogę do celu. Nim ciało pierwszego z zabitych upadło na ziemię, już dwaj inni trzymali się za rozerwane kłami gardła.

Istota uderzyła w sekretarza, odbiła się od zbroi, przewracając jej właściciela, i dopiero wtedy, na jeden krótki moment, zatrzymała się. Stała teraz w pełnym świetle, cała zalana krwią. Merkalen zdziwił się, że to stworzenie jest tak małe, niewiele większe od kota...

Znowu skok i znowu śmiertelny krzyk. Jeden ze strażników zdołał zamierzyć się mieczem, lecz niemożliwe było trafienie w coś, co poruszało się z taką szybkością... Jeszcze jedno odebrane życie... Stojący najdalej rzucili się do ucieczki, a demon pomknął za nimi, nie zamierzając zostawić przy życiu świadków swej siły.

Sekretarz wstał, chwiejąc się na nogach. Objął spojrzeniem zmasakrowane ciała podkomendnych, po czym czarna przyłbica skierowała się w stronę Merkalea.

– Merkalen, zawarłeś pakt z diabłem!

– Mylisz się! Ty zawarłeś taki pakt, przyjmując zbroję od Grademieuna. Ty korzystasz z mocy niedostępnej ludziom i zostaniesz ukarany...

Przerwał mu śmiech.

– Ja wciąż mam zbroję, dam sobie radę, natomiast ty, jeśli nie zginiesz z mojej ręki, umrzesz z woli władców Wzgórz.

Merkalen słuchał tego ze zdumieniem; nie pojmował postawy sekretarza.

– Proponuję rozejm – rzekł trzeźwo. – Wydostaniemy się stąd, chrońmy życie, nasze sprawy załatwimy później.

– Nie!

– To coś zaraz może wrócić!

– Nie!

Usłyszał ostry dźwięk. Upiornie brzmiący szczęk. To wracał mieszkaniec jaskini.

Merkalen stał zwrócony twarzą do niego, ale sekretarz musiał odwrócić się, wykonać ruch, i to zadecydowało, że pierwszy stał się ofiarą ataku. Ponownie z chrzęstem żelaza zwałił się na ziemię. Próbował wstać i znowu otrzymał uderzenie. I jeszcze raz. Machał chaotycznie swym krótkim mieczem, nie wstając już, pełzał, wciąż otrzymując ciosy. Demon nie zadawał ran, bo zbroja Mageota chroniła skutecznie, ale z kolei sekretarz nie mógł dosięgnąć przeciwnika.

Ruchy walczących stawały się coraz wolniejsze i nagle miecz pełzającego człowieka, może przypadkiem, a może dzięki przytomnym jeszcze działaniom, dosięgnął walczącej z uporem istoty. Nie było to śmiertelne pchnięcie, ale wystarczyło, by sekretarz drugą ręką pochwycił przeciwnika. Dwa ciała szamotały się teraz wśród kamieni, krwi i zwłok pokonanych Strażników Wermontu.

I nagle wszystko się skończyło. Zapadła cisza.

Merkalen postąpił krok i poczuł ból mięśni, które przez cały czas pozostawały

nieruchome, lecz wciąż napięte. Pochylił się i usłyszał stłumiony oddech sekretarza, trzymającego w rękach zduszone, szare truchło. Przyklęknął i ostrożnie dotknął zbroi. Ledwie czuł ją pod palcami, odnosząc wrażenie, że metal powleka cienka warstwa powietrza. Sekretarz jęknął i poruszył się. Ręce Merkaleń śmieiej chwyciły klamry przy szyi i je odpięły. Gwałtownym ruchem ściągnął hełm, lekki i dziwnie oślizły, jakby martwy przedmiot sam siebie chciał ochronić przed niepowołanymi dłońmi.

Pod czepcem ujrzał twarz, niewiele przypominającą tę, którą znał – nalaną tłuszczem, gładką i rumianą. Ostre rysy, orli nos, jakby to był zupełnie ktoś inny. Tylko podkrążone oczy, choć napiętnowane siatką krwawych żyłek, pozostawały te same. Wpatrywały się w Merkaleń z napięciem. Były przytomne.

Rozległ się zgrzyt i ręce sekretarza opadły, wypuszczając zdobycz. Merkaleń zamarł, gdyż wydawało mu się, że zwłoki istoty poruszyły się, ale to było tylko złudzenie. Nie była demonem, nie mogła nim być, skoro spotkała ją fizyczna zagłada.

Dłoń sekretarza błędziła w poszukiwaniu miecza, on sam nie spuszczał wzroku z Merkaleń.

– Uwolnij mnie – szeptał zsiniałymi wargami. – Uwolnij...

– Od czego? – Merkaleń był zaskoczony.

– Zbroja... Nie chcę już walki...

Na przekór słowom palce chwyciły miecz. Merkaleń zauważył to i przydepnął rękę sekretarza na wysokości nadgarstka. Schylił się, wyrwał broń i odrzucił. Własny miecz przyłożył do obnażonego gardła.

– Uwolnij mnie... – powtórzył sekretarz. – Proszę...

Merkaleń zawahał się. Spoglądał w przygasłe oczy i nagle dostrzegł w nich śmierć; znał się na tym, gdyż wiele razy widział oczy umierających żołnierzy.

– Błagam...

Zdjęcie zbroi nie było łatwe, ponieważ sekretarz nie potrafił mu pomóc, a nawet usiłował się bronić, choć na przekór czynom wciąż powtarzał: „Uwolnij mnie”. Wreszcie Merkaleń wyprostował się. Przed nim leżał odziany w sukno wychudzony mężczyzna. Niespodziewanie na jego twarzy ukazał się cień uśmiechu.

– Dzięki ci... – rzekł, z trudem poruszając wargami. – Zostaw ją tutaj... Niech będzie przeklęta... Zostaw ją... – Nagle zakrztusił się. – W przeciwnym razie nigdy nie będziesz już sobą... Ona niszczy wszystko... Nawet tych, którym pomaga.

Merkaleń rozpiął sekretarzowi koszulę, z niedowierzaniem dotykając wątego ciała, które niegdyś budziło wesołość swą tuszą. Miał przed sobą człowieka po wycieńczającej chorobie. Odwrócił głowę i spojrzął na złożoną w nieładzie zbroję, pozostawioną przed wiekami w spadku przez kogoś, kto nazywał się Mageot. Przedmiot, który przetrwał,

zachowując w sobie cząstkę mocy dawnego właściciela.

Sekretarz nie powiedział nic więcej. Odszedł cicho, jakby pokorą pragnął odkupić związek ze zbroją. Nawet oczy zamknął sam, odcinając się od świata w swej ostatniej chwili. Cisza, jaka zapadła, uświadomiła Merkalenowi własne położenie. Musiał wydostać się z podziemi, a jedyną drogą była ta, którą tu przybył. Powstrzymał go nagły dźwięk. Mężczyzna przywarł do ściany, walcząc z wyobraźnią, z odradzającą się wiarą w demona.

Dźwięk powtórzył się. Różnił się od skowytu wydawanego przez istotę pokonaną przez sekretarza, lecz jednak w pewien sposób go przypominał. Wzrok Merkalena błądził po ścianach jaskini, ale napotykał pustkę. Może któryś ze strażników jest tylko ranny? Merkalen postąpił krok do przodu, ale zaraz się zatrzymał. To nie było to. Odruchowo spojrzął w górę, gdyż najwyraźniej coś się tam poruszyło. I nagle – jak gdyby to jego spojrzenie wywołało taką reakcję – usłyszał płacz, a raczej pisk kojarzący się z płaczem, krzyk zrozpaczonego zwierzęcia.

Przełożył miecz do lewej ręki i podniósł z ziemi kamień. Rzucił nim i zastygł, gotowy do ucieczki, ale nie doczekał się reakcji. Rzucił drugim kamieniem, trafiając tym razem w sam środek celu, i płacz się nasilił.

„Więźniowie demona” – pomyślał.

Przesunął się do miejsca, gdzie skalna półka opadała, i wyciągając w górę ręce, zdołał dosięgnąć krawędzi skały. Nie wierzył już w niebezpieczeństwo. Gdyby cokolwiek chciało go zaatakować, miało na to dostatecznie dużo czasu.

Występ był wystarczająco szeroki, aby człowiek mógł swobodnie się po nim poruszać. Merkalen wyteżył wzrok. Półmrok nie pozwalał rozróżnić szczegółów, ale tam, skąd dobiegał płacz, coś najwyraźniej się poruszało. Jeszcze jeden krok... Był już zupełnie blisko, gdy w jednej chwili zrozumiał wszystko.

Nie było demona ani jego więźniów.

Widział gniazdo. A w nim potomstwo stworzenia, które zginęło, broniąc je przed przybyszami.

W gnieździe popiskiwały dwa, pokryte szarym puchem, zwierzątka; okrągłe miniaturki swej rodzicielki. Gdy Merkalen uniósł miecz, ich płacz się nasilił, jakby wiedziały, że w kawałku stali mieszka śmierć.

I wtedy – po długiej chwili wahania – człowiek opuścił broń, nie zadawszy ciosu. Ostrożnie wyciągnął rękę i aż zaparło mu dech w piersiach, gdy dwa żywe kłębki ufnie przytuliły się do gorącej dłoni.

Rozdział 7.

Stepem jechał jeździec. Towarzyszący mu wierzchowiec był tak objuczony, że z daleka mogło się wydawać, iż i jego dosiada mocno pochylony człowiek. Złudzenie potęgował kształt bagażu: ciemna zbroja, która, choć złożona, zachowała obły kształt. Obok niej umiejętnie przytroczone juki, z których wyglądały ciekawie na świat dwie małe, kocie głowy.

Merkalen niespokojnie spoglądał za siebie. Od dłuższego czasu widział w oddali grupę jeźdźców, która zmierzała w tym samym kierunku co on. Nie było ich wielu, kilku zaledwie, ale dla ściganego człowieka każde spotkanie może być niebezpieczne. Zboczył z traktu, żywiąc nadzieję, że tamci mają wystarczająco pilne sprawy, aby nie interesować się przypadkowo napotkanym człowiekiem. I tak było; ich drogi zaczęły się rozchodzić, a odległość zwiększać, zwłaszcza że Merkalen popędzał wierzchowca.

Nieoczekiwanie jęknął z bólu – głowę poraził mu ostry, krótkotrwały impuls. Ogromna igła przeszła czaszkę. Nie widział niczego, przed oczami miał mgłę nie ciemność, lecz mgłę właśnie, jednorodny biały opar. Świat zniknął. A potem powrócił, tak samo nagle, jak się pojawił.

Zdumiony Merkalen rozglądał się dookoła. Nic się nie zmieniło: step, garstka ludzi w oddali, to samo niebo i słońce. Tylko konie parskały niespokojnie, a wystające z juków kocie główki skuliły uszy.

Zawróć! Merkalen zawrócił. Zmierzał teraz wprost ku tym, którym przed chwilą starał się zniknąć z oczu.

Tamci dostrzegli jego manewr, zatrzymali się, a po chwili dwóch wysunęło się naprzód i stali tak, oczekując, aż nadjedzie. Dopiero w tym momencie do umysłu Merkaleń powrócił porządek. Dotarło doń, że stało się coś ważnego, że postąpił w sposób, którego nie rozumie. Ale nie mógł się już wycofać. Odwrót tylko by pogorszył jego położenie.

Miał przed sobą Kentgerontmontczyków.

Od czasu rzezi w Kentgerontmoncie sytuacja polityczna zmieniła się, nie tak jednak, jak zapowiadali to Strażnicy Wermontu, którzy zdołali wówczas ująć z życiem. Owszem, książę Grademieun po raz drugi uderzył zbrojnie, nie doszło jednak do ostatecznej rozprawy, gdyż i tym razem – wbrew głosom wołającym o zemstę – doszło do układów z Rollinamanami. Oni sami zaproponowali warunki – to prawda, że jeszcze bardziej korzystne niż ongiś – zasłaniając się tym, że napad na garnizon Wermontu był dziełem opozycyjnego rodu. Dominacja Księstwa Wermontu stała się niekwestionowana, lecz setki ofiar rzezi poszły w zapomnienie i Merkalen był rad, że nie doczekał takiej hańby

jako komendant.

– Ktoś ty? – zapytał szorstko dowódca oddziału Kentgerontmontczyków.

Merkalen nie odpowiedział: patrzył na to, co dzieje się za plecami pytającego. Stało tam jeszcze trzech żołnierzy, a między dwoma z nich wisiał nagi, pokryty świeżymi ranami mężczyzna. Był w okrutny sposób przytroczony linami do koni: prawa ręka i noga do jednego konia, obie lewe kończyny do drugiego, a korpus wisiał między nimi na wznak. Mężczyzna dawał znaki życia, poruszał niemo wargami, choć niewiarygodne było, jak może wytrzymać taką mękę, podróż z nieludzko powykręcanymi stawami.

– Ja go poznaję! – krzyknął żołnierz towarzyszący dowódcy. – To Merkalen.

Pamiętam go!

Twarz dowódcy spoważniała, a ręka przesunęła się ku rękojeści miecza.

– To prawda? – zapytał, patrząc w oczy Merkaleń. – Tak.

– Czego chcesz?

W tym momencie Merkalen się zmieszał. Bo cóż miał odpowiedzieć? Że nie wie? Że wyzwiał los pod wpływem przebłysku szaleństwa?

– Jadę swoją drogą i wy jedźcie swoją – rzekł. – Niepotrzebne mi waśnie.

Na twarzach Kentgerontmontczyków pojawiła się dezorientacja.

– Jesteś wyjęty spod prawa – stwierdził dowódca. – Znam twoją historię... – przerwał, gdyż przyboczny żołnierz pochylił się nad nim i coś szepnął.

Dowódca skinął lekko głową i powiedział:

– Wieziemy księciu Grademieun dar, dzięki któremu jeszcze łaskawiej spojrzysz na Rollinamanów. Mój żołnierz sądzi, że ty mógłbyś być jeszcze cenniejszym prezentem...

Merkalen gniewnie spiął konia, gotowy do walki.

– Nie! – powstrzymał go dowódca. – Mój żołnierz to prosty człowiek, nie potrafi przewidywać. Ja muszę dotrzeć do księcia Grademieun i dlatego zgadzam się z tobą: idźmy swoimi drogami.

Merkalen nie potrafił oprzeć się uczuciu zadowolenia. Wciąż budził respekt, nawet gdy był sam przeciwko pięciu. Chciał powiedzieć „Żegnaj”, lecz nagle ponownie, bez żadnego ostrzeżenia, bolesne ułknięcie w głowę przykuło go do miejsca. Tym razem trwało krócej – mgła przed oczyma rozwinęła się, nim zdążyła całkowicie przesłonić widoczność.

– Uwolnijcie tego człowieka! – rozkazał i przez moment czuł przerażenie.

Wypowiedział słowa, które nie zrodziły się w jego umyśle!

Dowódca oddziału wyciągnął z pochwy miecz, a jego podwładny uczynił to samo.

– Oszalałeś, człowieku! – krzyknął gniewnie. – To Mageot! Merkalen zapomniał z wrażenia o obronie.

– Mageot... – powtórzył bezwiednie.

– Odebrało ci rozum! – krzyczał dalej dowódca. – Nic dziwnego, że Grademieun ściga cię z takim uporem.

Te słowa otrzeźwiły Merkalena; jednym ruchem wydobył miecz i spiął konia, który zadreptał w miejscu.

– Wiecie kim jestem – rzekł dumnie. – Zabiłem dziesiątki ludzi z waszego rodu i teraz też się nie cofnę. Zostawcie tego mężczyznę!

Dowódca pobladł.

– Uznajmy, że się nie spotkaliśmy – zaproponował. – Niech każdy uda się w swoją stronę, tak jak chciałeś na początku.

– Zmieniłem zdanie.

– Chyba nie zdajesz sobie sprawy, kim jest Mageot?! Interesuje go tylko władza. Jeśli znajdzie się na wolności, może zmienić oblicze świata.

– Mageot to legenda sprzed setek lat. Nawet jeśli istniał naprawdę, dawno już rozsypały się jego prochy.

– Wiedziałem, że nie uwierzysz... – głos dowódcy oddziału Kentgerontmontczyków przycichł. – Jego duch się odradza, nie słyszałeś o tym? Oświadczam ci, że ten mężczyzna nosi w ciele ducha Mageota. Pochodzi z daleka, z krainy za Wschodnim Morzem i nawet nie zna naszego języka. Ale został zdemaskowany. Uwierz mi!

Merkalen milczał. Wahał się. Zastanawiał go zbieg okoliczności: miał ze sobą Zbroję Mageota, a teraz – jeśli to wszystko prawda – napotkał człowieka o tym imieniu. Czy możliwy jest taki przypadek? A jeśli nie, to co w takim razie to wszystko oznacza?!

– Jak myślisz – mówił dalej dowódca – dlaczego traktujemy go tak okrutnie? Bo nigdy nie wiadomo, jakie siły ten człowiek przywoła na pomoc. On zna magię. Przywiązaliśmy go do dwóch koni i jeśli cokolwiek uczyni, aby się uwolnić, popędzimy je, niech rozerwą ciało na strzępy. To gwarancja naszego bezpieczeństwa.

Ostrzegam cię: jedź dalej, bo i tak nie zmienisz jego losu. Na mój rozkaz jeźdźcy ruszą, a potem się rozdziela... Chcesz, żeby umarł już teraz?

Merkalen nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tym momencie dwa zwierzątka w jukach obudziły się z letargu i wydając dźwięki przypominające złośliwy chichot, obwieściły swą obecność. Szamotały się rozpaczliwie, z niewiadomej przyczyny usiłując wydostać się na zewnątrz, choć dotychczas dobrze znosiły podróż.

Kentgerontmontczyki zareagowali przerażeniem. W pierwszej chwili zastygli, jakby rzucono na nich czar, po czym – ku zdumieniu Merkalena – dwaj żołnierze zawrócili konie i popędzili przed siebie, jak ludzie dotknięci nagłym szaleństwem. Dowódca usiłował zapanować nad sobą, jednak tętent kopyt spowodował, że i on poddał się impulsowi i krzyknawszy słowo: „Szorki!”, pogalopował w ślad za swoimi żołnierzami.

Pozostali tylko dwaj jeźdźcy – ci dosiadający koni, do których przywiązano Mageota. Ich czoła zraszał pot, w oczach malowało się pragnienie ucieczki, jednak stali bez ruchu, a między nimi tkwiło ciało nagiego, poranionego mężczyzny.

– Co się stało? – wykrztusił Merkalen.

– To szorki – rzekł jeden z żołnierzy, z trudem wypowiadając słowa. – Strażnicy Wzgórz Demonich...

– To śmierć! – krzyknął nadzwyczaj silnym głosem drugi i niespodziewanie zeskoczył z konia. Pobiegł w step, byle dalej od istot, które tak go przeraziły.

Jego towarzysz okładał swego wierzchowca rzemieniem, lecz zwierzę stało spokojne, niczym kamienna bryła, i nic nie świadczyło o tym, iż odczuwa jakikolwiek ból.

Wreszcie żołnierz również wybrał ucieczkę piechotą.

Merkalen zeskoczył z siodła i zbliżył się do Mageota. Podtrzymując bezwładne ciało, odciął liny; konie ocknęły się, parskaly i potrząsały łbami. Odbiegły nieco, spłoszone, zaraz jednak uspokoiły się i poczęły skubać trawę.

Kocie zwierzaki – nazwane przez żołnierzy Kentgerontmontu szorkami – były już spokojne i ciche. Merkalen podszedł do konia, by wziąć derkę, którą chciał okryć mężczyznę, i przy okazji rozluźnił więzy juków. Młode szorki, nie zważając na wysokość, zeskoczyły na ziemię. Natychmiast rozbiegły się i podjęły zabawę, nie zwracając uwagi na człowieka. W tej chwili trudno było zrozumieć panikę, jaką niedawno wywołały.

Mageot miał oczy na wpeł przytomne; był tak wycieńczony, że Merkalen zważył w przypisywane mu magiczne umiejętności, zaraz jednak przypomniał sobie dwóch Kentgerontmontczyków, zmuszonych uciekać pieszo, gdyż ich konie zapomniały o posłuszeństwie. Pomyślał również o jego własnym, zadziwiającym postępowaniu!

Musiał w to uwierzyć. Miał przed sobą Mageota.

I nagle poczuł brzemień odpowiedzialności. Jakie ma prawo pomagać komuś, kto jest wrogiem ludzi? Może wciąż jeszcze znajduje się pod jego wpływem, może Mageot znów zawładnie jego umysłem, choć on sam nie będzie zdawać sobie z tego sprawy?

Ale następna myśl przyćmiła wahania.

Oto wreszcie znalazł człowieka, który pomoże mu pokonać Grademieuna – wszystko inne przestało się liczyć.

Rozdział 8.

Zapał zmrok. Merkalen zdjął z wierzchowca zbroję i położył obok okrytego derką mężczyzny. Mageot rozchylił powieki i w jego oczach pojawił się błysk; w milczeniu obserwował swego wybawcę, a jego spojrzenie było chłodną, obojętną lustracją, bez cienia uczucia.

Merkalen poczuł się nieswojo.

– Nie rozpalam ognia. Okolica nie jest bezpieczna – powiedział.

Żadnej reakcji.

– To prawda, że jesteś Mageotem? Pomożesz mi...? Ja tobie pomogłem... Nie żądam wiele... – nagle przerwał, gdyż mężczyzna się poruszył. Jego ciało się wyprężyło i coś trzasnęło z nieprzyjemnym chrzęstem. Niespodziewanie Merkalenowi wydało się, że złożona w trawie zbroja drgnęła, przysuwając się do leżącego człowieka.

Gra wyobraźni.

Mężczyzna poruszył wargami i wreszcie się odezwał. Wypowiadał słowa w obcym języku; jakieś jedno długie zdanie, w którym powtarzało się imię „Mageot”.

– Nie potrafię cię zrozumieć – rzekł Merkalen. – Chcę tylko, żebyś pomógł mi zabić Grademieuna.

Mageot nie odezwał się więcej. Po chwili przymknął powieki i usnął.

Merkalen nie mógł zasnąć. Szorki położyły się obok niego i ogrzewały swymi ciałami. Odgarnął je od twarzy, ponieważ przysunęły się zbyt blisko, a ich sierść nie była już tak miękka jak przed kilkoma dniami, gdy wyszli z jaskiń Demonich Wzgórz. Zdumiewające, jak szybko dojrzewały te dzikie zwierzęta, jak łatwo dostosowywały się do nowych warunków. Jadły wszystko: owady, gryzonie, nawet trawę, a także wszelkie resztki po posiłku człowieka; mimo szczenięcego wieku właściwie w ogóle nie wymagały opieki. Merkalen polubił je i one również okazywały mu przywiązanie, być może utożsamiając go ze swoim rodzicem. Dzisiejsze wydarzenia uświadomiły mu, że kiedyś szorki staną się dorosłymi osobnikami, takimi jak ten walczący w jaskiniach. Czy będą z nim nadal, skoro u ludzi zasłużyły sobie na miano demonów?

Gwiazdy na niebie traciły blask, rozmywały się w fosforyzującą mgłę, kłębiącą się grubymi pasmami i przybierającą kształty przedmiotów, zwierząt, ludzi. Wszystko było znajome, lecz pamięć okazała się zawodna i nie pozwalała konkretyzować skojarzeń, choć były one wyraźne i bliskie. Ciągły ruch zmieniał formy kształtów, rozmywał kontury, by po chwili znowu je wyostrzyć, już w innej rzeźbie, innych barwach i odcieniach.

- Pochodzę z kraju za Wschodnim Morzem i nazywam się Mageot, co oznacza Przenoszącego Magię, choć przez wiele lat wątpiłem, czy imię to jest mi należne.
- To nieprawda, że pragnę władzy, przynajmniej nie w takim pojęciu, jak rozumieją to ci, którzy mnie o to oskarżają. Nie chcę rządzić ludźmi ani panować nad światem.
- To prawda, że chciałem rządzić ludźmi i światem, i prawdopodobnie prawdą jest, iż chcieli tego wszyscy ci, którzy żyli przed wiekami i których imię teraz noszę.
- To, co było prawdą kiedyś, nie jest prawdą teraz, lecz za błędy trzeba płacić, tym drożej, im więcej znacysz i potrafiś. Bo jeśli czegoś się pragnie, a mimo wielu starań nie można tego osiągnąć, oznacza to, że takie pragnienie jest błędem.
- Nie chcę być Mageotem, lecz niczego nie mogę zmienić. Wyznano mnie z mojego kraju, twierdząc, że nie jest moim, i jedyne czego teraz pragnę, to samotność, której wciąż mi się skąpi. Moje imię i legenda nie dają mi odpocząć. Nie daje mi odpocząć również magia, która tkwi we mnie niczym pasożyt.
- Dlatego zostaw mnie w pokoju, człowieku, nie chcę brać udziału w twoim życiu, tak jak nie pragnę udziału w życiu nikogo na tym świecie.
- Pragnę przeprosić cię za wtargnięcie w twój umysł, ale jak każdy człowiek jestem śmiertelny i mam prawo bronić życia. W dowód szczerości tych przeprosin mówię teraz do ciebie, bo przecież nie muszę tego robić – o wdzięczności zapomnijmy, gdyż to ja sam siebie uwolniłem.
- Posiadasz rzecz, w której wyczuwam swoją własność, i pozbawiam cię jej. Nie wiesz o tym, nie dostrzegasz jeszcze, ale zbroja już kształtuje twoje wnętrze. Nie są to wielkie zmiany, ale nieodwracalne i gdyby nie one, nie mógłbym mieć na ciebie żadnego wpływu, nie usłyszałbyś mojego wezwania i nie zawrócił z drogi.
- Zabieram Zbroję, bo mam do niej prawo, zbroja należy do Mageota. Wyświadczając ci tę przysługę, prawdopodobnie ratuję twoje życie, choć wątpię czy to docenisz, przynajmniej teraz.
- Zegnaj, Merkalenie. Możesz spotkać mnie jeszcze kiedyś, jeśli będziesz tego chciał. Wezwij mnie wówczas, a wskażę ci drogę.

Merkalen otworzył oczy. Zerwał się na nogi, widząc, że słońce stoi już wysoko na niebie. Nigdy nie zdarzyło mu się spać tak długo i tak twardo.

Mageot zniknął. Nie było również dwóch wierzchowców, które pozostawili Kentgernontmontczycy. W miejscu, gdzie wieczorem złożył zbroję, trawa była wypalona. Merkalen zaklął głośno, przykleknął i obmacywał rękami ziemię, nie mogąc uwierzyć, że Mageot dokonał obietnicy ze snu. Przebierał palcami w szarym proszku, lecz nie znalazł dowodu, że jest on tym co pozostało ze zbroi. Tak jakby nigdy nie istniała... Jakby nigdy

nie istniał Mageot.

Szorki!

Zawołał, lecz odpowiedziała mu cisza. Zawołał raz jeszcze i nagle poczuł ulgę, gdy wybiegły zza pobliskiego pagórka, pędząc ku niemu na wyścigi. Ślady krwi na ich pyskach świadczyły, że powróciły z udanego polowania. Podskakiwały, zadowolone z zainteresowania, jakim obdarzył je ich pan, i radość ta udzieliła się również Merkalenowi.

Rozdział 9.

Rozchylając ostrożnie gałęzie krzewów, Merkalen obserwował obóz myśliwych. Namiot księcia Grademieun stał na samym środku leśnej polany; nietrudno go było rozpoznać, z uwagi na jaskrawe znaki herbowe.

Świtało. Poranna mgła rozpraszała się z wolna, lecz w obozie nie było jeszcze widać żadnego ruchu. Tylko na skraju polany stało dwóch wartowników rozmawiających przyciszonym głosem. Wstawał dzień i ich czujność słabła.

Merkalen już wczorajszego popołudnia wytropił miejsce obozu księcia i postanowił nie przepuścić tej okazji. Musiał czekać na sposobną chwilę – starał się postępować rozważnie, wszak miał do czynienia z ludźmi przygotowanymi do polowania, zaś między łowami na zwierzę i na człowieka różnica była niewielka.

Łowieckie wyprawy Pana Wermontu zawsze trwały kilka, a nawet kilkanaście dni, Merkalen miał zatem przed sobą czas na zastanowienie. Nie mógł pozwolić sobie na popełnienie błędu, tym razem księżę musiał zginąć!

Liczył na szorki. Nie miał dotychczas okazji sprawdzić ich umiejętności, ale przez ostatnie tygodnie wiele czasu poświęcał na ich tresurę, podczas której te małe istoty wykazały niezwykłą waleczność. A doświadczenie z jaskiń Wzgórz Demonich pozwalało przypuszczać, że są więcej warte niż najlepszy wojownik.

Wreszcie cisza poranka została przerwana. Pierwszy pojawił się kucharz, który rozpałił ogień i zaczął przygotowywać śniadanie. Z namiotów wypełzła dworska służba, potem kilku dworzan, wreszcie sam księżę Grademieun odchylił skórę przystaniającą wejście do miejsca nocnego odpoczynku. Na jego widok fala gorąca napłynęła do twarzy Merkalema. Powstrzymał gniew, na razie musiał zadowolić się obserwacją. Nie widział księcia od kilku miesięcy, lecz wydawało mu się, że dopiero wczoraj z nim rozmawiał, ufał mu i był posłuszny rozkazom.

Grademieun niemal dorównywał wzrostem Merkalenowi. Brodę miał krótką i rzadką, lecz za to bujne i zadbane wąsy, które w chwilach zastanowienia zwykł przyglądać palcami. Stał teraz przed namiotem i przyjmował meldunek od nocnej straży. Minęła chwila, strażnicy odeszli i nieoczekiwanie przed księciem pojawiła się smukła, po męsku ubrana dziewczyna. Na jej widok Merkalen utracił spokój. Zobaczył Onrazję! – zawsze mówiono, że są do siebie podobne: ona i Teflore, córka księcia...

Córka księcia – to ona stała właśnie przed swoim ojcem, witając go z samego rana.

A jego, Merkalema, nikt nigdy już tak nie przywita. Wrodzona porywczność znowu zaczynała brać górę nad Merkalenem, ale zachował jeszcze na tyle rozsądku, by się wycofać. Biegł niesiony gniewem, przeciskał się przez chaszczę, nie zważając na hałas,

jaki czyni. Nie mógł już dłużej czekać! Zdażał ku miejscu, gdzie pozostawił konia i szorki, podjąwszy po drodze decyzję: zaatakuje dzisiaj, zaraz, jak najprędzej. Zginie albo zabije księcia, dość odwlekania zemsty!

Czekające pod wiekowym drzewem szorki wyczuły wzburzenie swego pana. Ich sierść nastroszyła się, a oczy zapalały sinofioletowym blaskiem. Wyglądały odpychająco, lecz Merkalen nie zwracał na to uwagi. Upłynął już miesiąc od chwili, gdy je przygarnął, i bardzo się przez ten okres zmieniły. Nie wiedział tego na pewno, ale miał wrażenie, że są już dorosłe, w każdym razie bawiły się coraz rzadziej.

Zawołał i nie czekając zawrócił. Zwierzęta przybiegły, posłuszne niczym psy. Po chwili wyprzedziły go, wydając dziwne dźwięki, warkot, którego jeszcze u nich nie słyszał. Poruszały się coraz szybciej, sprężystymi skokami, jakby doskonale wiedziały, czego się od nich oczekuje...

Gdy wypadli na polanę, zaczynano śniadanie. Świta natychmiast rozpoznała Merkalea, który zatrzymał się, szukając wzrokiem księcia. Większość rycerzy i dworzan rzuciła się w poszukiwaniu broni, niektórzy tkwili w miejscu, nie mogąc ochłonąć. Jedni i drudzy, zajęci Merkalem, nie zwrócili uwagi na dwa niewielkie, przemykające chyłkiem kocie kształty. A właśnie od nich szła śmierć. Ponaglone krzykiem zaatakowały *Al* z zacietrzewieniem, jakiego nie spodziewał się po nich nawet sam Merkalen.

Nim dworzanie zdążyli się zorientować, skąd grozi im największe niebezpieczeństwo, już kilku z nich leżało we krwi. Walczące szorki trudno było porównać z czymkolwiek, wydawało się niemożliwe, aby jakakolwiek żywa istota mogła poruszać się z taką szybkością. Każde uderzenie miecza było wielokrotnie wolniejsze i zwinne koty bez trudu ich unikały. Ujawniła się w nich siła mieszkańców Demonich Wzgórz, to do czego zostały stworzone: walka była ich żywiołem, zagrało dziedzictwo krwi przodków i teraz nic nie mogło ich powstrzymać od zadawania śmierci.

Książę Grademieun pochwycił dłoń Teflore i mknął z córką do namiotu. Merkalen pobiegł za nimi, nie napotykając oporu, gdyż większość tych, którzy ocaleli po szturmie szorków, szukała ratunku w ucieczce. Świta towarzysząca Panu Wermontu na polowaniu nie należała do dzielnych.

Merkalen jednym szarpnięciem zerwał skórę przesłaniającą wejście do namiotu i ledwie zdążył uchylić się przed ciosem miecza. Książę był gotów do walki.

W głębi stała Teflore. Z twarzą bladą jak pergamin patrzyła rozwartymi szeroko oczami na walczących mężczyzn. Merkalen miał przewagę, wiedziała o tym i ona, i sam książę, w przeszłości niejednokrotnie pobierający lekcje od dowódcy Straży Wermontu. I ta przewaga była widoczna. Grademieun cofał się, spychany siłą uderzenia przeciwnika, ale nie pozwolił, by opanował go strach. Uważnie śledził wzrokiem Merkalea, czekając

z nadzieją na błąd. Walka przedłużała się, lecz jej wynik był nieuchronny i w końcu książkę upadł, wciąż jednak zaślaniając się mieczem.

Przerażona Teflore krzyknęła i w tym momencie boczne poszycie namiotu trzasnęło i rozerwało się, jakby przygniecione spadającym głazem. Do środka wpadł ciemny kształt, przekoziółkował i zatrzymał się tuż obok księżniczki.

– Nie! – zawołał Merkalen. – Zostaw! Zostaw!

Szork zawahał się. Spoglądał na skamieniałą ze strachu Teflore, ale nie atakował. Słyszał wołanie Merkalea. Niespodziewanie zadrżał i wyskoczył z namiotu, tak samo zwinnie, jak się w nim pojawił.

Pobladła Teflore zachwiała się, lecz nie upadła. Przygwożdżony do ziemi Grademieun usiłował wywinąć się spod miecza, wówczas Merkalen uniósł broń, aby zadać ostateczny cios. Niespodziewanie zatrzymał się w pół ruchu.

– Nie, panie – dobiegł go błagalny szept. – Proszę... Odwrócił głowę, napotyając spojrzenie niebieskich oczu.

– Oszczędź ojca... Błagam!

Księżniczka przypadła do jego stóp, objęła nogi i ścisnęła z siłą, jakiej nigdy nie spodziewałby się po tak wątłej dziewczynie.

– Błagam!

Merkalen otworzył usta. Chciał zapytać o Onrazję, czy ją oszczędzono, czy ktokolwiek ujął się za nią?

Ale nie wyrzekł ani słowa.

Gniew zgasł w nim niczym pochodnia rzucona do wody.

Milcząc, wyszedł z namiotu. Podbiegły doń szorki, zdyszane, lecz już uspokojone po walce. Jeden utykał, powłócząc zranioną kończyną.

Merkalen odetchnął rześkim, przepętnionym zapachem żywicy powietrzem. Zerwał się lekki wiatr, chłodzący rozgrzaną twarz.

– Mageot! – krzyk odbił się echem po lesie. – Dokąd teraz? Dokąd?!

Merkalen długo czekał, nim przyszła odpowiedź. Ale w końcu przyszła i wtedy ruszył w drogę.

NAZYWAM SIĘ MAGEOT

Rozdział 1.

Kat stał na rynkowej platformie, nieruchomy i niemy. Z założonymi na piersiach rękami, z mieczem przy pasie, obserwował przez wycięcia kaptura zgromadzonych wokół szafotu ludzi. Jego postawa wynikała z konieczności chwili, pozwalała na osiągnięcie nieodzownego w tym zawodzie skupienia, a kaptur umożliwiał zachowanie anonimowości wobec widzów i skazańca.

Kat był jedną z dwóch osób, które przybyć musiały, aby mogło odbyć się oczekiwane przez tłum widowisko. Drugą był Czeladnik Mageota, który znalazł się tu z woli wyroku prawa. Ze spletanymi rękami, prowadzony przez trzech uzbrojonych strażników, szedł wolno ku miejscu, w którym wkrótce miał zakończyć życie. Głowę miał uniesioną wysoko, twarz bez wyrazu, pozornie obojętną.

Tłum – gwarny i niespokojny – milkł, czyniąc przejście skazańcowi i jego eskortie, i zamykał się za nimi niczym brama, która nie miała się już nigdy otworzyć.

Czeladnik Mageota wszedł na szafot. Platformę otaczał kordon strażników, z których tylko co trzeci był zwrócony przodem do skazańca; pozostali obserwowali zgromadzonych mieszczan. Podobny kordon, lecz dużo liczniejszy, stał na obrzeżach rynku. Między tymi pierścieniami znajdowała się łoża zajmowana przez Pana Wermontu i jego świtę. Księżę spoczywał na ogromnym krześle, z bogato rzeźbionym oparciem. Był sam, jego małżonka, słynna z urody Niterte, pozostała w swoich komnatach, gdyż nigdy nie cieszyły jej krwawe widowiska, a ponadto – jak głosiła plotka – w pewnym czasie darzyła przychylnością człowieka, który okazał się Czeladnikiem Mageota.

Księżę Grademieun uniósł rękę i rozkrzyczany tłum przycichł. Kilku spóźnialskich umilkło natychmiast, gdy szcęk wysuwanych z pochew mieczy strażników zwrócił im uwagę na gest władcy. Grademieun zawsze znajdował posłuch wśród mieszkańców miasta Wermont. Był tyranem, władzę odziedziczył po ojcu i bez względu na okoliczności zamierzał w przyszłości przekazać ją swojemu synowi, liczącemu obecnie sześć lat. Jedynym sposobem pozyskania względów księcia Grademieun było posłuszeństwo; pospadało już wiele głów, które nie mogły pojąć tego prostego faktu. Prawdą było, że droga obrona przez księcia nie zawiodła go, jak dotychczas. Był silny, nie posiadał przeciwników politycznych ani nikogo, kto byłby zdolny odebrać mu buławę władzy. Może poza Mageotem, lecz ten sługa szatana czynił zakusy i na inne miasta, przebywał prawdopodobnie daleko stąd (nikt nie wiedział gdzie), a jego szpiedzy, czy nawet Czeladnicy, musieli kończyć jak ten oto, ukrywający się wcześniej pod maską przyjaciela.

Mageotowi również nie można było odmówić siły, być może był najsilniejszym z ludzi, lecz na szczęście Mageot obcował z magią, a zwykły człowiek bał się, często nienawidził, magii. Magia to inny świat, a świat obcy rzeczywistości jest jak padół śmierci. Swoisty to paradoks, że siła, która czyniła Mageota potężnym, była przeszkodą w osiągnięciu przezeń władzy. Lud, przerażony samym pojęciem „magia”, szukał obrony przed nią u tyrana, a nigdy odwrotnie. Książę Grademieun potrafił zabiegać, aby te zakorzenione poczynania nie ulegały zmianie.

Na szafot wszedł herold. Stał się lękliwie przy samym brzegu podestu i rozłożył kopiał z wyrokiem. Czytał, wrzeszcząc chrapliwie, a tłum zgodnie potakiwał podczas przerw, które herold czynił dla zaczerpnięcia oddechu.

Czeladnik Mageota ożywił się. W jego oczach błysnęły jaśniejsze iskry; energicznym ruchem przechylił głowę i wbił pełne pogardy spojrzenie w człowieka czytającego wyrok. Słuchał w milczeniu. Milczał, gdy herold oznajmiał, ile domostw i zagród spłonęło z winy skazanego, ilu ludzi zmarło dręczonych nieznaną zarazą, ile padło bydła, ile plonów zmarniało na polach, które skaził swoją obecnością. Milczał do końca, nawet wówczas, gdy herold lżył magię i Mageota.

Zebrany na rynku tłum odebrał ten brak protestu jako strach, rezygnację i oznakę niemocy. Wielu poczęło się przesuwać do przodu, podchodząc pod sam szafot i rzucając niewybredne obelgi. Czeladnik Mageota znosił to spokojnie, a nawet uśmiechnął się nieznacznie, gdy ktoś wyszydzał jego zdolności. „Niech cię ratuje twoja magia! Dlaczego twój pan cię nie ratuje?!”. Książę Grademieun ponownie nakazał spokój.

– Nadeszła twoja kolej, kacie – rzekł, i to nie bez satysfakcji.

Nie wątpił, że taka nauczka, utrata Czeladnika, odstraszy od Wermontu nie tylko innych Czeladników, ale i samego Mageota.

– Ręce! – nakazał kat, wyjmując nóż spod fałd sukmany. Ostrze przecięło więzy i rzemienie opadły na deski szafotu. Stojący wokół zbrojni chwycili za miecze. Skazaniec nie mógł nic uczynić, a jednak cień strachu przemknął przez rynek. Nigdy dotąd nie tracono Czeladnika Mageota, nigdy żadnego nawet nie sądzono, byli nieuchwytni. Tym większy był tryumf Pana Wermontu, tym większa demonstracja jego siły. Publiczne ścięcie, z zachowaniem wszelkich reguł dotyczących zdrajców i morderców, było taką właśnie demonstracją.

– Panie Wermontu! – Głos Czeladnika Mageota brzmiał donośnie i niczym ostrze sztyletu uciał wszelki gwar. Wiele twarzy pobladło, gdyż krew odpłynęła z nich pod wpływem zaskoczenia.

– Słucham cię, Czeladniku. – Książę Grademieun nie należał do tych, na których słowa skazańca zrobiły wrażenie.

Miecze zadrgały w dłoniach przybocznej straży, a i kat chwycił mocniej swe narzędzie, wietrząc jakiś podstęp. Czeladnik Mageota przygarbił się.

– O ile znam obyczaje – powiedział, nie unosząc głowy – każdemu skazanemu przysługuje przed śmiercią jedno życzenie. Czy wobec mnie robisz wyjątek, panie?

Książę zmarszczył brwi.

– Jest to zwyczajne, publiczne wykonanie wyroku – oznajmił.

Mówił nie tyle do Czeladnika, do wszystkich obecnych. – Nie jesteś wyjątkiem i nigdy żaden Czeladnik nim nie będzie. Obowiązują cię wszelkie reguły, a zatem i przywileje... Jakie masz życzenie?

Tłum zaszemrał. Odwaga i stanowczość księcia budziły podziw, jednak wielu wolałoby, aby Pan Wermontu był mniej konsekwentny. Legenda magii była legendą strachu. Po cóż igrać ze strachem?

– Posiadałem dwa miecze – rzekł Czeladnik. – Pamiętają je zapewne ci, którzy widywali mnie, gdy byłem jeszcze wolny. Są dla mnie czymś szczególnym i dlatego z nimi u boku pragnę rozstać się ze światem. Czy byłoby to możliwe, Panie Wermontu?

– Naro! – książę przywołał swego sekretarza.

– Słucham cię, panie.

– Gdzie one są?

– Wszystkie należące do Czeladnika przedmioty znajdują się w jego dawnej kwaterze, zapieczętowanej i strzeżonej.

– Udaj się po nie.

Przerażony sekretarz zamachał rękami.

– Ośmielę się zauważyć...

– Przynies je! Mają być tu za chwilę!

– Tak jest! – Sekretarz zniknął, zabierając ze sobą dwóch strażników.

Książę Grademieun spoglądał na skazańca, usiłując odgadnąć jego zamiary. Czyżby się nie poddał? Czyżby na coś liczył? Nie, to niemożliwe... Raczej chce jeszcze przed śmiercią upokorzyć jego, Pana Wermontu. Liczy na brak jego odwagi!

– Nie sądzisz chyba, że pozwolę ci wziąć te miecze do ręki? – rzucił w stronę Czeladnika.

– Nie, panie – odrzekł Czeladnik. – Umierając, chcę jedynie spoglądać na oręż, który był częścią mego życia. Nic nadto.

– Cóż słyszę? O ile wiem, nie byłeś wojownikiem.

– To prawda, jestem tylko sługą. Ale wojownikiem jest moja dusza i będzie nim zawsze, nawet po mojej śmierci.

– Błędnie!

– Przekonasz się, panie...

Książę Grademieun roześmiał się głośno. Zawtórowało mu kilka osób z jego świty. Tłum jednak milczał.

– Twoją głowę każę wbić na włócznię, obnosić po całym Wermoncie, a potem rzucić psom na pożarcie. O ile zechcą jeść taką padlinę! – zawołał książę, nie przestając się śmiać. – Ale ty się o tym nie przekonasz.

– Wola władcy jest prawem – odparł Czeladnik z nieoczekiwaną pokorą.

Od wschodniego skraju rynku dobiegł hałas. Książęcy sekretarz, eskortowany przez strażników, zbliżał się konno. Siedział w siodle sztywno, przed sobą trzymał zawinięte w sukno miecze. Przed platformą zeskoczył z konia, którego jeden ze strażników odprowadził na bok; zwierzęta wyczuwały obecność śmierci i nie mogły przebywać w bezpośredniej bliskości szafotu.

– Oto miecze – rzekł sekretarz, kładąc pakunek na brzegu podestu. Przez chwilę przytrzymał go jeszcze, patrząc bacznie na Czeladnika, gotowy w każdej chwili zabrać broń z powrotem.

– Kacie, uważaj na skazańca – rozkazał książę. – Jesteś gotów?

– Jestem – odparł kat. Ostrze swego miecza skierował na Czeladnika, klękającego przed drewnianym pniakiem.

– Chciałem oglądać miecze, a nie spowijające je sukno – powiedział Czeladnik. – Sądziłem...

– Wiem – przerwał mu książę i uniósł dłoń w geście przyzwolenia. – Maro, rozwiń je!

Sekretarz odrzucił sukno. Do połowy wysunął miecze ze skórzanych pochew. Skazaniec odprężył się.

– Dziękuję ci, panie – rzekł do księcia. – Jesteś szlachetnym władcą.

Pan Wermontu przymrużył gniewnie powieki.

– Do dzieła, kacie – ponaglił.

– Do dzieła – powtórzył cicho Czeladnik Mageota. – Nie pomył się, ścinogłowcu, wykonaj robotę jednym cięciem, a będę ci wdzięczny. – Przyłożył policzek do szorstkiej powierzchni pnia.

Człowiek w kapturze uniósł miecz, trzymając go oburącz. Siła muskularnych ramion ściągnęła stalowe ostrze w dół. Z głuchym stukiem głowa Czeladnika Mageota potoczyła się po deskach i znieruchomiła. Nieopodal korpus podrygiwał w pośmiertnych drgawkach, a z przeciętej szyi wylewała się krew. Stojący najbliżej widzowie poczęli odsuwać się od szafotu, bardziej wrażliwi odwracali głowy, ale byli i tacy, na których ten widok nie tylko nie wywarł przykrego wrażenia, lecz wręcz ich ekscytował, budził

uciechę swą makabrycznością.

Kat wytarł miecz i zszedł z platformy. Wykonał swoje zadanie.

Mylił się wszakże ten, kto sądził, że to koniec widowiska.

Pierwszy zauważył przemianę sam Pan Wermontu. Twarz zastygła mu w pół słowa, oczy zaokrągliły się ze zdumienia, w jednej chwili stężały wszystkie mięśnie, jakby skuł je lód... Pozbawiony głowy korpus Czeladnika znieruchomiał wreszcie, lecz nie wyglądało na to, że jest martwy; działo się z nim coś niezwykłego, nierealnego; coś, co nie powinno się dziać! Krew przestała płynąć, rana na szyi się zabiźniła i poczęła pęcznieć. Odrażająca różowa tkanka przyrastała do karku, rosnąc w oczach, falując w bezkształtnej, gęstej jak glina masie. Zauważyli to i inni. Po chwili ciszy tłum zawył. Pełne przerażenia i paniki wołania zagłuszały pytania ludzi stojących dalej i nie mogących zobaczyć tego, co działo się na szafocie.

Przemiana ogarnęła również zsiniałą głowę Czeladnika. Pulsujące mięso, żywa, twarda galareta, przetaczało się po deskach, ciągnąc za sobą głowę skazańcza. Tu przyrost masy był jeszcze szybszy.

Tłum nie uciekał, jedynie cofał się niespokojnie, przygniatając i depcząc słabszych i mniejszych. Skupieni wokół szafotu strażnicy stali oniemiały, uzbrojeni w miecze, poruszali nimi bezładnie, jakby zapomnieli, że to są narzędzia walki. Książę Grademieun wciąż nie mógł się poruszyć. Paraliż przykuł go do krzesła, przygniótł ciało do oparcia. Mężczyzna czuł strach, przeistaczający się w przerażenie, gdy zrozumiał, co dzieje się naprawdę: ciało Czeladnika odbudowywało głowę... A głowa...? Nie! Ich jest DWÓCH?!

Czeladnik Mageota powstał, z trudem utrzymując się na nogach. Chwiał się, lecz nie tracił równowagi. Kula na jego szyi wciąż jeszcze się formowała, między oczami uwypuklał się nos, wargi nabrzmiwały czerwienią. Przesząpił zakończone głową truchło, szamoczące się pod jego nogami, i przypadł do leżących na skraju szafotu mieczy. Wyszarpnął jeden z pochwy i zamachnął się. Wyglądał teraz prawie jak przed wykonaniem wyroku – głowa traciła swój upiorny wygląd. Na twarzy już można było dostrzec nienawiść i zaciętość. Zaatakował strażników, tych którzy nie uciekli jeszcze w popłochu. Nie była to trudna walka; może paraliżował ich strach, a może to zmartwychwstaniec rzucał na nich jakiś urok?

W międzyczasie rynek opustoszał. Mieszkańcy Wermontu umknęli w panice, pozostawiając kilka stratowanych ciał. Uciekła również świta, która towarzyszyła w łożu księciu. Niektórzy połamali sobie kończyny, zeskakując w pośpiechu z trybuny.

Samotny książę Grademieun z niemocą obserwował poczynania Czeladnika Mageota. Krzesło, na którym spoczywał, zdawało się tworzyć z nim jedną całość, od której nie był zdolny się odłączyć. Nagle spojrzenia księcia i zmartwychwstańca spotkały

się. Przez ciało Czeladnika przebiegł dreszcz. Skazaniec zeskoczył z szafotu i jał wspinać się na trybunę, warcząc niczym dziki zwierz. W jego dłoni błyskał zlany krwią miecz.

Wtedy Pan Wermontu odzyskał wreszcie zdolność poruszania się. Przemógł słabość i z nieoczekiwaną energią zeskoczył z krzesła. Już ścisnął swój miecz. Był gotów, gdy Czeladnik Mageota przesadził ostatnią balustradę łoży.

– Precz! – krzyknął, cofając się o krok. – Precz! Czeladnik zaatakował, dysząc ciężko. Zgrzytnęły stalowe ostrza. Książę ponownie cofnął się i dotknął plecami końcowej belki łoży. Widząc to, Czeladnik uspokoił się, spowolnił ruchy, pewien, że ofiara mu nie umknie.

Nieoczekiwanie na trybunie pojawił się ktoś trzeci. Miecz, który na szafocie pozbawił głowy Czeladnika Mageota, zatoczył okrąg, ze świstem przecinając powietrze.

– Dobrze wykonałem robotę – syknął kat. – Cięcie było jedno, możesz być mi wdzięczny, szatanie! – Jednym ruchem zrzucił z głowy kaptur, odsłaniając pokrytą zarostem twarz.

Czeladnik zawahał się. Przez chwilę stał nieruchomo, ważąc decyzję. Nagle odwrócił się i jednym skokiem opuścił wysoką trybunę. Zatrzymał się przed szafotem. Na deskach dobiegała końca przemiana odrastającej od głowy mięsnej bryły. Różowa masa formowała korpus i kończyny, kształtowała się w ludzkie ciało. Głowa niewątpliwie była żywa, oczy poruszały się niespokojnie. Człowiecze truchło ożyło, u rąk i nóg wykształcały się palce, pojawiały się zarysy paznokci.

Książę i kat obserwowali to z góry, niepewni co czynić, niepewni, czy Czeladnik do nich nie powróci. Z radością przyjęli więc nieoczekiwany zwrot wydarzeń. Oto jedną z uliczek nadciągali konni. Kopyta biły o bruk, zwiastując księciu nadzieję ocalenia.

Jeźdźcy wpadli na rynek. Zaskoczone widokiem trupów i odorem krwi konie rozbiegły się spłoszone, unosząc strażników, którzy jednak szybko opanowali zwierzęta i zmusili je do posłuchu.

– Formować szyk! – krzyknął dowódca grupy, ciągnąc cugle swego niespokojnego kasztana.

Strażnicy byli gotowi. Od tych, którzy uciekli z rynku, wiedzieli, co się tutaj wydarzyło, i nie przeraził ich widok uzbrojonego Czeladnika Mageota i spoczywającej u jego stóp bliźniaczej człowieczej ruiny.

Rozdział 2.

– Mageot! – krzyknęła postać leżąca na deskach szafotu. – Uważaj na nich!
Wytrzymaj jeszcze trochę! Jeszcze trochę!

Gdy książę Grademieun usłyszał ten okrzyk, jego twarz poszarzała, jakby padł na nią cień. Nie mógł uwierzyć, że sobowtór krzyczącego kiwa głową na znak potwierdzenia. Mageot! Miał w rękach nie Czeladnika Mageota, lecz jego samego. Miał, i zmarnował szansę. Pozwolił mu się wymknąć!

Odepchnął stojącego obok kata i ze złością wbił miecz w drewnianą balustradę. Lęk zniknął, a jego miejsce zajęła wściekłość.

– Brać go! – zawołał do jeźdźców. – Brać obu! To nie Czeladnik, to Mageot!

Błąd. Imię maga samo w sobie było magią i wypowiedziane na głos wprowadziło zamęt w szyk konnych. Byli odważni i dobrze przeszkoleni, gotowi walczyć z każdym i przeciw każdemu. Ale przeciw samemu diabłu...?

– Naprzód! – zawołał odważnie dowódca, wysuwając się na czoło grupy. Spiął konia ostrogami i ruszył, ściskając rękojeść miecza. Rozpędzone zwierzę wskoczyło na platformę szafotu.

Zginał pierwszy. Cios Mageota rozplątał mu czaszkę. Koń poniósł złane krwią ciało, z nogą uwięzioną w strzemieniu, trzaskając nim o bruk. Pozostali strażnicy krążyli wokół podestu, najwyraźniej zdeprymowani utratą dowódcy.

Mageot pochylił się nad leżącym sobowtórem, chwycił go pod ramiona i pomógł wstać. Nagi mężczyzna szybko pozyskiwał fizyczną sprawność; po chwili zdołał już poruszać się o własnych siłach. Uniósł – nie bez wysiłku – drugi, przywieziony przez książęcego sekretarza miecz. Teraz również on był gotów do walki.

– Z koni! – rozkazał książę Grademieun, opuszczając w pośpiechu łoże. Kat, niczym najwierniejszy sługa, podążył za nim.

Strażnicy zeskoczyli z siodła, posłuszni rozkazowi.

– Teraz! To nasza ostatnia szansa – rzekł nagi Mageot. Jego odbicie, wciąż milczące, przytaknęło w skupieniu.

Książę schodził z ostatniego stopnia trybuny, gdy Mageot w dwóch osobach, dwóch fizycznych postaciach, lecz również jaźniach, natarł na strażników. Walczył tylko w swojej jednej postaci, która wcześniej zakończyła przemianę; druga była jeszcze osłabiona, osłaniała się tylko klingą i – wykrzykując polecenia – podążała śladami pierwszej. Nie bez trudności dotarli do koni, gdyż strażnicy, podbudowani obecnością księcia, odzyskiwali zapał i wolę walki.

Grademieun nadbiegał z obnażonym mieczem, gotów osobiście zmierzyć się

z Mageotem; widać wściekłość dodała mu odwagi. Ale nie zdążył. Mageot pozbawił życia kolejnego strażnika i już był przy koniach. Chwycił swego nagiego towarzysza, wciąż drżącego jak osika, nie wiedzieć, czy z zimna, czy z niedoboru wciąż przyrastającej tkanki. Przez krótki moment, gdy sadzał go w siodle był bezbronny. Jeden ze strażników zorientował się w porę. Przyskoczył doń, biorąc potężny zamach. Mageot uchylił się, ale stał zdążyła zahaczyć o przedramię i nagle ręka Mageota upadła na ziemię, niczym kawał drewna. Z kikuta buchnęła krew. Pozbawiony kończyny mężczyzna zachwiał się. Strażnik wydał okrzyk tryumfu, ale okazało się, że przedwcześnie. Drugi Mageot, siedzący już na koniu, zdołał wreszcie zebrać siły i jego miecz opadł na osłoniętą szyję księżęcego żołnierza.

– Mageot! – wykrzyknął. – Jesteś silny! Potrafisz!... Koń! Wskakuj na konia!

Ranny wyprostował się. Chyba chciał krzyknąć, ale z półotwartych ust wydobyło się tylko zwierzęce warczenie, a w oczach pojawił się błysk. Schylił się po upuszczony miecz, podniósł go, nieoczekiwanie bez wysiłku, i dosiadł wierzchowca jak człowiek zupełnie sprawny. Jego twarz nie wyrażała bólu... Przerażony koń bez ponaglenia pomknął przed siebie, unosząc na grzbiecie dwóch mężczyzn o jednym imieniu.

Książę Grademieun wbiegł między strażników.

– Za nimi! – zawołał, pokazując ręką za uciekającymi. Strażnicy rozbiegli się, by połapać konie. Po chwili uformowała się grupa, która galopem ruszyła w pościg.

Wtem uwagę księcia zwrócił odgłos uderzającego o kamienie żelaza. To kat ciał swym ciężkim mieczem – narzędziem, które pozbawiło głów dziesiątki skazańców – leżącą na bruku kamieniach rękę. Z zawziętością, metodycznie, kawałek po kawałku, rozdrabniał martwe ciało.

– Potem trzeba to będzie spalić – powiedział książę.

Rozdział 3.

Zatrzymali się przy strumieniu. Po niedawnej walce spokojny szum wody wydawał się czymś nierealnym, złudą lub snem. A może cały Wermont był snem, a teraz nastąpiło przebudzenie?

– Chyba ich zgubiliśmy – powiedział Mageot, zeskakując z konia. Jego nagie ciało pokrywały dziwaczne wzory, tatuaż z setek małych blizn. – Zdaje się, że nie pałali specjalną ochotą na powtórne spotkanie z nami.

Pomógł rannemu towarzyszowi zsunąć się z siodła.

– Nie potrafisz mówić? – zapytał.

Jednoręki skrzywił się i pokręcił głową.

– Zauważyłem to. Nie odezwałeś się ani razu... Ale liczy się twoja siła fizyczna, bo ja jestem słaby jak dziecko. To przez tę słabość utraciłeś rękę; gdybym był szybszy...

Mageot wykonał przeczący gest dłonią.

– Masz w gruncie rzeczy rację – potwierdził Mageot. – To nie ma znaczenia. Już nie. Jesteśmy jednością i musimy być razem, jeśli pragniemy żyć. – Wyciągnął rękę, ostrożnie dotykając kikuta. – Bardzo boli?

SR Skinienie głową było potwierdzeniem.

– Niestety, niewiele możemy poradzić. Moja... nasza moc odeszła równie nagle, jak przyszła w ostatniej wydawałoby się godzinie. Może powróci? Na pewno powróci. Przecież zawsze powraca.

Jednoręki stęknął. Zmarszczył pokrytą bliznami twarz.

– Spokojnie – rzekł łagodnie towarzysz. – I tak nieźle to wygląda. Rana jest prawie całkiem zablizniona. Mogło być znacznie gorzej... – Po chwili dodał: – Połóż się i odpocznij, a ja tymczasem rozejrzę się po okolicy. Jest zimno – stwierdził, rozmasowując obnażone mięśnie. – Muszę zdobyć jakąś odzież. I może znajdę dla ciebie odpowiednie zioła.

Jednoręki Mageot wskazał na swoją zakrwawioną kurtkę.

– Nie trzeba. Za tym wzgórzem – Mageot wskazał za siebie – widziałem jakieś zabudowania. Coś da się ukraść. – Rozejrzał się. – Wkrótce zapadnie zmrok, uważaj i trzymaj miecz w gotowości.

Odszedł. Jednoręki spoglądał za nim, aż jego towarzysz zniknął za wzniesieniem. Potem podszedł do strumienia, położył się przy brzegu i zanurzył twarz w wodzie. Chłód mile go orzeźwił. Przewrócił się na bok i wsunął do wody palący gorącym kikuta. W pierwszej chwili ostry ból wykrzywił mu twarz, ale zaraz poczuł ulgę. Leżał tak, aż wygoniło go zimno. Wtedy wstał, odszedł kilka kroków i przysiadł w trawie. Nieopodal

spokojnie pasł się koń; zwierzęta szybko akceptują nowe sytuacje.

Zapadła już noc, gdy powrócił Mageot. Był ubrany w obszerne spodnie i jasną, równie obszerną koszulę. Na plecach niósł worek, który niedbale rzucił na ziemię.

– Udało się zdobyć trochę żywności i pledy – powiedział.

Jednoręki spojrział nań pytająco.

– Poszło tak sobie – wyjaśnił. – Chłop stawiał opór, nie wiem, chyba go zabiłem.

W każdym razie lepiej będzie, jeśli wyniesiemy się stąd o świcie. – A ziół nie znalazłem – przypomniał sobie. – Ziemię tu podłe.

Po posiłku przygotowali legowisko do snu. Rozgwieżdżone niebo zwiastowało pogodną noc. Małe ognisko rzucało łagodny poblask, dając ułudę bezpieczeństwa.

– Trzeba na noc spętać konia – powiedział Mageot. – Byłoby nieroztropnie utracić go na tym pustkowiu. – Wstał i zniknął w ciemnościach.

– Sądzę, że nikt z nas nie musi czuwać – oznajmił po powrocie. – Trzeba liczyć na szczęśliwą gwiazdę. I na samych siebie. Jesteśmy w końcu Mageotem.

Rozdział 4.

O wschodzie słońca ruszyli w drogę. Brnęli coraz dalej w las, początkowo szlakiem zapuszczonych ścieżek, potem, gdy zniknęły, po prostu przed siebie, z grubsza utrzymując kierunek. Często trudno było precyzyjnie się przez gąszcz, ale nie zostawili konia, który dźwigał worek z żywnością. Przodem szedł jednoręki. Wyglądało na to, że jest w pełni sił, gdyż radził sobie zupełnie dobrze, zważywszy, iż nierzadko zmuszony był mieczem torować drogę. Grube gałęzie wycinał bez wysiłku, co drugi Mageot przyjął z ulgą – obawiał się o zdrowie towarzysza, tym bardziej, że jego własne mięśnie raziły mizerią i nie zapowiadało się, żeby w najbliższym czasie miało się to zmienić. Nowe ciało nie dorównywało pierwowzorowi.

Około południa las przerzedził się, zniknęły krzewy i paprocie. W pewnej chwili Mageot się zatrzymał.

– Coś jest nie tak... – powiedział. Jego twarz sposepniała, a wzrokiem błędził gdzieś w oddali. – Odczuwam niepokój – szepnął.

Jednoręki spoglądał na niego, niezdecydowany. Najwyraźniej nie podzielał przeczucia towarzysza, ale był zdecydowany na nich polegać.

– Wracamy! – wyszeptał Mageot. – Nie jestem pewny naszej siły, a swoich przeczuc raczej tak.

Nagle wierzchowiec parsknął; strzygł uszami, najwyraźniej zaniepokojony. Mageot chwycił mocniej uzdę.

– Wracamy – powtórzył i w tym momencie od strony, z której nadeszli, dobiegł niehumaniczny chichot. A może raczej psie szczeknięcie, wysokie, przeciągłe, zniekształcone leśnym echem. Dźwięk okazał się sygnałem, bo nagle ze wszystkich stron dobiegły podobne śmiechy. Ale wciąż nikogo nie widzieli.

Chwycili za miecze, bacznie obserwując teren. Tu i tam coś zaszeleściło niespodzianie i nagle zaczęło się. Między drzewami przemykały cienie, szybko i zwinnie, ledwie widoczne. Koń oszalał. Ślepia nabiegły mu krwią, rżał i parsknął śliną; wtem wierzgnął, zerwał się z uwięzi i popędził przed siebie. Gnał galopem, jakimś cudem unikając zderzenia z pniami drzew. Ledwie zniknął w gęstwinie, a usłyszeli głośny kwik, pełen bólu i przerażenia, i zaraz potem odgłos padającego ciała. Kwik powtórzył się raz jeszcze, po czym zapadła cisza.

Mageoci wymienili spojrzenia, ten słabszy skinął porozumiewawczo do jednorękiego druha i ostrożnie ruszyli w stronę miejsca, gdzie koń wydał swe ostatnie tchnienie. Żywność i pudy, którymi był objuczony, stanowiły zbyt cenny ładunek, aby pogodzić się z jego utratą.

Zatrzymał ich niezwykle widok. Przy martwym wierzchowcu zgromadziły się dziwaczne czworonogi, przypominające trochę młode wilczki, bardziej jednak przerośnięte dzikie koty. Było ich wiele, przynajmniej kilkanaście, lecz nie dało się ich policzyć dokładnie, bo bez przerwy znajdowały się w ruchu. Szarpały upolowaną zdobycz, odskakiwały z ochłapami mięsa w pysku, by po chwili przyskoczyć po nową porcję. Można było odnieść wrażenie, że nie tyle zaspokajają głód, co bawią się niczym szczeniaki.

Po chwili wahania mężczyźni wpadli pomiędzy zwierzęta, lecz na próżno wymachiwali mieczami. Kocie istoty bez trudu unikały ciosów, same nie atakowały, ale i nie zamierzały oddać pola, wydając, raz po raz, upiorne, przypominające śmiech szczeknięcia. Gdy zmęczeni ludzie zaprzestali wreszcie tej beznadziejnej walki, koty zaczęły ciągnąć zdobycz po ziemi, zgodnie współpracując. Musiały być bardzo silne, bo – zważywszy na wagę konia – przychodziło im to z łatwością, o jaką trudno było je podejrzewać, oceniając po drobnej budowie ciała. Równie zdumiewająca, o ile nie bardziej, była ich obojętność na poczynania Mageotów.

– Nasze rzeczy są tam! – Mageot wskazał na zerwane juki. Ruszył ku nim, gdy niespodziewanie zza drzew wypadło kilka kolejnych kocich stworzeń. Dwa z nich złapały worek, niczym tresowane cyrkowe psiaki; reszta stanęła w bezruchu, kierując wzrok na człowieka.

Jednoręki, widząc, że tracą żywność, skoczył przed swego bliźniaczego towarzysza, gotów bronić ich własności. Tym razem koty były bardziej zdecydowane. Wszystkie naraz wybuchnęły pełnym wściekłości chichotem, wyszczerzyły ostre kły. I znowu próba osiągnięcia ich mieczem zakończyła się fiaskiem; żelazo ze świstem cięło powietrze, mijając szarą sierść ledwie o grubość włosa.

– Mageot! – powstrzymał jednorękiego jego towarzysz. Dziwny to był okrzyk, bo krzyczał jakby do samego siebie. – Zostaw je! To beznadziejne.

Jednoręki wycofał się natychmiast, posłuszny, bez gestu sprzeciwu.

Zapadł zmrok. Pogodzeni z porażką, usiłowali się oddalić, ale część kotów podążała ich śladem. Zachowywały się coraz agresywniej; bez przerwy musieli opędzać się mieczami, coraz wyraźniej zdając sobie sprawę, iż nie sposób wygrać z tymi stworzeniami, którym odwrót przeciwnika dodał jeszcze animuszu.

– Biegiem! – rzucił Mageot i skoczył pomiędzy drzewa. Biegł najszybciej, jak mógł, chrust trzaskał mu pod stopami, iglaste gałęzie pryskały na boki. Szybko poczuł zmęczenie, pot ściekał mu kroplami po skroniach i już po krótkim czasie z ledwością łapał oddech. W pewnej chwili wyprzedził go jednoręki, wciąż rzeński i pełen sił, uświadamiając mu swoją fizyczną przewagę.

– Stój! – wychrypiał i zatrzymał się. Omal nie upadł z wycieńczenia, ale okaleczony druh już był przy nim, niczym posłuszny sługa.

Ścigające ich koty rozbiegły się, otaczając obu Mageotów półkolem. Powiało zwierzęcym odorem, wyjątkowo nieprzyjemnym. Na domiar złego zaczynało się ściemniać. Nie potrafili bronić się za dnia, więc jak mieli bronić się teraz? A gdy całkiem zapadnie zmrok? Mageot poczuł wewnętrzny sprzeciw. Czyżby tak miał umrzeć, gdy ledwie wyrwał się śmierci? Jak zapędzone w pułapkę zwierzę? A co z magią, którą nosił w sobie? Magią, nad którą nigdy nie był w stanie zapanować i która nigdy nie była mu posłuszna, zupełnie nie taka, jak wyobrażało to sobie pospólstwo, jak częstokroć pragnąłby on sam. Lecz jednak najprawdziwsza, o czym już niejednokrotnie się przekonał. Czy powrót z szafotu miał okazać się ostatnim wyczynem tkwiącej w nim siły? Nic z niej nie pozostało? Ale przecież jednoręki potrafił zabić swoją ranę...

Niespodziewanie wyobraźnia Mageota przywołała postać starca. Mimo zaawansowanego wieku mężczyzna trzymał się prosto, a w jego pomarszczonej twarzy tkwiła siła. Był zupełnie siwy, siwa również była jego broda, długa i postrzępiona, sięgająca niemal do pasa. Jednoręki poruszył się niespokojnie, nie rozumiał, dlaczego przewodnik przemyka oczy, dlaczego kuli się i drży.

Ostry gwizd odbił się echem po lesie. Ktoś zawołał, wykrzykując zupełnie niezrozumiałe słowa. Gwizd powtórzył się i naraz zapadła cisza. Kocie istoty umilkły. Zastygły, jakby rzucono na nie czar. Wtem, na kolejny sygnał, odskoczyły, wszystkie równocześnie – kilkanaście śmigających niczym ptaki zwinnych kształtów. Zniknęły, jakby zapadły się pod ziemię. W oddali błysnął ogień, doskonale widoczny w zapadającej szarzyźnie. Mageot poczuł na ramieniu dotyk ręki jednorękiego brata. To pożegnanie czy przebłysk nadziei?

Pochodnię niósł rosły mężczyzna, nieco przygarbiony, lecz mocno zbudowany. Dopiero gdy się zbliżył, było widać, że jest stary. Potrząsając głową, uniósł wysoko pochodnię, oświetlając przybyszy.

– To dziwne – rzekł ze spokojem, lewą ręką gładząc siwą brodę. – Wyglądacie jak odlani z jednej formy. Nigdy jeszcze nie widziałem ludzi tak do siebie podobnych.

– Kim jesteś? – zapytał Mageot.

– Zdaje się, że ktoś mnie tutaj przywołał – powiedział starzec. – Idźcie za mną! – polecił i ruszył w stronę, z której przybył.

Po kilku krokach zatrzymał się, stwierdziwszy, że idzie samotnie.

– Chyba że wolicie poczekać, aż wrócą szorki – powiedział, a na jego pomarszczonej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Mageot skinął jednorękiemu głową i ruszyli za człowiekiem z pochodnią. Wkrótce

dotarli do wielkiej polany, a może raczej wyrębu, trudno się było zorientować w ciemnościach. Przed nimi, na tle granatowego nieba, na którym już pojawiły się gwiazdy, widniały zarysy skał. Wysoki kopiec sięgał znacznie ponad okoliczne drzewa.

Starzec poprowadził ich pod kamienną ścianę i zniknął w szczelinie. Wsunęli się za nim. Wąskie przejście prowadziło do niewielkiej jaskini. Staruch włożył pochodnię w wiszący na skale uchwyt.

– Będziecie tu spali – oznajmił. – Gdy Talphur zbudzi się rankiem, zdecyduje, co z wami począć.

– Mamy spać na gołej ziemi?

Starzec nie odpowiedział, tylko odwrócił się i znów zniknął w szczelinie. Jednoręki ostrożnie ruszył w ślad za nim. Wyrzwał z jaskini, nasłuchując. Niespodziewany, przechodzący w warkot krzykliwy chichot zmusił go do odwrotu. Jednoręki porozumiał się spojrzeniem ze swoim towarzyszem.

– Szorki – powtórzył za starcem tamten. Stworzenia musiały mieć dobry słuch, gdyż podniosły wrzask na dźwięk swojego imienia.

Nagle usłyszeli szelest i z ciemności szczeliny wysunęły się starcze dłonie, rzucając jakieś zawiniątko. Był to ich własny worek, znacznie jednak uszczuplony, prawie pusty. Mageot wysypał zawartość na ziemię. Wypadły tylko dwa pledy, żywność zniknęła.

– To dziwne, że staruch nie zażądał naszych mieczy – zauważył Mageot, okrywając się pledem.

Rozdział 5.

Obudził ich hałas na zewnątrz. Ledwie wstali, w jaskini pojawił się rosły starzec. Można by pomyśleć, że obserwował ich z ukrycia, choć zagadką pozostaje, jak cokolwiek mógł dostrzec w pomieszczeniu pozbawionym dostępu do światła. Gdy opuścili jaskinię, słoneczne światło poraziło ich oczy. Dopiero teraz, za dnia, Mageot mógł dokładniej przyjrzeć się ich wybawcy. Bez wątpienia był to osobnik, którego najpierw ujrzał w swym widzeniu. Którego niejako sprowadził siłą własnej woli. Nie po raz pierwszy w życiu zdarzało mu się coś takiego, ale nigdy nie był pewien, czy to on sam wymusza na kimś odpowiednie działanie, czy też może jedynie przewiduje nieuchronny bieg wydarzeń.

– Dokąd nas teraz prowadzisz?

Starzec nie odpowiedział. Szli wzdłuż skał. Nieopodal biegały szorki, pozornie bez celu, w dodatku nie zwracając uwagi na obcych. Ich agresywność gdzieś wyparowała. A może to były inne szorki, tego Mageot nie mógł stwierdzić na pewno.

– Poczekajcie tutaj! – nakazał starzec, gdy znaleźli się pod ogromnym, a przede wszystkim bardzo wysokim wejściem do pieczary. Krzyknął coś niezrozumiale, chyba w jakimś obcym języku, po czym wszedł do jaskini, znikając w mroku.

Jednoręki rozejrzał się i energicznym ruchem sięgnął do rękojeści zatkniętego za pas miecza.

– Nie. W ten sposób nie wydostaniemy się stąd – powstrzymał go Mageot. – Czekamy. Pozostawiono nam broń, ale to nie wygląda na błąd, tylko raczej na lekceważenie. Albo na próbę...

Przerwał mu pogłos wydobywający się z pieczary, jak gdyby coś ciężkiego przetaczało się po ziemi. W pewnej chwili z cienia wyłonił się starzec.

– Oto Talphur, władca tych ostępów – powiedział.

Z jaskini wypęzło monstrualne stworzenie, wysokie jak dom. Leniwie skierowało spojrzenie na stojących przed nim ludzi i znieruchomiało. Przez długi czas tkwiło tak, w absolutnym milczeniu, a oni wyczekiwali, nie śmiąc się poruszyć. Pokryte drobnymi kolcami ciało Talphura zadrżało, pozbawiona szyi głowa zakołysała się niespokojnie. Przerażające było to, że Talphur posiada twarz, a raczej jej wielokrotnie powiększoną karykaturę. Nadawała mu człowieczy wygląd i przez to budziła jeszcze większą grozę.

Stwór otworzył grube usta i wydał kilka niezrozumiałych dźwięków.

– Pyta o wasze imiona – przetłumaczył starzec. – Ze swej strony dodam, żebyście na zadawane pytania odpowiadali szybko i szczerze. Talphura bardzo łatwo rozgniewać i nigdy nie czeka na przeprosiny.

– Jestem Mageot... Talphur drgnął gwałtownie, jak gdyby ukłuł go giez (o ile zdołałby jakimś cudem przebić się przez zrogowaciałą skórę potwora). Uniósł jedną z dwóch krótkich przednich łap. Najwyraźniej wymienione imię nie było mu obce.

– A ty? – powtarzał za Talphurem tłumacz.

– On jest niemową. Również nazywa się Mageot.

– Jesteście braćmi?

Mageot przez moment ważył odpowiedź. Pomny ostrzeżenia starca, nie chciał, aby jego słowa wydały się kłamstwem.

– Nie – odparł w końcu. – Jeszcze niedawno byliśmy jedną osobą, teraz jest nas dwóch, lecz doprawdy sam nie wiem, w jakim związku pozostajemy. Nie stanowimy jedności, ale i nie jesteśmy samodzielni... trudno mi to wytłumaczyć. Jeśli chcesz, panie, mogę opowiedzieć ci naszą historię.

Starzec tłumaczył. Nieoczekiwanie Talphur wydał cichy okrzyk, odwrócił się i ze zdumiewającą przy jego tuszy zwinnością skoczył do pieczary. Czynem tym wprowadził w osłupienie nie tylko Mageotów, ale i samego starca.

Szorki warknęły, rozbiegły się, wyraźnie podniecone.

– Mówiłem prawdę. Tak jak tego chciałeś – rzekł pośpiesznie Mageot.

Starzec uspokoił stworzenia jednym władczyim, krótkim gwizdnięciem.

Wrócił Talphur. W grubych palcach trzymał pergaminowy rulon, pożółkły i bardzo przybrudzony. Wręczył go tłumaczowi, coś gorączkowo wyjaśniając.

– Ten zapis został sporządzony przed wielu laty – powiedział starzec, rozwijając rulon. – Tak dawno, że ani was, ani mnie nie było wtedy na świecie, a rasa szorków żyła tylko wśród demonów. Talphur pragnie, abym zapoznał was z pewną sekwencją z niego pochodzącą... – nagle przerwał, wpatrując się w pergamin. – Musicie chwilę poczekać – poinformował – gdyż jest to poezja i jej właściwa interpretacja nie jest dla mnie prosta.

Mageot skinął głową. Niejasno przeczuwał, że wypadki przybierają korzystny obrót. Porozumiał się wzrokiem z jednorękim, przekazując mu tę szczyptę optymizmu.

– Jestem gotów – rzekł starzec. – Słuchajcie, proszę uważnie, gdyż tekst jest trudny i nie mam pewności, czy za drugim razem przetłumaczę go tak samo.

Siła życia nieśmiertelna To wieczność Lecz gdy ten Kto moc posiada Kto jedno imię nosząc Dwa brzemiona dźwiga Kto potrójnym uściskiem Dwa miecze unosi Gdy przyjdzie On Wnet kres już bliski I zginie siła Zginie życie Bo nieśmiertelność Choć wieczna To życie Wiecznym tylko się zdaje...

Starzec umilkł, lecz ciszę przerwał zaraz Talphur. Mówił długo, a śpiewny ton obcej mowy brzmiał jak niemający końca wyraz.

– Tekst, który usłyszałeś – przekazywał tłumacz – jest fragmentem wyroczni dotyczącej egzystencji Talphura. Trudno nazwać to przepowiednią, ponieważ większość podanych faktów ma charakter ogólnikowy, często symboliczny. Jednakże pewne ważne wydarzenia, które zostały tu zapisane, znalazły swoje odbicie w rzeczywistości. Przemijający czas potwierdza z dnia na dzień, z roku na rok, prawdziwość każdego wersu. Każdego słowa. Dlatego Talphur jest przekonany o nieuchronności swojego losu, a także o tym, że nic tego determinizmu zniszczyć nie może. Przetłumaczona strofa jest jedną z ostatnich w przekazie i pytanie brzmi: Czy dobrze ją zrozumiałeś?

– Tak – odparł Mageot, blednąc na twarzy. – Wyrocznia czyni ze mnie mordercę Talphura. Przekaż swemu panu, iż stanowczo temu zaprzeczam.

– Twój własny pogląd nie interesuje Talphura. Wyrocznia cię przerasta, bez względu na to, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy też nie. Natomiast następne pytanie brzmi: Czy wiedziałeś o istnieniu przekazu?

– Nie wiedziałem. Jestem zdumiony jego istnieniem...

– Rozpoznałeś w wierszach siebie.

– Tym właśnie jestem zaskoczony najbardziej – rzekł Mageot, ważąc słowa. – Do lasu trafiłem przypadkiem, zmierzam do Kentgerontmontu, gdzie mój dawny dom, i żaden zamiar, dobry ani zły, nie przyświeca mojej tu obecności. Jedno, czego pragnę, to iść dalej, mam pilne plany, a Talphur – z całym dla niego szacunkiem – nie jest nimi objęty. – Mageot odczekał, aż starzec przetłumaczy jego słowa, po czym dodał: – Chcę zaznaczyć raz jeszcze, że me myśli i zamiary są czyste.

– Być może mówisz prawdę – powtarzał starzec słowa Talphura – ale jest mi to obojętne, ponieważ wiem, że wyrocznia nie może się mylić. Nie boję się śmierci – nazwijmy ją po imieniu, tego również się nie boję – lecz równocześnie własne życie jest mi bardzo drogie, co chyba nietrudno zrozumieć. Jestem stary, bardzo stary, i choć może wyda ci się to dziwne – bo mnie się wydaje – pragnę życia z siłą, jakiej nigdy nie miałem za młodu. Równocześnie wiem, że nie uniknę przeznaczenia. Dlatego chciałbym zaproponować ci układ.

– Układ?

– Korzystny dla nas obu.

– Przyjmę każdy, panie! – rzekł bez wahania Mageot. Przepowiednia mówiła o rzeczach, których nie miał zamiaru czynić, obawiał się jednak, że Talphur, chcąc uniknąć wyroku losu, wykona najbardziej oczywiste posunięcie. Każe go zgładzić i jego jednorękiego brata również. Prawdę mówiąc, był zdumiony, że jeszcze się to nie stało.

Widzę, że mi nie ufasz. – Talphur przejrzał jego myśli. – Jesteś jeszcze młody, zatem nie rozumiesz, że nasze zamiary i chęci nie liczą się tam, gdzie decyduje wyrocznia.

Wydaje się, że mam nad tobą przewagę, że mogę uczynić co zechcę... Szorki. – Wskazał za siebie. – Moja własna siła... Nic bardziej mylącego. Tylko ślepa, niekwestionowana wiara w wyrocznię może przedłużyć moją egzystencję. Tylko przedłużyć – nic zmienić jej nie może. Przypuśćmy, że zabiłbym cię, wystarczyłaby chwila, lecz jeśli wyrocznia jest prawdziwa, umrę również, i to zanim niebyt wciągnie cię w swą otchłań.

Rzeczywiście trudno sobie wyobrazić, jakim sposobem miałyby się to stać, lecz – powtarzam – jeśli to prawda, czyż w ten sposób przez własną głupotę nie stracę życia? Czyż nie będzie to swego rodzaju samobójstwem? Nie wiem tego na pewno! Nie wiem, czy działając w taki sposób, nie wydam wyroku na samego siebie. I nie ośmielę się sprawdzać, gdyż głęboko wierzę w ten zapis.

– Jaki zatem proponujesz układ, panie? – zapytał Mageot.

Odpowiedź nie padła od razu. Wyraźnie czymś zbulwersowany starzec prowadził z Talphurem ożywioną wymianę zdań, nim przetłumaczył słowa:

– Daj mi jeszcze rok życia, rok dla mnie bezcenny, a ja obiecuję, że gdy odejdę, moi słudzy nie będą szukali zemsty. Rozważ to, oferuję ci życie za życie, istnienie za istnienie. Wyrocznia nie mówi nic o twoich dalszych losach. Możesz zginąć wraz ze mną lub żyć dalej. Czyż wybór ten nie jest korzystny?

Oczy Mageotów spotkały się tylko na chwilę. Jednoręki opuścił powieki, wbijając wzrok w skaliste podłoże. Gdyby umiał mówić, nie potrafiłby lepiej określić stanu swego umysłu. Mageot spojrział na Talphura i raz jeszcze przez jego ciało przeszedł dreszcz, gdy ocenił monstrualną postać potwora, jego odrażającą, tłustą twarz, kontrastującą z pełnymi inteligencji oczami. Zdumiewająco przewrotny bywa los, potrafiący z władcy czynić proszącego o łaskę, z więźnia zwycięzcę; jakież to Uniwersum panuje nad tym wszystkim? Czyja nieodgadniona wola wypacza aksjomaty logiki?

– Przyjmuję, panie, twą propozycję, szokującą tym bardziej, że jej gwarancje praktycznie nie istnieją – powiedział Mageot.

– Mylisz się – zaprzeczył Talphur i odgłos przypominający śmiech wydobył się z jego gardzieli. – Z twojej strony gwarancją jest szczerść, którą umiem docenić. Wierzę w twe zdumienie i niewiarę, że jest ci przeznaczone bycie moim katem. Ty natomiast możesz być pewien lojalności, ponieważ nic nie jest w stanie zachwiać moją wiarą w nieomylność wyroczni. Nigdy się jej nie sprzeciwiłem i tak będzie do końca moich dni.

– Piękne to słowa – odrzekł z powagą Mageot. Nagle pojął, że Talphur przewyższa go nie tylko posturą, lecz również ogromem intelektu. – Moje wątpliwości nie wynikały ze złej woli, lecz z szybkości decyzji, którą zmuszony byłem podjąć.

– Spodziewałem się, że mnie zrozumiesz. – Monstrualna postać Talphura zakołysała się. – Jesteś Mageotem. Gdy usłyszałem tę wieść, moje serce ścisnął żal wspomnień... To

smutne i przewrotne, że ty właśnie przyniesiesz mi śmierć.

– Nie sądziłem, że moje imię jest ci znane.

– Wasze imię – sprostował nie pozbawionym wesołości tonem Talphur. Czuło się, że zrzucił z barków jakiś ciężar. – Twój sobowtór ma spojrzenie nazbyt gniewne, by o nim zapominać.

– Ja nie zapominam – odrzekł Mageot. – Nie sądz, panie, że jednoręki jest moim niewolnikiem lub że dominuję w tym dziwnym tandemie. Wskazują na to jedynie pozory, przypadek, że to ja właśnie mogę z tobą rozmawiać. Musisz wiedzieć, że swoje życie zawdzięczam sile i szybkości mego towarzysza.

Gdy starzec przełożył słowa Mageota, Talphur schylił swą półczłowieczą głowę na znak zrozumienia.

– Jakie jest twoje prawdziwe imię? – padło nieoczekiwane pytanie.

Jeszcze nigdy nikt mnie o to nie zapytał – powiedział Mageot. – Zapewne zdziwisz się, panie, lecz ja sam nie znam odpowiedzi. Zazwyczaj przedstawiałem się jako Dastuin z Santerav, lecz oczywiście to tylko przykrywka. Jako dziecko zostałem porzucony lub zagubiony w lesie, tego nie wiem, nie pamiętam. Miałem wówczas około trzech, czterech lat. Ocalałem, ponieważ zaopiekował się mną pustelnik, człowiek ułomny fizycznie i – co stwierdzam z usprawiedliwionym przez lata optymizmem – z umysłem nie będącym wolnym od dewiacji. Dziwny to był człek, pozbawiony wszelkich dóbr, które zdolna jest zdobyć istota posługująca się rozumem. Ten właśnie mężczyzna pewnej nocy, przypuszczam, że w przypływie ataku szaleństwa, które nawiedzało go niejednokrotnie – on właśnie nazwał mnie Mageotem. Musiał przeczuwać, że siła mojej woli i wyobraźni okaże się w przyszłości czymś niezwykłym, łamiącym kanony logiki świata... Mój opiekun umarł, nim zdołałem osiągnąć wiek męski. Zostałem sam, lecz nie chciałem takiego życia, nienawidziłem pustelni. Przez wiele tygodni wędrowałem przez lasy i bagna, nim trafiłem w okolice zamieszkane przez ludzi. Wówczas dowiedziałem się, że imię Mageot jest znane od wieków i od wieków przeklinane. I chociaż miałem wtedy zaledwie kilkanaście lat, chociaż nigdy przedtem nie dostrzegałem w sobie niczego niezwykajnego, uwierzyłem w siłę intuicji szaleńca pustelnika, i nie wyrzekłem się swego godła. Zmuszony nienawiścią ludzką do ucieczki, wróciłem wbrew sobie do pustelni, by po latach rozpocząć wędrówkę po świecie...

– Chcesz władzy – powiedział niespodzianie Talphur.

– Wiesz o tym? – Mageot wbił badawcze spojrzenie w starca, jakby to z nim prowadził rozmowę.

– Talphur wie znacznie więcej, aniżeli się spodziewasz – oznajmił starzec. – Wielu masz Czeladników? – przetłumaczył po chwili następne pytanie.

– Czterech.

– O tysiąc za mało! – ryknął gniewnie Talphur. – O tysiąc! Ale liczba ta jest niemożliwa do osiągnięcia, dlatego Mageot nie wygra nigdy!

– Mam czterech Czeladników, lecz nie tylko na nich opiera się moja siła. Ponad pół roku przebywałem w Wermoncie, blisko księcia Grademieun, a jeszcze bliżej, znacznie bliżej, jego pięknej żony Niterte. Wskutek niepomyślnego zbiegu okoliczności musiałem ratować się, udając własnego Czeladnika, ale czas tam spędzony przyniósł mi wiele korzyści. Wiem, że mogę zdobyć Vermont... Najpierw jednak muszę odzyskać siłę i zebrać Czeladników...

– Nie zdobędziesz niczego – rzekł Talphur. – Jesteś Mageotem. Wiesz, co to słowo oznacza w moim języku?

– Maga. Czarownika.

– Jesteś w błędzie. Mageot to przenoszący magię. Rozumiesz? Tylko przenoszący! Nie ty nią władasz i nie do ciebie ona należy.

– Do kogo więc?

Gdybym to wiedział, pewnie nie byłoby naszej rozmowy. Potrafisz pozyskać przychylność losu, pozornie kreować korzystne wydarzenia, lecz czy kiedykolwiek potrafiłeś powiedzieć: „Chcę, żeby stało się tak a tak” i życzenie zostało spełnione? Nie! Nie od ciebie zależy działanie magii. Ty tylko ją przechowujesz. Z drugiej strony, pragniesz władzy, lecz jak chcesz to zrobić, skoro żaden człowiek nie uzna w tobie orędownika, nie tylko nie przyjmie cię do swojego domu, ale zawsze będzie nienawidził Mageota, tak jak nienawidzi zła i ciemności? A jeśli znajdą się tacy, których piekło fascynuje, to nie wierz w ich przyjaźń, gdyż pociąga ich nienawiść, w tym również nienawiść do magii, która jest obca rodzajowi ludzkiemu. Dlatego musisz przegrać zawsze i wszędzie.

Mageoci słuchali tłumaczonej powoli przemowy i gniew począł malować się na ich twarzach.

– Nie rozumiem twych intencji, panie! – krzyknął Mageot. – Zawarliśmy partnerski układ, a teraz oceniasz moje postępowanie, jakbym był twoim sługą. Jakim prawem?!

– Prawem Mageota! – powtórzył słowa Talphura starzec.

– Ty?! – obaj cofnęli się, zaskoczeni. – Ja.

– Czy...

– Przed wiekami byłem Mageotem – mówił Talphur. – Pragnąłem władzy, tak jak ty pragniesz jej teraz. Uważałem magię za potęgę, której nic się nie oprze, a swoje zdolności ceniłem ponad wszystko na świecie. To pycha, Mageocie. Dziś wiem, że się myliłem, dlatego potrafię dostrzec i twoją omyłkę. Nie tędy wiedzie ścieżka magii. To, co

potrafiłem ja, co potrafisz ty, jest zaledwie namiastką wiedzy, którą trwonisz dla osiągnięcia tego, co można mieć i bez magii. Gdybyś był zwyczajnym człowiekiem, może zawładnąłbyś Wermontem – władzę tworzą ludzie i władza jest dla nich – lecz jesteś Mageotem i to cię eliminuje. Jest akurat odwrotnie, aniżeli sądziłeś. To, co miało ci pomóc, jest najpoważniejszą przeszkodą... Spójrz za siebie, wciąż marzysz o bogactwie i potędze, wciąż wyczekujesz, wciąż Uczysz na coś, a cóż takiego zdobyłeś? Co potrafi twoja magia?

– A twoja? – odparował Mageot.

– Byłem bliski celu – rzekł Talphur.

– Władzy?

– Po cóż mi władza? – Zaśmiał się drwiąco. – Czyż nic nie zrozumiałeś? Czy twe zmartwychwstanie spod szafotu nie wskazało ci celu? Że sięgać należy po to, czego żaden inny człowiek nigdy mieć nie będzie? Nie po władzę przecież, głupcze!

– O jakim celu mówisz?

– Nieśmiertelność, Mageocie. Pojąłem tę prawdę przed laty i zawróciłem z drogi donikąd. Zamieszkałem w tej niedostępnej *Ti* puszczy, z dala od ludzi, których magia wcale nie potrzebuje. Został ze mną tylko jeden przyjaciel, Merkalen, zbieg z Wermontu. To on właśnie sprowadził tu szorki, które rozmnożyły się i bronią mego spokoju. Nie, nie patrz na tego starca, to tylko sługa. To, o czym mówię, działo się przed wiekami, Merkalen umarł już dawno, ale ja wciąż żyję. Podjąłem niewyobrażalnie ciężką pracę umysłu, lecz warto było. Rozumiesz to? Bez magii mógłbym tylko marzyć o tak długim życiu.

– Nie jesteś nieśmiertelny – powiedział cicho Mageot. – Zawarłeś pakt, stwierdzając przy tym, że będziesz żył jeszcze tylko rok. Zatem przegrałeś.

– Niezupełnie. Nie osiągnąłem celu, ale czy przegrałem? Musisz wiedzieć, że przeżyłem ponad dwanaście wieków. Nie do tego zmierzałem, to prawda, ale czy czas ten nie jest przedsmakiem sukcesu? Wszak ty nie przeżyjesz nawet dziesiątej części tego... Chyba że mnie posłuchasz, że skorzystasz z szansy, jaką dało ci spotkanie ze mną. A wyrocznia? Paradoks polega na tym, że ten zapis powstał z mojej woli. Chciałem wiedzieć, czy osiągnę sukces, i wręcz zmusiłem pewnego wróżbitę do jego sporządzenia. Ogromne to było rozczarowanie, gdy wbrew oczekiwaniom pojawiła się końcowa część zapisu, którą przed chwilą odczytał ci mój sługa. Do dziś nie wiem, czy właśnie w ten sposób nie skazałem swych dążeń na fiasko, innymi słowy: czy wyrocznia ukazuje przyszłość, czy też raczej ją kreuje. Miałem wówczas czterysta pięćdziesiąt lat i sądziłem, że moim przeznaczeniem jest zwycięstwo. Byłem głęboko rozczarowany, ale nie załamane się, pracowałem dalej, choć przyznam, że z coraz mniejszym zapałem,

ponieważ kolejne przepowiednie wyroczni sprawdzały się co do jednej. Nie byłem jednak zupełnie pozbawiony nadziei, dopóki nie pojawiliście się wy. Jeden człowiek w dwóch postaciach...

– Zatem nadal wierzysz w nieśmiertelność? Sądzisz, że jest możliwa?

– Nieśmiertelność stanie się kiedyś faktem – odparł Talphur. – Wiem, że tak będzie i że dokona tego Mageot, może ty, może ktoś inny w dalekiej przyszłości; nie jesteś jedyny. Ale trzeba do tego woli bardziej zdecydowanej, silniejszej niż moja. Czy byłbyś gotów podjąć wyzwanie?

Zerwał się wiatr. Ciemne chmury, które już od dobrej chwili nadciągały na leśną polanę, zwiastując ulewę, upuściły pierwsze krople deszczu. Mageot skulił się, czując chłód.

– Muszę zastanowić się nad twoimi słowami, Talphurze – powiedział. – Czy pozwolisz mi odejść?

– Jesteście wolni obaj. Zawarliśmy układ. Starzec dopilnuje, żeby szorki nie uczyniły wam krzywdy.

Mageot skinął na jednorękiego. Ścieżką u podnóża skał ruszyli w stronę skalnej szczeliny, aby schronić się przed deszczem. Nagle Mageot odwrócił i zobaczył, że Talphur patrzy za nimi, nieruchomy, zastygły niczym głaz.

– Talphur! – krzyknął. – Nie powiedziałeś o jednym! Byłeś Mageotem, a więc człowiekiem. Czy twój obecny wygląd jest ceną, jaką przyszło ci zapłacić za twe długie życie?

– To prawda. – Zwierzęca twarz zmarszczyła się jeszcze bardziej. – Lecz niczego nie żałuję, bo było tego warte. To jednak wcale nie oznacza, że każdy, kto sięgnie po nieśmiertelność, musi być właśnie taki. Jak powiedziałem, popełniłem kilka błędów.

– Tego właśnie nie jestem pewien.

– A jeśli nawet, to jakie to ma znaczenie?

– Będąc takim odmieńcem, zawsze byłbym samotny.

– I tak będziesz samotny do końca swoich dni, Mageocie – powiedział Talphur i zniknął w swojej jaskini.

Rozdział 6.

Mało uczęszczanym szlakiem, wiodącym do Wermontu, posuwał się konwój. Jeśli napotykał ich rzadki w tych stronach podróżny, spiesznie zbaczał z drogi, kryjąc się w lesie. Przyczyną takiego zachowania było stworzenie podążające w centrum grupy, przerażająco wielkie i brzydkie. Zajmowało całą szerokość drogi, jednak mimo swych rozmiarów poruszało się zdumiewająco sprawnie, bez trudu dotrzymując kroku towarzyszącym mu jeźdźcom. Dwaj mężczyźni, jadący tuż przed nim, byłiby podobni do siebie jak deszczowe krople, gdyby nie to, że jeden z nich był inwalidą – lewy rękaw koszuli miał zaszyty na przedramieniu.

Dotrzymujący im towarzystwa starzec zdawał się drzemać, z rzadka tylko unosząc siwą głowę, gdy ospały wierzchowiec zostawał z tyłu. Na poboczach i w przydrożnej gęstwinie buszowały szare stworzenia, wyglądające jak przerośnięte koty, lecz energicznym zachowaniem przypominające raczej psy lub młode wilczki. Daleko z przodu jechał jeszcze jeden mężczyzna, obserwujący bacznie szlak, z tyłu, na pokrytym plandeką wozie, dwóch innych; byli to Czeladnicy Mageota, bynajmniej nie uczniowie ani następcy, jak zdawałaby się wskazywać ich nazwa, lecz tylko słudzy, związani ze swym panem magicznym nakazem losu.

W pewnej chwili jadący przodem Czeladnik zatrzymał wierzchowca, ściągnął lejce i zawrócił.

– Las się kończy. Do Wermontu już niedaleko.

– To dobrze – powiedział Mageot i spojrzał pytająco na Taluphura. – Ostatni odpoczynek?

– To twoja wyprawa. Ty decydujesz – przetłumaczył starzec.

– Rozbijemy obóz. Czekają nas trudne chwile, powinniśmy do jutra dobrze odpocząć.

Czeladnik bez słowa spiął konia i podjechał do wozu, by oznajmić towarzyszom decyzję. Zjechali w leśną przecinkę, gdzie wóz niemal nie utknął w błocie, i wkrótce rozbijali namiot. Talphur beczynn timerwował tę krzątanicę, on nie potrzebował schronienia. Gdy wszystko było gotowe, zajęli miejsca przy ognisku, w zamyśleniu wpatrując się w płomienie i rozmyślając, co przyniesie im następny dzień. Dzień niezwykle ważny, mający być zwieńczeniem podjętej wyprawy.

– Jutro mija rok od chwili, gdy trafiłeś do mojej leśnej siedziby – powiedział Talphur. Jego wielka, płaska twarz była prawie niewidoczna, ginęła w ciemnościach, poza zasięgiem światła ogniska.

Nieopodal zachichotał szork, lecz nagle umilkł, jakby speszony brakiem odzewu.

– Pamiętam o tym – rzekł Mageot, poprawiając rozżarzone główne. – Przekonamy

się o prawdzie wyroczni.

– Wciąż nie wierzę – dodał po chwili. – Szczególnie teraz, gdy minęło tyle czasu i przekonałem się, że nie jesteś mi wrogiem, lecz przyjacielem. Nie zabija się przyjaciół.

– Ależ owszem – odparł pogodnie Talphur. – A twoje wątpliwości są bez znaczenia, wszak nie raz ci to mówiłem. Poza tym dawno już pogodziłem się z przeznaczeniem. Nadchodzi kres, ale w sercu mam spokój. Jedno, czego jeszcze pragnę, to zakończyć życie z nadzieją.

– A ja i tak wierzę, że pokonamy wyrocznię! Razem dokonamy jeszcze rzeczy wielkich, zdobędziemy Wermont. Zaprowadzimy w tym rozbitym kraju ład.

– Chcę zakończyć życie z nadzieją – powtórzył Talphur. – Z nadzieją, że mnie posłuchasz. Ludźmi nie może rządzić magia, to sprzeczne z prawami życia. Powiedz: jeśli jutro ziści się przepowiedziany los, uwierzysz i w inne moje słowa. Porzucisz żądę władzy?

– Można mieć jedno i drugie – oświadczył z uporem Mageot. – Władzę i nieśmiertelność. Jutro się o tym przekonasz, dostrzeżesz tkwiący w wyroczni błąd.

– Nie ma takiego błędu.

– Jeśli nie ma, to jakim sposobem pozbawię cię jutro życia, skoro tego nie chcę? – Wzburzony Mageot odwrócił się do swego jednorękiego druha: – Powiedz mu i ty, pragniesz jego śmierci?

Jednoręki zaprzeczył bez zastanowienia. Talphur zakołysał się. Las kolców na jego grzbiecie również się zakołysał, niczym sierść dzikiego zwierzęcia.

– Nie mam pojęcia jakim sposobem – odpowiedział. – Ale wiem też, że nie istnieje coś takiego jak błąd wyroczni. Te dwa słowa wykluczają się wzajemnie. Zgodziłem się na tę wyprawę ze względu na ciebie, jest ona szansą, że wreszcie właściwie spojrzysz na świat i na swoje w nim miejsce. Doświadczenie jest najlepszym przewodnikiem.

– Tylko dlatego mi pomagasz?

– Wyłącznie dlatego.

Rozmowa urwała się. Jeden z Czeladników wstał, dorzucił drewna do przygasającego ogniska. Pośród nocnej ciszy jedynie ogień emanował życiem. Nawet szorki zniknęły, znajdując legowisko wśród krzewów.

Czeladnicy usnęli. Również jednoręki przeniósł się do namiotu, ale drugi z Mageotów wciąż czuwał przy Talphurze.

– Jeśli wiesz na pewno, że jutro zginiesz, to dlaczego nie uciekasz przede mną? – spytał cicho, patrząc w połyskujące na czarnym niebie gwiazdy.

Starzec równie cicho przełożył jego słowa.

– Zastanawiam się nad tym – dobiegł z wysoka głos Talphura – i są chwile, kiedy wydaje mi się, że jednak nie znam odpowiedzi.

Rozdział 7.

Obudził ich jazgot szorków. Było jasno, ale słońce musiało wzejść niedawno, gdyż nie zdążyło jeszcze wysuszyć porannej rosy.

Drogą nadjeżdżali konni. Oddział strażników Wermontu zatrzymał się, powstrzymany widokiem górującego nad otoczeniem Talphura. Zwarty szyk wyraźnie załamał się, nie wiadomo czy z powodu płochliwości koni, czy też z braku odwagi jeźdźców.

– Ktoś musiał donieść o nas – stwierdził Czeladnik. – Takie wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy.

Strażników było kilkunastu. Trzymali w rękach miecze, lecz ich niezdecydowanie było wyraźne. Talphur był istotą, która nie przystawała do ich pojęcia rzeczywistości, potworem z sennych koszmarów. Nie wiedzieli jeszcze, że to nie on stanowi główne zagrożenie, lecz małe stworzenia, przemykające chyłkiem wśród drzew.

Szorki zaatakowały gromadnie, wszystkie naraz, niczym żołnierze na sygnał do ataku. Niemal bezszelestnie pomknęły w stronę zbrojnych, których uwaga wciąż była skierowana na Talphura. Jeden wielki krzyk rozniósł się nad okolicą, gdy śmierć wpadła między nich, nie czyniąc różnicy pomiędzy końmi a ludźmi.

Połowa oddziału padła od razu, nim zaskoczeni jeźdźcy zdążyli w ogóle się zorientować, co się dzieje. Reszta usiłowała zawrócić, w panice wpadając na siebie, lecz szorki bezlitośnie ściągały ich z koni, skacząc na niewiarygodną wysokość i nigdy nie chybiając. Nie było nikogo, kto mógłby sprostać ich szybkości i wrodzonemu okrucieństwu. Zaledwie trzech niedobitków zdołało wyrwać się z kotła i kalecząc ostrogami boki koni, pędziło galopem w stronę Wermontu. Szorki nie poniechały zdobyczy. W szale walki ruszyły całą gromadą za uciekającymi, niczym stado wściekłych wilków w pogoni za zwierzyną. Czeladnicy dosiedli koni i z okrzykiem popędzili w ślad za nimi. Byłoby niedobrze, gdyby ktoś zdołał się wydostać i ostrzegł księcia Grademieun.

Zapadła niesamowita cisza. Nawet wiatr przestał wiać, jakby i jego przeraziła ta masakra. Na pobojuwisku leżały zakrwawione, poszarpane ciała strażników Wermontu i ich koni. Wszystkie nieruchome, martwe; nie było nawet jednego ranego.

Nagle rozległ się donośny głos Talphura, a chwilę potem ciche słowa tłumacza:

– Tego pragniesz, Mageocie? A to jest dopiero początek.

Mageot nie odpowiedział.

Z dała dobiegł stłumiony tętent końskich kopyt. Wracali Czeladnicy, otoczeni stadem szorków. Jeden z nich podjechał do Mageota. Twarz miał bladą, oczy dzikie, jakby był pokonanym, nie zwycięzcą.

– Nie do uwierzenia – rzekł, gestykulując nerwowo. – Zginęli wszyscy. Te szorki... nie dały im żadnych szans.

– Są po naszej stronie – powiedział Mageot.

– Na szczęście.

Talphur wciąż patrzył na pobożowisko, nad którym krążyło już padlinożerne ptactwo. Wtem jakby zbudził się ze snu i przywołał starca. Zamienił z nim kilka zdań.

– Coś się stało? – Mageot podszedł do nich.

– Talphur uważa, że musimy jak najszybciej wyruszyć w drogę – wyjaśnił tłumacz. – Nie ulega wątpliwości, że w Wermoncie wiedzą już o nas i byłoby niedobrze, gdyby zdążyli przygotować obronę.

– Oczywiście. – Mageot spojrział na wiodącą do celu drogę. – Wyruszamy natychmiast.

Posuwali się teraz po odkrytym, pozbawionym drzew terenie. Nie było to korzystne, gdyż byli widoczni z daleka. Około południa minęli wyludnioną wieś; mieszkańcy uciekli w pośpiechu, kryjąc się przed nieznanym niebezpieczeństwem. Szorki rozbiegły się po opuszczonych chałupach. Tam, gdzie zaryglowano drzwi, wskakiwały do środka przez okna, a nawet przez przewody kominowe. Może były głodne i poszukiwały żywności, a może robiły to tylko dla zabawy.

Zatrzymali się przy jednej z chat, by się posilić i napić konie.

– Poznając tę okolicę – rzekł Mageot do jednorękiego. – W tej osadzie zdobyłem ubranie, gdy uciekliśmy z miasta. Ty leżałeś niedaleko, walcząc z bólem.

– Daleko stąd do Wermontu? – zapytał Talphur.

– Blisko. Bardzo blisko. Mamy trochę czasu, żeby odpocząć. Uważam, że najrozsądniej będzie zaatakować, gdy zapadnie noc.

– Książę Grademieun może wysłać jeszcze jeden oddział, liczniejszy i lepiej przygotowany.

– Tym gorzej dla niego, będzie miał mniej ludzi do obrony. Ale nie sędzę, żeby tak się stało. Będzie czekał na powrót tamtych, nie wie przecież, jaki spotkał ich los. Ale jutro będzie za późno. Dzisiejsza noc wszystko rozstrzygnie.

– Wciąż wierzysz w iluzję sukcesu?

– Wierzę w naszą siłę. W siłę Mageotów.

Rozdział 8.

Noc, choć bezksiężycowa, była pogodna i dzięki temu mieli dobrą widoczność. Zboczyli z głównej drogi i pod pierwsze mury podchodzili od strony pół. Nie był to jeszcze sam Wermont, lecz zamek, który od kilkadziesiątu już lat budowano dla rodu Grademieunów i którego budowa wreszcie dobiegała końca. Nie był jeszcze zamieszkały, jeśli nie liczyć rzeszy śpiących teraz robotników, rozlokowanych w gotowych od dawna pomieszczeniach dla służby.

– Zamek – szepnął Mageot. – Ale to nie Grademieun w nim zamieszka.

Minęli teren budowy i weszli pomiędzy pierwsze zabudowania miasta. Starzec miał dużo pracy, bacząc, by podniecone szorki zachowały ciszę. Talphur szedł na samym końcu, jemu najtrudniej było poruszać się po nieznanym terenie, nierzadko trzaskały jakieś przedmioty, miażdżone potężnymi stopami.

Wreszcie znaleźli się w pierwszej uliczce i tu już nie sposób było iść bez hałasu. Kroki odbijały się echem od kamiennych fundamentów. Nagle, daleko z przodu, błysnęła pochodnia. Nocny patrol strażników. Teraz żadna siła nie była zdolna powstrzymać szorków, zdających się być świadomymi swego zadania. Z szalonym jazgotem pomknęły naprzód, wyprzedzając ludzi. Od tego momentu przestało się liczyć zaskoczenie. Talphur biegł tuż za Mageotami, kierującymi się w stronę dworu księcia Grademieun. Nie miał żadnej broni.

Przebiegli obok martwych strażników, pierwszych śladów działania szorków, i wypadli na główną ulicę, szeroką i wybrukowaną nierównymi kamieniami.

Straszne to były chwile dla mieszkańców Wermontu. W oknach tylko na moment pojawiały się pobladłe, zaspane twarze, po czym znikwały, a ręce w pośpiechu zatrząskiwwały okiennice. Nieliczni odważni wybiegali przed domy i jeśli w porę nie pojęli swego błędu, ginęli rozszarpywani kłami szorków. Na nic zdały się pojedyncze przypadki obrony – szybkość i zaskoczenie, atuty atakujących, nie dawały nikomu szans. Olbrzymia postać Talphura i przemykające niczym cienie szorki, poszczekujące i zawodzące upiornym chichotem, wyglądały jak przybysze z zaświatów, zemsta piekieł, niosąca jedynie zagładę. Ciemność potęgowała przerażenie, prowokowała paniczny strach.

Mageoci biegli wśród szorków, dotrzymując im kroku jedynie dzięki temu, że te nie rozbiegały się samowolnie, lecz posłusznie podążały we wskazywanym kierunku. Jednoręki nie przyśpieszał, choć mógł; tak jak zawsze, nie odstępował swego towarzysza.

Pierwsza próba zorganizowanej obrony miała miejsce dopiero przed siedzibą księcia. Kilkadziesiąt strażników – znaczna część zbrojnej obsady dworu – wyległo przed bramę. Szorki jako pierwsze wypadły na nich z ciemności. Strażnicy byli dobrze

wyszkoleni, walczyli zręcznie i zdumiewająco zaciekle. Nie ulegli panice, jak ci napotkani w lesie, i dzięki temu zdołali utrzymać szyk. Chociaż ich miecze nie dosięgały zwinnych szorków, to jednak przynajmniej broniły przed nimi. Do czasu. Co rusz któryś z kotów zdołał wedrzeć się w kordon, wbić ostre jak gwoździe kły i wraz ze skórzanym odzieniem wyszarpnąć fragment ciała. Obrońcy padali w ten sposób jeden za drugim, a szybki jak błyskawica szork zawsze zdołał odskoczyć przed odwetem innego strażnika.

– Jeszcze nie teraz! – powstrzymywał Mageot rwących się do walki Czeladników. – Czekajmy. Dopóki szorki dają sobie radę, czekajmy...

Walka rozgorzała z nową werwą, gdy zza bramy wypadły posiłki. Było ciemno, zatem żołnierze, wrzeszczący dla dodania sobie animuszu, nie od razu dostrzegli atakujące kocie istoty, za to majacząca w mroku postać Talphura znacznie stłumiła ich odwagę. Część zatrzymała się, cichnąc, byli jednak i tacy, których nie sięgnął strach, biegli dalej, ku potworowi. Jednoręki skinął na Czeladników i zastąpił im drogę. Jednak, gdyby nie szorki – które wśród wrzawy cudem jakimś słyszały wygwizdywane przez starca rozkazy – zginęliby niechybnie z rąk przeważającego liczebnie przeciwnika. Nagle starzec krzyknął rozpaczliwie. Gdyby nie to, że stał z boku, w pewnej odległości od placu boju, można by pomyśleć, że dosięgnął go śmiertelny cios. Lecz to nie był on: oto rozplątane na pół ciało szorka leżało na bruku, deptane podkutymi butami.

– Stój! – krzyczał Mageot do Talphura, usiłującego przedostać się do grupy strażników, która dokonała tego wyczynu. – Ty nie! Ty nie możesz zginąć!

Talphur odepchnął go niczym słomianą wiązkę. Ruszył do walki, rycząc jak dziki zwierz lub upiór, którym w istocie musiał wydać się żołnierzom, gdyż struchleli wszyscy na jego widok. Ten moment wystarczył, by rozwścieczone szorki zdobyły przewagę. Nim Talphur dobiegł, potykając się o ciała, ślizgając się po lepkiem od krwi bruku, już połowa obrońców oddała ducha lub wiała się w męczarniach. Szorki skakały, wiły się, ani na moment się nie zatrzymując, nie okazując zmęczenia, jakby były nie istotami z krwi i kości, lecz demonami. To był moment przełomowy potyczki. Co prawda, strażnicy Wermontu raz jeszcze, po raz ostatni, zdołali ścieśnić szyk, wezwani okrzykami któregoś z przytomniejszych dowódców, lecz była to już zbyt mała grupa, licząca najwyżej dwa tuziny żołnierzy. Walczyli dzielnie, zdołali nawet zabić jednego Czeladnika i ranić drugiego, lecz ich los był już przesądzony.

Bitwa dobiegała końca. Niedobitki strażników uciekły w ciemne zaułki. Uratowali w ten sposób swe życie, gdyż zmęczone szorki nie goniły pokonanych. Nigdy dotąd nie toczyły jeszcze tak zacieklej walki.

Mageot klęczał przy zabitym Czeladniku.

– Zginął również szork – powiedział Talphur. – Nie zapominaj, że to dzięki nim

zwyciężamy. Nie dzięki twojej magii.

– Brama do dworu stoi otworem – rzekł starzec. – Wygraliśmy.

Weszli na dziedziniec. Było tu zadziwiająco pusto i cicho.

Kilka zatkniętych na murach pochodni rozjaśniało ciemności. Wybrukowany plac emanował spokojem, ten bezruch zdawał się zaprzeczać rzeczywistości. Wciąż jeszcze mieli w oczach szaleństwo walki, w uszach bitewny zgiełk. Budynek dworu jaśniał w półmroku, majestatyczny i obojętny. Przy wejściu, pomiędzy szeregiem kolumnienek, pojawiła się samotna postać.

– Książę Grademieun – szepnął starzec.

– Nie – zaprzeczył Mageot. – To mój czwarty Czeladnik. Najlepszy szpieg.

– Witam cię, panie – powiedział Czeladnik, schodząc z kamiennych stopni. – Długo kazałeś na siebie czekać.

– Gdzie Grademieun?

– Pan Wermontu nie żyje. Mój miecz uwolnił go od udręk tego świata.

– A Niterte? – W oczach Mageota błysnął niepokój.

– Wraz z synem zaryglowała się w swojej komnacie.

– Zatem żyje?

– Tak sędzę.

– Prowadź!

Jednorożki ruszył za nim, blisko jak zawsze, lecz nagle zatrzymał się, powstrzymany nieznanym impulsem. Przez krótką chwilę jakiś cień przemknął po jego okrytym starymi bliznami obliczu, zaraz wszakże zniknął, jakby był tylko złudzeniem. Mężczyzna pozostał jednak przy Talphurze, podczas gdy drugi Mageot podążał schodami w górę, w ślad za wskazującym drogę Czeladnikiem.

Wnętrze dworu było dobrze oświetlone oliwnymi lampami. Weszli na piętro i skręcili w prawe skrzydło budynku.

– To tutaj. – Czeladnik zatrzymał się przed masywnymi, bogato rzeźbionymi i kutymi żelazem drzwiami.

– Jesteś pewien, że we dworze nie ma już nikogo?

– Czuwałem nad tym – odparł Czeladnik. – Tylko przerażona służba, zaryglowana w kuchni. Nie wychylą nosa do rana.

– Jak otworzyć te drzwi?

– Trudno będzie je wyważyć. Stolarkę dworu wykonywali najlepsi rzemieślnicy.

– Niterte! – zawołał Mageot. – Jesteś tam? Cisza.

– Niterte! To ja! Wróciłem!

– Oszukałeś mnie – dobiegł zza drzwi przytłumiony kobiecy głos. – Ufałam ci.

Darzyłam cię przyjaźnią, podczas gdy ty jak podstępny wąż wkradłeś się w me łaski. A teraz napadasz na mój dom i zabijasz. Czy i mnie zamierzasz zabić?

Twarz Mageota poszarzała.

– Krzywdzisz mnie tym posądzeniem, pani – powiedział. – Moja życzliwość dla ciebie nigdy nie była fałszywa. A że nie wyjawiałem ci swego imienia? Jak mogłem to zrobić? Czy nie przekłębysz mnie, tak jak przeklinasz teraz?

– Zapewne. Mów, czego chcesz, i precz stąd!

Minęła chwila, nim padła odpowiedź:

– Chcę ciebie, piękna Niterte. Twój mąż nie żyje. Wermont i władza należą do mnie. Chcę jeszcze ciebie!

– Jak śmiesz?!

– Czy nie dałaś mi do tego prawa? Nie darzyłaś względami, nie nazywałaś przyjacielem? Twoje spojrzenia...

– Zamilcz! Lubiłam cię w ślepej niewiedzy, to prawda, bawiłeś mnie swą elokwencją, ale przecież nic ponadto, szaleńcze!

– Dość! – krzyknął gniewnie Mageot. – Nie chcę tego słuchać! Czy pragniesz podzielić los swego męża? Wybieraj!

– A co ze mną? – usłyszeli nagle dziecięcy głos, brzmiący zadziwiająco poważnie. Tak poważnie, jak znaczenie tego pytania.

Mageot nie odpowiedział.

– Co z moim synem?! – zawołała Niterte. – Mów, Mageocie. Wszak to on jest prawdziwym dziedzicem Wermontu.

Odpowiedzią wciąż było milczenie. Władza, której pragnął Mageot, nie mogła być podzielna.

Niespodzianie szczękniętą rygiel i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Lecz wnętrze komnaty pozostawało niewidoczne; wejście zasłaniała szczelnie galaretowata masa. Ciemnoczerwona, pulsowała niczym wielkie, odsłonięte serce. Przez chwilę jakby czas stanął w miejscu. Oniemiały Mageot i jego Czeladnik zamienili się w kamienne bryły. Zaraz oprzytomnieli, rzucili się do ucieczki, ale za późno. Za późno było już w momencie, gdy otworzyły się drzwi. Substancja poszybowała naprzód, ruchem szybkim jak mrugnięcie powieki, i dosięgła obu mężczyzn. Opadła na nich, okrywając niby gruby pled. A potem cofnęła się, ruchem równie drapieżnym, jak przedtem, porywając zdobycz do komnaty. W komnacie nieruchoma Niterte trzymała za rękę swego siedmioletniego syna. Oczy chłopca były zamknięte, a skupiona twarz przywodziła na myśl pogrążone w hipnozie medium.

Drzwi zatrzasnęły się, a pustka krytego czerwonym suknem korytarza pozostała

jedynym świadkiem tego niezwykłego wydarzenia. Panowała głucha cisza. Jakby ani w budynku, ani na dziedzińcu nie było żadnej żywej istoty.

Wtem drzwi otworzyły się powtórnie. Z komnaty wyszedł Mageot, z malującym się na twarzy spokojem, z delikatnym uśmiechem, nigdy u niego nie spotykanym.

W wyciągniętych rękach trzymał okazałą, kilkilitrową czarę, wypełnioną po brzegi jakimś napojem. Wspaniała woń trunku przepełniła powietrze. Mageot szedł powoli. Sztywno, krok po kroku, pokonał schody i wyszedł na zewnątrz, na dziedziniec. Jak na człowieka niosącego taki ciężar poruszał się ze zdumiewającą lekkością.

Rozmawiający ze starcem Talphur nie od razu go spostrzegł; dopiero gest jednorękiego zwrócił jego uwagę. Mageot zbliżył się do nich i – z twarzą wciąż odprężoną i łagodnością w oczach – powiedział:

– Wspaniałe wino przypadło nam w spadku po księciu Grademieun. Napijmy się dla przypieczętowania zwycięstwa.

Sam pierwszy wypił kilka głębokich łyków. Rubinowy płyn ciekł po jego brodzie, plamiąc ubranie. Potem Mageot uniósł naczynie wyżej.

– Proszę, Talphurze! – zawołał. – Postarałem się o kielich wystarczająco duży, aby wina wystarczyło i dla ciebie.

Niekształtne palce giganta ujęły czarę. Bardzo cicho powiedział coś, czego blednący nagle starzec nie przetłumaczył, i przechylił naczynie. Wypił do dna.

Nim skończył, Mageot upadł. Jednoręki przyskoczył do niego z przerażeniem w oczach, chwycił za ramiona.

– Trucizna... – szepnął drewnianym głosem starzec.

Na wargach Mageota pojawiła się piana, czerwona od wina, które wypił. Skonał w ciągu kilku chwil, z głową na kolanach swego zrozpaczonego bliźniaczego towarzysza, nie wyrzekłszy już ani słowa.

Olbrzymi Talphur dłużej opierał się truciznie. Upuścił czarę, która z brzękiem upadła na bruk, lecz on sam wciąż trzymał się na nogach. Chwiał się tylko i chrapliwym głosem szeptał coś do starca w swym dziwnym języku. W końcu opadł na kolana, nie przerywając monologu, a potem zwałił się na bok, jak wiekowe drzewo pokonane w końcu przez czas.

– Talphur polecił przekazać ci, abyś pamiętał, że nie władza jest celem magii – rzekł starzec do jednorękiego Mageota. – Przypomniał o waszym układzie i nakazał, bym wraz z szorkami służył ci równie wiernie, jak służyłem jemu. Tak zrobię.

Talphur umierał. Jeszcze wyrzucał z siebie urywane słowa, dysząc ciężko i drżąc na całym ciele.

– Nie słyszę... – Starzec skulił się i przyłożył chłodną dłoń do rozpalonej, wielkiej

twarży Talphura. – Nie rozumiem...

Coś jednak zrozumiał, bo wzrokiem odszukał jednorękiego.

– Nie jestem pewien – oznajmił – ale wydaje mi się, że on... Że twierdzi, iż również nieśmiertelność nie jest celem magii... Ofra cię zdradzi... Zdradziła? – Starzec wzruszył ramionami, pokręcił głową. – Nie rozumiem...

Umierający rozwarł szeroko oczy. Przeszedł mówić, wpatrywał się tylko w jakiś nieistniejący, sobie tylko widoczny obraz i z wolna się uspokajał. Nagle westchnął, ciężko, lecz równocześnie z olbrzymią ulgą. Drgnął po raz ostatni i znieruchomiał.

Szorki, rozproszone w bieganinie po opustoszałym dworze, teraz zbiegły się wszystkie, co do jednego, i skupiły wokół martwego Talphura. Nagły skowyt wzbijał się w powietrze, obwieszczając godzinę śmierci tego, który pragnął żyć wiecznie.

Obok stali Czeladnicy, posepni, z opuszczonymi głowami. Jednoręki wciąż obejmował swoim jedynym ramieniem ciało martwego brata, szarpał nim, jakby próbował obudzić zastygające życie, jakby liczył, że oto powtórzy się cud sprzed roku, gdy magia oszukała katowski miecz. Nic takiego jednak się nie stało. Ich czas już minął.

I nikt nie widział, że z okna na piętrze spoglądają w dół dwie pary oczu. Jedna należała do Niterte, druga do jej syna, chłopca rozwiniętego ponad wiek i ponad wiek inteligentnego.

– Wykorzystaliście już swoją szansę – powiedział cicho chłopiec. – Teraz ja nazywam się Mageot. Dzisiaj to udowodniłem.

Kobieta czule zanurzyła dłoń w jasnych włosach swego syna.

POWRÓT MAGEOTA

PROLOG

Wiekowy las stawiał opór nocnej burzy. Huragan wściekle targał wierzchołkami drzew, łamiąc gałęzie i całe konary, w ślepej furii nie szczędząc także licznych o tej porze roku ptasich gniazd, często z Nielotnymi jeszcze pisklętami. Drzewa wspierały się nawzajem konarami, ratując przed żywiołem, lecz nie wszystkie rosły dostatecznie blisko siebie, i to ich pnie pękały pierwsze, padały z trzaskiem wśród oślepiającej bieli błyskawic. Leśne zwierzęta oczekiwały w trwodze końca nawałnicy – większość ukryta w norach i wykrotach, a te, które w porę nie znalazły schronienia, jak kamienie przywarły do skąpanej w deszczu ziemi.

Nagle coś ożyło na zapuszczonej leśnej drodze, która niegdyś była gościńcem, lecz obecnie przypominała raczej dukt. Najpierw przez hałas burzy przebił się zwiastun: tętent koni i pokrzykiwania, pełne strachu, rozpacz, ale i wściekłości, a potem zza zakrętu wyłoniła się karetka. Skulony na koźle mężczyzna bezlitośnie okładał batem czwórkę spienionych koni. Pojazd podskakiwał na wybojach, cudem omijając zwalone pnie. Okute żelazem koła miażdżyły zaścielając drogę gałęzie, na boki przyskały warstwy błota. Taka szaleńcza jazda podczas burzy wydawała się oczywistym nierozsądkiem, zwłaszcza że stan drogi przedstawiał się opłakanie, ale stangret wciąż strzelał batem, walił po końskich zadach, po grzbietach, gdzie popadło. Jedyne co jakiś czas oglądał się za siebie i wtedy oczy wypełniał mu blask jeszcze dzikszysy, a krzyk przechodził w wycie.

W karecie znajdowała się kobieta. Od dawna już nie siedziała na wygodnej, krytej miękkim obiciem ławie. Leżała na podłodze, skulona, z kolanami pod samą brodą, i łkała. Cała się trzęsała, wyrzucając z siebie niezrozumiałe słowa, ni to modlitwy, ni pocieszenia, skierowanego chyba tylko do siebie, gdyż była w karecie sama.

Grube krople deszczu biły jak grad powożącemu mężczyźnie, wichur rzucił mu w twarz wszystko, co zdołał wyrwać z leśnych ostępów, lecz on tylko chował głowę w ramionach i jeszcze mocniej ścisnął cugle i bat. Długie włosy wisiały w mokrych strąkach, ale błyskawice oświetlały przystojne oblicze, szlachetne rysy twarzy; także ubiór świadczył o tym, że powożący nie jest sługą, a rola stangreta okazała się zapewne potrzebą chwili.

Karetka pokonała następny zakręt, o włos tylko unikając zderzenia z drzewem, omal nie przewracając się wskutek nadmiernej prędkości. Wtem gdzieś z przodu, wśród zamglonych strug deszczu, błysnęło światło. Mężczyzna dostrzegł je od razu. Może wiedział, że tam będzie, a może to była jego jedyna nadzieja. Raz jeszcze spojrzął za siebie i raz jeszcze trwoga skuliła mu twarz, choć błyskawice rozświetlały tylko pustą drogę. Ryzykując upadek, wstał z koźła, po raz ostami na oślep smagnął batem i odrzucił

go na bok. Strzelił lejcami. Krzyknął na konie.

Światło było coraz bliżej.

* * *

Oberżysta Rozkoper miał dziś wyjątkowo dobry humor. To nic, że na dworze szalała burza, a przepływająca obok rzeka wezbrała i jeśli ulewa nie ustanie, lada moment woda podmyje stajnię. Ważne, że był sam środek nocy, a w zajeździe nikt jeszcze nie spał. Mało tego – wszyscy goście siedzieli murem w jadalni, najwidoczniej mając zamiar doczekać końca nawałnicy. A jedli przy tym i pili, bo cóż innego było do roboty?

Nie wiodło się Rozkoperowi w ostatnich latach. Właściwie nigdy mu się nie wiodło, począwszy od chwili, gdy przejął oberżę po ojcu. Gdyby nie to, że nie miał dokąd iść, a prócz karczmy niczego nie posiadał, dawno już rzuciłby swój niedochodowy fach. Niegdyś, jeszcze w czasach gdy starzejący się teraz Rozkoper biegał z koszulą w zębach, było zupełnie inaczej. Gościniec stanowił wówczas jedyną drogę, łączącą odległe Wschodnie Morze z dwoma graniczącymi ze sobą księstwami: Wermontu i Kentgerontmontu. Trakt w zasadzie kończył się na tych ziemiach, ponieważ zachodnią rubieżę stanowił niepokonany Ostateczny Ocean, być może nie bez racji uważany przez niektórych za kres świata. Zatem wschód; w swoim czasie zamorscy kupcy z krain tam leżących chętnie podróżowali i zawsze zatrzymywali się w jedynym na trasie zajeździe. A zamorscy kupcy tę mieli zaletę, że wystarczyło, iż raz tylko w miesiącu zawitał któryś ze swoją drużyną, a już oberża mogła prosperować, bez oglądania się na innych przyjezdnych i obwiesiów z jedynej pobliskiej wsi.

Ale to skończyło się dawno temu.

Wermont podupadł, ludzie zubożeli. Kentgerontmont faktycznie nigdy za bogaty nie był. Coraz rzadziej przybywali kupcy, aż w końcu zupełnie zapomnieli o tej krainie. A może przyczyną izolacji stało się to – jak krążyły wieści – że Wybrzeże Wschodniego Morza złupili Szarzy Ludzie, ale co do tego pewności nie było i zaściankowi władcy jakoś nie kwapili się, aby to sprawdzić, co tym bardziej potwierdzało degrengoladę, nie tylko w ekonomicznym aspekcie.

Tak więc gościniec zarastał krzakami, nikt nie zasypywał rozmytych dołów. Nie raz planował oberżysta Rozkoper wykarczować las wokół samotnej karczmy, zająć się rolą, ale nigdy jakoś zamysłu tego nie wykonał. Może dlatego, że trafiały się czasem dni takie jak dzisiaj, gdy młody książę Rollinaman, buszujący po lasach z myśliwską drużyną, zawitał na wieczerzę i nocleg. A jeśli pogoda się nie poprawi, może i na drugą noc pozostanie.

Niespodziewany stukot pchniętych wichurą drzwi wyrwał karczmarza z zamyślenia. Do środka wszedł przemoknięty do nitki wartownik, żołnierz Rollinamana.

– Panie! – zawołał do księcia. – Coś nadjeżdża starym gościńcem!

Rozbawiony Rollinaman machnął obojętnie ręką i sięgnął po piwo. Ale od stołu zerwał się książęcy gradion, a za nim jego ordynans, gołowąs jeszcze, sporo przed końcem drugiej dziesiątki żywota. Służba nie drużba, wypadli na zewnątrz, tuż przed Rozkoperem, ciekawym wielce, kto też podróżuje w tak niecną pogodę.

Pędząca karetą nie zmieściła się w bramie. Powożący czwórką koni rosły mężczyzna na próżno usiłował zatrzymać rozpędzone zwierzęta.

– Hamulec! – krzyknął w nawałnicę oberżysta, lecz było za późno. Konie jakoś prześlizgnęły się między słupkami, ale sama karetą z wielkim hukiem zawadziła o płot. W powietrze poleciały sztachety, w dodatku piorun uderzył całkiem blisko, dodając grozy sytuacji.

Mężczyzna zeskoczył z kozła tuż przed tym, nim pudło landary przewróciło się nad roztrzaskanym kołem. Przekoziółkował w błocie, lecz zaraz podniósł się i podbiegł do przewróconej na bok karety. W pośpiechu odrzucił zwichrowane drzwiczki. Ze środka wychynęła biała dłoń, którą pochwycił z ulgą.

Kobieta już nie płakała. Kuśtykała zgięta w pół, wsparta na ramieniu mężczyzny. Drugą ręką trzymała się za brzuch. Oprzytomniały Rozkoper przyskoczył z pomocą, ujął nieznajomą pod ramię i pomógł wprowadzić do oberży. Gradion dał znak ordynansowi, który walcząc z wiatrem i deszczem, podszedł do zgruchotanego pojazdu.

– Nikogo więcej – zakomunikował, zaglądając do wnętrza. W międzyczasie powrócił oberżysta w towarzystwie pacholka. Zajęli się końmi.

– Zajeżdżone na śmierć – biadolili Rozkoper. – Cudem stoją jeszcze. Jak można tak zameczyć zwierzaki...?

Miał rację, bo gdy wreszcie odpięli konie i prowadzili do stajni, jeden z nich padł przednimi nogami na kolana, potem runął na bok, ciężko, z rezygnacją, i żadna siła nie potrafiła go zmusić do wstania.

Burza nie cichła. Wciąż lało jak z cebra, a gdy błyskawica przeszywała czarne niebo, huk pioruna w większości przypadków następował niemal natychmiast.

– Wracamy, Czewske – powiedział gradion do ordynansa.

Przemoczony wartownik otworzył im drzwi, gdy wchodzili do chałupy. W izbie wrzało.

– Dajcie mi miecz! – wrzeszczał mężczyzna z karety, wodząc dookoła zrozpaczonym, dzikim wzrokiem.

Wszyscy obecni, nawet księżę Rollinaman, stali przy stołach. Niektórzy żołnierze trzymali w dłoniach miecze, bynajmniej nie z zamiarem wręczenia ich krzyczącemu nieznanemu. Jeden z giermków usiłował podejść go od tyłu.

– Co się dzieje?! – huknął gradion, człek niemłody już, lecz okazałej postury i bez wątpienia wciąż krzepki.

– To szalenie! – zawołał młody księżę.

– Bzdury! – zaproponował z zadziwiającą trzeźwością nieznanomy. Popatrzył wyzywająco na gradiona. – Uwierz mi choć ty, panie! Niezwłocznie trzeba zaryglować drzwi i okna. Gotować się do obrony!

– A czemuż to? – zapytał gradion. Głos miał co prawda spokojny, ale w jego oczach błysnął niepokój.

– Zaryglować! – sapnął mężczyzna. – I modlić się, żeby to wystarczyło. Ściga mnie... – urwał nagle, jakby w rozpaczy zabrakło mu słów. Oddychał ciężko.

– Kto?

– Rycerz! Cały zakuty w żelazo, lecz czy człek to, czy diabeł, przysiąc się nie odważę... W dodatku nie sam jest, lecz z potwornym jakimś stworzeniem. Zabili wszystkich moich towarzyszy, jakby kukiełkami byli nie ludźmi! Cudem umknąłem...

– Wcześniej prawil o demonach – wtrącił jeden z żołnierzy.

– Jesteś Wermontczykiem, prawda?

– Tak. Lecz to nie ma nic do rzeczy. Zbróćcie się, bo zginiemy wszyscy!

– Panie? – Gradion popatrzył pytająco na księcia. Następca władcy Kentgerontmontu wzruszył ramionami. Był wyraźnie zniecierpliwiony.

– Jest nas dwunastu i trzech pachółków. Cóż wskórać może jeden, chociażby diabelski rycerz?

– Zapewne masz rację, panie. Jednak twój ojciec obierze mnie ze skóry, jeśli, niefartem jakimś, okaże się, że nie dbałem o twoje bezpieczeństwo – zauważył stary żołnierz.

Twarz Rollinamana ponownie się skrzywiła.

– Rób jak chcesz. Daję ci wolną rękę.

Gradion skinął głową.

– Trzech zmieni wartownika – zakomenderował żołnierzom. – I baczyć mi na drogę! Najmniejszy ruch, od razu do mnie. Reszta na miejsca, ale piwo pić z umiarem.

– A ty, panie, pozwól ze mną. – Wskazał przybyszowi przyległą izbę. – I nie siej paniki, bo moich ludzi nie wystraszysz, a ośmieszysz się tylko.

– Nie to było moim zamiarem – odparł pośpiesznie mężczyzna. – Niebezpieczeństwo jest prawdziwe.

Gradion przymknął drzwi.

– Co to za stwór jest z tym rycerzem? – spytał cicho.

– Och, dzięki! – powiedział przybysz z wdzięcznością. – Już myślałem, że zginąć nam tu przyjdzie. Jednak śpieszyć się trzeba...

– Warty rozstawione. – Gradion uniósł rozwartą dłoń w uspokajającym geście. – Teraz mów, żebym wiedział co należy czynić!

– To stworzenie jest chyba bestią z samego dna piekła. Zrazu wygląda niepozornie, znacznie mniejsze od wilka, choć pysk podobny i sierść stalowa jak u wadery, gdy przed zimą włos zmienia. Szybsze jest od błyskawicy, nie zdążysz powieką ruszyć, a już w innym miejscu stoi. W ślepiach jakiś blask upiorny. Zębiska jak stalowe gwoździe!

– Nie gorączkuj się tak, panie. – Ręka gradiona spoczęła na ramieniu mężczyzny, który drżeć począł, choć w oczach więcej miał wściekłości niż strachu. – Wierzę ci i nie wątpię w twą odwagę, wszak byłem świadkiem owej jazdy straceńczej, której bez powodu nikt komu życie mile by nie prowadził. Ale, bez urazy, proszę, w tym punkcie chyba nieco ponosi cię fantazja.

– Sam bym nie wierzył, gdybym nie widział.

– A ten tajemniczy rycerz? Kim jest?

– Nie znam go ani nigdy o nim nie słyszałem.

– Dlaczego więc cię ściga?

Nie wiem, panie. – Nieznajomy uniósł ku niebiosom umorusaną błotem twarz. Z włosów wciąż kapały krople wody. – To jest najstraszniejsze! Pojawił się ze swoim morderczym wilkiem nagle i nie wiedzieć skąd. Żebyś widział z jaką obojętnością mordowali ludzi, którzy bronili Anicey...

– Anicey to kobieta, która jest z tobą? – Tak.

– Żona?

Mężczyzna hardo spojrzał w oczy gradiona.

– Nie – odrzekł. – Ale... – Zawahał się. – Ale moje dziecko w sobie nosi.

– Jest brzemienna? – zdziwił się gradion. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego kobieta wychodziła z karety zgięta wpół.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. W szczelinie pojawiła się okrągła twarz oberżysty.

– Przepraszam, panie – zwrócił się do nieznajomego. – Z waszą niewiastą źle bardzo.

Czoło przybysza zmarszczyło się, spojrzał przeproszająco na dowódcę żołnierzy.

– Prowadź! – nakazał oberżysty i poszedł za nim.

Gradion również wszedł do głównej izby i w milczeniu odprowadzał ich wzrokiem. Nie poszli po schodach, jak można było się spodziewać, skoro na górze znajdowały się pokoje gościnne, lecz w stronę kuchni.

Nie tylko gradion patrzył za nieznajomym, ale i wszyscy siedzący przy stołach żołnierze, najwyraźniej podnieceni całą tą historią. Ordynans Czewsker podszedł do swego dowódcy.

– Co robimy, panie? – zapytał.

Gradion powiódł wzrokiem po sali, oceniając stan swoich ludzi. Długo milczał i przez cały ten czas nikt nie drgnął, wyczekując odpowiedzi.

– Zabić mocno okiennice! – powiedział gradion. Przywykli do posłuszeństwa żołnierze nawet nie mruknęli, ale ten i ów wymienił zdziwione spojrzenie.

– Koniec żarcia i picia – kontynuował dowódca. – Komu w głowie szumi, na dwór, ochłonać, albo i wiadro wody na łeb wylać! Broń przygotować. Łucznik na piętro!

Po ostatnich słowach od jednego ze stołów poderwał się drobny mężczyzna w lekkiej, przykrótkiej misiurce. Wydobyl z kąta dwa łuki, zabezpieczone na końcach miękkimi, związanymi Twarz Rollinamana ponownie się skrzywiła.

– Rób jak chcesz. Daję ci wolną rękę.

Gradion skinął głową.

– Trzech zmieni wartownika – zakomenderował żołnierzom. – I baczyć mi na drogę! Najmniejszy ruch, od razu do mnie. Reszta na miejsca, ale piwo pić z umiarem.

– A ty, panie, pozwól ze mną. – Wskazał przybyszowi przyległą izbę. – I nie sięj paniki, bo moich ludzi nie wystraszysz, a ośmieszysz się tylko.

– Nie to było moim zamiarem – odparł pośpiesznie mężczyzna. – Niebezpieczeństwo jest prawdziwe.

Gradion przymknął drzwi.

– Co to za stwór jest z tym rycerzem? – spytał cicho. – Och, dzięki! – powiedział przybysz z wdzięcznością. – Już myślałem, że zginać nam tu przyjdzie. Jednak śpieszyć się trzeba...

– Warty rozstawione. – Gradion uniósł rozwartą dłoń w uspokajającym geście. – Teraz mów, żebyś wiedział co należy czynić!

– To stworzenie jest chyba bestią z samego dna piekła. Zrazu wygląda niepozornie, znacznie mniejsze od wilka, choć pysk podobny i sierść stalowa jak u wadery, gdy przed zimą włos zmienia. Szybsze jest od błyskawicy, nie zdążysz powieką ruszyć, a już w innym miejscu stoi. W ślepiach jakiś blask upiorny. Zębiska jak stalowe gwoździe!

– Nie gorączkuj się tak, panie. – Ręka gradiona spoczęła na ramieniu mężczyzny, który drżeć począł, choć w oczach więcej miał wściekłości niż strachu. – Wierzę ci i nie wątpię w twą odwagę, wszak byłem świadkiem owej jazdy straceńczej, której bez powodu nikt komu życie miłe by nie prowadził. Ale, bez urazy, proszę, w tym punkcie chyba nieco ponosi cię fantazja.

– Sam bym nie wierzył, gdybym nie widział.

– A ten tajemniczy rycerz? Kim jest?

– Nie znam go ani nigdy o nim nie słyszałem.

– Dlaczego więc cię ściga?

Nie wiem, panie. – Nieznajomy uniósł ku niebiosom umorusaną błotem twarz.

Z włosów wciąż kapały krople wody. – To jest najstraszniejsze! Pojawił się ze swoim morderczym wilkiem nagle i nie wiedzieć skąd. Żebyś widział z jaką obojętnością mordowali ludzi, którzy bronili Anicey...

– Anicey to kobieta, która jest z tobą? – Tak.

– Żona?

Mężczyzna hardo spojrzął w oczy gradiona.

– Nie – odrzekł. – Ale... – Zawahał się. – Ale moje dziecko w sobie nosi.

– Jest brzemienna? – zdziwił się gradion. Dopiero teraz zrozumiał, dlaczego kobieta wychodziła z karety zgięta wpół.

Nagle ktoś zastukał do drzwi. W szczelinie pojawiła się okrągła twarz oberżysty.

– Przepraszam, panie – zwrócił się do nieznajomego. – Z waszą niewiastą źle bardzo.

Czoło przybysza zmarszczyło się, spojrzął przepaszająco na dowódcę żołnierzy.

– Prowadź! – nakazał oberżyste i poszedł za nim.

Gradion również wszedł do głównej izby i w milczeniu odprowadzał ich wzrokiem.

Nie poszli po schodach, jak można było się spodziewać, skoro na górze znajdowały się pokoje gościnne, lecz w stronę kuchni.

Nie tylko gradion patrzył za nieznajomym, ale i wszyscy siedzący przy stołach żołnierze, najwyraźniej podnieceni całą tą historią. Ordynans Czewsker podszedł do swego dowódcy.

– Co robimy, panie? – zapytał.

Gradion powiódł wzrokiem po sali, oceniając stan swoich ludzi. Długo milczał i przez cały ten czas nikt nie drgnął, wyczekując odpowiedzi.

– Zabić mocno okiennice! – powiedział gradion. Przywykli do posłuszeństwa żołnierze nawet nie mruknęli, ale ten i ów wymienił zdziwione spojrzenie.

– Koniec żarcia i picia – kontynuował dowódca. – Komu w głowie szumi, na dwór, ochłonać, albo i wiadro wody na łeb wylać! Broń przygotować. Łucznik na piętro!

Po ostatnich słowach od jednego ze stołów poderwał się drobny mężczyzna w lekkiej, przykrótkiej misiurce. Wydobył z kąta dwa łuki, zabezpieczone na końcach miękkimi, wiązanymi rzemieniami pochawkami. Większy łuk, o drewnianym pręcie, zarzucił sobie na ramię, bacząc, by cięciwa oparła się dokładnie o specjalne wzmocnienie kolczugi; drugi, wykonany z rogu, trzymał w ręku. Za łucznikiem podążył pachołek,

dźwigający kołczan i skórzaną torbę. Weszli po schodach i usadowili się na górze, przy pionowej belce, do której przymocowano zabezpieczającą piętro balustradę.

Przepatrując strzały, zapasowe kije i groty, łucznik z niejakim żalem skonstatował, że niewiele ich zostało po niedawnym polowaniu.

Za kuchnią znajdował się pokój kucharki. Tak go wciąż jeszcze nazywano, chociaż ostatnia kucharka, która w nim mieszkała, oddała ducha jeszcze w czasach, gdy młody Rozkoper obrywał od ojca po uszach, za zbyt opieszłą obsługę gości. Teraz pokój służył najwyżej jako miejsce odpoczynku dla żony oberżysty, Talii, w tych niezwykle rzadkich chwilach, gdy jacyś nocni goście odwiedzali zajazd.

– Chłopiec! – powiedziała Talia Rozkoper, gdy jej mąż wszedł do izby w towarzystwie szalonego stangreta. Na rękach trzymała zawiniątko, z którego dobiegało słabe kwilenie. – Wcześniak, ale silny aż dziw bierze. Przeżyje, ani chybi.

– Żona zna się na tym – uspokoił mężczyznę oberżysta. – Niejeden poród odbierała, a i ludziska ze wsi przychodzą, gdy ich jakieś choróbsko dopadnie. Zioła zna jak czarownica jakaś. – Zarechotał, ale natychmiast umilkł, zgaszony ponurym spojrzeniem.

– Co z Anicey?!

Talia Rozkoper pokręciła głową.

– Nie wiem – powiedziała, spuszczać wzrok. – Na razie żywa. Ale, po mojemu, szanse małe. Mogę się mylić. – Uniosła głowę i spojrzała w oczy mężczyzny. – Nie raz tak bywało.

– Róbcie co się da. – Sięgnął za pazuchę, potem za drugą, w końcu wyjął małą sakiewkę. – To wszystko, co mam. Będzie więcej, jeśli przeżyje... I jeśli my wszyscy przeżyjemy – dodał grobowym głosem, aż dreszcz przeszył gospodarzy zajazdu.

– Nie trzeba, panie – powiedziała cicho kobieta. – Co można było zrobić, zrobiłam. Teraz czekać tylko trzeba.

– Ale jeśli taka wola... – zakończył bardziej przedsiębiorczy oberżysta.

* * *

Drzwi się otworzyły. Do sali wpadł przemoknięty wartownik.

– Jakiś ruch na drodze! – zawołał.

Żołnierze zerwali się z miejsc, zgrzytnęło kilka wyciąganych z pochw krótkich mieczy. Jeśli początkowo traktowali wydarzenia wieczoru jako urozmaicającą ciekawostkę lub z lekceważeniem – jak czynił to młody książę Rollinaman – postawa doświadczanego dowódcy w znacznym stopniu zmieniła ich nastawienie.

– Spokój! – powstrzymał ich gradion. – Czekać! Sam sprawdzę, bo jeszcze który zarznie bogom ducha winnego podróżnego. Czewsker, za mną!

Huragan i deszcz wciąż nie słabły. Jeśli nawet burza się oddalała, to czyniła to bardzo opieszale. Gradion podszedł do wartowników, stojących przy zdewastowanej przez upadającą karetę bramie. Obaj wyglądali na bardzo przejętych, miecze trzymali w pogotowiu.

– Tam! – rzekł jeden z nich. – Rycerz! Tak jak gadał ten strachajło.

Drogą podążała ciemna, zwalista postać, przyobleczona w bojowy pancerz. Pieszono. Raz nikła w nieprzeniknionym mroku, to znów pojawiała się w świetle błyskawic, i w tych momentach widzieli, jak prze naprzód, poprzez błoto i kałuże, nie zważając wcale na przeszkody. Posuwała się zadziwiająco szybko, prawie biegła, co zważywszy na niewątpliwy ciężar żelaznego ubioru, musiało być nie lada wyczynem. Lecz jej ruchy były dziwnie kanciaste, pełne nagłych zrywów i zwolnień. A może tak tylko wydawało się w migającej rozbłyskami nocy.

– Stój, w imieniu księcia Rollinamana! – krzyknął gradion, gdy rycerz był już blisko. Uniósł rękę z mieczem, tak by broń była dobrze widoczna.

Postać w zbroi nie zareagowała. Nie zwolniła nawet na moment, jakby w ogóle ich nie widziała. Ani nie słyszała wołania.

Szła wprost na nich, gdy nagle nocne niebo rozorała ogromna błyskawica, pokrzywiona niczym korzeń mandragory. Piorun uderzył niemal natychmiast. Huk był tak potężny, że zadygotała ziemia. Ordynans Czewsker przewrócił się, a obaj wartownicy zgięli w pół, łapiąc się za skronie. Gdzieś z tyłu, od strony oberży, dobiegł brzęk sypiącego się szkła. Gradion wytrwał. Utrzymał się na nogach, cofnął może tylko o krok i potrząsnął ogłuszoną głową.

Piorun trafił w rycerza.

Jego pancerz rozżarzył się do czerwoności. Zapłonął żywym ogniem trzymany w zbrojonej rękawicy miecz. Z miejsca, gdzie żelazne stopy stykały się z ziemią, dobiegł głośny syk i kłęby pary wzbijały się w powietrze. W parę zamieniał się również padający na zbroję deszcz.

I wtedy zdumiony gradion dostrzegł, że rycerz poruszył się. Jeden krok. Następny. Przy każdym następował kolejny syk i wzbijały się nowe kłęby pary. Był coraz bliżej.

– Do chałupy! – krzyknął gradion. – Biegiem!

Wartownicy zerwali się, jakby tylko czekali na ten rozkaz. Gradion zwlekał jeszcze, dając czas Czewskerowi, podnoszącemu się z błota. Chwycił go wolną ręką za ramię i już biegli, pochyłem, w stronę światła sączącego się przez otwarte drzwi, w których tłoczyli się zaniepokojeni żołnierze.

Nagle wysoki dźwięk przebił się przez burzę – jakby rozpaczliwe szczeknięcie zarzynanego psa. Coś wyskoczyło z ciemności i uderzyło biegnącego na przedzie człowieka. Wartownik upadł, charcząc, podążający za nim towarzysz nieomal potknął się o niego, lecz zdołał złapać równowagę. Przystanął, rozglądając się w panice dookoła. Gradion z ordynasem minęli ich, pierwszego leżącego nieruchomo, z rozerwanym gardłem, drugiego wymachującego bezładnie mieczem, walczącego z czymś, czego w ogóle nie dostrzegliby w mroku, gdyby nie żarzące się małe oczy.

Wpadli do oberży.

– Zamykać! – wrzasnął gradion zwierzęcym głosem, jakiego nigdy jeszcze u niego nie słyszeli.

Rycerz był tylko kilka kroków za nim.

Wykonali rozkaz, nie zważając na zbroszonego krwią drugiego wartownika, który jeszcze czołgał się ostatkiem sił w ich stronę, choć na jego plecach kłębił się szary kształt, szczerzący zęby niczym drapieżna ryba.

Zatrzasnęli rygiel w ostatniej chwili. Zaraz ciężkie ciosy poczęły padać na grube, dębowe drewno, a w pewnej chwili pojawiła się końcówka miecza, trafiając w szczelinę między wyschniętymi deskami.

– Książę na górę i nie ruszać się stamtąd! – ryczał gradion, na bok odkładając etykietę. – Czterech idzie z nim, pilnować jak własnej duszy! Uważać na dach! Reszta zostaje tutaj. Rozstawić się! Baczyć na okna!

– Łucznik!

– Jestem, panie!

– Jeśli wejdą, mierz w zwierzaka! Na rycerza nie zwracaj uwagi, my się nim zajmujemy! Mierz w paskudę, czymkolwiek jest. Jasne?!

– Tak jest! – zawołał zza górnej balustrady łucznik, odbierając strzałę od trzęsącego się ze strachu pachołka.

Nie czekali długo. Wszelkie rachuby, co do tego, czy prędzej pęknie drewno drzwi, czy wyszczerbi się miecz napastnika, okazały się chybione. W pewnej chwili wyskoczył bolec górnego zawiasu. Przez czas jakiś jeszcze trzymał zawias dolny, a przede wszystkim rygiel z drugiej strony ościeży, wkrótce jednak, wciąż atakowane silnymi uderzeniami drzwi poddały się. Wpadły do środka, przekrzywiły się i zawisły na zwichrowanym ryglu.

Zapadła niesamowita cisza. Wszyscy w oberży wstrzymali oddechy, ale nic się nie działo. Z ciemnego otworu dochodził jednostajny szum deszczu i dalekie grzmoty. Nagle gdzieś bliżej strzelił piorun i niemal w tym samym momencie do jasno oświetlonej izby wskoczył kot. Wielki, zdziczały kocur, ze zdeformowanym pyskiem. Tak się

przynajmniej w pierwszej chwili wszystkim wydawało, tyle było gracji i delikatności w ruchach stworzenia.

Świsnęła strzała łucznika. Zaraz potem druga, z rogowego łuku. Ci, którzy przeżyli, różnie o tym później opowiadali. Jedni, że łucznik po prostu dwa razy chybił, inni, że kocur uchylał się w ostatniej chwili, co w świetle dalszych wydarzeń wcale nie wyglądało tak nieprawdopodobnie. Jakakolwiek nie byłyby prawda, obie strzały, zamiast utkwąć w celu, wbiły się tylko w podłogę. Zwierzę wyszczerzyło kły. Teraz nikt już nie wzięby go za kota.

Śmignęło obok żołnierzy, w dwóch gigantycznych susach pokonało schody. Łucznik cudem jakimś zdążył po raz drugi naciągnąć ciężką rogowego łuku i strzelił. Tym razem celniej, choć niestety daleko od doskonałości. Strzała prześlizgnęła się po sierści małej czaszki i utkwiała w spiczastym uchu. Stworzenie kwiknęło tylko i już dopadło prześladowcy, wgrzyzając się wściekle w ciało. Młody łucznik strasznie krzyczał, nim wreszcie oddał ducha.

Z pokoju wypadli żołnierze pilnujący księcia Rollinamana. Ustawili się w szyku, z wystawionymi mieczami. Przerażony pacholek łucznika wił się na podłodze, pewien, że nadszedł i jego koniec. Lecz demoniczny stwór nie zwrócił uwagi na nikogo z nich, bo oto wyłamane drzwi oberży poruszyły się i do środka jął przeciskać się stalowy rycerz. Kocur przesadził balustradę, nawet się o nią nie podparłszy. Runął w dół jak sowa po łup. Wylądował na stole, przewracając kufle.

Gradion i jeden z żołnierzy próbowali powstrzymać wdzierającego się do oberży rycerza. Ordynans Czewsker podskakiwał nerwowo tuż za nimi, ale chwilowo nie wystarczało miejsca, by i on mógł włączyć się do walki. Pozostali żołnierze i pacholek z widłami otoczyli stół, na którym drapieżne zwierzę syczało i szczyrzyło czerwone od krwi zęby. Kłuli powietrze mieczami i wciąż nikt nie miał odwagi podejść bliżej jako pierwszy.

Ku zaskoczeniu gradiona umiejętności rycerza były dość mierne i w najmniejszym nawet stopniu nie dorównywały imponującemu ryszunkowi. Długi, ciężki miecz zataczał zbędne półkole, a raz nawet zahaczył o podłogę. Niejeden uczeń ze szkoły fechtunku popisałby się lepiej. Lecz mimo, że zarówno żołnierz, jak i jego dowódca, kilkakrotnie trafiali napastnika, raz nawet w głowę, skutek ciosów był żaden. Rycerz posuwał się naprzód, nie zważając na liczne razy, i raczej opędzał się od przeciwników, niż z nimi walczył. W końcu odszedł na tyle od drzwi, że znalazła się przestrzeń dla Czewskera, który natychmiast włączył się do walki.

Młody książę Rollinaman wyszedł z pokoju, niepomyślnie uwłaczającemu nieco nakazowi gradiona, choć niewątpliwie wydanemu dla jego bezpieczeństwa. Dawna

beztroska całkowicie zniknęła z arystokratycznej twarzy. Książę zbladł, widząc, co stało się z łucznikiem, lecz zachował się nad wyraz trzeźwo. Odepchnął stojącego przy balustradzie oniemiałego żołnierza i chwycił leżący na podłodze łuk. Sięgnął po strzałę.

Trafił za pierwszym razem, mimo niewygodnej pozycji. Grot utkwiał w udzie skaczącego po stole szarego mordercy, co natychmiast wykorzystał pachołek, wbijając weń widły. Nie miał czasu zdziwić się odważny sługa, że stalowe zębiska utkwili tylko w desce, bo kot już był na jego ramieniu, rozorał pazurami ubranie i ciało aż do kości, odbił się i znów stał wśród talerzy, kuflów i szklanic, wodząc wokół gorejącym wzrokiem. Nagle obejrzał się i warcząc głucho, wyrwał strzałę, wciąż tkwiącą w udzie.

Spojrzał w górę, wprost na Rollinamana. Wiedział, doskonale rozumiał, skąd nadleciał pocisk. Książę cofnął się, sztywniejac. Gwałtownym ruchem odrzucił łuk, jakby ten nagle pokrył się jadem. Stwór szczeknął.

Dostrzegając kolejną okazję, dwaj żołnierze jednocześnie zamachnęli się mieczami, ile stało sił. Kocur znów uskoczył, cudem jakimś niebywałym, a stal zniszczyła tylko stół. Minął atakujących i skoczył na plecy żołnierzowi walczącemu z rycerzem. Rozszarpał mu gardło, nim ktokolwiek zdążył mrugnąć powieką. Ciało upadło, a on stał już przy rycerzu, jak wierny pies u nogi pana, dysząc i ociekając krwią.

Ruszyli wprost na gołowąsa Czewskeera, który w porę odskoczył, przerażony jak chyba nigdy dotąd. Bardziej bał się małej wściekłej istoty niż napastnika w pancerzu, z którym przynajmniej mógł próbować się zmierzyć. Gradion zadał kolejne, celne uderzenie mieczem w ramię przechodzącego rycerza. Zgrzytnął metal. Każdy człowiek niechybnie padłby po takim ciosie, każda stal by się wygięła. Lecz rycerz szedł dalej, z nienaturalną sztywnością, pokraccznie przestawiając nogi. Kierował się ku wejściu do kuchni. Tam też skoczył szarowłosy kocur.

– Stójcie! – krzyknął nagle gradion do swoich żołnierzy.

Stójcie! – powtórzył, gdyż w tym momencie uświadomił sobie cel wtargnięcia do oberży. Że to nie na nich, przypadkowych świadkach, zależy demonim przybyszom. Obchodzą ich wyłącznie ludzie z rozbitej karety! Popatrzył na trupy: żołnierza i łucznika. Pachołek stękał, kuląc pod brzuchem rozszarpaną rękę. A na zewnątrz leżało jeszcze dwóch.

– Dość! – powtórzył. – Wycofujemy się. Wszyscy na schody! A gdyby próbowali wejść na górę, ani kroku w tył!

Postać w zbroi była już przy kuchni.

Staranowane drzwi z hukiem wleciały do środka i wtedy dwie rzeczy stały się równocześnie. Na głowę rycerza spadł potężny cios, zadany od góry ręką woźnicy z nieszczęsnej karety. A kocur śmignął do kuchni. Przemknął zarówno między nogami

swego pana, jak i napastnika, i zniknął z oczu obserwujących go żołnierzy.

Gradion nie łudził się, że desperacki atak woźnicy odniesie skutek – wszak sam nic nie wskórał, a z pewnością lepiej władał bronią i miecz miał z lepszej stali. Tak też się stało; rycerz wykonał jeden tylko krok do przodu i oddał cios, wykorzystując sytuację. Niewątpliwie rozplątałby na pół dzielnego przybysza, gdyby miecz nie zahaczył o kamienną framugę, aż sypnęły iskry, nie obrócił się nieco i dopiero sięgnął celu. Ale i tak mężczyzna padł bez ducha, a na wargach pojawiła się krew.

Rycerz podążył w głąb kuchni, w ślad za swym pomocnikiem. Było jasne dokąd poszli.

– Panie – szepnął młody Czewsker, z niedowierzaniem patrząc na gradiona. – Nie możemy tak stać. Tam są kobiety...

Stary żołnierz milczał.

– Gdzie twój honor, panie?!

– Honor? – Gradion spojrzał na piętro, na Rollinamana, młodego następcę władcy Kentgerontmontu. Ostentacyjnie wskazał ręką w tamtą stronę.

– Tam! Tam jest mój honor! A jeśli kogo gdzie indziej, osobiście powieszę go o świcie.

* * *

– Cii... – Talia Rozkoper uspokajała rozhisteryzowaną, majaczącą kobietę. Ból nie ustępował, pomimo zaaplikowanych ziól. Żona oberżysty rozwinęła płótno i położyła niemowlaka na odsłoniętych piersiach matki. Tyle tylko mogła zrobić, by ukoić ich oboje.

Zaczęła nucić piosenkę, najpierw cichutko, potem głośniejsz. Nie dla dziecka śpiewała, lecz dla siebie, pragnąc zagłuszyć dobiegające z głównej sali krzyki. Bała się. Była coraz bardziej przerażona, nie miała nawet odwagi obejrzeć się na drzwi, oddzielające tę niewielką izbę od kuchni. Przed chwilą jej mąż poszedł tam wraz z ojcem dziecka. Miała bardzo niedobre przeczucia.

Drgnęła nerwowo, gdy za ścianą coś trzasnęło przeraźliwie. Umilkła. Nie była w stanie rozluźnić ściśniętej strachem krtani. W pewnej chwili usłyszała rozpaczliwe wołanie swego męża.

– Talia! Uciekaj! Uciekaaaj!!!

Coś zachrobotło pod progiem, zaszurało po drzwiach. Dobiegł ją odgłos upadającego ciała. Nie musiała tego oglądać, by wiedzieć, że to stary, poczciwy Rozkoper, z którym przeżyła tyle lat.

Kazał uciekać! Dokąd? Kuchenne drzwi były jedynymi w tym pomieszczeniu.

Gruchnęło w deski, aż posypały się kamyki spod ościeży. Mogła zdążyć podbiec jeszcze do okna, otworzyć okiennice i wydostać się stąd. Mogła to zrobić. Zatrzymała się w pół kroku. A ta kobieta? A dziecko?

Drzwi się otworzyły, pchnięte brutalnie, wszak nie było w nich zamka.

Do pokoiku wszedł rosty rycerz z mieczem w stalowych palcach. Poruszał się z odrażającą, owadzią niezręcznością ruchów. Blachy podzwaniały przy każdym kroku. Talia Rozkoper odsunęła się pod ścianę, zeszywniała, blada na twarzy. Ale nie na nią kierowało się lico żelaznego hełmu. Napastnik szedł wprost ku jęczącej kobiecie, tulącej do siebie niemowlę. Zbliżał się powoli, krok za krokiem, aż wreszcie pochylił się nad leżącą i jednym, ruchem pochwycił dziecko. Wyprostował się, trzymając je jak psiego szczeniaka i spojrzał w stronę Talii.

Patrzyła jak zaczarowana w czarne kreski otworów na oczy w hełmie. Mogłaby przysiąc, że w ciemnej czeluści nie ma żadnych oczu. Nie ma nic. Tylko pustka.

* * *

Czekali, zdumieni panującą ciszą. W końcu młody Czewsker nie wytrzymał i ruszył ku drzwiom, prowadzony marsowym spojrzeniem dowódcy. Zaraz jednak cofnął się.

Z kuchni bezszelestnie wyszedł koci morderca.

Po raz pierwszy poruszał się powoli, niemal majestatycznie. Wyprężony ku górze ogon kołysał się zmiłowym ruchem we wszystkie strony. Zastukały żelazne buty i pojawił się rycerz.

Nie zwracając uwagi na obserwujących ich ludzi, przeszli przez salę. Kocur zatrzymał się przed wyjściem z karczmy i poczekał na swego pana. Gdy ten przeciskał się przez wyważone drzwi, zwierzę odwróciło się jeszcze. Węsząc, wyciągnęło pysk, popatrzyło po zebranych. Nikt nawet nie drgnął. Kocur szczeknął dziko. Skoczył w tył, wykonując w locie akrobatyczny przewrót. Zniknął w ciemnościach.

Kobięcy krzyk wyrwał żołnierzy z odrętwienia. Gradion pierwszy wszedł do kuchni. Ominął leżącego w progu mężczyznę. Przy drzwiach po drugiej stronie kuchni Talia Rozkoper klęczała przy swoim mężu. Żył jeszcze, ale rzeził przy każdym oddechu. Cały był we krwi.

Dziwne myśli nachodzą człowieka w ostatniej godzinie.

„Dobry był dzisiaj dzień”, myślał oberżysta Rozkoper. „Wielka szkoda, że tak się skończył. Naprawdę wielka szkoda...”. Umarł chwilę później.

Gradion wszedł do pokoiku za kuchnią. Kobieta z karety rzucała się konwulsyjnie na łóżku. Ale nie to poruszyło dowódcę, lecz leżące na środku izby, rozplątane na pół

niemowlęce zwłoki. Nawet nie było dużo krwi. Stary doświadczony żołnierz odwrócił twarz z upiornym błyskiem w oczach. Dopiero po dłuższej chwili chwycił ze stolika kraciatą serwetę i przykrył nią małe szczątki.

Wrócił do kuchni.

– Jesteś potrzebna – powiedział twardym głosem do Talii Rozkoper.

– Jemu już nie – dodał, patrząc na martwego oberżystę. – Zajmij się kobietą. Źle z nią.

Zauważył, że Czewsker klęczy przy woźnicy, od którego przybycia zaczął się cały ten koszmar.

– Żyje! – zawołał ucieszony ordynans.

Jakby na potwierdzenie jego słów, mężczyzna kaszlnął i wypluł na kaftan zakrwawiony ząb. Z pomocą Czewskera zdołał podnieść się do pozycji siedzącej.

– I jak tam, mój panie? – zapytał podchodzący gradion.

– Nie wiem. – Mężczyzna skrzywił się i chwycił za głowę. – Co się stało?

– Miałeś dużo szczęścia. Właściwie powinieneś nie żyć.

Nieznamy momentalnie otrzeźwiał. Skoczył na równe nogi.

Zachwiał się i omal nie upadł z powrotem.

– Co z Anicey?!

– Żyje – uspokoił go gradion. – Ale...

Nie dokończył. Nie miał serca powiedzieć o dziecku. Za chwilę i tak się dowie...

Wolał tego nie oglądać.

Wrócił do sali głównej. Żołnierze przynieśli już z podwórza zabłocone zwłoki wartowników i złożyli je obok trzeciego poległego towarzysza. Teraz dwóch znosiło z góry ciało łucznika. Inny opatrywał rannego pacholka. Księżę Rollinaman również zszedł już na dół, siedział poblądły na ławie i łapczywie łykał piwo.

– Zdaje się, że co najmniej niektórzy z nas zawdzięczają ci życie. Dobrze się spisałeś, dowódco – rzekł, odstawiając kufel. – Wiedz, że nie omieszkam zdać ojcu dokładnej relacji.

– Taka moja służba, panie – odparł gradion. – Rozejrzę się – zakomunikował, po czym wyszedł z oberży.

Burza wreszcie cichła. Akurat błysnęło, ale zwłoka pomiędzy błyskawicą a hukem piorunu była wyraźnie dłuższa. Deszcz też nie zaciął już tak bardzo w twarz. Dowódca podszedł do bramy. Zatrzymał się przy przewróconej karecie. Chyba zbliżał się świt, bo wyraźnie dostrzegł jaśniejszą wstęgę drogi i korony drzew na tle nieba. Gdzieś daleko uderzył piorun.

Nie wiedział, jak długo stał, może tylko chwilę, a może znacznie dłużej. Nie bał się,

że nocne demony powrócą. Wszak dostały to, po co przybyły.

Gdy powrócił do oberży, powitał go dziwnie podniecony Czewsker.

– Panie! – zawołał. – Nie uwierzysz. Ta kobieta rodzi! – Co?!

– Drugie dziecko!

Zaciekawiony gradion wszedł do kuchni, a stamtąd do przylegającego pokoiku. Talia Rozkoper stała przy łóżku, tuląc zawiniątko. Zupełnie jak poprzednio. Jakby minione chwile były tylko koszmarnym snem.

Dostrzegła gradiona.

– Bliźniak – powiedziała. – Nie wiem, jak mogłam nie zauważyć. – To przez tę burzę przekłątą. Przez... Zresztą... – Machnęła ręką. – Będzie z dziesięć lat, jak odbierałam ostatnie dwojaczki.

Niemowlę zakwiliło cichutko. – Też chłopiec! Jej głos załamał się.

Rozdział 1.

Pograżony we śnie młody człowiek, ledwie wchodzący w wiek męski, nazywał się Cartesal Crommelin. Spał bardzo niespokojnie. Dręczył go koszmar, powtarzający się nie wiedzieć już którą z kolei noc. Najpierw ktoś wołał z ciemności, z mroku, będącego tylko udziałem ślepego albo jakiego dziecko dostrzega w piwnicznych korytarzach. A potem, gdzieś w oddali, pojawiała się jasna plamka. Początkowo ledwie dostrzegalna, lecz szybko rozrastająca się niczym płomień pożerający suche gałęzie. Aż wreszcie przybierała człowieczy kształt. Wtedy Cartesal budził się z krzykiem.

Tak jak teraz.

Koszmar powoli odchodził. Wciąż trwała noc, ale ciemność nie była już nieprzeniknionym mrokiem ze snu. Przez niewielkie okno wpadała do izby księżycowa poświata i można było ogarnąć wzrokiem mnóstwo znajomych mebli i przedmiotów. Był w swojej chacie. Sam. Nie licząc psa pod łóżkiem.

Pies zazwyczaj skomlał w takich przypadkach, przerażony wrzaskiem swego pana, lecz tym razem nawet nie pisnął. Cartesal zdał sobie z tego sprawę dopiero po jakimś czasie, gdy próbował znowu zasnąć. Uderzyła go panująca cisza. Psiak był bardzo stary, wyłysiały i prawie bezzębny, dlatego gospodarz pozwalał mu nocować w izbie, choć za swą dobroć pokutował wysłuchiowaniem wiecznych stękań i posapywań. A tym razem nic. Czyżby nadszedł wreszcie jego czas?

Przewrócił się na bok i zajrzał pod łóżko. W ciemności połyskiwały fioletowosrebrzyste oczy, pałające niczym dwa znieruchomiałe świetliki. Pies zawarczał; głucho i przeciągle. Nagle szczeknął. Chyba od pół roku Cartesal nie słyszał, żeby staruszek wydał podobny dźwięk.

– Co się stało, Machacz?

Oczy cofnęły się jeszcze głębiej. Spod łóżka dobiegło ponowne, krótkie szczeknięcie.

Wówczas i Cartesal usłyszał to, co widać słuch starego podwórzowca – przytępiony, lecz wciąż sprawniejszy od zmysłu człowieka – zarejestrował o wiele wcześniej. W pierwszej chwili wydało mu się, że to wołanie mężczyzny ze snu i zimny dreszcz przebiegł przez jego ciało. Ostrożnie wstał z łóżka, czując pod bosymi stopami zimne klepisko podłogi. Odsunął firankę i próbował przeniknąć wzrokiem zaokienną ciemność.

Odeskoczył w ostatniej chwili.

Coś dużego uderzyło w okno z ogromną siłą. Posypało się szkło, trzasnęły łamane listwy i ciemna bryła wpadła do chaty. Przetoczyła się po podłodze, przewracając stolik, i znieruchomiała. Machacz ze skowytym wyprysnął spod łóżka. Przerażony usiłował dobiec do drzwi, choć przecież były zamknięte.

Leżący na podłodze kształt był najwyraźniej żywy. Sapał i unosił się nieznacznie, w rytm oddechu. Niespodziewanie rozwinął się w czworonożny kontur, wystrzelił jak z katapulty i znalazł się przy psie. Skowyt ucichł w jednej chwili, a ciało uderzonego kundla na powrót poturlało się pod łóżko.

Przez dłuższą chwilę panowała cisza. Drapieżnik ponownie zastygł w bezruchu, ledwie widoczny w mroku pokoju. A Cartesal, który był zwykłym, wiejskim młodzieńcem, nie żadnym bohaterskim wojownikiem, stał sparaliżowany strachem. Wciąż nic się nie działo, pomyślał więc, że stary pies zdążył może zranić nocnego przybysza. Ostrożnie schylił się i podniósł lampę, która spadła z przewróconego stołu. Zdołał jakoś skrzesać ogień.

Nie znał zwierzęcia, które miał przed sobą. Ktoś mógłby wziąć je za dzikiego kota, ale Cartesal jako dziecko często polował na dzikie koty i dobrze wiedział, jak wyglądają. Na pewno nie były takie duże. I nie miały takiej sierści – jakby zdrewniałej czy odlanej z żelaza.

Stworzenie patrzyło na człowieka i poruszało niedługim, skręcającym się jak żmija ogonem. W zasadzie nie wyglądało groźnie. Co prawda, dziwaczne, szarowłose futro nastroszyło się, lecz nawet zwykły, domowy kociak tak robił, chcąc odstraszyć przeciwnika. Nagle wyszczerzyło zęby, i to wystarczyło, by zmieniło się nie do poznania. Już nie kojarzyło się z kotem, może raczej z wilkiem, opętanym jakimś szaleństwem. Albo raczej z demonem ze starej legendy. Cartesal po raz pierwszy w życiu widział takie zęby. Same kły, wszystkie zaostrome na końcach.

Wtedy usłyszał wołanie. Jednak głos nie brzmiał tak przerażająco, jak miało to miejsce w nocnym koszmarze. Może dlatego, że był cichy, ledwie słyszalny. Ale to była ta sama jedna nuta, powtarzana bez końca.

Kocia istota zastrzygła uszami, z których jedno nosiło ślad dawnej rany. Najwyraźniej i ona coś słyszała. Jednym szybkim skokiem znalazła się przy człowieku. Po odsłoniętych czarnych wargach, z których skapywały krople śliny, ślizgały się białe szpikulce użębienia. Cartesal zamarł przekonany, że zwierzę zaraz rzuci się na niego. Gorączkowo strzelał wokół oczami, szukając czegoś, czym mógłby się obronić, ale na szczęście nie okazało się to potrzebne. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

Demon odsunął się. Zawrócił niechętnie, powoli, jakby z namysłem, i zaraz potem wykonał kolejny skok. Przefrunął nad parapetem, znikając w ciemnościach.

Jedynym narzędziem w izbie, które mogło nadawać się do obrony, była złamana noga od przewróconego stolika. Cartesal szybkim ruchem podniósł ją z podłogi i odsunął się jak najdalej od okna. Nasłuchiwał, czy potwór nie powróci.

Nic się nie działo. Cisza.

Zajrzał pod łóżko. Machacz leżał w kałuży krwi, z rozszarpanym bokiem. Mocz i odchody śmierdziały nie do wytrzymania. Był martwy.

Młodzieniec wyprostował się, z twarzą białą jak pergamin. Drgnął, przestraszony, gdy zza okna dobiegł odgłos przypominający szczeknięcie. Ale w ten sposób nie szczekał żaden pies. Ostrożnie zbliżył się do szczątków ościeży i wyjrzał na podwórze.

Obawy się sprawdziły. Był tam. Leżał na piasku, z pyskiem skierowanym w stronę chaty, a na widok Cartesala szczeknął raz jeszcze i wstał. Powoli podążył w stronę furki, przy której zatrzymał się i leniwie odwrócił głowę. Nawet z tej odległości dokładnie było widać dwie, gorejące ciemnoczerwonym ogniem plamki, na tle ciemnego konturu niewielkiej, lecz kształtnej głowy. Gdy Cartesal nie zareagował, zwierzę zawróciło; nagle jego ruchy ponownie stały się szybkie i sprężyste. W mgnieniu oka pokonało dzielącą ich odległość i skoczyło, ocierając się o człowieka sierścią szorstką jak tarka.

Znów szczyrzyło kły, wpatrzone w chłopca płonącymi oczami. I ponownie zastrzygło uszami, gdy z niebytu dotarło odległe wołanie. Czy to właśnie to wołanie powstrzymało go przed atakiem?

Zew! – zrozumiał nagle Cartesal. – Wezwanie.

– Dokąd?

Głos ucichł. Równie nagle jak się pojawił. Przez stulecie stali naprzeciw siebie; krzepki, wysoki młodzian i znacznie mniejsze, cuchnące i brudne stworzenie.

– Muszę się ubrać – powiedział w końcu Cartesal i poczuł się niezręcznie, że mówi do zwierzęcia jak do człowieka.

Uzmysłowił sobie, że w prawej ręce wciąż trzyma kij. Wziął go, żeby się bronić, jednak teraz, czując na sobie dziki wzrok, nie przypuszczał, żeby obrona była w ogóle możliwa. Gdy zdał sobie z tego sprawę, paradoksalnie poczuł coś w rodzaju ulgi. Strach najwyraźniej wycofał się w nieco dalsze rejony, ponieważ wybór został dokonany.

– Ubiorę się – powtórzył.

Kocur nie zareagował. Nieruchomy niczym posąg, obserwował człowieka, wdzierającego płócienne ubranie, którego czystość pozostawiała wiele do życzenia. Od jakiegoś czasu Cartesal żył samotnie i nie wystarczało mu czasu ani ochoty na drugorzędne, domowe prace.

Gdy wkładał koszulę, spostrzegł, iż skórę na lewej ręce – od nadgarstka aż do wysokości łokcia – ma zadrapaną do krwi. To w tym miejscu otarł się o niego koci demon, wskakując do chaty przez wyłamane okno.

Wyszedł przed dom. Nocny przybysz ruszył za nim, jak cień, a potem wysforował się naprzód. Wskazywał drogę. W jakiś sposób wołanie ze snu, które nieoczekiwanie stało się jawą, związało ich, choć jeszcze kilka chwil temu nie wydawało się to możliwe.

Po długim marszu dotarli do muru okalającego zamek księcia Grademieun. Tam skręcili, podążając wzdłuż nasypu przed fosą. Zachmurzyło się i zniknęły gwiazdy. Noc stała się ciemniejsza i Cartesal niewiele widział przed sobą, ale wyglądało na to, że demonicznemu przewodnikowi mrok nie przeszkadza – skakał pewnie, zwalniając tempo jedynie ze względu na biegnącego za nim człowieka.

Nagle gdzieś przepadł.

Pojawienie się dwóch strażników Wermontu było dla Cartesala całkowitym zaskoczeniem. Przypadł do ziemi, wtulił się w nią jak zakorzeniona roślina. Tutaj nocą nikt nie pytał gości o cel wizyty. Strażnicy zwykli traktować wedle swojego uznania każdego, kto zapędził się pod mury zamku. Dla niektórych wypatroszenie nocnego intruza stanowiło niezłą formę rozrywki, jak również możliwość rozgrzania zziębniętych nudną warzą mięśni. Zdarzały się już takie przypadki. Podobno dawniej, za rządów starego księcia, było to nie do pomyślenia, ale Cartesal nie pamiętał tamtych czasów. Dla niego Straż Wermontu od zawsze stanowiła zagrożenie.

Od strony nasypu mknął cień. Nadchodzący dostrzegli go dopiero wówczas, gdy runął na nich, niczym grom z nieba. Pierwszy strażnik w agonialnym odruchu chwycił się za rozdartą tętnicę szyjną. Nie zdążył jeszcze upaść, a już ciemny kształt skoczył w bok, przygotowany do następnego skoku.

Towarzysz umierającego nie stracił zimnej krwi. Stał w rozkroku, czujny, trzymając w obu rękach wyciągnięty z pochwy miecz. Wodził oczami we wszystkie strony, wypatrując przeciwnika, i gdy ten wreszcie zaatakował, zadał cios. Uczynił to w odpowiedniej, jak najbardziej właściwej chwili, by rozplatać atakującą zwierzę, mimo to stał przecięta tylko powietrze. Wilczokoci stwór był już w innym miejscu, poruszając się z niewiarygodną szybkością, wykazując refleks, przy którym ruchy człowieka były miotaniem się w mazi.

Na nic zdały się umiejętności żołnierza – nim zdołał odwrócić się w kierunku zagrożenia, poczuł w boku ostre pazury, rozrywające kolczugę. Gęsto plecione metalowe segmenty pękały jak drewniane drzazgi.

Cartesal wstał i zbliżył się do leżących ciał. Nie czuł się najlepiej, w pewnej chwili omal nie zwymiotował. Ze zgrozą patrzył na wojownicze stworzenie, wielkości średniego psa zaledwie, które w ciągu paru chwil potrafiło pokonać dwóch uzbrojonych, szkolonych do walki ludzi.

Demon.

– Jesteś demonem? – szepnął i wydało mu się, że w małych, skośnych oczach dostrzega błysk. Jakby został zrozumiany.

I nagle znowu usłyszał zew. Ten, kto wołał, nie pozwalał o sobie zapomnieć.

Schylił się i podniósł z ziemi miecz. Stał okazała się bardzo ciężka, lecz Cartesal był silnym młodzieńcem, hartującym mięśnie nie tylko podczas pracy w polu. Jak wielu młodych chłopców z jego wioski, nierzadko ćwiczył po kryjomu, okutą metalem drewnianą atrapą. Ale nigdy jeszcze nie walczył naprawdę. Niechętnym okiem patrzono, gdy wieśniacy tacy jak on używali prawdziwej broni.

Oddalili się od murów zamku i weszli w zarośla, porastające grupę skał. Kocur zniknął wśród kamieni i gdy Cartesal doszedł do tego miejsca, poczuł wiejący z dołu prąd zimnego powietrza. Szczelina albo studnia. Nie było w okolicy miejsca, którego nie spenetrowałby wraz z rówieśnikami w dzieciństwie. Znał zatem i tę kępę krzewów. Miał całkowitą pewność, że nigdy nie było tu żadnej jaskini ani niczego w tym rodzaju. Jeśli jest, to z pewnością od niedawna. Czyżby osunęła się ziemia?

Przyklęknął i zajął w ciemną czeluść. Czekają na niego połyskujące ślepie kociego towarzysza. Cartesala przeszły ciarki na myśl, że oto ma zejść bez światła w tę otchłań. Wstał, pełen rozterki. Nie! Każde szaleństwo ma swoje granice! Jednak... Nagle przypomniał sobie o czymś. Zawrócił i pobiegł w stronę murów zamku. Zabranego poległemu strażnikowi miecz ciążył mu w dłoni, ale nie zamierzał się z nim rozstawać.

Kocur zareagował natychmiast. Wyprysnął na zewnątrz i pognął za człowiekiem ogromnymi susami, jakich nie powstydziliby się umykający przed myśliwymi jeleni. Skoczył. Wydawało się, że już dosięga pazurami pleców człowieka, gdy opadł tuż obok, wyprzedził biegnącego i zastąpił mu drogę. Nastroszył się. Wyszczrzył swe niesamowite kły. Warczał głucho, a oczy zapłonęły jeszcze intensywniej; można by przysiąc, że tryska z nich gorący, żywy ogień.

Tym razem Cartesal się nie uląkł. Pojawiło się w nim przekonanie, że ten agresywny demon – choć może i z samego dna piekła – nie może go skrzywdzić.

– Idę po pochodnię – powiedział. – Strażnicy mieli ją ze sobą.

Kocur nie odstąpił.

Chłopiec silniej ścisnął w garści miecz, chociaż pomny niedawnego starcia ze strażnikami, zdawał sobie sprawę, że broń na nic się zda, jeśli zwierzak zaatakuje.

– Idę! – zawołał. Niezbyt głośno, lecz gniewnie; za to nieoczekiwanie nawet dla samego siebie.

Zrobił krok, zasłaniając się ostrzem miecza. Kocur zawarczał, jednak odsunął się; powoli, niechętnie, ale się cofnął. Idąc dalej, młodzieniec czuł na nagich łydkach jego gorący oddech.

Koci towarzysz nie odstępował go, aż doszli do zwłok strażników. Cartesal zdjął jednemu z nich pas – temu z rozerwaną szyją. Za nic w świecie nie zdobyłby się na to z drugim, którego wnętrzości wylały się spod kolczugi.

Do pasa była przytroczona oliwna pochodnia i krzesiwo. Cartesal zapiął klamry wokół własnej talii, a do dyndającej pochwy wsunął miecz. Sznur klingowy zapiął na udzie i jego młodzieńcze oblicze pojaśniało. Teraz poczuł się jak wojownik. Pełen animuszu zerwał jeszcze ze strażnika skórzany kaftan, ciepły i mocny, i włożył go na siebie.

Nagle uzmysłowił sobie, co mogłoby się stać, gdyby zastał go, tak odzianego, jakiś inny patrol. Ale mina zrzędnęła mu tylko na moment. Parsknął nerwowym śmiechem, aż kocur spojrział nań z wyraźnym zdziwieniem. Co mogłoby się stać?! Po prostu miałyby powtórkę z masakry strażników Wermontu. Żadna broń czy umiejętności nie dorównają zwierzęciu, które stało przy jego boku.

Wrócili do szczeliny. Kocur ponownie skoczył w ciemność, tym razem nie oglądając się za Cartesalem. Sierść na karku stworzenia nie sterczała już jak poprzednio, oczy straciły ognisty blask. Najwyraźniej zaufało człowiekowi, którego prowadziło.

Cartesal zapalił pochodnię i zsunął się po skale w ślad za nim. Spodziewał się jakiejś studni, może jaskini, ale to, co zobaczył, znacznie przewyższyło oczekiwania. Miał przed sobą płataninę zasypanych gruzem korytarzy. Wilgotnych i przesiąkniętych stęchlizną. Rozglądał się zdziwiony, zmieniając położenie pochodni, rozświetlając dalekie zakamarki, które może od wieków nie widziały światła. Nie miał pojęcia o istnieniu tych podziemi. Chyba nikt nie miał o nich pojęcia. Taka wiadomość nie ukryłaby się długo, szczególnie wśród ciekawskiej i wszędobylskiej wiejskiej dzieciarni.

Kocur prowadził pewnie, z gracją przeskakując zwały ziemi i kamieni. Omijał ślepe chodniki i nie wahał się na rozwidleniach. Najwyraźniej doskonale znał drogę, dokądkolwiek miała ona zaprowadzić.

– Gdzie idziemy? – szepnął Cartesal. Mówił do siebie, gdyż od przewodnika nie mógł się, rzecz jasna, spodziewać odpowiedzi.

W pewnej chwili utknął w szczelinie, przez którą się przeciskał, i zwątpił w sens tej wędrowki, ale wówczas raz jeszcze dotarło do niego wołanie. Zew ze snu, od którego wszystko się zaczęło. A może to było tylko złudzenie...?

Czasami napotykali ślady ludzkiej działalności: wybite w kamieniu nisze, wyłupane półki, nawet misy na olej i gniazda na pochodnie. Konstrukcja i rozmiar katakumb wskazywały na ich naturalne, erozyjne pochodzenie, lecz niewątpliwie niegdyś gospodarował tu człowiek. Cartesal usiłował nie stracić orientacji, zakrętów nie było wiele, i wciąż miał wrażenie, że podążają za nim zamkowi księcia Grademieun.

Kocur zatrzymał się.

Byli w dużej jaskini, z podłożem wymyтым przez wodę i płaskim jak posadzka dworskiej komnaty. Z góry zwisały potężne narośla stalaktytów, mokre od wilgoci,

prawie żółte w blasku pochodni. Z większości z nich systematycznie skapywały grube krople wody. Teraz, gdy stanęli, echo przestało odpowiadać na odgłos kroków, i wydawało się, że ten dźwięk jest jedynym, jaki istnieje na świecie. Posepny majestat pieczary przywodził na myśl wielki grobowiec. Miejsce spoczynku dla tych, którzy nieopatrznie tu zawitali – niegdyś, teraz, i w przyszłości.

Człowiek i przycupnięte u jego stóp zwierzę tkwili nieruchomo, upodobnieni do postaci zastygłych w rzeźbione kunsztownie stalagmity. Jakby rzucił na nich czar ten spokój wieczności, traktującej z pogardą świat ponad wielometrową warstwą ziemi i skał.

Cartesal zachwiał się, uderzony nagłym bólem głowy. Omal nie wypuścił pochodni z rąk, tak niespodziewany był to cios, i tak pożądlivy. Władczy. Magiczna moc, wdzierająca się w umysł. I nie tylko tam – ciało również poddało się tej sile. Coś niewidzialnego pociągnęło go ku ukrytej w cieniu skalnej ścianie. Przycisnęło zachłannie, jakby zamierzało wepchnąć go w kamień. Zespolić z nim w jedno. Pod brzuchem – nieosłoniętym porozpinanym kaftanem – czuł chropowatość skały. Ostre krawędzie wbijały się w skórę na twarzy; nie potrafił ruszyć szyją, żeby temu zapobiec. Ręce miał rozpostarte szeroko, jakby nedorzecznie zamierzał objąć nimi ogromną, ścienną płaszczyznę.

Niepojęty napór zelżał równie nagle, jak się pojawił. Oszołomiony Cartesal, pozbawiony podparcia, upadł na ziemię. Podniósł pochodnię, która na szczęście nie zgasła, i obejrzał się na kociego towarzysza. Ten ze spokojem obserwował zmagania człowieka, siedząc z podkurczonymi tylnymi łapami, zupełnie jak pies. Pewnie wiedział więcej od wiejskiego chłopca. A może tylko zwierzęcemu instynktowi obce były wątpliwości.

Cartesal dotknął ręką ściany, do której przed chwilą przykuła go nieznana moc. Ten fragment różnił się od reszty, nie był wygładzoną przez wodę powierzchnią. Szereg kamieni – ułożonych ciasno, jeden przy drugim, i powiązanych jaśniejszym spoiwem – nie został jeszcze dotknięty zaawansowaną erozją. Był znacznie młodszy. Całość tworzyła wyraźny prostokąt, o wysokości przewyższającej nieco wzrost człowieka.

Umocował pochodnię w wyłomie i wyjął z pochwy miecz. Usiłował podważyć nim któryś z kamieni, ale nie na wiele to się zdało. Potrzebne były znacznie prostsze narzędzia. Na przykład kilof albo porządne przecinaki. Uderzył silniej, aż zgrzytnęło i prysnęły iskry. Ciemne korytarze przejęły ten dźwięk. Przekazały go sobie, wzmacniając wielokrotnie, jakby nagle waliły się mury. Jakby kamienne lawiny zasypywały wszystkie korytarze.

Przestraszony Cartesal obejrzał miecz. Na szczęście stal była dobrej jakości i się nie wyszczerbiła. Schował broń i spostrzegł, że pochodnia przygasa. W kanaliku wypalał się

olej.

– Wróć tu! – szepnął, a echo kilkakrotnie powtórzyło tę wiadomość.

Teraz wiedział już, na czym ma polegać jego zadanie. Miał dostać się do tej zamurowanej niszy i coś z niej wydobyć. Zważywszy na okoliczności, musiało to być coś naprawdę niezwykłego.

Przeszedł obok kocura, który tym razem nie zareagował agresją na odwrót człowieka. Nie wiadomo, czy rozumiał wypowiedziane słowa, czy też ufał już Cartesalowi bez zastrzeżeń.

Rozdział 2.

Wioska Santerav, położona przy ruinach Starego Miasta, ongiś znacznej wielkości grodu, była biedna i ludzie żyli tu nędznie, choć rąk i chęci do pracy nie brakowało. Najazdy jedyne go zewnętrznego wroga, Pana Kentgerontmontu z rodu Rollinamanów, co prawda niezbyt częste, niejednokrotnie kończyły się sukcesem wroga. Miało to, niestety, określone konsekwencje.

Władca Wermontu, księżę Grademieun, który tytuł i nazwisko odziedziczył po świetnych przodkach, był stary i słaby. Nie potrafił bronić swych ziem. Zresztą, nie potrafił tego robić i w przeszłości, gdy ciało miał młode, a krew gorącą. Był tyranem, jak wszyscy w jego linii po mieczu, lecz ta forma sprawowania władzy obróciła się przeciwko niemu, co nigdy przedtem nie miało miejsca.

Tego dnia ci spośród mieszkańców Santerav, którzy zdążyli już zakończyć pracę w polu, z ciekawością wyglądali przez okna swoich chat. Przyczyną zainteresowania było trzech jeźdźców, strażników Wermontu, którzy niespodzianie zawitali do wioski. Widok odzianych w skórzane kaftany zbrojnych budził niepokój. Księżę Grademieun niejednokrotnie już kierował żołnierskie miecze przeciw swym poddanym.

Konni jechali w milczeniu przez opustoszałą z nagłą osadę. Tkwili w siodłach sztywno wyprostowani, wszyscy w jednakiej pozycji, w jednej ręce trzymając krótkie wodze, drugą opierając na rękojeściach zatkniętych za pasem krótkich mieczy. Wiedzieli, że obserwują ich dziesiątki oczu, ale dawno już do tego przywykli.

Zatrzymali się przed chałupą chłopą pełniącego obowiązki Naczelnika Santerav. Zdumiało ich, że nie wyszedł im naprzeciw, co wszak było jego psim obowiązkiem, a w dodatku zaszczytem. Czekali jeszcze chwilę, ale wciąż nikt się nie pojawiał. Najwyższy rangą dał znak dłonią jednemu z podwładnych, a ten skinął głową i zsiadł z konia. Wymienili kilka słów i strażnik wszedł na podwórze, przeskakując wyłamana furtkę. Zakołatał pięścią do drzwi chaty, a gdy odpowiedziała mu cisza, obszedł ją od strony ogrodu.

Pod drzewem coś leżało, zawinięte w stary pled. Strażnik nie zwróciłby na to uwagi – wiele przedmiotów walało się tu i tam – gdyby nie duża, rdzawa plama na kocu. Zbliżył się, chwycił za brzeg i zamaszystym ruchem ściągnął koc. Ujrzał psa. Martwego, z paskudnie rozharatany boki.

Skrzywiwszy się z odrazą, strażnik na powrót narzucił pled na padlinę. Zauważył rozbite okno. Ostre odłamki sterczały z futryny, a reszta szkła, jeszcze nie uprzątnięta, leżała w trawie. Niezły bałaganiarz z tego Naczelnika, ocenił.

Podszedł do okna i zajrzał do chaty. Tu było jeszcze gorzej: przewrócony stół,

chyba strzaskany, mnóstwo drobiazgów i śmieci na podłodze. Jakby przeszedł tędy całkiem pokaźny huragan. Na łóżku ktoś leżał na wznak. Chrapał.

– Hej! – huknął strażnik jak z armaty.

Śpiący natychmiast usiadł na łóżku. Młody chłopak, może osiemnastoletni.

Dostrzegłszy strażnika, momentalnie otrzeźwiał.

– Gdzie Crommelin? – spytał strażnik, odsuwając się nieco, żeby nie pokaleczyć twarzy o wystające szklane odłamki.

– Już idę. Już otwieram! – zawołał pośpiesznie chłopak. Wyskoczył z barłogu i wdział spodnie.

Strażnik wrócił na podwórze. Skinął do dowódcy głową, potwierdzając, że kogoś znalazł.

Wreszcie w drzwiach chaty pojawił się zaspany młodzian. Był krzepki i wyrośnięty jak na swój wiek. Niepewnie zbliżył się do przybyłych.

– Gdzie Naczelnik? – powtórzył pytanie strażnik.

Na chłopięcej twarzy pojawiło się coś w rodzaju ulgi. – Ojciec nie żyje. Umarł w zeszłym tygodniu... Myślałem... Myślałem, że wiecie.

Strażnicy popatrzyli po sobie, wyraźnie zaskoczeni.

– A kto jest nowym Naczelnikiem?

– Nikt. Jeszcze nie wybrano. Chłopy w polu. Żniwa...

– Niedobrze. Wioska musi mieć Naczelnika. Jak może nie być Naczelnika? –

W głosie mówiącego pojawiła się złość. – Wyobrażasz to sobie? Z kim mam teraz rozmawiać? Z tobą?

Młodzieniec speszył się.

– Tak, wiem... Ale... To nie moja wina.

– A czyja?! – krzyknął strażnik, po czym dodał już spokojniej: – Jak się nazywasz?

– Cartesal Crommelin.

– Co tu się stało? – Strażnik wskazał na chatę.

– Ach, too... – Cartesal się zawahał. – W nocy stara jabłoń spadła prosto w okno...

Strażnik parsknął śmiechem.

– I na psa – skomentował, wciąż rozbawiony. – A to ci farciarz z niego!

Nie pytał więcej. Odwrócił się i wyszedł na drogę. Dosiadł wierzchowca.

– Idziemy! – ponaglił dowódca.

– Prowadź do domu Niterte, Cartesal.

– Niterte?

– Prowadź!

Dzień był ciepły, słoneczny. Chociaż dobiegał już końca, upał wciąż dawał się we

znaki. Młody Crommelin, prowadzący drogą trzech strażników Wermontu, stał się w jednej chwili przyczynkiem najróżniejszych przypuszczeń ze strony tych, którzy obserwowali ich ze swych chałup. Nikt nie słyszał jego rozmowy z żołnierzami księcia, nie wiedziano zatem, dokąd zmierzają, i każdy oddychał swobodniej, gdy minęli ich dom.

– To tutaj – oznajmił Cartesal, zatrzymując się przed zaniedbanym, zniszczonym płotem. – Niterte mieszka z synem – dodał.

– Wiem. – Strażnik skinął głową. – Poratorn. Łatwo zapamiętać, bo to książęce imię.

– Szlachetne jak na wieśniaka... – rzekł cicho Cartesal, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa.

– Hej! – krzyknął dowódca strażników, kierując konia przed bramę. – Otwierać!

Z woli Pana Wermontu!

Z chaty wybiegł mężczyzna i, nie zwlekając, skwapliwie rozwarł wrota.

– Wielki to zaszczyt – powiedział, połykając sylaby. – Wielki... Czego książę od nas oczekuje?

– Gdzie Niterte? – Strażnik go zignorował.

– Jest, szlachetny panie, matka jest w domu, bardzo proszę.

– Zaraz... – Strażnik zawahał się. – Ty jesteś Poratorn?

– Tak, panie. – Gospodarz powtórzył zapraszający gest.

– Nie. Nie będę wchodził do chałupy.

Tymczasem drugi strażnik trącił strzemieniem stojącego tuż przy jego koniu Cartesala.

– Wracaj do siebie – polecił. – I pamiętaj, że macie wybrać Naczelnika.

Cartesal odszedł. Z ulgą z jednej strony, z niechęcią z drugiej, gdyż paliła go ciekawość. Wiedział, że ludzie będą zadawali mu pytania, a on nie będzie w stanie udzielić odpowiedzi.

– Co z tą Niterte? – ponaglił Poratorna dowódca drużyny.

W tej samej chwili z chaty wyszła przygarbiona kobieta. Była stara, z licznymi zmarszczkami na twarzy.

– Czego chcecie? – zapytała. Głos miała zachrypnięty, równie zniszczony jak ona sama.

– Z szacunkiem! – zganił ją strażnik. – Z szacunkiem do żołnierzy księcia Grademieun!

– Nie do mnie ta mowa, żołdaku. Zastraszać możecie ich – Niterte machnęła ręką ku chatom – nawet mojego syna, ale mnie nie przestraszysz. Były czasy, kiedy tacy jak ty...

– Uważaj, kobieto! – gniewny okrzyk przerwał jej wypowiedź. – Wiesz, że potrafimy uczyć dyscypliny. – Strażnik wymownie zerknął na przytroczony do siodła pejcz.

– Matko! – zawołał Poratorn.

– Nie obawiaj się – uspokoiła go Niterte. – Te wściekłe psy nic nam nie zrobią. Nie mogą, choćby chcieli. Muszą wykonać rozkaz księcia Grademieun, a on kazał nas sprowadzić.

W oczach strażników błysnęło zdziwienie.

– Skąd o tym wiesz, wiedźmo?

Niterte splunęła na ziemię.

– Wracajcie do zamku i poinformujcie łaskawie księcia, że nie chcę przyjść. Nie chcę! Tak mu powiedzcie, jeśli macie odwagę. Bo ja mam.

– Ależ... – bąknął nieśmiało poblady Poratorn.

– Cicho! Nie pojedziemy do Wermontu. Jeszcze nie teraz. Świat nie przewróci się do góry nogami, jeśli raz księżę będzie musiał poczekać.

Umilkła. Usiłowała odskoczyć, ale nie zdążyła – wyraźnie zniecierpliwiony strażnik schylił się, chwycił kobietę i uniósł jak piórko. Bezceremonialnie przewiesił ją przez łąk.

– Czy i ciebie mamy zabrać siłą? – zapytał Poratorna.

– Nie – padła pośpieszna odpowiedź. – Idę. Proszę, nie czyń krzywdy matce.

– Bądź posłuszny, to nic wam się nie stanie.

Opuszczali wieś, jadąc powoli. Na końcu szedł Poratorn. Byli już na skraju Santerav, gdy dowódca grupy, przytrzymujący szamoczącą się wciąż kobietę, zatrzymał konia. Powiedział coś do jednego z podwładnych, wtedy tamten zawrócił i pogalopował do wsi. Przed zagrodą Niterte zeskoczył z siodła. Wbiegł do chaty. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, aż wreszcie z jednego z okien zaczął sączyć się dym.

Nim strażnik dogonił towarzyszy, wysuszona, kryta słomą chałupa płonęła jasnym ogniem. Tym jaśniejszym, im niżej schodziło zachodzące słońce. Sąsiedzi wybiegli ze swych domostw, ale jedyne, co mogli zrobić, to pilnować, by pożar nie przerzucił się na ich chaty.

Pan Wermontu, spadkobierca sznura pokoleń, sięgającego początkiem dawno zapomnianych już wieków, czekał na wieści w swej audiencyjnej komnacie. Siedział na wysokim, bogato rzeźbionym krześle, pamiętającym jeszcze czasy przynajmniej kilku poprzednich władców. To krzesło nie było wyjątkiem.

Większość znajdujących się tu mebli, arcydzieł sztuki stolarskiej i zdobniczej, była stara. Stara i piękna. I wciąż zdatna do użytku, jakby wykonano je wczoraj. Tajemnicą był nie tylko kunszt rzemieślników, których kości od dawna już próchniały w grobowcach, ale i materiał, z jakiego je wykonano. Takiego drewna nie sposób uzyskać w Wermoncie, ani nawet w dalekich lasach. W latach świetności księstwa, gdy jego granice sięgały

znacznie dalej niż dziś, odwiedzali te ziemie dziwaczni kupcy, twierdzący, że pochodzą z krain położonych za wielką wodą zwaną Wschodnim Morzem, będącym tylko częścią Wielkiego Oceanu.

Ocean. Dziś już nikt nie wiedział co to takiego – poza księciem Grademieun, mającym dostęp do starych, rodowych kronik. Ale i on nie potrafił tego sobie wyobrazić, a nawet przypuszczał, że być może kronikarz zbyt frywolnie popuścił wodze fantazji.

Na podłodze, u stóp księcia, siedziała kolorowo ubrana, groteskowa nieco postać. Karzeł o ładnej, dziewczęcej niemal twarzy. Był to książęcy trefniś, niejaki Monkario, człek błyskotliwy i dowcipny, gdy grał swą rolę, lecz prywatnie mający opinię mruka i gbura. Być może to kompleksy z powodu niskiego wzrostu, powszechnie uważanego za kalectwo, były odpowiedzialne za tę dwoistość natury.

Książę milczał, więc i błazen się nie odzywał. Czekał razem ze swym panem.

Wreszcie do komnaty wszedł Arhal Tanavar, komendant Straży Wermontu i Gwardii Pałacowej.

– Idzie rycerz, bez skazy i zmazy... nocnej! – zawołał radośnie Monkario, mający najwyraźniej dość beczynności.

– Przyprawiono Niterte, książę – rzekł Tanavar. Nie zwracał uwagi na stare dowcipy. Akurat tym sam kiedyś przyciął błaznowi, co teraz bystry karzeł umiejętnie wykorzystał.

– Jest z synem?

– Oczywiście. Każesz mi, panie, zajmować się tak błahymi sprawami, podczas gdy...

To nie są błahy sprawy, mój nieoceniony Arhalcie – wtrącił zniecierpliwiony książę Grademieun. – Nie mów tak o rzeczach, których nie rozumiesz. Jesteś dobrym żołnierzem, doceniam to, ale nie sądzisz chyba, że powinienem zwierzać ci się ze wszystkich swoich planów?

– Nie, panie.

– Sprowadzenie tej niewiasty może wyglądać na kaprys starzejącego się władcy, lecz zapewniam cię, że kaprysem nie jest.

Tanavar milczał.

– Zapewne wiesz, kim w przeszłości była Niterte – podjął książę. – Wszyscy o tym wiedzą, nawet kuchenne służące.

– Rzeczywiście – przyznał komendant.

– Otóż zakaz wspominania imienia tej kobiety przestaje od dzisiaj obowiązywać. Przywracam jej dawną pozycję. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem doskonale.

– Dopilnuj, żeby to dotarło do wszystkich.

-Zwłaszcza do kuchennych służących! – pisał nadworny błazen.

– Taka jest moja wola – zaznaczył Grademieun. – Oczekuję, aby wszyscy, bez wyjątków, okazwali należyty szacunek Niterte i jej synowi.

– Twojemu synowi – rzekł Tanavar. – Jeśli już wolno o tym mówić.

– Wolno. Oznajmij to tym, którzy nie wiedzą lub nie pamiętają. Ty pamiętasz, jak widzę.

– Tak. Byłem wówczas bardzo młody, ćwiczyłem się dopiero w sztuce władania bronią. Ale nie zapomniałem, mimo twego rozkazu. Niterte była piękna. Miałeś później wiele konkubin, panie, ale żadna nie dorównała jej urodą. Choć mogę się mylić, rzecz jasna. Szczenięce wspomnienia często mijają się z prawdą.

– Nie, nie – powiedział książę, uśmiechając się nostalgicznie. – Rzeczywiście była cudownym zjawiskiem. Dopóki jej ciało nie zwiotczało, a cera nie utraciła dziewczęcej świeżości. Dlaczego kobiety starzeją się tak szybko?

– Wciąż była piękna, gdy odchodziła.

– Zapewne. Ale nie tak piękna jak... Zaraz... Kto to był po niej? Nie pamiętam.

Starość nie radość.

– Też nie pamiętam – przyznał Tanavar.

Grademieun pokręcił głową. Podszedł do komendanta i położył mu dłoń na ramieniu.

– Jak wygląda teraz? – zapytał cicho.

– Myślę, że toaleta i świetne stroje przywrócą jej choć cząstkę dawnej urody – powiedział ostrożnie Arhal Tanavar.

– Jak wygląda? – nalegał książę. – Mów śmiało.

– Cóż, jest stara i zaniedbana. Strażnik, który ją przyprowadził, powiedział o niej: wiedźma.

Ręka księcia zsunęła się z ramienia komendanta.

– Rzeczywiście jest tak źle?

– Wiele przeszła. O ile wiem, żyła w nędzy. Była zbyt dumna, żeby...

– Wiem! – przerwał krótko Grademieun. – Nie przypuszczałem, że będzie mi jeszcze kiedykolwiek potrzebna.

Zapadła cisza. Nawet błazen nie ośmielił się odezwać.

– Zaistniał pewien kłopot, panie – powiedział Tanavar.

– Tak?

– Przydzieliliś im komnaty w zachodnim skrzydle. Oni... nie chcą tam iść.

– Jak to, nie chcą?

– Właściwie Niterte. A syn robi wszystko, co ona chce. Przywieziono ją siłą, chatę spalono, jak rozkazałeś. Mówi, że jej nie dotyczą twoje polecenia.

– Wolałaby zostać w Santerav? – Książę uniósł brwi.
– Nie spodziewa się pewnie, co ją tu czeka, i być może dlatego właśnie...
– Dobrze – rzekł stanowczo książę Grademieun. – W takim razie przyjmę ją teraz i nakłonię do zmiany nastroju. – Zaśmiał się. – Jest dumna, tym lepiej. Przekonasz się, jak łatwo jest zdobyć szacunek dumnych ludzi. Sprowadź ją.

Tanavar skierował się ku wyjściu.

– Jeszcze jedno! – zatrzymał go książę.

– Słucham.

– Ten strażnik... Ten, który nazwał Niterte wiedźmą...?

– Sapeka.

– Właśnie. Każ go wychłostać.

– Oczywiście.

Zapadał zmrok i słudzy wnieśli oliwne lampy, których żółte światło rzucało długie, migoczące cienie. Delikatnie zapachniało dymem. Olej w lampach był czysty i aromatyzowany.

Gdy Niterte i jej syn stanęli w drzwiach, książę Grademieun spoczywał w wielkim, audiencyjnym fotelu. Spojrzenie, jakim obdarzył przybyłych, było pozbawione wyrazu, poza jednym może szczegółem – pewnością własnych poczynań. Były to te same oczy, które Niterte pamiętała z przeszłości. Potrafiące ukryć każde uczucie, złe czy dobre. Nigdy jednak tego, które towarzyszyło księciu od lat dziecięcych – przekonania o własnej wyjątkowości.

Grademieun milczał. W przygarbionej postaci wieśniaczki usiłował dostrzec osobę, z którą dzielił łożę. Przywołał odległe wspomnienia, lecz pamięć była pełna luk. Przez moment straszne podejrzenie przemknęło mu przez głowę. Został oszukany!

Przyprowadzono inną kobietę! Jednak gdy Niterte popatrzyła w jego oczy – śmiało, agresywnie – wątpliwości prysnęły. W rysach starej i usianej plamami twarzy, w rozrzuconych w nieładzie rzadkich włosach rozpoznał dawną kochankę. Dlaczego kobiety tak okrutnie się starzeją? – powtórzył w myślach pytanie, które wcześniej zadał komendantowi.

Obecna konkubina księcia była piękna i młoda. Jak wszystkie poprzedniczki.

– Witaj, Niterte – rzekł uprzejmie.

– Witaj, Panie Wermontu – odparła. Nieco straciła rezon. Gniew i upór, które dotąd kierowały jej działaniem, zniknęły niespodzianie. Nienawidziła księcia, a oto teraz pokornie odpowiada na powitanie. Autorytet władzy działał na nią tak samo, jak na wszystkich innych.

– Po co sprowadziłeś nas tutaj? – spytała, zwalczając lęk, który pojawił się nie

wiadomo skąd. Strach, że pomyliła się, że tak naprawdę to wcale nie wie, do czego zmierza jej dawny, arystokratyczny kochanek. Nie chodziło o odpowiedź, lecz właśnie o ten strach. Musiała coś powiedzieć, żeby go w sobie pokonać.

– Zmienił ci się głos – zauważył ksiązę.

– Miałam chore gardło. Przeszłam wiele innych, groźnych chorób, o których ty, panie, zapewne nawet nie słyszałeś. Ale co to może obchodzić...

– Masz zupełną rację – zgodził się ksiązę. – Czujesz do mnie żal. Obwiniasz za swój los.

– Żal? Ja cię nienawidzę!

Grademieun westchnął.

– Straszne słowo. Ale rozumiem cię. Miłość i nienawiść to uczucia na zawsze przypisane człowiekowi.

– Nie drwij! – Poczwała, jak ponownie ożywa w niej gniew. – Miłość? Nikt tak dobrze jak ja nie wie, że przez całe życie z niej drwiłeś. Tylko nienawiść znasz dobrze.

Ksiązę wstał z fotela.

– Odważna jesteś. I niesprawiedliwa. Koniecznie chcesz mi się sprzeciwić, chociaż nie znasz przyczyn, dla których cię wezwałem.

– Wiem, że nie chodzi o mnie.

– A o kogóż by?

– O Poratorna – odparła Niterte, głosem hardym i pewnym siebie.

Grademieun rozejrzał się po komnacie, potem zerknął na błazna, jakby szukał u niego pomocy, ale ten wpatrywał się posadzkę.

– Skąd... to przypuszczenie? – zapytał niepewnie.

Niterte roześmiała się. Z ulgą spostrzegła, jak łatwo można uzyskać przewagę w rozmowie z księciem, gdy ma się w ręku jakiś atut. Zapomniała już o tym.

– To nie przypuszczenie, lecz pewność – powiedziała. – Czekałam na tę chwilę przez lata. Modliłam się, by niebiosa nie zesłały ci potomka, by twoje konkubiny były bezpłodne lub rodziły kaleki i potwory. Umiem myśleć i przewidywać, chociaż pewnie nie spodziewałeś się tego po kobiecie, zwłaszcza takiej jak ja, przeznaczonej jedynie do dawania rozkoszy. Teraz stoisz nad grobem, a twój jedyny syn to Poratorn. Odrzuciłeś go jeszcze przed narodzeniem, przyszła jednak chwila, gdy zostałeś zmuszony, żeby sobie o nim przypomnieć. Opatrzność okazała się sprawiedliwa.

Ksiązę Grademieun wrócił na fotel.

– Podziwiam twoją przenikliwość – rzekł uszczypliwie. Poratorn przysłuchiwał się rozmowie. Wiedział, że podobno jest synem księcia; plotki krążyły jak ptaki nad świeżo zaorany polem, a i matka tego nie ukrywała. Tyle że zawsze z pogardą wyrażała się

o swojej przeszłości. Wszelkie wzmianki o ojcu uciniała krótkimi słowami nagany. I nagle teraz dowiadywał się, że nie była szczerą, że przez cały czas miała określone nadzieje i plany na wypadek ich spełnienia.

– Ile masz lat, Poratornie? – spytał ksiązę.

– Trzydzieści siedem.

Cień przemknął przez twarz władcy, gdy ten uświadomił sobie płynące lata.

– Piękny wiek dla mężczyzny – powiedział. – W sam raz, żeby zdecydować o przyszłości. Może ty mi zaufasz, Poratornie, skoro twoja matka nie chce. Bo zamierzam ofiarować ci coś, co w życiu człowieka jest najcenniejsze. Jak myślisz, co ma największą wartość na świecie?

– Życie.

Grademieun wybuchnął śmiechem.

– Racja! – Aż otarł łzę z kącika oka. – Ale to już ci dałem, nieprawdaż? Nie umiem powtórzyć wyczynu.

Speszony Poratorn zastanawiał się przez dobrą chwilę.

– Bogactwo?

– Władza – sprostował ksiązę. – Czyż nie o tym tysiące istnień ludzkich marzyły przez wieki? Czyż nie dla władzy poświęcały swe życie? Pomyśl tylko!

Poratorn kiwał głową.

– Jestem zmęczony – kontynuował ksiązę. – Nie stoję jeszcze nad grobem, jak twierdzi Niterte, ale rzeczywiście mam swoje lata. Nie mogę pozwolić, by wielowiekowe panowanie Grademieunów skończyło się wskutek nierozważnej decyzji, którą podjąłem za młodu. Rozumiesz mnie?

– Oczywiście, panie.

– Wermont i całe jego lenna mogą należeć do ciebie. Wystarczy, że będziecie mi posłuszni. Czy to tak wiele?

Poratorn nie potrafił zebrać myśli. Władza! Nawet nie wiedział, co może oznaczać tak naprawdę. Mieć wszystko. Decydować. Rozkazywać. Czy to właśnie jest władza?

„Wystarczy, że będziecie mi posłuszni”.

– Uczynię wszystko, czego zażadasz, panie.

– Ksiązę.

– Proszę? – Nie zrozumiał.

– Mów do mnie: ksiązę, nie: panie. Jesteś wysoko urodzony. Masz do tego prawo. Odwrócił się do Niterte.

– Więc jak? Czy wciąż uważasz, że ofiarowuję zbyt mało naszemu synowi?

Kobieta milczała.

– Matka tak nie uważa – powiedział za nią Poratorn.

– Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia. Jeszcze będzie z nas zgodna rodzina, jak sądzę. A zatem zamieszkacie w zachodnim skrzydle zamku. Musicie poznać dworskie życie, nie tylko ty, Poratornie, ale twoja matka również. Wiele się zmieniło od czasów, które pamięta.

– Niterte! – ponownie zwrócił się do byłej konkubiny. – Straciłaś głos czy słuch?

– Słyszę doskonale – zdecydowała się odezwać.

– To dobrze. Bo wiele oczekuję od ciebie. Musisz pokierować naszym synem, nauczyć go wszystkiego, czego jesteś w stanie. Już przygotowałem dla niego odpowiednich nauczycieli, aby był godny miana Grademieunów, ale wiem, że to nie wystarczy.

– Od początku orientuję się, jaką w swej łasce raczyłeś wyznaczyć mi rolę – odparła kobieta zmęczonym głosem. – Doskonale wiem, że jedynie istnieniu Poratorna zawdzięczam, że sobie o mnie przypomniałeś.

– Doskonale – skwitował oschle Grademieun.

Wezwał komendanta Tanayara.

– Dopilnuj, żeby rozlokowano ich wygodnie – rzekł. – A potem wracaj do obowiązków, jeśli są tak pilne, jak twierdzisz.

– Do koszar! – odważył się wreszcie odezwać mały Monkario. Na jego ładnej twarzy malował się uśmiech, bynajmniej nie łagodny.

W izbie czekał Rasmus, przyboczny Tanavara.

– Znaleziono tych dwóch wartowników – oznajmił.

– Wychłostać i na tydzień do karceru. Z jedną kwartą wody. Przyboczny pokręcił głową.

– Znaleziono ich martwych.

– Co?! – krzyknął zaskoczony komendant.

– Właśnie przyniesiono zwłoki.

– Wiedziałem! – rzekł gniewnie Tanavar. – Wcześniej czy później można się było tego spodziewać. Od pewnego czasu szpiedzy donoszą, że Kentgerontmontczycy zbierają siły. Uprzedzałem księcia, ale on nie chce słuchać. Nie chcę słuchać krakania wron, mówi... Musimy wzmocnić warty. Od dawna nalegam na wysłanie stałego szwadronu patrolującego. Albo i dwóch.

– Są forty graniczne.

– Raptem cztery. Dobrze wiesz, że przy takiej obsadzie nawet armia może przedostać się niezauważona. Szczególnie nocą.

– To prawda, ale... – Rasmus zawahał się.

– Co?

– Ci wartownicy... Ich rany wyglądają dziwnie. Powinieneś to zobaczyć, komendancie.

– Jak zginęli? – zapytał Tanavar, gdy przechodzili przez dziedziniec, zmierzając do pomieszczeń przy bramie, gdzie przywieziono zwłoki.

– Jakby rozszarpał ich niedźwiedź.

– Niedźwiedź? Tutaj?

– Wiem, że to mało prawdopodobne, ale sam zobaczysz, panie.

Pochylili się, przechodząc pod niskim łukiem sklepienia, i weszli do wartowni.

Siedzący przy stole strażnicy wstali, prężąc się słuźbiście.

– Gdzie? – zapytał krótko Rasmus.

Dowódca straży wskazał okute drzwi. Otworzyły się, skrzypiąc. Martwi żołnierze leżeli na podłodze.

– Przecież są ławy – mruknął z naganą Tanavar. – Trochę szacunku. Jutro któryś z was może być na ich miejscu.

Rasmus miał rację. Trudno wyobrazić sobie narzędzie, którym można zadać podobne rany. Mniejsza o tego z rozprutym brzuchem, chociaż i to wyglądało dziwnie, ale gardło drugiego wyraźnie zostało wyszarpane. Nienaturalnie wykręcona głowa ledwie trzymała się reszty ciała.

– Brak kurtki, pasa i miecza – zauważył komendant. – Od kiedy to niedźwiedzie ograbiają swoje ofiary?

– Może ktoś znalazł ich przed nami? – zastanawiał się dowódca straży.

– Nie przypuszczam – rzekł zimno Tanavar. – Kto? Jaki złodziej byłby na tyle głupi, żeby narażać się na podejrzenie zabójstwa strażnika Wermontu?

Nikt mu nie odpowiedział.

– Zbadajcie dokładnie ślady – polecił. – Jeśli zrobili to żołnierze z Kentgerontmontu, gdzieś powinniście znaleźć ślady koni. Nie przylecieli na skrzydłach. Zajmij się tym, Rasmus.

– Tak jest!

* * *

Poratorem niepewnie uchylił drzwi.

– Wejdz – usłyszał głos matki.

Stała na środku komnaty, twarzą do niego. Zdumiewające, jak bardzo może zmienić

się wygląd kobiety w ciągu kilku zaledwie godzin. Teraz nikomu nie przyszłoby do głowy nazwać ją wiedźmą. Bogate szaty. Długa, sięgająca podłogi suknia, niezliczone koronki i falbany. Czerwień i biel. Nawet włosów było jakby więcej, gdy uczesał je balwierz. Jej oczy lśniły blaskiem, jakiego nie widział chyba nigdy. Może gdy był mały, ale tego nie pamiętał.

Lustra powiedziały Niterte, jakiej metamorfozie uległa, jednak pomarszczona twarz i zniszczone ręce przypominały o latach w Santerav. Najgorsze były te ręce; w arystokratycznym stroju nie mogła pokazać się bez rękawiczek.

– Wyglądasz bardzo męsko – powiedziała Niterte.

Nowy ubiór odmienił również Poratorna, ale nie aż tak bardzo jak ją samą.

Mężczyzna spojrzał w dół, na opinające nogi skórzane spodnie i wysokie buty.

– Skąd mieli akurat mój rozmiar?

Niterte uśmiechnęła się.

– Tu mają wszystkie rozmiary. Nawet nie przypuszczasz, jak wielkie są garderoby. Nagromadziło się tego. Dobrej jakości ubranie da się używać nawet po stu latach. To nie płótno, które dotąd nosiłeś.

– Zawsze myślałem, że ubiór tak dopasowany do ciała musi być niewygodny.

Tymczasem czuję się bardzo dobrze.

– To doskonale. Nie chodzi o to, żebyś grał rolę księcia. Ty musisz nim być.

Poratorn drgnął, jakby uciał go giez. Popatrzył na matkę z nagłym zakłopotaniem.

– Wszystko stało się tak nagle.

– Nigdy nie ukrywałam twego pochodzenia – stwierdziła Niterte. Jej twarz również spoważniała.

– Ale zabraniałaś o nim mówić. Zabraniałaś myśleć. A ja ulegałem twojej woli. Ja... – nieoczekiwanie głos mężczyzny załamał się. – Ja czuję się wieśniakiem. – Ostatnie słowa wypowiedział znacznie ciszej.

Stara kobieta gładziła nerwowo fałdy sukni.

– Odwagi – powiedziała. – Teraz wszystko się zmieni. Jesteś następcą księcia. Być może to rzeczywiście moja wina, że nie jesteś przygotowany do takiej roli, ale nie mogłam inaczej. Moje nadzieje na powrót do zamku mogły się nigdy nie ziścić. Nie chciałam, żebyś czuł się wtedy pokonany. Nieszczęśliwy.

Poratorn zbliżył się do niej. Chwycił za rękę.

– Zdumiewasz mnie. Czy nie twierdziłaś przed strażnikami i księciem, że nie mogło być inaczej? Jakby przyszłość magicznym sposobem odkryła przed tobą swoje tajemnice?

Zacisnęła wargi.

– To była gra.

– Nieprawda. Byłaś nie do poznania. Odmieniona. Może nie zauważyłaś, ale strażnicy bali się ciebie. Komu innemu pozwoliliby na podobne zachowanie? Nawet księżę... Nawet ja...

– Ty nigdy się nie bój. Wszystko co robię, czynię wyłącznie dla ciebie. Jestem stara, ale wciąż pragnę tego, w co wierzyłam za młodu.

– No tak – skomentował zniecierpliwiony. Wypuścił z dłoni ręce matki i podszedł do okna. Twarde podeszwy nowych butów stukały po posadzce.

– A w co takiego wierzyłaś? – zapytał, nie patrząc na nią. Westchnęła.

– To długa historia.

– Wiedziałem. – Odwrócił się.

– Co takiego...

– Że kryjesz coś w zanadru. Zawsze coś kryjesz.

– Chcesz wiedzieć? Już teraz?

– Zawsze chciałem.

Niterte spoglądała na syna, zastanawiając się od czego zacząć. Wreszcie zaczęła mówić.

– Księżę kochał nie tylko moje ciało. Kochał mnie naprawdę. Przy mnie obnażał swoje lęki i słabości, wszystko co ukrywał pod maską tyrana. Wcale nie był tak silny, jak starał się okazywać. Ani mądry. Potrafił tylko ładnie mówić. Czy upadek Wermontu nie jest tego dowodem?

– Nigdy nie byliśmy silnym księstwem.

– Mylisz się. Ale nie przerywaj mi, skoro już zdecydowałam się mówić. I tak musisz się kiedyś dowiedzieć, więc może teraz nadszedł właściwy moment...

Będąc tak blisko księcia, miałam dostęp do dokumentów stanowiących rodową tajemnicę Grademieunów. A przede wszystkim do kroniki władców Wermontu. Nie wiem, czy księżę prowadzi ją nadal, czy też zaniechał zapisków, ale to już nieważne. Czytałam tę wiekową kronikę, oczywiście w tajemnicy. Nawet Grademieun nie ma o tym pojęcia. Poznałam w ten sposób niezwykłą historię. Słuchaj uważnie, Poratornie.

Dwieście dwadzieścia lat temu nasz kraj przeżył wielką przemianę. Był to punkt zwrotny w dziejach Wermontu jako księstwa. Mogliśmy stać się potęgą, przy której Kentgerontmont byłby jak iskra w świetle wielkiego ogniska. Być może sięgnęlibyśmy do krain za Wschodnim Morzem, były takie plany. Ale ta szansa została zaprzepaszczona, z powodu walki dwóch ludzi, których nazywano Mageotami. Znasz to imię, prawda? Czarownik sprowadzający nieszczęścia i pożerający niemowlęta. Najbliższy przyjaciel Szatana. Znasz imię, budzące strach, ale czy spotkałeś kogoś, kto widział człowieka, do którego ono należy? Wszystko, co wiesz, to gminne opowieści, powtarzane przez bazarzy

ku ucieście pospólstwa. To tylko historyjki, prawie w całości powymyślane. Mageot oznacza, „Przenoszący Magię”. Nie używający jej, czyniący kuglarskie sztuczki, lecz właśnie przenoszący. Mageot oczekuje swego czasu; czeka, aż przyjdzie jego kolej, ale nie wie, jak długo przyjdzie mu czekać ani czego tak naprawdę wyczekuje.

To nie on włada magią. Magia włada nim. Jest człowiekiem, jak ty czy ja, narodzonym z kobiety i śmiertelnym, i wcale nie umie rzucać uroków ani czynić czarów, jak wmawiają ludowi bazarze. Moc ujawnia się w nim w różnych chwilach, najczęściej w sytuacjach zagrożenia, ale również i w tych najmniej oczekiwanych, nic nie znaczących. Zdaje się, że nawet sam nie jest w stanie takich momentów przewidzieć.

Opowiem ci historię, którą znam z rodowej księgi Grademieunów. Wiele zrozumiesz, gdy ją poznasz.

Przed dwoma wiekami Wermont wyglądał zupełnie inaczej. Samo miasto było znacznie większe i znajdowało się w miejscu, gdzie obecnie leżą ruiny Starego Miasta. Przypuszczam, że Santerav było wówczas jego przedmieściem. Tak więc Stare Miasto to właśnie dawny Wermont, a raczej to, co z niego zostało, gdy pewnego dnia został obrócony w perzynę. Ale po kolei... Ówczesny Pan Wermontu miał małżonkę, imieniem Niterte, kobietę niezwykle urodziwą i wykształconą, godną noszonego, książęcego tytułu. Urodziła syna, któremu dała imię Poratorn. Był to chłopiec milczący, zamknięty w sobie, ale o niespotykanej u dzieci mądrości, wprawiającej w zakłopotanie niejednego nauczyciela. Gdy liczył siedem lat, księstwo Wermontu znajdowało się u szczytu swej świetności i wszystko wskazywało, że szczyt ten może tylko rosnać. Znalazł się jednak ktoś, kto zapragnął odebrać władzę Grademieunom.

Jak myślisz, kto mógł być tak odważny?

– Mageot.

– Tak jest. Skazany na śmierć, zdołał umknąć spod katowskiego miecza, by powrócić pewnej strasznej nocy, ze swiątą potwornych istot, magicznych jak on sam, przybyłych chyba z piekielnych czeluści. Najstraszniejszym z nich był Talphur. Olbrzym w zwierzęcej powłoce, monstrum, jakiego ludzkie oko nie widziało nigdy przedtem. Ale to nie on siał śmierć. I nie Mageot. Walczyły dla nich demony, wściekłe zwierzokoty, nazywane szorkami. Zginęło mnóstwo ludzi. Wszyscy strażnicy Wermontu i wielu mieszczan. Poległ również Wielki Książę Grademieun.

Gdybym nie znała dalszego ciągu kroniki władców Wermontu, nigdy bym nie zrozumiała, dlaczego Mageot nie przejął wtedy rządów. Opanował dwór księcia Grademieun, zabił wszystkich, którzy stanęli na jego drodze, a jednak nie został władcą. Z nieznanых przyczyn wycofał się jeszcze tej samej nocy, pozostawiając w pełnym trupów Wermoncie księżną Niterte i jej syna. Dlaczego ich oszczędził? I dlaczego

zrezygnował z władzy? Krążyło wiele wersji tamtych wydarzeń. Twierdzono nawet, że Mageot poległ, a jego upiorni słudzy wynieśli ciało w niedostępne leśne ostępy, by tam odprawiać nad nim magiczne misteria. Prawda nie została nigdy ujawniona, lecz przetrwała, zapisana na kartach rodowej księgi.

Oto ona.

Tej strasznej nocy – najazdu i rzezi – u siedmioletniego Poratorna ujawnił się magiczny dar, dany mu przez Boga lub Szatana, któż to zgadnie? Chłopiec został Mageotem. Potężniejszym od tego, który zabił jego ojca, władcę Wermontu, bo przenoszącym silniejszą magię. Magię, która wyrzała z uspienia na świat, gdy życie jej nosiciela zostało zagrożone.

Tak zapisał kilkuletni Poratorn w kronice. Sama widziałam jego niekształtne, dziecięce pismo.

Poratorn umarł w wieku lat jedenastu, trzy lata po wspomnianych wydarzeniach. Mówiono, że dosięgnęło go przekleństwo Mageota, i ci, którzy tak twierdzili, mieli rację, choć rozumieli ją całkiem na opak. Nikt przecież nie wiedział, że chłopiec jest Przenoszącym Magię. Okoliczności śmierci również były okryte tajemnicą. Na kilka dni przed zgonem pojawił się w Wermoncie mężczyzna, w którym rozpoznano Mageota. Tego samego, który jakoby miał polec podczas pamiętnego najazdu. Pojmano go z łatwością – nie było przy nim jego demonów, a on się nie bronił, żądając tylko widzenia z młodym następcą. Twarz miał pokrytą mozaiką blizn i kikut miał lewej ręki. Osobnik ten spędził z księciem wiele godzin, ale nikt nie wie o czym rozmawiali. A gdy nastąpiła noc, udali się do lochów, skąd rankiem powrócił jedynie Poratorn.

Co stało się z tamtym mężczyzną? Czy rzeczywiście był Mageotem? Młody Grademieun milczał i zakazał rozmów na ten temat. Następnego dnia wezwał Hołda z rodu Grademieunów, swojego dalekiego krewnego, i nakazał mu małżeństwo z Niterte. Tak też się stało.

Dwa dni później Poratorn umarł.

* * *

Niterte ucichła. Jej oczy gorączkowo lśniły, twarz złagodniała; nawet zmarszczki wydawały się mniej liczne. W tej jednej chwili ubyło jej sporo lat. Patrzyła wyczekująco na syna.

– Rozumiesz, dlaczego ci to opowiadam? – spytała.

Wykonał nieokreślony ruch ramionami.

– Co stało się z człowiekiem, który nie wrócił z lochów?

– On tam jest! – głos Niterte zniżył się do szeptu. Poratorn uniósł głowę, bacznie wpatrując się w matkę.

– Nikt nie żyje dwieście lat. – Zdobył się na uśmiech.

– Zwykły człowiek nie.

– Jak możesz w to wierzyć?

Niterte zgarbiła się nagle. Czar opowieści ulotnił się; znów była starą, zniszczoną kobietą, odzianą w strój nie dla niej szyty. Szeleszcząc krynoliną, podeszła do sofy i usiadła.

– Zawiodłeś mnie – powiedziała. Nieoczekiwanie ukryła twarz w dłoniach.

– Co się stało? – zapytał zdumiony Poratorn. – Nie rozumiem.

– Właśnie dlatego mnie zawiodłeś – podniosła głos. – Tyle lat czekałam, a teraz, gdy stało się, jak przewidziałam, gdy jesteśmy tak blisko, ty zachowujesz się tak... obojętnie. Ty NIE ROZUMIESZ!

– A jak mam się zachować, matko? Czego oczekiwałaś?

– Naprawdę jesteś tak ślepy? Przecież nasze imiona: Niterte i Poratorn! To są imiona tamtych Grademieunów.

Zaskoczyła go swym wybuchem.

– Zauważyłem to, oczywiście. Ale nie widzę...

Nagle przerwał. Podeszedł do matki i delikatnie położył ręce na jej ramionach.

– Czy ty myślałaś...? Nie. To niemożliwe! Myślałaś, że będę Mageotem? Jak tamten Poratorn?!

– Dlaczego niemożliwe? Wczoraj byłeś wieśniakiem, dzisiaj obiecano ci władzę. Myślisz, że Grademieun zrobił to tylko dlatego, że brak mu następcy? On wie, zna dzieje swego rodu. Wie, kim możesz być!

Chwycił ją silniej. Zaciskał dłonie, aż krzyknęła z bólu.

– Przepraszam. – Puścił szybko. – Jesteś szalona – rzekł. – Zupełnie szalona. Jak książę się dowie, wyrzuci cię z zamku.

– To ty jesteś szalony, że mi nie wierzysz.

– Przestań!

Mageotem nikt się nie rodzi, tak pisał młody książę Poratorn. To dar, który może dostać każdy. Bez względu na wiek czy pochodzenie. Nie możesz więc wiedzieć na pewno. Nie możesz wiedzieć, że się mylę. Przyznaję, byłam szalona, wierząc w nasz powrót na dwór. Ale teraz? Uwierz mi!

– Ja... – słowa uwięzły Poratornowi w gardle. Poczzerwieniał. – To nawet nie o to chodzi. Widzisz, ja... Ja nie chcę być Mageotem...

Cartesal Crommelin szedł podziemnym chodnikiem. Drgające światło pochodni odślaniało kolejne fragmenty ukrytych w mroku korytarzy. Miał na sobie pas zabitego zeszłej nocy strażnika, jego miecz i skórzany kaftan. W zarzuconym na plecy worku niósł bagaż: kilka zapasowych pochodni oraz ciężkie narzędzia, z których najważniejszy był kilof. Przemykające u jego stóp kocie zwierzę sprawiało wrażenie potulnego, wręcz oswojonego.

Minęła już doba, odkąd byli tu poprzednio. Cartesal przespał niemal cały dzień, zmęczony po nocnych przeżyciach. Wyniósł tylko do ogrodu – z żalem, jakiego sam po sobie by się nie spodziewał – ciało swojego psa, by zakopać je później, i położył się do łóżka. Po raz pierwszy od dawna spał nie dręczony koszmarem. Żadne wołanie nie zakłócało odpoczynku. Nie licząc tego ostatniego – okrzyku zagląającego przez okno strażnika Wermontu.

– Hej!

Omali nie umarł wtedy ze strachu. Był pewien, że przyszli po niego, odkrywszy udział w nocnym zabójstwie. Miecz i kurtka leżały w szafie. Były dowodami, z których z pewnością nie zdołałby się wytłumaczyć.

A teraz wrócił do świata korytarzy, choć nie wzywał go już głos Tego, Który Wołał. Kocur – zniknąwszy wczorajszej nocy zaraz po wyjściu z katakumb – czekał dziś na niego na skraju wioski. Młodzieniec odczuł ulgę na jego widok. Trudno o pewniejszą eskortę, pomyślał.

Ładunek, który niósł w worku, ciążył coraz bardziej. W dodatku wciąż trzeba było uważać na głowę, gdyż strop miejscami obniżał się znacznie, toteż Cartesal odetchnął z ulgą, gdy raptem wkroczyli do znanej mu jaskini. Milczące, żółtawe stalaktyty tak samo odbijały ogień pochodni. Krople zimnej, krystalicznie czystej wody opadały niezmiennie ku lśniącej posadzce; klepsydra odmierzająca czas, który w tym miejscu niemal wstrzymał swój bieg.

Zrzucił z pleców bagaż i wcisnął pochodnie w skalny załom. Usiadł, żeby odpocząć choć chwilę, i przypadkowo dotknął sztywnej sierści kocura. Szybko cofnął rękę.

Niepotrzebnie się wystraszył. Kocur nie zareagował na kontakt z człowiekiem, nawet nie spojrzał w jego stronę. Cartesal ponownie wyciągnął dłoń, ostrożnie zbliżył ją do dzikiego zwierzęcia, ostatecznie jednak nie zdecydował się go dotknąć. Nie tak trudno przyszło mu wyobrazić sobie tę rękę jako kikut tylko, z którego krew sika niczym woda z pompy.

Jeszcze nie wstawał. Rozmyślał. Dlaczego wrócił? Dlaczego nie zostawił tego wszystkiego, skoro dręczące wołanie ucichło? Czy aż tak bał się kociego demona? I powrotu nocnych koszmarów?

Owszem, bał się. I to znacznie bardziej niż tego strażnika Wermontu, budzącego go okrzykiem, jakby zamierzał aresztować za zabójstwo żołnierzy. Ale to nie było wszystko. Cartesal dobrze wiedział, że nie tylko strach nakazuje mu działanie.

To w tamtej chwili, gdy magiczna siła przypięła go do ściany, uwięziła, usiłując wchłonąć do wnętrza zamurowanej niszy – to właśnie wtedy coś się zmieniło.

„Wróć tu!”. Czyż nie tak wówczas powiedział? Zmęczony, śmiertelnie przerażony, wprowadzony niespodzianie w obcy świat. A jednak od razu zamierzał doń wrócić. Może wcale nie było tak, że to coś chciało ściągnąć go do siebie, nie zważając na dzielącą ich skałę. Może było odwrotnie. Usiłowało przedostać się do niego.

I jakiejś części tej istoty to się udało.

Wstał i wydobyl narzędzia. Musiał rozkuć tę ścianę. Musiał! A jeśli zostanie za nią demona, to może takie jest właśnie jego, Cartesala, przeznaczenie.

Kocur z uwagą przyglądał się pracy człowieka. Gdy pierwszy kamień, uwolniony ze spoiny, runął gdzieś w ciemne wnętrze, zwierzak warknął i zmienił pozycję. Przesiadł się w inne miejsce, wyraźnie znieczepiwiony. Spocony Cartesal zdjął kaftan i kuł dalej. Zmieniał przecinaki. Na przemian walił młotem i kilofem. Pracował zawzięcie, z niespotykaną pasją, ani pomyślawszy o przerwie. W pewnym momencie przygasła pochodnia – wymienił ją na nową i wrócił do pracy, jakby się bał, że chwila zwłoki może zakłócić ten rytm.

Wreszcie się zatrzymał.

Wpatrywał się w wykuty otwór, może zbyt mały jeszcze, żeby precyzyjnie przezeń człowiek, lecz wystarczający, by zajrzeć do środka. Odczekał, aż opadnie pył. Sięgnął po pochodnię i wtedy kocur go wyprzedził. Skoczył. Jednym susem, wprost z miejsca, w którym siedział. Zaszemrały osypujące się kamyki.

Cisza. Młody Crommelin oparł się o skraj wyłomu i wsunął do środka pochodnię. Pomieszczenie nie było duże – kamienna izdebka, zasypana po części gruzem z rozbitej ściany. Naprzeciw, w idealnym pionie, stał okazały obelisk, przed którym kocur kulił się w jakiejś dziwacznej pozycji. Cartesal ze zdumieniem spostrzegł, że zwierzę drży.

Wycofał się. Otwór rzeczywiście był jeszcze zbyt mały, należało go poszerzyć. Uderzył kilka razy i przestał, sądząc, że może kocur będzie chciał się wydostać, ale on tkwił nieruchomo w tym samym miejscu, nie zważając na hałas. Wznowił więc pracę. Szło teraz znacznie szybciej, gdyż kilof już nie był potrzebny i wystarczał młot oraz wielki przecinak. W końcu przejście stało się na tyle duże, że Cartesal zdołał się przez nie precyzyjnie.

Obelisk był wysoki, przynajmniej o łokieć wyższy od niego. Spoczywał na podstawie kwadratu, o szerokości jakichś trzech stóp, najwyraźniej częściowo wbity w podłoże. Gdy

Cartesal dotknął jego powierzchni – zupełnie czarnej, przynajmniej w tym świetle – zdumiał się jej strukturą. Pod palcami wyczuwał liczne, porowate wypryski. Jakby wrzątek nagle zmienił się w lód.

Oświetlił kolejno wszystkie ściany. Nie dostrzegł innego przejścia poza tym, którym tu przybył. Nie rozumiał. Spodziewał się czegoś więcej. I po to tyle wysiłku? Dla kamienia, jakkolwiek niezwykajny miałby on być?

A może to jakiś olbrzymi, pradawny klejnot?

Zastukał w obelisk trzonkiem młotka. Skała odpowiedziała niskim, wibrującym dźwiękiem. I nagle ten dźwięk przekształcił się; odbijał od ścian i wzmacniany echem przybierał znajomy, koszmarny ton, aż zaskoczony młodzian uniósł dłonie ku głowie i przycisnął uszy. Ale nie zdołał odciąć się od wołania mężczyzny ze snu.

Zew przedarł się i przeminał, przepadł w głębi katakumb. Znowu zapadła cisza. Cartesal Crommelin cofnął się. Już wiedział, co swoim kształtem przypomina mu bryła obelisku. Postawioną na sztorc, kamienną trumnę.

Wydostał się z pomieszczenia i wrócił z kilofem. Kocur warknął – może ostrzegawczo, może z akceptacją, lecz Cartesal krzyknął na niego gniewnie i zwierzę cofnęło się pod ścianę.

Zadał pierwszy cios. Oskard zderzył się z czarnym kamieniem, krzesząc snop iskier. Młodzieniec skulił się odruchowo, spodziewawszy się efektu podobnego do tego, gdy zastukał trzonkiem, zapewne z wielokrotnionego jeszcze siłą uderzenia. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Kamień wysłał tylko zwyczajny, tępy dźwięk.

Po raz drugi uderzyła stal, wśród fajerwerku iskier, i nagle drzewce kilofa pękło. Cartesal, zaskoczony tym prostym faktem, wpatrywał się w kij, który został mu w ręku. Spojrzał na obelisk – dwa płytkie wgłębienia, tylko tyle zdołał osiągnąć.

Jeśli w ogóle można więcej. I jeśli jest po co.

Może to tylko dziwaczny kamień?

* * *

Świtało już, gdy wyszedł z katakumb. Nie zdawał sobie sprawy, że jest tak późno. Albo raczej wcześniej. Zmitrzął całą noc. Miał zamiar naprawić kilof i zaraz wrócić, ale wyglądało na to, że dzisiaj nic z tego nie będzie. Włóczenie się za dnia nie wchodziło w rachubę. Zwłaszcza z tym cudakiem – zerknął na kocura, nie odstępującego go na krok.

Jakoś udało mu się dotrzeć do wioski niezauważonym, chociaż robiło się coraz jaśniej. Gdy tylko ukazała się pierwsza chałupa, demoniczny towarzysz zniknął; tak samo, jak wczoraj.

Wreszcie własna chata. Cartesal przeskoczył furtkę – nie miał pojęcia, dlaczego jest wyłamana, może to ten kocur? – i nagle uświadomił sobie, że znowu nie znajdzie czasu na usunięcie szkód. Był wykończony. Mniejsza o tę furtkę, ale okno...

Machnął ręką. Na szczęście o tej porze roku noce są ciepłe. Skierował się do szopy, żeby zanieść tam złamany kilof. Resztę narzędzi zostawił w podziemiach, były bezpieczne.

Po drodze minął leżący pod jabłonią koc. Pies! Co jak co, ale pies czekać nie mógł. Najwyższa pora go pochować. Przyniósł z szopy sztychówkę i zaczął kopać. Przestał, ledwie rozpoczął. Bolały go nadwyrężone mięśnie, a najgorzej w krzyżach. Nie miał pojęcia, że jest tak źle. Tam, na dole, nie bolało go nic, jakby pracował w jakimś transie. „Ani, chybi, ktoś rzucił na mnie urok”, stwierdził.

Ale nic nie mógł poradzić. W dodatku, z pewnym przerażeniem, skonstatował, że w gruncie rzeczy jest z tego zadowolony.

Zdołał jakoś pochować ciało starego Machacza, choć tak płytko, że pewnie nawet szczury zdołałyby je odgrzebać, gdyby tylko coś poczuły. Potem wszedł do chaty i padł na łóżko, ledwie zdoławszy zdjąć buty i ukryć w szafie miecz i kaftan strażnika Vermontu.

Rozdział 3.

Świtało. Śladem dawnego gościńca, łączącego jedyne niegórzyste tereny tej części świata z Wybrzeżem Wschodniego Morza, jechał jeździec. Miał na sobie skórzany kaftan, o kroju podobnym do tego, jaki noszą żołnierze Wermontu, lecz widać o bardziej bitewnym przeznaczeniu, gdyż był wzmocniony na piersi pektoralową płytą. Głowa jeźdźca kiwała się i podskakiwała w rytm powolnych kroków zmęczonego konia. Aż dziw, że wierzchowiec – korzystając z drzemki swego właściciela – nie zboczył z drogi. Zastugą mogła być zbliżająca się równoczesna pełnia obu księżyców, Postrachu i Groźnego, bo przecież nie koński wzrok, jeden z marniejszych wśród zwierząt, jeśli chodzi o odcienie szarości. Albo raczej – i najpewniej – fakt, iż było już niedaleko do domu, do siedziby diaspora Wilkana, co zwierzęcy instynkt wyłapuje najtrafniej.

Gdy pierwszy promień słońca wystrzelił zza pleców mężczyzny, ten się przebudził. Położył dłoń na rękojeści tkwiącego w deszczułkowej pochwie miecza i rozejrzał niespokojnie. Na pokrytej kurzem twarzy pojawił się wyraz ulgi, której przyczyną najwyraźniej był chłopiec, idący w znacznej za nim odległości.

Chłopiec wyglądał na jakieś dziesięć lat. Mimo wątłej budowy wydawał się bardziej rześki od jadącego przodem towarzysza, jednak gdy oświetliło go słońce, przygarbił się; jak gdyby słoneczne światło stanowiło dla niego dodatkowy ciężar do dźwigania. Oczy chłopca były czarne jak węgle, podobnie jak i proste, dość krótko przycięte włosy. Twarz miał poważną i jakby wiecznie zamyśloną. W ogóle nie zareagował na wołanie mężczyzny, wskazującego na niedaleką linię lasu, ku któremu niechybnie zmierzał stary, zarośnięty trawą trakt.

Jeździec skinął machinalnie głową i pojechał dalej, najwyraźniej przywykły do takich reakcji. Poklepał przyjaźnie po szyi swego konia, który wydawał się bardziej wdzięcznym towarzyszem. Wkrótce wjechał w las, chłodny i wilgotny od rosy. Trakt był tu bardziej widoczny, choć w wielu miejscach porastały go znacznej już wielkości drzewka; grube pnie po obu stronach i przeplatające się na górze zielone konary tworzyły tunel, w którym trudno byłoby zbłądzić.

Co pewien czas mężczyzna oglądał się za siebie, sprawdzając, czy pieszy młodzian wciąż podąża jego śladem; czasami czekał na niego chwilę, lecz nigdy nie zbliżyli się do siebie na więcej niż sto kroków. W pewnej chwili zboczył z drogi, wprowadzając wierzchowca między rzadsze liściaste drzewa. Wjechał w głąb zarośli, tam zostawił konia i wrócił na trakt. Chłopiec już na niego czekał, wciąż milczący, nieobecny. Ale czekał.

– Pójdiesz dalej sam – powiedział mężczyzna. – Znasz drogę, prawda?

– Cały czas znam drogę – odparł chłopiec, nie patrząc na rozmówcę.

Miał miłą barwę głosu.

– Wiem, że wolałbyś iść nocą, ale to już niedaleko. Poza tym w lesie nie jest tak jasno jak w stepie. Najwyżej koło południa schowasz się w głębszy cień i odpoczniesz.

– Tak.

– I nie czekaj, aż zrobi ci się słabo.

– Wiem.

– Może zdążę cię dogonić, zanim wrócisz do domu, może nie. Gdybyś dotarł pierwszy, przekazaj ojcu, że na pewno będę przed północą.

– Dobrze.

– Chcesz pić?

– Nie.

– Nie piłeś od wczoraj.

– Nie chcę.

Mężczyzna patrzył za odchodzącym dzieciakiem z mieszaniną smutku i zniecierpliwienia.

– Autystynie! – zawołał.

Chłopiec zatrzymał się. Trochę trwało, nim się odwrócił.

– Wrócisz do domu, tak?

– Wrócę – odparł Autystyn.

Koń czekał na swego właściciela w zaroślach, wyraźnie zadowolony z jego powrotu. Mężczyzna wprawnym ruchem wskoczył na siodło, kolnął nogą koński bok i zatoczył wielki łuk, klucząc między drzewami. Po chwili jechał z powrotem na wschód. Gdy chaszczce stały się gęstsze, przedzierał się dalej pieszo, ciągnąc konia za uzdę, aż ponownie dotarł do skraju lasu. Znalazł osłonięte krzakami miejsce. Przywiązał wierzchowca do najbliższego drzewa, bacząc, by zwierzę mogło bez problemu sięgnąć pyskiem trawy, a sam odpiął wyraźnie ciężącą mu pochwę z mieczem i położył się w cieniu, w miejscu z którego doskonale mógł obserwować stary gościniec, prawie wchłonięty już przez step.

Z upływem czasu słońce zaczęło przygrzewać coraz silniej. Mężczyzna zdjął skórzany kaftan, odpiął pochwę z mieczem i wyjął ostatni kawałek suszonego mięsa. Ostatnimi dniami jadł tak niewiele, że właściwie nie czuł już głodu. Ten ostatni kawałek spożywał z rozsądku, choć zapewne z punktu widzenia żołądka najrozsądniej byłoby upolować królika lub kuropatwę i pozwolić sobie na pieczyście.

Lecz nie mógł rozpalać ognia. Nie po to czekał, chcąc sprawdzić, czy ktoś za nimi nie jedzie, żeby miał go zdradzić dym.

* * *

Diaspor Wilkan stał na ganku swojego drewnianego domu i palił fajkę. Dom był duży. Nie tylko największy spośród kilkunastu stojących wokół – na starym, lecz wciąż poszerzanym wyrąbisku pośrodku lasu – ale i jedyny z nadbudowanym piętrem i wieżyczką. Nie spotykało się takich chat ani w Wermoncie, ani w Kentgerontmoncie, skąd wywodzili się prawie wszyscy mieszkańcy zagubionej w puszczy banicjenty – poza jedną rodziną, przybłąkaną przed laty z wybrzeża Wschodniego Morza.

Wilkan spoglądał na poczerwieniałe niebo, ślad po słońcu, które już jakiś czas temu zniknęło na zachodzie, za koronami drzew. Fajka zgasła, ale on nie zwrócił na to uwagi, nawet nie wyjął jej z ust. Myślał o swoim synu, który tego popołudnia wrócił do domu po długiej nieobecności – po raz pierwszy w życiu tak długiej – i zaraz poszedł spać, nie próbując nawet porozmawiać z ojcem. Wilkan wiedział, że syn obudzi się i wyjdzie tu, na ganek, jak tylko zmierzch przygasi niebo. Zawsze wychodził o tej porze, jak bardzo by nie był zmęczony, jaka by nie była pogoda, choćby lało i biły pioruny. Wychodził i spoglądał w górę, gdzie dwa księżyce, Postrach i Groźny, kontynuowały swą wieczną wędrówkę. Czy to nów, czy gęste chmury, zawsze wiedział, gdzie znajdują się te księżyce, niczym astrolog księcia Grademieun, na dworze którego Wilkan mieszkał jako dziecko.

Wiedział. Autystyn. Jedyny syn Wilkana, przywódco zagubionej w lesie banicjenty.

Diaspor nie mylił się. Autystyn zszedł i tym razem, stając przy swoim ojcu, któremu sięgał ledwie do ramienia. Wilkan odczekał, aż syn nasyci się widokiem gasnącej wieczornej zorzy. Wiedział, że żadna siła nie oderwie teraz chłopaka od jego niewytłumaczalnych pragnień, ale wiedział również, że zaraz potem nastąpi ta jedyna w ciągu całej doby chwila, gdy da się z nim jakoś sensownie porozmawiać. Że będzie szansa wyduszenia z niego jakichś słów poza zdawkowymi odpowiedziami na pytania lub polecenia.

– Usiądź. – Wskazał na ławę.

– Jeszcze nie.

– Usiądź, mówię!

Chłopiec przycupnął na krawędzi deski.

– Dlaczego uciekłeś?

Autystyn prześlizgnął się spojrzeniem po twarzy ojca – tylko prześlizgnął – i zaraz zastygł, z niewidzącym spojrzeniem.

– Uciekłem? Nie.

– Nikt nic nie wiedział. Odszedłeś w samym środku nocy. Bez pożegnania, bez jedzenia. Dlaczego nic nie powiedziałeś?

– Powiedziałem wartownikowi. Pytał o to, więc mu powiedziałem.

– Tak. Że nie będzie cię jakiś czas! Synu, masz dopiero dziesięć lat, nigdy nie chciałeś nosić broni, nie umiesz walczyć, polować, nawet jeździć konno!

– Nie moja to wina, że konie się mnie boją.

– Toteż nie wypominam ci, że nic nie umiesz. Chcę ci tylko uświadomić, jak łatwo mogłeś zginąć!

– Nie mogłem.

– Bo wysłałem za tobą stryja. Do diabła!

– Wysłałeś go dla siebie. Mnie nie był potrzebny.

– Nie był?! Czy wiesz na jak długo zniknąłeś?

– Czas jest bez znaczenia. Chwile, które mają nadejść, i tak nadejdą.

Wilkan westchnął z rezygnacją.

– Nie było cię cztery tygodnie – zauważył. – Gdybym wiedział, sam bym za tobą pojechał i przywłókł za uszy! Czy pomyślałeś o mnie? Co przeżywam?

– Pomyślałem.

Wyraźnie zaskoczony diaspor sięgnął po krzesiwo. Zapalił wygasłą fajkę.

– Hm... – Pociągnął kilkakrotnie z cybucha, żeby rozżarzyć tytoń. – Pomyślałeś, mówisz. A więc dlaczego nie wróciłeś?

– Wróciłem. Jestem.

– Pytam, dlaczego nie wróciłeś wcześniej?

– Nie mogłem. Musiałem sprawdzić.

Przez chwilę panowała cisza. Z pobliskiej chaty dobiegał płacz niemowlęcia. Jednego z dwóch w banicjum.

– Co sprawdzić? – zapytał cicho Wilkan. Nie po raz pierwszy zadawał podobne pytanie. Nagle poczuł strach. Strach, że oto otrzyma odpowiedź. Że odsłoni się wreszcie przed nim tajemnica i pozna prawdę, niezwykłą, wyjątkową, być może okrutną. Zdał sobie sprawę, że wcale nie jest taki pewien, czy chce ją poznać. Wiedział, przeczuwał, był pewien, że nie może być niczym innym jak przekleństwem.

Mimo to zapytał raz jeszcze, bo tak nakazywało mu poczucie rodzicielskiego obowiązku. Nie mógł udawać, że coś nie istnieje.

– Co chciałeś sprawdzić?

I ku ogromnej, irracjonalnej uldze usłyszał odpowiedź – jak zawsze, jak wcześniej, gdy Autystyn całymi nocami przeszukiwał mokradła, ciemne groty i rozpadliny, i wracał ubłocony, coraz bardziej zamknięty w sobie, obcy, niedostępny. Coraz bardziej

przeróżający.

– Nie wiem. Chłopiec westchnął.

– Wciąż nie wiem.

Nagle ukrył twarz w dłoniach, pochylił się nisko. Wygiętymi w łuk plecami wstrząsnęły dreszcze.

Ale kiedy się wyprostował, jego blada twarz była sucha. W czarnych niczym noc oczach nie było nawet śladu łzy.

* * *

Lupusjan – bliźniaczy brat diaspora Wilkana – wrócił późną nocą.

Najpierw skierował się do stajni, która była okazałą stodołą z szeregiem boksów. Przebywały w niej wszystkie konie banicjenty, zarówno wierzchowce, jak i służące do robót drwalskich i innych prac polowych.

– Hej! – obudził niezadowolonego stajennego chłopca, powierzając mu swego konia.

Przekazawszy jeszcze kilka uwag, skierował się w stronę domu. Mimo średniego już wieku Lupusjan nie miał własnej rodziny. Kilka lat temu postawił na skraju osady własną chatkę, jednak wystarczyły dwa miesiące, by porzucił zamysł mieszkania w niej, stwierdzając – całkiem w jego przypadku przytomnie – że samotny mężczyzna nie jest w stanie poradzić sobie z prawdziwym domem. Powrócił więc do chaty brata, która i tak był za duża dla nich obu, młodego Autystyna i grubej kucharki, która równie dobrze gotowała co wygrzewała pierzyny, nie faworyzując przy tym żadnego z braci.

Mężczyzna wszedł na zacieniony ganek. Nie dochodziło tu, wyjątkowo silne tej nocy, światło księżyców.

– Wreszcie jesteś – przywitał go dobiegający skądś głos.

W mroku zaczerwienił się mały ognik i Lupusjan poczuł zapach fajki. Z ławy podniosła się barczysta postać. Bracia w milczeniu uścisnęli sobie dłonie.

– Zatem byliście aż na Wschodnim Wybrzeżu? – stwierdził raczej niż zapytał diaspor.

Jego brat skinął głową. Zmęczonymi ruchami rozpiął pas z pochwą na broń i położył na ławie.

– Widzę, że rozmawialiście – powiedział. – Jakbym wiedział, dokąd szczeniak zmierza, pewnie bym za nim nie pojechał...

– Wybacz – przerwał mu Wilkan. – Gdybym się tego spodziewał, przecież nie prosiłbym cię o pomoc. Sam bym pojechał.

– Przecież wiem. Nie to miałem na myśli... Co jeszcze Autystyn ci powiedział?

– Prawie nic. Ja już nie umiem z nim rozmawiać. Chyba nigdy nie umiałem.

Lupusjan westchnął.

– Nikt nie umie – odparł. – W tym sęk, że nikt nie umie.

– Może gdyby Anicey żyła. Dziecko bez matki...

Zapadła chwila niezręcznej ciszy.

– Tak. Widzieliśmy Wschodnie Morze – podjął Lupusjan. – Przecież wiesz, że Autystyn nigdy nie kłamie. Przynajmniej to trzeba mu przyznać.

– Co robiliście?

– Właściwie nic... Starym szlakiem dotarliśmy do portowej osady i chłopak łąził między zgliszczami, grzebał w ruinach. W jakimś ocalałym budynku spędził pół dnia. Ja tam nie wchodziłem, za ciężki jestem na te stare próchna, które wałają się pod byle dotknięciem, ale zaglądałem przez okno. Twój syn siedział wśród jakichś śmieci, nic tylko siedział, nieruchomy jakby zamienił się w kamień. Co zajrzałem, tkwił w tej samej pozycji. Było ciemno, więc nie jestem pewien, ale wydaje mi się, że miał zamknięte oczy. Myślałbym, że śpi, gdyby nie to, że... śpiewał...

– Śpiewał? – powtórzył zaskoczony Wilkan. – Przecież on nigdy nie śpiewa!

– Właściwie to mruczał – wyjaśnił zmieszany nieco Lupusjan. – Coś mruczał, ale tak jakoś...

– Jak?

– Strasznie. Aż ciarki przechodziły po skórze... A potem, gdy skończył... To pewnie przypadek, bo jakże może być inaczej, jednak akurat wtedy, gdy zamilkł, nagle zrobiło się zimno.

– To było w nocy? – upewnił się Wilkan.

– Oczywiście. Za dnia spał. Jak zwykle.

– Jest dopiero początek lata – powiedział ostrożnie Wilkan. – Niektóre noce mogą być chłodne. Szczególnie nad ranem.

– Było nad ranem – przytaknął skwapliwie jego brat. – Więc też tak pomyślałem, tym bardziej nad morzem, tam pogoda pewnie inne ma zwyczaje. Jednak...

Głos Lupusjana załamał się. Mogło się wydawać, że szuka odpowiednich słów, ale czy to ich nie znajdował, czy zagubił się we własnych myślach, w każdym razie nie dokończył zdania. Trwała cisza.

– Dokończ – poprosił diaspor.

– Inne noce w ogóle nie były chłodne. Musiałem nakryć konia derką, bo zaczął hałasować, jakby go giez uciał. Para z ust buchała jak w środku zimy. A szron z trawy zmyło dopiero wschodzące słońce.

– Czy ty... Czy sądzisz, że to ma coś wspólnego z Autystynem? – zapytał

z niedowierzaniem diaspor Wilkan.

Zmieszany Lupusjan pokręcił dwuznacznie głową.

– Żadna to nowina, że dziwny z niego chłopak – powiedział. Wilkan zacisnął mocno wargi. Przez chwilę wpatrywał się w dal z nagłą zaciekłością w oczach. Uderzył pięścią w poręcz gankowej balustrady.

– Wiem, że dziwny – wykrztusił bezradnie.

– Co mam robić?! – prawie krzyknął, aż nocne echo odbiło słowa od leśnej ściany.

Spośród chat niespodziewanie wyłonił się krępy mężczyzna, trzymający dwumetrową rohatynę. Wartownik. Zbliżył się, bacznie obserwując ganek. Ujął w obie ręce drzewce broni, demonstrując zakończony hakiem grot.

– Wszystko w porządku, Wilkonie? – spytał podejrzliwie.

– W porządku – uspokoił go diaspor. – Tylko rozmawiamy. Wartownik mruknął coś i cofnął rohatynę. Odszedł. Obaj mężczyźni patrzyli za nim i obaj pomyśleli to samo: że był doskonale widoczny w księżycowym blasku. Dawno nie mieli żadnych kłopotów; banicjenta leżała zarówno poza włością Wermontu, jak i Kentgerontmontu, i nie wyglądało na to, żeby władcy księstw się nią interesowali: czy to w sposób zbrojny, czy indykacyjny. W pobliżu nie było żadnej osady, dzika puszcza tylko, a za nią step daleki. Gdyby jednak, tak jak dziesięć lat temu z okładem, pojawiło się niebezpieczeństwo...

Czy wystarczyłby jeden, beztroski wartownik?

Odpowiedź była jednoznaczna, może zatem nadszedł czas, aby coś zmienić? Zwłaszcza w świetle zachowania Autystyna i prowokującej wizyty na wymarłym Wybrzeżu Wschodniego Morza.

– Wciąż nikogo na Wschodnim Wybrzeżu? – zapytał Wilkan. Był tam tylko raz, przed wielu laty, zaraz po tym, gdy został wybrany diasporem banicjenty. Wiedziony może nie tyle ciekawością, co troską o bezpieczeństwo osady, zapragnął wtedy sprawdzić pogłoski o Szarych Ludziach, okrutnych przybyszach z zamorskiej ziemi na krańcu świata, którzy splądrowali jedyny dostępny z Wermontu port i zniknęli. Pozostawili za sobą...

– Nikogo – odparł Lupusjan. – To świat umarłych.

...zgliszcza. Mieszkańcy zniknęli. Ocalała jedynie para młodych ludzi z niemowlęciem, która akurat wypłynęła w górę uchodzącej do Wschodniego Morza rzeki, by w samotności dopełnić ponarodzinowej celebracji. Gdy wrócili, było po wszystkim. Nie znaleźli nikogo. Żywego czy martwego. Owszem, ślady walki, krew, ale żadnego ciała. Ani mieszkańców Wybrzeża, ani najeźdźców.

Tylko w samym centrum osiedla tkwiła na wysokim palu straszna głowa.

Gdy Wilkoń przybył do nadmorskiej osady, głowa wciąż jeszcze tam była, tak jak

opisała to ocalała z pogromu rodzina, która ostatecznie znalazła schronienie w banicjencie.

Głowa Szarego Człowieka!

Gdyby należała do mieszkańca portu, można by wyobrazić sobie, skąd się tam wzięła, na środku targowego placu. Ale to była głowa najeźdźcy, jednego z tych, którzy zwyciężyli. Jakim sposobem obrońcy zdołali wbić ją na pal, skoro pogrom musiał być szybki i straszny, jak wskazywały na to ślady? A jeśli nawet, to dlaczego Szarzy Ludzie pozostawili ją w miejscu, którego nie sposób przeoczyć? Skoro zabrali ze sobą wszystkie ciała (któż wie ilu żywych ludzi), zwierzęta gospodarskie, nawet psy i koty?

Wyglądało na to, że tajemnica jest nie do rozwikłania.

Głowa dała Wilkonowi tylko ogólne pojęcie o tym, jak naprawdę wyglądają Szarzy Ludzie, bo całkowicie wyschła na słońcu i wietrze, a i – sądząc po ubytkach – jakiś szczur, lub inny mały drapieźnik, zdołał wspiąć się do niej po gładko ciosanym słupie. Oczodoły były znacznie wydłużone, co wskazywało na dziwacznie skośne oczy. Uszy tkwiły u szczytu czaszki, prawie bez małżowin, za to pokryte krótkim włosiem. I było to jedyne owłosienie głowy. Trudno było cokolwiek powiedzieć o nosie – poza tym, że znajdował się we właściwym miejscu, to znaczy takim jak u zwykłego człowieka – ponieważ go nie było; został wyrwany przez padlinożercę.

Zniszczona skóra zachowała szarą barwę, tak przynajmniej ocenił Wilkoń, gdyż nasuwało się samo przez się, iż nazwa zamorskich przybyszy wywodzi się właśnie od jej koloru.

Diaspor nakazał trzem towarzyszom, z którymi podjął tę ryzykowną wyprawę, pogrzebać przekłete truchło. Później rzadko wracał pamięcią do tych nieprzyjemnych chwil. Najważniejsze, że zdobył pewność, iż Szarzy Ludzie odpłynęli. Żywił nadzieję, że nigdy nie powrócą, a zagadka głowy i zniknięcia mieszkańców pozostanie nierozwiązana.

Nigdy nie spodziewałby się, że wspomnienia ponownie obudzą w nim grozę tamtej wyprawy – i to z powodu własnego dziecka, niedorostka jeszcze. Co popchnęło Autystyna ku Wschodniemu Morzu? Jaka tajemna, przerażająca siła zabiera mu syna, tak jak przed laty, w samotnej oberży, zabrała pierwszego, bliźniaczego potomka? Mijały lata, a Wilkoń był coraz bardziej pewien, że to nie tamten syn, pierwszy z wcześniaków, był celem demonów, ścigających ich wśród burzy. On tylko poświęcił swe życie. Tak jak i matka, piękna Anicey, nie mająca szans na przeżycie grozy i trudów strasznej nocy.

Zginęli za niego. Za Autystyna, który, dorastając, z każdym tygodniem oddala się coraz bardziej – od niego, od praw banicjenty, od ludzi.

Czego poszukuje? Na terenach ciemnych, ukrytych i zimnych? Jaki zew każe ledwie wyrosniętemu chłopcu podążać do miejsc przesiąkniętych złem, cierpieniem i tajemnicą?

Wilkan spojrział na brata, który przesunął się na skraj ganku i stał teraz skąpany w świetle księżyców.

– Dlaczego go zostawiłeś? – zapytał nieoczekiwanie. Lupusjan drgnął, zaskoczony nagłym przerwaniem ciszy.

– Zostawiłem?

– Wrócił sam.

– Ach, to! – zorientował się Lupusjan. – Rozstaliśmy się dopiero, gdy zjechaliśmy ze stepu. Musiałem sprawdzić, czy ktoś za nami nie jedzie. Widzisz, przez cały czas... Może to niedorzeczne, ale przez cały czas miałem wrażenie, że ktoś podąża naszym śladem.

– To wcale nie jest niedorzeczne – zaprotestował Wilkan. – I co? Widziałeś kogoś?

– Nikogo – w głosie Lupusjana wcale nie było ulgi. – Ale musiałem być pewien.

Dlatego siedziałem do wieczora. Port na wybrzeżu wyglądał strasznie... Gdybyś tam był...

– Przecież byłem. Dawno, lecz sądzę, że wtedy było jeszcze gorzej. Dlatego doskonale cię rozumiem. I jestem zdania, że bardzo mądrze postąpiłeś. Byłoby fatalnie ściągnąć jakichś... nieproszonych gości.

– Wciąż o tym myślę.

– Musi minąć trochę czasu, nim zapomnisz.

– Nie zapomnę. Do końca życia nie zapomnę. Mam wrażenie, że teraz już zawsze będę czekał. Na nich.

– Na Szarych Ludzi – sprecyzował Wilkan. Mówił szeptem. Lupusjan powoli położył dłoń na ramieniu brata. Zacisnął mocno palce.

– Ty... czekasz?

Wilkan przyknął oczy, jak gdyby nagle poczuł się bardzo zmęczony. Pokiwał głową.

– Walczę z tym jak mogę – rzekł. – Czasem zapominam, nawet na kilka tygodni zapominam, ale potem...

– Nigdy o tym nie mówiłeś!

– Jeszcze by brakowało! – Wilkan zaśmiał się niespodzianie. Odgarnął do tyłu swoje długie, opadające na twarz włosy.

– Zatem co dalej? – zapytał Lupusjan.

– Nic. Będziemy żyć jak dotąd. Jakoś sobie radzimy, prawda?

– A Szarzy Ludzie?

– Czas pokaże – odpowiedział diaspor Wilkan. – Będziemy czekać. Może pewnego mrocznego dnia Szarzy Ludzie nadejdą? A może nie. Któż to może wiedzieć?

* * *

Syn Wilkana leżał na podłodze, w swoim pokoju na piętrze. Wychodzące ponad gankiem okno było szeroko otwarte, lecz przesłonięte lnianą zasłoną, aby do izby nie zaglądały Postrach i Groźny, bo Autystyn nie lubił światła. Im był starszy, tym bardziej stronił od niego, tym bardziej czekał na noce pochmurne lub nów przynajmniej jednego z księżyców. Światło gwiazd na razie było do zniesienia. Na razie. Wszak nie tak dawno jeszcze tylko słońce było wrogiem, a teraz każdy dzień, nawet ten deszczowy. Dziś nawet zbliżająca się pełnia.

Leżał na wznak, na gołych deskach, z rozkrzyżowanymi rękoma i wsłuchiwał się w dobiegające z zewnątrz męskie głosy. Jego ojciec rozmawiał ze stryjem. Mimo swoich dziesięciu lat Autystyn doskonale rozumiał, o czym rozmawiali, lecz słowa przelatywały przezeń jak narybek przez wielkooki żak. Nic nie pozostawało, bo zupełnie nie obchodził go przekaz, który niosły.

Obojętność zawsze była jego siostrą.

Lecz nigdy tak bliską jak dzisiaj, po powrocie z Wybrzeża Wschodniego Morza, gdzie nie znalazł niczego. Zupełnie niczego, choć wówczas, gdy w przyportowym budynku ogarnął go niespotykany dotąd trans, wydawało mu się, że wreszcie może coś się zmienić. Coś się wydarzy, choć zupełnie nie wiedział co. Niestety, nie wydarzyło się nic.

To nie było to miejsce.

Nie to.

A teraz spoczywał w pokoju jedynej w banicjencie piętrowej chaty, z głową na drewnianej poduszce podłogowych desek, nie wiadomo po co wsłuchany w rozmowę dwóch osób, kiedyś (chyba) mu najbliższych, teraz dalekich jak zamorskie światy.

Bo teraz zbliżało się coś innego. Czuł to. Zrozumiał, że tak naprawdę wiedział od zawsze, że to coś nadejdzie. A jeśli on, Autystyn, nie wyjdzie temu czemuś na spotkanie, właściwa chwila przemknie obok obojętnie, na podobieństwo niesionego wichrem obłoku, by nigdy już nie powrócić. I przepadnie na zawsze szansa spełnienia nieodgadnionych pragnień, drażących duszę małego człowieka, mieszkańca zaszytej w puszczy odszczepieńczej osady.

Wiatr poruszył okienną zasłoną i księżycowy blask przedarł się przez szczelinę. Padł wprost na twarz Autystyna. Jak od lustra odbił się od smolistych włosów.

Chłopiec zamknął oczy. Zapragnął ciemności. Absolutnej, czarnej ciemności. Mroku podziemnych sztolni. Ślepoty zimnego kamienia.

Nie wiedział, że na dole, w sieni, gdzie płonęły dwie lampy, obie zgasły, jakby równocześnie skończyła się w nich oliwa. Że wartownik rozgląda się dookoła

z niepokojem, gdyż przy baraku wartowni z sykiem zgasła pochodnia. Że w stajni również zapadła ciemność, chociaż stajenny zawsze podtrzymuje ogień, na wypadek gdyby wilk lub niedźwiedź zwęszyły łatwy łup.

Nieco później Autystyn wstał. Mimo ciemności pewnie zszedł po schodach, przeszedł przez sień, w której czuć było jeszcze zapach oliwnego dymu, i wyszedł na ganek. Ojciec i stryj wciąż jeszcze tam byli. Zaskoczeni, patrzyli na chłopca.

– Jutro w nocy odejdę – powiedział Autystyn, patrząc w oczy ojca, bez cienia uczucia.

Wilkan milczał. Milczał również Lupusjan, otworzywszy ze zdumienia usta.

– Muszę iść! – rzekł Autystyn i nie czekając dłużej, odwrócił się ku drzwiom.

– Jak uważasz – dogonił go zadziwiająco spokojny głos Wilkana. – Nie myśl jednak, że znowu kogoś za tobą wyślę. Idź, jeśli taka twoja decyzja, ale pójdiesz sam.

Autystyn odwrócił się. Twarz miał poważną, lecz bez wyrazu. Ani smutną, ani wesołą. Niegdyś, dawno już, dla Wilkana całe wieki temu, ten chłopiec potrafił się śmiać. Potrafił również płakać, złościć się i krzyżeć. Co prawda rzadko, znacznie rzadziej niż inne dzieci, ale potrafił. Lecz pewnego dnia przestał – właściwie niepostrzeżenie, trudno nawet powiedzieć kiedy to się stało.

– Zawsze chodzę sam – odpowiedział Autystyn.

Oblicze stryja Lupusjana pokryło się purpurą gniewu, choć z powodu ciemności było to nie do zauważenia. Jednakże ze względu na swego brata powstrzymał się z reprimendą.

– Nie sądzę, żeby Szarzy Ludzie kiedykolwiek tu dotarli – rzekł niespodziewanie Autystyn. – Morskie drapieźniki nigdy nie zapuszczają się w głąb lądu. Oczywiście mogą się mylić.

I wrócił na górę, do swego pogrążonego w mroku pokoju. Odszedł następnego wieczoru, wkrótce po zachodzie słońca. Diaspor Wilkan nie wysłał nikogo, kto zadbałby o jego bezpieczeństwo. Tak jak zapowiedział.

Rozdział 4.

Cartesal Crommelin znowu znalazł się w podziemiach. Niósł naprawiony kilof, którego rękojeść wzmocnił stalową wstęgą ze starej sieczkami. Był już niedaleko jaskini, gdy kocur, towarzyszący mu niezmiennie przez ostatnie noce, warknął ostrzegawczo i skoczył pod ścianę.

Zaniepokojony Cartesal nasłuchiwał, wstrzymując oddech. Na wszelki wypadek zniżył pochodnię, aby rzucała mniej światła. Nic nie słyszał, ale czekał bez ruchu, ponieważ zwierzę wciąż prężyło się i poruszało ogonem. Po chwili rzeczywiście dobiegł stłumiony szmer ludzkich głosów.

Zgasił pochodnię.

Głosy się zbliżały. Można już było rozróżnić poszczególne słowa i raptem poblask światła mignął w rozwidleniu korytarzy. Idący zatrzymali się, rozmawiając o czymś z przejęciem.

Doskonale znał te głosy. Pierwszy, zachrypnięty i bardziej donośny, należał do Niterte – kobiety, którą przed dwoma dniami pojmano w Santerav, drugi do jej syna, Poratorna.

Cartesal był przekonany, że wtrącono ich do lochu, może nawet skazano za jakieś przewinienia. Od tych dwu dni nie kontaktował się z nikim. Noce spędzał w katakumbach, a dzień przesypiał, ledwie zdoławszy coś zjeść wieczorem. Nie znał więc ani plotek, ani faktów, które wędrowały po okolicy, głoszonych oficjalnie – z nakazu księcia – jak i pocztą pantoflową, wyfruwając z kuchennych suterren wraz z oparami przyrządzanych posiłków.

Co tu robili w samym środku nocy?

– Uwierz w siebie. Tak jak ja wierzę w twoje przeznaczenie – mówiła Niterte.

– Umówiliśmy się – odrzekł Poratorn, zadziwiająco stanowczo jak na niego. –

Uczynię, co zechcesz, ale jeśli nie potrafię spełnić twoich oczekiwań, nie możesz mnie za to winić.

– On gdzieś tu jest. Wiem to na pewno.

Przez chwilę Crommelin był przekonany, że mówią o nim. Wiedzą, że włóczy się po podziemiach z demonem, który zabija ludzi równie łatwo, jak ci gniotą w palcach złapane we włosach wszy.

– Nie możesz stchórzyć, synu.

– To nie jest kwestia odwagi. Ja wiem, że... – Cartesal nie słyszał końca zdania; nie wiedział, czy Poratorn umilkł nagle, czy też ciche słowa zginęły w mroku.

Zapadła cisza, ale światło niesionej pochodni lub lampy poczęło przybliżać się do

miejsca, w którym znajdowały się dwie przycupnięte postacie – człowieka i kocura. Cartesal wystraszył się, że zwierzę zaatakuje obcych, tak jak bez zastanowienia uczyniło ze strażnikami Wermontu.

– Spokój! – szepnął, ale nie dałby grosza za to, czy polecenie w ogóle dotarło do małego demona.

– Wciąż nic nie czujesz? – usłyszał głos Niterte. – Niczego nie dostrzegasz?

– Nic, matko.

– Żadnego znaku? – Nic.

– Musisz go znaleźć! – Jak?

– Skup się. Bądź mężczyzną! On przekaże ci swoją moc...

– Matko!

Rozbudzi się. Sprawę, że zrozumiesz przyszłość. Pierwsza zauważyła ich Niterte. Wrzasnęła, przerażona, gdy kocur skoczył w górę, wydając z siebie upiorne szczeknięcie. Nawet Cartesala przeszły ciarki. Krzyczał także Poratorn. Hałas wstrząsnął podziemiem, jakby ożyły w nim upiory.

– Zostaw! – zawołał Cartesal. – Nie!

Kocur zatrzymał się. Tuż przy Niterte. Niemal muskał pyskiem jej szaty. Szczerzył swe wampirze zęby, wpatrując się w dawną księżęcą konkubinę rozjarzonymi oczami. Ale nie atakował.

Pochodnia wysunęła się z zeszywniałej dłoni kobiety. Niterte, jak pod tajemnym urokiem, nie była w stanie odwrócić oczu od potwora, który niespodzianie wyskoczył z mroku. Ocucił ją tupot nóg. To Poratorn uciekał w ciemność, a z jego krtani zamiast krzyku wydobywał się jakiś skrzek. Odzyskała nagle władzę nad własnym ciałem, odwróciła się i pobiegła w ślad za synem. Przez dłuższą chwilę echo odbijało kroki ich szaleńczego odwrotu, jakby gdzieś spadała lawina, aż wreszcie wszystko ucichło.

Cartesal podniósł pochodnię. Buchnął na nowo przygasający już płomień. Kocur uspokajał się, choć jego sierść pozostała nastroszona.

Uśluchał człowieka. „Zostaw!”. Uśluchał, jak wyszkolony pies. Z tą jednak różnicą, że żaden właściciel nigdy nie czuł przed swoim psem skrytego lęku, jaki w każdej chwili odczuwał Crommelin. I nie wyobrażał sobie, żeby ten lęk kiedykolwiek zniknął.

Ruszyli w drogę. Wkrótce znaleźli się w jaskini, przeszli przez otwór i stanęli przed obeliskiem. Cartesal oświetlił kamień, wypatrując miejsca, w którym kuł poprzednio. Dostrzegł pionową rysę. Długą, z licznymi odgałęzzeniami, choć cienką jak nitka. Mógłby przysiąc, że wcześniej jej nie było. Wyglądała jak pęknięcie na pozostawionym na mrozie zamkniętym naczyniu z wodą, która zamieniając się w lód, rozsadzała pojemnik.

Dotknął rysy palcami. To nie lodowy chłód przedzierał się na zewnątrz. Rysa była

ciepła. Wyraźnie cieplejsza od otoczenia. Popatrzył na kocura.

– I co?

Nie zareagował. Stworzenie samo zamieniło się w posąg. Tylko pałające oczy poruszały się, ogarniając obelisk.

Cartesal uniósł kilof i uderzył. Wprost w pęknięcie.

Wystarczył ten jeden raz. Coś trzasnęło w głębi kamiennej trumny. Chwila ciszy i trzask się powtórzył.

Młodzieniec cofnął się pod ścianę. Wstrzymał oddech, szeroko rozwartymi oczami wpatrując się w kamienną bryłę.

Kamień pękał. Nawet kocur odskoczył, jeżąc się i powarkując.

Pęknięcie poszerzało się wzdłuż rysy. Ostatni trzask zlał się z hukiem upadku połówki kamienia, ściągniętej własnym ciężarem. Nim opadł pył, Cartesal stał już z pochodnią w ręku, pochylony, z przymrużonymi oczami i zmarszczonym z wysiłku czołem.

Wewnątrz rozwartej bryły leżał człowiek. Mężczyzna. Z długą, zupełnie siwą brodą. Siwe były również jego włosy. Na mocno zaciśniętych powiekach lśniły kropelki rosy, niczym łzy wypływające z oczu śpiącego.

Cartesal ominął gruz i zbliżył się. Pokonując strach, dotknął twarzy starca, wyrażającej ogromny wysiłek i skupienie. Skóra była szorstka, sztywna i sucha jak pergamin. Lecz ciepła.

Gwałtownym ruchem cofnął rękę. Ponownie oświetlił całą sylwetkę. Uwagę przyciągała lewa ręka mężczyzny. Nieproporcjonalnie duża, względem swego prawego odbicia, i o zniekształconej dłoni. Była pozbawiona palców – ich miejsce zajmował odrażający pazur. Jeden tylko, gruby i zakrzywiony niczym hak.

Mężczyzna drgnął. Powieki odskoczyły błyskawicznie, jak poruszone niewidoczną sprężyną. Na czole Cartesala pojawiły się krople potu. Nie potrafił uciekać; nie potrafił uczynić tego, co zrobiłby każdy na jego miejscu, co prawdopodobnie on sam by zrobił jeszcze kilka dni wcześniej. Pozornie mógł wybierać – mógł zostawić to wszystko lub chwycić kilof i wbić go w pierś nieznajomego, być może uwalniając świat od straszego demona. Mógł? Na przekór niecierpliwemu spojrzeniu człowieka z sarkofagu, obezwładniającemu niczym usuwające ból zioła?

Pomimo obecności zwierzęcego demona, wilkołaczego kocura, kontrolującego każdy krok?

I przeciw samemu sobie? Był wszak teraz kimś zupełnie innym; coś nieodwracalnego odcisnęło na nim swój znak, z chwilą gdy po raz pierwszy zszedł do podziemi.

– Nazywam się Mageot – wyszeptał nieznajomy, z wyraźnym trudem. Przymknął

oczy i głowa opadła mu na pierś.

Cartesal wydobył bezwładne ciało i powłókł je ku wyjściu.

* * *

Poratorn biegł na oślep, potykając się w ciemnościach, raniąc ciało o ostre występy skał. Gdy upadł, zrywał się natychmiast i łkając, biegi dalej. Ogarnęło go przerażenie, jakiego dotąd nie doświadczył. W pewnym miejscu podziemny chodnik zakręcał. Bez światła nie był w stanie tego zauważyć i uderzył boleśnie głową w ścianę. Osunął się na ziemię. Poczłł smak krwi, cieknącej z rozbitej wargi.

Biegąca za nim Niterte potknęła się o ciało syna. Leżeli obok siebie, zdyszani, panicznie nasłuchując, czy nie zbliża się pogoń.

Nikt ich nie ścigał. Żaden potwór nie łaknął krwi. Żaden demon nie pożądał dusz.

– To był Mageot – jęknął Poratorn. – Obudziliśmy go, matko. Co teraz będzie?

Niterte usiadła, opierając się plecami o wilgotną ścianę. W milczeniu trawiła swą porażkę. Porażka! Nie potrafiła inaczej tego nazwać.

– Uciekliśmy – stwierdziła nagle i jej głos się załamał. – Nie sprostaliśmy.

Uciekliśmy jak tchórze... Zawiedliśmy. Nie dla takich jest władza.

– To cud, że uszliśmy z życiem – odparł obolały Poratorn. – Przecież nic innego nie mogliśmy zrobić. Sama widziałaś tego potwora.

– Wyrośnięty szczur. Strach ma wielkie oczy.

– Matko, co mówisz?! Rozszarpałby nas na strzępy. I ten straszny człowiek za nim! To był Mageot, prawda?

– Tak sędzę. Ale on powstrzymał swego sługę przed atakiem. Nie słyszałaś? Obronił nas. Nie powinniśmy uciekać. Ja jestem tylko starą kobietą, ale ty? Dlaczego nie zostałeś? Przecież wszystko przewidziałam, odgadłam. Czemu w tej ostatniej chwili nie postąpiłaś, jak pragnęłam? Jak mogłaś mi to zrobić? Zaprowadziłam cię do Mageota, a ty uciekłaś, jak tchórz. Jak zwykły wieśniak!

Milczeli przez chwilę. Niterte – zbyt rozgorączkowana, by mówić dalej, Poratorn – trawiając upokorzenie.

– Nie jestem tym, kim pragniesz, abym był – rzekł cicho. – Wielokrotnie ci to mówiłem, ale ty nie chciałaś słuchać. Uwierzyłaś w magię imion, traktując je jako odsłonę przeznaczenia. Tymczasem domyślam się, wiem, jak było naprawdę. Niterte jest może rzadkim, arystokratycznym imieniem, ale przecież każdego można tak nazwać...

– Do czego zmierzasz?! – przerwała mu ostro.

– A moje imię? Wszak to ty mi je nadałaś, nie żadne przeznaczenie. Gdy się

urodziłem, znałaś już historię rodu Grademieunów i z pełnym rozmysłem nazwałaś mnie imieniem młodego księcia – Mageota. Musiałaś już wówczas wierzyć we własne, urojone wizje, choć to dla mnie niepojęte, matko. Okazujesz się być kimś zupełnie innym niż kobieta, którą znałem.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie przyśpieszonymi oddechami i odgłosem skapujących gdzieś kropel wody.

– Musimy iść – odezwał się pojednawczo Poratorn. – On... On może być w pobliżu. Nie chcę drugiego spotkania.

Poszukał w ciemnościach matczynej ręki i ścisnął ją wymownie. Niterte westchnęła. Zanurzyła palce we włosach syna i poczuła coś lepkiego.

– Masz rozbitą głowę.

– Uderzyłem się. Ale to nic.

Ruszyli, ostrożnie stawiając kroki, obmacując śliskie ściany. Przez cały czas trzymali się za ręce.

– Straciłam poczucie kierunku – wyznała Niterte.

– Ja również. Duże są te lochy?

– Same piwnice nie. Ale istnieje łącznik z systemem podziemnych jaskiń. Jeśli opuściliśmy część podzamkową, trudno będzie znaleźć wyjście. Zresztą nie wiem. Nigdy tu nie byłam. Czytałam tylko w kronikach.

– Postąpiliśmy lekkomyślnie, nie zabierając drugiej pochodni.

– Skąd mogłam wiedzieć, że ją zgubimy.

Przez dłuższy czas wędrowali niczym ślepy, podpierając się wzajemnie. Posuwali się naprzód bardzo wolno, nie mając pojęcia, czy wybrany kierunek jest prawidłowy. W pewnej chwili usłyszeli daleki odgłos. Pojedynczy stuk. Zatrzymali się, nasłuchując.

– To on – szepnęła Niterte.

Dźwięk nie powtórzył się więcej, ale Poratorn wyobraził sobie podążający ku nim wielki cień, przeciskający się skrótem przez skały. I towarzyszącą mu czworonożną istotę, gotową rozszarpać swymi kłami każdego, kogo napotka.

-Idźmy dalej!

Odnalazł ich Tanavar, który przeszukiwał lochy wraz z kilkoma swoimi ludźmi.

– Wreszcie – rzekł z ulgą. – Nic ci nie jest, pani?

– Jak widać – odparła cierpko Niterte. – Nie jestem jedną z tych ciepłych, dwornych pań. Potrafię sobie radzić.

– Nie wątpię. – Komendant skłonił głowę. – Ale księżę kazał cię odnaleźć. Niepokoi się.

– Zapewne o Poratorna... – powiedziała z ironią. – Skąd wiedział, że tu jesteście?

– Nie wiedział. To ja przepytalem straznika, ktory wpuszczal was do piwnic.

Gdy wychodzili z lochów, wspinając się po kamiennych stopniach, nagły grzmot – jak uderzenie stalowego serca dzwonu – przetoczył się po podziemiach. Niterte i Poratorn przyśpieszyli kroku, a strażnicy Wermontu spojrzeli po sobie w popłochu.

– Demony – szepnął jeden z nich.

Matka i syn porozumieli się wzrokiem. Oboje milczeli.

* * *

Niterte odprawiła służbę niecierpliwym ruchem dłoni. Dawniej, gdy była młoda i dumna ze swej urody, pozwalała, wręcz żądała od pokojówek adoracji przed położeniem się do snu, lecz teraz wstydziła się starczego ciała, wiotkiej skóry i wystających kości. Nie chciała, aby ktoś to oglądał. Przez wiele lat nie widziała swojego odbicia w tak dużym i wiernym w przekazie lustrze, a w jej pamięci wciąż tkwił obraz młodości; dziewczyny przeciągającej się z rozkoszą przed szklaną taflą i zachwyconej własnym ciałem. Co prawda teraz lustro wyglądało tak samo, lecz ukazywało zupełnie inny obraz.

Włożyła ciepłą koszulę, upięła włosy i usiadła na łożu z baldachimem. Była bardzo zmęczona. Czuła się podle, ponieważ gryzła ją świadomość porażki. Tak wiele obiecywała sobie po dzisiejszej nocy, a tymczasem żmudna konstrukcja jej marzeń runęła jak słomiany szałas podczas burzy.

– Dlaczego? – szepnęła.

Dlaczego przeznaczenie zakpiło z niej w chwili, gdy uznała, że okiełznała je swoją wolą, upartą wiarą w osiągnięcie celu. Dlaczego Poratorn jest taki słaby?

Słaby?

Nagle zdała sobie sprawę z najbardziej istotnego szczegółu. Że Mageot ożył w chwili, gdy znaleźli się w podziemiach. Widzieli go przecież. Czyż nie obecność Poratorna zbudziła go z letargu? Może nie wszystko jeszcze stracone?

Drzwi do komnaty otworzyły się. Niterte drgnęła. Ujrzała księcia Grademieun i jej twarz zarumieniła się gniewnie.

– Jak śmiesz wchodzić do mojej komnaty o tak późnej porze?!

– Milcz, kobieto – księżę darował sobie konwenanse.

– Czyżby skusiły cię moje wdzięki, panie? – zadrwiła.

– Powstrzymaj swój nieokiełznany język. Jest ze mną nasz syn. – Zza pleców księcia wyłonił się Poratorn. – Opowiedział mi wszystko.

– Wszystko? Co to znaczy: wszystko? Jest jakimś mędrcom?

Zignorował tę zaczepkę.

– Jesteś wiedźmą. Mam syna z kobietą, która jest wiedźmą. W dodatku szaloną. Jak śmiesz mieszać Poratorna w swoje niedorzeczne mrzonki? To przyszedł Pan Wermontu. Przez ciebie mógł stracić życie.

– Nagle stałeś się troskliwym ojcem. Proponujesz Poratornowi Wermont. – Nieoczekiwanie zachichotała. – I władzę, czyż nie tak powiedziałeś? Wermont! – Wciąż się śmiała. – Ładnie to brzmi, ale znaczy niewiele. Wermont jest wrakiem państwa, a książęca władza, jeśli nawet nie jest iluzją dzisiaj, z pewnością stanie się nią jutro. To właśnie ofiarowujesz naszemu synowi, a ja pluję na taką wielkość. Pragnę dla swego syna więcej. Znacznie więcej. Chcę, aby stał się prawdziwym władcą, panem świata, a nie kukiełką zaplątaną we własnej tyranii.

– Matko! – krzyknął pobladły Poratorn. – Sądziłem, że wyjaśniliśmy sobie tę sprawę.

– Otóż nie. Przeoczyliśmy ważny szczegół...

– Co takiego?

– Pomyśl! Czy nie swoją obecnością w podziemiach wyzwoliłeś moce drzemiące tam od wieków? Czy w takim razie to nie za twoją wolą Mageot został uwolniony? O tym powiedz księciu!

– Jak mówiłem, poinformowałem mnie o wszystkim. – Gradetnieun zareagował ze spokojem. – Również o waszym przywidzeniu.

– Przywidzeniu? – Niterte wstała z łoża. Jedną rękę wyzywająco położyła na biodrze, drugą oparła się o baldachim.

– Postać towarzysząca temu dziwnemu zwierzęciu nie była Mageotem – rzekł książę. W jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju tryumfu.

– Skąd wiesz? Skąd możesz wiedzieć? – zapytała zaczepnie, lecz jakby odrobinę mniej pewnie.

– Według kronik ten Mageot miał tylko jedną rękę. Czyżbyś przeoczyła ów zapis?

– Było ciemno... – Głos Niterte zdrzął. – Widzieliśmy go tylko przez chwilę, właściwie jedynie cień.

– Ten mężczyzna miał obie ręce – zauważył Poratorn. – Jestem pewien.

– To w takim razie, co jakiś inny obcy mógł robić w lochach? I jak się tam dostał?

– Strażnicy właśnie to sprawdzają – odparł książę. – Wysłałem ich, żeby przeszukali podziemia.

Niterte ponownie usiadła na skraju łoża. Pokiwała w zamyśleniu głową.

– Powinieneś wysłać wielu ludzi – powiedziała.

– O to się nie martw. Strażnikami dowodzi sam Arhal Tanavar. Ostatnio ciężkie ma przez ciebie życie.

* * *

Cartesal szedł bardzo wolno. Trudno było dźwigać ciężkie ciało mężczyzny, trzymając w dodatku pochodnię. Narzędzia porzucił na samym początku; szkoda mu ich było, ale liczył, że jeszcze po nie wróci. Trochę niepokoił go kocur, który wybiegał naprzód, to znów zawracał, jakby chciał go popędzać.

W pewnej chwili poczuł, że nie ma już sił. Musi odpocząć. Ułożył mężczyznę pod ścianą i usiadł na kamieniu. Głosy w głębi korytarza nie cichły. Z całą pewnością to jego tropili. Tamtych dwoje musiało ich sprowadzić. Może lepiej było pozwolić zabić ich temu diabolicznemu stworzeniu? Może instynkt był mądrzejszy od rozwagi?

Nagle zdał sobie sprawę z wymowy tych kalkulacji. Spóźnionych, ale jednak przerażających swym chłodem i bezwzględnością. Jakby nie chodziło o żywych ludzi, których w dodatku znał, lecz o zabawki w dziecięcej grze. Z pewną odrazą spojrział na nieprzytomnego człowieka, wydobytego z kamiennego sarkofagu.

„To nie ja” – uzmysłowił sobie. – „To nie moje myśli”.

Miał zamiar uciec. Zostawić to wszystko i uciec w jakieś bezpieczne miejsce. Nie musieć już robić niczego, obojętnie – w zgodzie ze sobą czy wbrew sobie. Uciec! Dlaczego to nie jest takie proste?!

Kocur warknął. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym skoczył w kierunku, z którego przybyli. Tam, skąd dobiegał szmer ludzkich głosów. Na granicy zasięgu światła pochodni zatrzymał się i popatrzył na Cartesala. Potem zniknął w ciemnościach.

Nie trzeba było czekać długo, aby rozległy się krzyki. Sądząc po ich natężeniu, ludzi musiało być wielu, może nawet kilkunastu. Cartesal ponownie dźwignął bezwładne ciało, zarzucił je sobie na plecy i ruszył. Byle dalej stąd, byle dalej od tych wrzasków. Szybciej. Nim ogłuchnie lub zawałą się chodniki.

Wreszcie ujrzał wyjście; poczuł cieplejszy powiew. Odrzucił niepotrzebną już pochodnię. Na dworze dniało. Różowy brzask rozjaśniał wschodnią stronę nieba, przenosząc koloryt na dalekie, stepowe mgły. Wiatr owiewał spocone ciało młodzieńca z Santerav, oddychającego pełną piersią i wpatzonego w horyzont. Wolność! Tak smakuje wolność.

Gdzieś z boku, z mgły, wyłoniły się mury zamku. Trzeba się śpieszyć. Nim się całkiem rozwidni i będą widoczni z daleka.

– Stój! – usłyszał okrzyk. Zesztywniał.

Dopiero po chwili zorientował się, że słowa wypowiedział niesiony przez niego mężczyzna. Ostrożnie postawił go na ziemi. Nieznajomy przewrócił się na bok, ale zaraz

podparł rękami i usiadł. Potrząsał głową, jak pływak, który zanurkował zbyt głęboko.

– Jestem jeszcze słaby – skonstatował. – Doskonale się spisałeś. Wiedz, że moja wdzięczność nie ma granic.

Oparł się o Cartesala, nie potrafiącego wykrztusić słowa.

– Spieszmy się – powiedział mężczyzna. – Zaprowadź mnie do swojej chaty.

– Dobrze – wykrztusił wreszcie Cartesal.

– Jak się zwiesz, młodzieńcze?

– Cartesal Crommelin, panie. Myślałem... że wiesz. Wzywałeś mnie, czyż nie tak?

Mężczyzna pokiwał głową.

– Wzywałem tego, który zdołał mnie usłyszeć. Człowieka silnego duchem. Na nic tu słowa czy nazwy. Twoje imię to tylko słowo, nic nie znaczy.

– A twoje, panie? – odważył się spytać Cartesal. – Kim jesteś?

– Nazywam się Mageot.

Mageot. Człowiek noszący w sobie magię. Wiele krążyło o nim opowieści i wszystkie były złe. Legendy pochodziły z przeszłości, sprzed wieków; dziś nikt, prócz dzieci, nie traktował ich poważnie. Również Cartesal nie. Do tej chwili.

– Gdzie jest szork? – zapytał Mageot. – Był przy tobie, gdy mnie uwolniłeś.

Po chwili Cartesal zorientował się o kogo chodzi. Wskazał wejście do katakumb.

– Ścigają nas. Zapewne Straż Wermontu. Sądzę, że kocur próbuje ich powstrzymać.

– Przybył tylko jeden?

– Zabił mi psa – poskarżył się Cartesal.

– Pytam, czy jeden tylko szork przyszedł ci z pomocą!

– Tak. Spodziewałeś się, że będzie ich więcej?

– Nie lubią się rozłączać, bo nigdzie nie znajdują swoich. Na całym świecie jest ich tylko jedna grupa. To dziwne, że nie posłuchały wezwania... Ten szork jest już stary, wygląda na osłabionego.

– Stary? – zdumiał się młodzieniec. – Panie, sam widziałem, jak w mgnieniu oka rozszarpał dwóch uzbrojonych strażników!

Nie znasz szorków. Mówiono o nich, że są zwierzęcymi demonami. Może to i prawda, nawet ja nigdy do końca nie rozgryzłem ich natury. Ten ma już swoje lata, zapewniam cię. Wybacz mi. – Mageot silniej oparł się o Cartesala. – Dotknąłeś wielu tajemnic, których nie rozumiesz, ale teraz śpieszmy się. Mówiłeś o pościgu, więc się śpieszmy.

Dotarli do chaty równo ze wschodzącym słońcem i dopiero teraz zaczęły opadać poranne mgły, za co Cartesal dziękował niebiosom. Była szansa, że nie zobaczył ich żaden ranny ptaszek, ani co ważniejsze, zamkowi wartownicy.

– Muszę odpocząć – rzekł Mageot. Usiadł na zydlu. – Jeszcze nigdy nie byłem tak zmęczony.

– Jesteś głodny, panie?

– Nie. Choć nie jadłem od... – Mageot spojrział na młodzieńca z cieniem uśmiechu na pożółkłej twarzy. – Mniejsza z tym, od kiedy. Ale chętnie napiję się wody.

– Jeśli chcesz świeżej, panie, skoczę do studni.

– Dziękuję. Ta wystarczy, Czeladniku.

Cartesal zatrzymał się w pół kroku. Zerknął pytająco na mężczyznę.

– Nazywam się Cartesal Crommelin – powiedział po namyśle.

– Tak. Już mi o tym mówiłeś, Czeladniku.

Zapadła cisza; dla młodzieńca była ona dość niezręczna. W końcu przerwał ją Mageot:

– Czyżbyś się nie domyślał?

– Czego?

– Jesteś Czeladnikiem Mageota... Nie obawiaj się – dodał, widząc przerażenie na twarzy młodzieńca. – Bycie Czeladnikiem Mageota wcale nie oznacza, że zostanie się jego następcą. To imię jest mylące, ponieważ nadali je ludzie wrodzy magii, ale przyjęło się i nawet ja, jak widzisz, go używam. Mageot nie ma uczniów. Nie może mieć, gdyż tak naprawdę, to sam nie wie co potrafi. Magiczne wzorce tkwią w nim, niczym monety w kupieckiej sakwie. Można je czasem wyjąć i wykorzystać, ale nie wtedy, gdy się tego chce. Sądzę nawet, że to nie ja wyjmuję monety. Za moim pośrednictwem robi to ktoś znacznie potężniejszy, kto się tylko bawi życiem człowieka-maga.

– Czeladnika również?

Być może. Ale chociaż na to mam wpływ. Czeladnik jest wybrańcem Mageota, związanym z nim na zawsze, jak wierny sługa ze swoim panem. I w istocie jesteś tylko sługą. Pomocnikiem... – Umilkł, lecz za moment dodał: – Ale ty przynajmniej wiesz kim jesteś.

– Były chwile, gdy sądziłem, że jestem opętany – wyznał Cartesal.

– Jest mi obojętne, co sądzisz. I nie zastanawiaj się nad tym, radzę ci, ponieważ nic to nie da. Gdy Czeladnik raz się sprawdzi, nie ma już wyboru. I nie pytaj mnie, jak to się dzieje, bo sam nie znam dobrej odpowiedzi...

Mageot ponownie sięgnął po wodę. Pił łączywie, bez przerwy na oddech.

– Widzę, że przyglądasz się mojej ręce – rzekł, poruszając zwierzęcym pazurem na bezpalczastej dłoni... – Nie jest to piękny widok, przyznaję.

– Co się z nią stało, panie?

– Co się stało? – powtórzył Mageot. – Nic. Taka się odbudowała.

Cartesal zmarszczył brwi.

– Niegdyś straciłem tę rękę w walce. Odcięto mi ją mieczem. Podczas trwającego dwieście lat letargu jakimś sposobem zaczęła odrastać. Widać magia zdecydowała, że będę jak kameleon... Ale, jak widzisz, nie jest zbyt piękna. – Mageot zakaszłał. Może zakrztusił się wodą, a może bolesne wspomnienie ścisnęło mu krtań.

– Chciałbym się położyć – rzekł.

– Oczywiście. – Młody gospodarz, wciąż zdezorientowany faktem, iż nazwano go Czeladnikiem Mageota, wskazał mu swoje łóżko.

Przez czas jakiś przyglądał się starcowi, który zamknął oczy, oddychał równo i nie poruszał się, co sugerowało sen, lecz nagle pomarszczona twarz napięła się w grymasie wysiłku i taka pozostała. To nie sen, lecz jakiś koszmarny trans.

Cartesal udał się do kuchennej części domostwa, żeby zrobić coś do jedzenia. Bardzo zgłodniał. Gdy powrócił, Mageot siedział na łóżku. Wyraźnie nasłuchiwał. Wtem potrząsnął głową, gwałtownie, z niejakim obrzydzeniem, jakby chciał zrzucić z siebie garść niewidzialnych owadów. Wstał, energiczny i rześki, jakby niespodzianie ubyło mu lat. Rozejrzał się po izbie.

– Masz broń? – zapytał szybko.

– Miecz. Bardzo dobry. Szork zabił dwóch strażników Wermontu i...

– Daj! Pośpiesz się!

Młody Crommelin wy dobył broń ze skrzyni. Tkwiła w pochwie z końskiej skóry, na stałe znitowanej z pasem. Mageot wprawnym ruchem wy dobył lśniąca stal.

Cartesal przypadł do okna.

– Nikogo nie widzę! – zawołał.

Nie otrzymał odpowiedzi, więc obejrzał się i zobaczył, że Mageot ponownie znieruchomiał, zastygł w dziwnej pozycji, pochylony, z nogą wysuniętą w pół kroku. Powieki miał na wpół przymknięte.

Młody Crommelin poczuł chłód, gdy tak patrzył na niego, na nieludzko przeobrażoną twarz, na zniekształconą, zwierzęcą rękę.

– Panie! – krzyknął.

Posagowy mężczyzna nawet nie drgnął. Zdezorientowany Cartesal znowu spojrzął w okno.

– Są! – zawołał nagle. – Straż Wermontu przeszukuje chaty. Dopiero wówczas Mageot się ocknął.

– Los nam sprzyja – rzekł ze spokojem.

– Jak to sprzyja?! – Cartesal odsunął się od okna, by nie zostać dostrzeżonym z zewnątrz. – To przecież nas szukają! I tak dziwne, że przychodzą dopiero teraz.

- Szukają na oślep. Ciebie nie widzieli. Nikt nie wie, że jesteś Czeladnikiem.
- Powinniśmy uciekać!
- Dokąd? – zapytał Mageot, nie oczekując odpowiedzi. – Zdaj się na mnie. Czekamy.

Wszystko zależy od tego, ile zostało nam czasu.

Cartesal nic nie rozumiał. Czasu? Jakiego czasu? Co takiego mogło się jeszcze wydarzyć, skoro żołnierze są już w wiosce?

Minuty wlokły się leniwie, a oni wciąż czekali. Wreszcie kilku strażników Wermontu wbiegło na podwórze. Pochyleni, skoczyli ku drzwiom, które wyważyli bez ostrzeżenia. Cartesal stanął za Mageotem. Jak bardzo teraz żałował, że nie ma drugiego miecza.

– Musimy ich powstrzymać – szepnął Mageot. – Tylko trochę. Tylko chwilę. To wystarczy.

Trzej strażnicy wbiegli do izby, wyciągając na ich widok miecze.

– Są! – krzyknął pierwszy.

Cartesal zdał sobie sprawę, że wciąż ma na sobie żołnierski kaftan, zdobyty podczas pierwszego spotkania z szorkiem. To był błąd. Teraz nie miał już szans się wykpić.

I wtedy gdzieś z dala, z drugiego krańca Santerav, dobiegła wrzawa. Tupot galopujących koni, szczęk żelaza i krzyk.

To powstrzymało strażników.

– Zobacz, co się stało! – rozkazał starszy rangą jednemu z podwładnych, który niezwłocznie się odwrócił i wybiegł na drogę.

Mageot przesunął się w stronę okna. Cartesal za nim.

– Nie ruszajcie się! – ostrzegł ich dowodzący strażnik. – Jesteście aresztowani, z rozkazu Pana Wermontu. Odłóż miecz – polecił Mageotowi, lecz ten nie zareagował. Cofnął się tylko.

Cartesal zerknął przez okno i u wylotu drogi zobaczył jeźdźców, pędzących w tumanach kurzu. Na czele oddziału jechał mężczyzna słusznej postury, w lekkim, skórzanym odzieniu. Na głowie miał płytki, stalowy hełm, zakończony ostrym szpicem.

Niektórzy z pędzących powstrzymywali konie, aby podjąć krótką walkę z pieszymi strażnikami Wermontu, po czym wracali do luźnego szyku, wskutek czego kolumna się wydłużała i trudno było się zorientować, ilu jest ich naprawdę. Strażnik wysłany dla rozeznania sytuacji od razu pojął, jak nikłe ma szanse, i czym prędzej uciekł do chałupy. Gdy wchodził, dwaj pozostali odwrócili ku niemu głowy i wówczas Mageot wykorzystał tę chwilę nieuwagi. Przyskoczył do najbliższego żołnierza i przystawił do jego piersi głownię miecza.

– Ani kroku! – zawołał. – Czeladniku, bierz miecz! Cartesal nie wahał się. Doskoczył do osaczonego strażnika, wyrwał mu broń i odwrócił się do pozostałych.

Tymczasem na zewnątrz napastnik prowadzący grupę najeźdźców najwyraźniej zauważył odwrót strażnika Wermontu. Podjechał, pokrzykując na swoich ludzi, w pędzie spiął konia, który przeskoczył ogrodzenie i znalazł się na podwórzu. Trzech innych skoczyło za nim, pozostali przemknęli jak wichher, ścigając rozproszonych w panice żołnierzy Wermontu.

Cała czwórka zeskoczyła z koni i wbiegła do chałupy przez wyłamane drzwi. Strażnicy podjęli bezładną obronę. Ten, który stał pod mieczem Mageota, próbował wykorzystać zamieszanie, ale Mageot był czujny. Okrutnym, mocnym pchnięciem wbił miecz między żebra.

Przybysze szybko rozprawili się z pozostałymi strażnikami; poszło im zadziwiająco gładko, na co zapewne miało wpływ zaskoczenie, jakie wywołali swym nagłym pojawieniem. Zaledwie jeden z nich odniósł ranę; krwawił z przedramienia, ale trzymał się na nogach pewnie i nie wyglądało na to, żeby obrażenie było poważne.

Mageot i Cartesal wycofali się pod ścianę. Nie licząc zabitego początkowo strażnika, nie uczestniczyli w walce. Mageot wymownie odrzucił miecz. Cartesal uczynił to samo ze swoim, świeżo pozyskanym. Wojownicy z wahaniem spojrzeli na przywódcę, żołnierza w stalowym hełmie, który powstrzymał ich uniesioną dłonią.

– Kim jesteś? – padło pytanie, skierowane do Mageota.

– Nieprzyjacielem tych, którzy tu leżą – rzekł Mageot, wskazując na martwych strażników.

– A on? – wskazał na młodego Crommelina.

– Również.

Mężczyzna w szyszaku powoli zbliżył się i oparł miecz na karku Cartesala.

Przymrużył powieki, jakby bawił się przerażeniem, które dostrzegał w jego oczach.

– W takim razie, dlaczego stara się upodobnić do sługi Grademieuna? – wycodził.

Cartesal wciąż był w skórzanej kurtce strażnika Wermontu.

Arhal Tanavar stał przed księciem Grademieun. W prawej ręce, uniesionej wysoko, trzymał za uszy zwierzęcą głowę, uciętą u nasady szyi. Krew już spłynęła, lecz jej resztki nie zdążyły zastygnąć i kilka ciemnoczerwonych kropeł zabarwiło posadzkę.

– Oto ścierwo, panie – rzekł gniewnie. – Zabił dwunastu ludzi, ośmiu ciężko poranił. Lżej rannych nie liczę.

Książę z odrazą spoglądał na wilczokocią głowę. Wytrzeszczone oczy zwierzęcia wciąż wyglądały jak żywe, a między okrwawionymi kłami tkwiły jakieś ochłapy.

Grademieun wzdrygnął się, gdy zdał sobie sprawę, że mogą to być resztki ludzkiego ciała.

– Nie uwierzyłbym, gdyby mówił o tym kto inny, nie ty, Arhalcie – powiedział. – Nie uwierzyłbym, chociaż widzę, co mi przyniosłeś. Dwunastu strażników...

– To demon – stwierdził komendant. – Trzeba go było widzieć w walce. Prawdziwy cud, że nie zabił nas wszystkich w tych lochach. – Opuścił rękę i kocia głowa zakołysała się, odbijając od jego nogi.

– Widzieliście kogoś?

– Nie. Tylko światło, przez krótką chwilę, panie. Nie zdążyliśmy się zbliżyć, bo on nam przeszkodził. – Tanavar wymownie poruszył trzymaną głową i znowu kropla kapnęła na podłogę. – Nawet jego krew nie krzepnie po śmierci. Pomiot diabła!

– A więc ten, kto tak wystraszył mojego syna, wymknął się?

– Nie mogliśmy nic więcej zrobić. Zginęło dwunastu ludzi – przypomniał – a być może ktoś jeszcze umrze od ran.

– Pytam, czy się wymknął?!

– Odkryliśmy przejście z lochów w jakieś stare katakumby. Stamtąd jest wyjście na zewnątrz. Ukryte w skałach i zaroślach. Mógł uciec tamtędy.

– Chcesz powiedzieć, że każdy, kto ma taką zachciankę, może dostać się do zamku przez jakieś katakumby?

– Nigdy tak nie było. Wiedziałbym o tym. Przejście musiało pojawić się niedawno. Nie wygląda na celową robotę, raczej na jakieś tąpnięcie.

– Co zamierzasz? – ponaglił księżę Grademieun.

– Wysłałem do Santerav strażników, z rozkazem przeszukania wszystkich chat. Ale...

– Tanavar zawahał się.

– Co takiego?

– Nie wiedzą, kogo mają szukać.

Pan Wermontu pochylił głowę i w zniecierpliwieniu potarł czoło.

– Ja również nie wiem – przyznał. – Mogę tylko przypuszczać, ale jest to zbyt... niewiarygodne. Jeśli okaże się... – nagle przerwał, skrzywiwszy twarz w bolesnym grymasie.

– Źle się czujesz, panie?

– Niterte twierdzi, że to mógł być Mageot. Wydawało mi się, że przekonałem ją, iż nie mogła go widzieć w lochach, lecz teraz... Zastanawiam się, czy nie przekonywałem samego siebie. Ta przerażająca istota, której głowę mi przyniosłeś... Czyż nie wygląda na to, że nie pochodzi z naszego świata?

– Nigdy nie widziałem nic podobnego – przyznał Tanavar.

– A jeśli tak... To cały Mageot! Ta szalona kobieta może mieć rację! Czy wiesz, co to może dla mnie oznaczać?

– Wiem, kim był Mageot – rzekł niepewnie komendant. – Krąży wiele legend...
– Nie w tym rzecz – zaprzeczył niecierpliwie Grademieun. – O niczym nie masz pojęcia, bo i skąd. Rzecz w tym, że jeden z moich przodków pokonał go, i to dwukrotnie. Nienawidzili się. Jeśli jego pojawienie się jest prawdą, to na kim będzie szukał zemsty. Na kim?!

Zdezorientowany Tanavar milczał.

– Jestem Grademieun! – wykrzyknął książę – A on nienawidzi tego nazwiska!
– Jeśli jest w wiosce, nie umknie moim ludziom – zapewnił komendant. – Najlepiej będzie, jeśli sam tam pojedę, dopilnuję wszystkiego.

Nie doczekał się odpowiedzi, gdyż nagle zastukała kołatka i uchyliły się ciężkie drzwi komnaty.

– Przepraszam, panie – rzekł Rasmus, przyboczny Tanavara, pochylając głowę. – Wybaczcie, że przeszkadzam, ale są wieści niezwyklej wagi. Przyniósł je jeden ze strażników wysłanych do Santerav.

– Właśnie skończyliśmy – rzekł oschle książę. – Wprowadź go. Człowiek, który stanął przed nim, z trudem łapał oddech. Jego twarz pokrywał kurz, rozmazany z potem.

– Najazd, panie! – wyrzucił słowa z wyschniętej krtani. – Ludzie księcia Rollinamana napadli na Santerav... – Zachłysnął się raptownie, dostrzegając upiorny ciężar w dłoni komendanta.

Książę Grademieun zerwał się z krzesła.

– Co takiego?! – krzyknął.

– Ilu? – zapytał krótko Tanavar.

– Może dwudziestu, ale... rozbili nas. Przeszukiwaliśmy wioskę, kiedy... – Strażnik nie spuszczał oczu z demoniej głowy.

– Rasmus! – zawołał komendant.

W drzwiach ponownie pojawiła się twarz przybocznego:

– Według rozkazu!

– Alarm! Dwa szwadrony do Santerav. Natychmiast! Reszta w pogotowiu.

– Czy nikt nie pilnuje granic w tym księstwie?! – zawołał rozsierdzony Grademieun.

– Tylko dwudziestu. To nie wojna – zauważył trzeźwo Tanavar. – Musieli jakoś przemknąć się lasem, na własne ryzyko.

– Przemknąć?!

– Gdyby było inaczej, wiedziałbym. Moi szpiedzy niczego nie meldowali. Zresztą, byłoby bardzo dziwne, gdyby Rollinaman wysyłał przeciwko nam tak skąpy oddział. I bardzo niezrozumiałe.

– Niezrozumiałe jest dla mnie sposób, w jaki pojawili się tutaj – rzekł cierpko książę.

– Nie stój tak. Działaj!

– Tak jest! – Tanavar wcisnął kocią głowę w dłoń osłupiałego strażnika, pośłańca z Santerav, i wybiegł z komnaty.

* * *

Długo musiał czekać Pan Wermontu, nim dotarły do niego następne wieści. Ze wstrętem oglądał ścierwo, które kazał strażnikowi – nim go odprawił – złożyć na okiennym parapecie.

Pełną garścią chwycił sierść, lecz zaraz puścił, gdyż niezliczone ostrza boleśnie wbiły mu się w dłoń. Ostrożnie złapał po raz drugi, za uszy, gdzie futro było delikatniejsze, i uniósł głowę kocura na wysokość oczu. Nie zważając na nieprzyjemną woń, spoglądał w rozwarte, złe źrenice.

– Mageot – cedził słowa. – Czy tam był Mageot?

Łudził się, że gdyby martwe truchło potrafiło przemówić, otrzymałby przeczącą odpowiedź. Tak zastał go goniec, wysłany przez Arhala Tanavara.

– Najeźdźcy z Kentgerontmontu zbiegli – powiedział, padając w ukłonie na posadzkę. – Powiedli ze sobą niejakiego Crommelina oraz nie znanego nikomu starca.

Księżę Grademieun zastanowił się.

– Crommelin? Znam to nazwisko.

– Tak nazywał się poprzedni naczelnik wioski. To jego syn.

– Okazał się zdrajcą!

– Nie sędzę, panie. – Głowa gońca pochyliła się jeszcze niżej. – Uprowadzono ich związanych.

– Jak wyglądał ten starzec?

– Nie widziałem go, panie. Ale świadkowie zwracali uwagę na jego lewą rękę. Jakby coś ją oblepiało.

– Możesz odejść – polecił księżę. – Nie, poczekaj – zatrzymał go jeszcze. – Jakie masz rozkazy?

– Wrócić do komendanta, jeśli masz dla niego jakieś polecenia, panie. Ruszył w pościg za wrogiem.

– Dobrze. Mam rozkaz, ale dla ciebie. Wracaj do Santerav, przepytaj ludzi. Masz dowiedzieć się jak najwięcej o tamtym starcu i wszystko mi przekażesz. Osobiście.

– Tak jest!

Goniec wyszedł. Jeszcze nie przebrzmiało echo jego kroków, gdy Grademieun wezwał wartownika.

– Sprowadź Niterte i księcia Poratorna – nakazał.

Czekając, ułożył zmasakrowaną kocią głowę na stole. Po namyśle podstawił pod nią patere, rzucając w kąt owoce. Nalał wina do posrebrzanego kielicha i zasiadł przed tą niecodzienną zastawą, niczym do jakiejś upiornej uczty.

Oboje stawili się bez zwłoki. Nie sposób było nie zauważyć demonicznej zawartości patery. Niterte krzyknęła, łapiąc się za usta. Poratorn był mniej wylewny, ale i jego oczy zaokrągliły się nienaturalnie.

– Dostałem go, jak widzisz – powiedział książę, odchylając się na krzesło. Nonszalancko uniósł kielich i pociągnął łyk wina. Przez chwilę jego ręka zawisła teatralnie nad patere, jakby zamierzał uszczknąć zawartości, lecz zaraz cofnął ją, jeszcze raz racząc się winem. – Nie ma rzeczy niemożliwych. Dostanę również Mageota.

Twarz Niterte zarumieniła się z emocji.

– A więc on istnieje. Żyje. Miałam rację!

Poratorn chrząknął nerwowo. Otworzył usta, ale nie zdecydował się odezwać. Jak zauroczony, nie odrywał wzroku od uciętej kocięj głowy.

– Musisz go ująć, panie! – zawołała Niterte.

– Nie mów mi, kobieto, co mam czynić – rzekł chłodno Grademieun. Patrzył na Niterte, a ona domyśliła się, czego oczekuje.

– Proszę – powiedziała i powtórzyła raz jeszcze: – Proszę. Pojmij go żywego! Zrób to dla Poratorna. On jest twoim następcą, przyszłym władcą. Przeprowadź mu Mageota!

Grademieun tryumfalnie odstawił kielich. Wstał z krzesła.

– Opętanie przez ciebie przemawia, kobieto – rzekł zjadliwie. – To doprawdy niepojęte, te twoje plany, całe to szaleństwo.

– Przeprowadzisz go?

– Nie – padła krótka odpowiedź. – Jak tylko go dostanę, zginie. Ten człowiek stanowi zagrożenie dla mojego rodu. Jest niebezpieczny. Musi zginąć.

– Najpierw porozmawia z nim Poratorn – nalegała Niterte. – Nie!

– Nie zrobisz tego!

– Ojciec ma rację – odezwał się niespodziewanie Poratorn. Już nie patrzył na stół. – Mageot musi zginąć!

Rozdział 5.

Końskie kopyta zastukały o bruk dziedzińca. Książę Rollinaman, Pan Kentgerontmontu od lat zaledwie czterech, którą to sukcesję przejął po swym przedwcześnie zmarłym ojcu, wyrzwał przez otwarte okno. Był zaciekawiony, gdyż nieco wcześniej posłaniec przyniósł niezwykajne wieści od jego najlepszego gradiona.

Z kamiennego wykuszu bramy kolejno wynurzali się jeźdźcy: gradion Czewsker i jego towarzysze, zawzięci amatorzy wielodniowych polowań połączonych z nocnymi biwakami i karczemnymi biesiadami, w których swego czasu książę brał udział zawsze i chętnie, obecnie jednak obowiązki – a i powaga władcy, nad czym skrycie bolał – kazały mu ograniczyć tę przyjemność do dwóch, najwyżej trzech rocznie. Z tym większą zatem nostalgiczną ciekawością wypatrywał u przybyłych upolowanej zwierzyny. Jednakże z tunelu bramy nie wyłaniał się ani jeden juczny koń, a żaden jeździec nie obciążał dodatkowo drobniejszym łupem swego wierzchowca.

W pewnej chwili z cienia wyjechał pierwszy z pojmanych Wermontczyków, o czym doniósł goniec Czewskera. Młodzieniec, wiejski osiłek z szopą jasnych włosów, niewart specjalnej uwagi. Książę Rollinaman czekał na drugiego, ponoć o dziwacznej posturze i budzącej lęk charyzmie.

Jest! Rollinaman zastygł w oknie, z twarzą poszarzałą nagle, jakby pokrył ją popiół ogniska.

Z bramy wyjeżdżał rycerz. Żelazny pancerz okrywał go dokładnie, od głowy do stóp. Jaskrawe promienie słońca odbijały się od elementów zbroi jak od kawałków luster, a ich odbicia kłuły oczy skamieniałego księcia. Ale przerażenie, które sparaliżowało młodego Pana Kentgerontmontu, nie wynikało z samego faktu nieoczekiwanego pojawienia się stalowego wojownika. On znał tę postać. Upiora dalekiej przeszłości, bynajmniej nie ze snu.

Dość!

Koszmar zniknął jak skręcony jednym ruchem płomień lampy.

Rycerza nie było. Zdumiony książę z niedowierzaniem wpatrywał się w starca, siedzącego na koniu ze spętanymi rękami. Wyróżniał się nie tylko obfitym, zupełnie siwym zarostem, lecz przede wszystkim ogromną, pozostającą w asymetrii do prawej części ciała ręką. Żadnej stali. Żadnej zbroi.

Książę odetchnął głęboko. Wciąż nie wiedział, co się stało, lecz powoli wracał do równowagi. Zauważył, że więźniowie mają ręce związane z przodu, nie z tyłu, co sugerowało pewną pobłażliwość ze strony Czewskera. Widać uznał, że nie są niebezpieczni.

Żołnierze rozkubaczyli zmęczone konie.

W pewnej chwili rozmawiający z Czewskerem starzec odwrócił głowę i popatrzył wprost w okno, będące miejscem obserwacji księcia. Ich spojrzenia się skrzyżowały. Rollinaman cofnął się odruchowo w głąb komnaty, tracąc pole widzenia. Gdy z powrotem przystąpił do okna, starzec nie spoglądał już w jego stronę.

Również Czewsker dostrzegł Pana Kentgerontmontu i z szacunkiem skłonił głowę. Zdjął swój płaski szyszak, poprawił zwichrzone włosy. Widząc przyzywający gest władcy, zamienił kilka słów z najbliższym stojącym żołnierzem, po czym szybkim krokiem podążył do budynku.

– Długo cię nie było – zauważył książę Rollinaman. Kolory jeszcze całkiem nie wróciły na stężałą pod wpływem majaku twarz, ale podekscytowany gradion niczego nie zauważył.

– Dłużej, niż zamierzałem, panie, ale zaszły nieprzewidziane okoliczności. Przywiodłem dwóch jeńców.

– Wiem. Twój posłaniec dotarł z wieścią. Byłeś na polowaniu. – Książę zmarszczył brwi. – Od kiedy to zamiast zwierząt przywozisz z łowów ludzi?

Gardion Czewsker uśmiechnął się, nieco zakłopotany.

– Polowanie było udane, lecz zdobycz porzuciliśmy. Wiesz, panie, że najdorodniejszą zwierzynę można spotkać w lasach księstwa Wermontu, tam też zapędziłem się ze swoimi ludźmi. Nigdy tego nie zabraniałeś.

– Do rzeczy. Co to za jeńcy?

– Zrobiłem mały wypad do Santerav. Oni są stamtąd. Zaskoczony książę z niedowierzaniem patrzył na swojego żołnierza.

– Oszalałeś? Pod samym bokiem Grademieuna? Ilu miałeś ludzi?

– Siedemnastu, nie licząc dwóch mieszczan, którym zezwoliłeś na udział w łowach. I nikt nie zginął – w oczach gradiona pojawiła się duma – chociaż w wiosce byli żołnierze Straży Wermontu. Pierzchali przed nami jak muchy.

– Twoje szczęście – rzekł oschle książę Rollinaman, ukrócając entuzjazm gradiona. Odwrócił się plecami do rozmówcy i wolnym krokiem podszedł do okna. Znowu spoglądał na dziedziniec, gdzie żołnierze i dwóch obcych czekali na rozkazy.

– Napadłeś na Santerav! – odezwał się w końcu, nie zmieniając pozycji. – Uczyniłeś to bez mojego rozkazu, za co zostaniesz ukarany w stosownej chwili.

Nagle odwrócił się powtórnie i spojrział prosto w oczy Czewskera.

– Może puszczyć w niepamięć ten wybryk – powiedział – jeśli zdołasz sensownie wyjaśnić swoje motywy.

Gradion milczał. Stał sztywno wyprostowany, a jego twarz nieoczekiwanie przybrała

zdezorientowany wyraz.

– Mogłeś zgubić siebie i podległych żołnierzy – mówił dalej książę – że nie wspomnę o tych dwóch mieszczanach. Jak mogłeś być tak lekkomyślny? I to ty, którego rozważa nie raz była przykładem dla innych? Dlaczego to zrobiłeś?

Dlaczego?

Czewsker zdał sobie sprawę, że nie potrafi udzielić odpowiedzi, choćby i przyszło mu stać tak przed księciem dzień cały. Nie potrafi. Polowanie było udane, zamierzał już wracać – wszystko to pamiętał – ale co dalej? Wyteżał umysł; przywołał pamięć i ujrzał siebie wyjeżdżającego z lasu, z tyłu pędzący oddział. Wszyscy krzyczeli, jak w bitewnym szale, ale co było wcześniej...? Nic. Mgła. Zakończony łowy i nagła szarża przez step, szalony pęd, szalony krzyk, żądza walki. I pewność własnych poczynań, pragnienie dotarcia do Santerav właśnie – wszystko tak oczywiste, że nie zastanawiał się nad tym do tej pory, dopóki pytanie księcia nie zerwało niepojętej zasłony.

– Czewsker! – Tym razem okrzyk Pana Kentgerontmontu był naprawdę gniewny.

Gradion drgnął, wykrzywił twarz.

– Nie wiem – wykrztusił.

– Jak to, nie wiesz?! Czy pomyślałeś o mnie? O panu, któremu służysz i o którego honor przysiągłeś walczyć? W jakiej sytuacji mogłeś mnie postawić, gdybyś przegrał? Gdyby wycięli was w pień, jak miałbym zachować twarz wobec Grademieuna, który zapewne z przyjemnością rzuciłby mi pod nogi twoją głowę? Wypowiedzieć wojnę czy przeprosić wielmożnego Wermontczyka, co? Może jednak przeprosić za rozbrykanych rycerzyków, he?

– Ale jednak nie przegrałem – zauważył Czewsker, może nazbyt śmiało.

– I twoje to szczęście, jak rzekłem. Nie, nie minie cię jednak kara – zdecydował rozsierzony Rollinaman. – Później do tego wrócę. Teraz mi powiedz, kim są ludzie, których przywiodłeś.

– Ten dziwny starzec jest cudzoziemcem, panie. Prześladowanym przez księcia Grademieun. Poprosił o opiekę.

– Wierzysz mu? Jak żyję, nie widziałem tu cudzoziemca.

– Zabił strażnika Wermontu. Dlaczego miałby kłamać?

– Może właśnie dlatego. Mówił, skąd pochodzi?

– Nie... Nie pytałem. To niesamowity człowiek.

Książę westchnął, zniecierpliwiony.

– Co się z tobą dzieje, gradionie? Czyś na tym polowaniu pił zatrute wino, albo jakiś leśny czart podmienił ci duszę? Nie dość, że bezmyślnie zaatakowałeś wroga, to jeszcze przyprowadzasz jako jeńców jakieś dwa dziwolągi. I co mam z nimi zrobić?

Co rozkażesz, panie. – Gradion Czewsker zacisnął mocno wargi, aż przybrały siny kolor. Rzecz w tym, że to, czego nie mógł pojąć książę Rollinaman, pozostawało tajemnicą również dla niego samego. Własne postępowanie wydało mu się teraz absurdem.

– Na razie wtrącić ich do lochu – zdecydował książę. – Później przesłucham starego. Na wszelki wypadek. Tymczasem poczekajmy na reakcję Grademieuna. A gdyby ktoś pytał, to sugeruj, że to ja kazałem najechać Santerav. Rozumiesz? Ja! Ale tylko sugeruj.

– Oczywiście – przytaknął z ulgą Czewsker, który teraz nagle nie mógł pojąć, po co przywłókł ze sobą tych dwóch. A jeszcze bardziej tego, że nie zastanawiał się nad tym w drodze. Co za diabeł go opętał?

Gdy wychodził, Pan Kentgerontmontu go zatrzymał. – Mówiłeś, że najechałeś Santerav bez żadnych strat w ludziach? – zapytał.

– Tak jest! Wrócili wszyscy. Jest tylko jeden ranny, i to lekko.

– A zatem może nadszedł czas, by zdeptać wreszcie Wermont?

* * *

Cela, w której ich osadzono, przypominałaby grobowiec, gdyby nie okienko u szczytu, tuż pod sufitem, ale tak wąskie, że nie wymagało krat. Nawet gdyby wspiać się do niego, z trudem można by przecisnąć przezeń rękę, a i tak pewnie nie na zewnątrz, gdyż nie pozwalała na to grubość muru. Ale wpadała przez nie chociaż odrobina dziennego światła. Za to okratowana była cała jedna ściana, ta z drzwiami, przez którą przechodzący dozorca mógł obserwować więźniów. Gdzieś z całkiem niedaleka dobiegały głosy innych pensjonariuszy lochu; nielicznych, jak zdążyli się zorientować.

– To koniec – powiedział Cartesal, siadając na wiązce słomy.

Magetot popatrzył na niego, nie bez pobłażliwości.

– Koniec jest wtedy, gdy twoje serce przestaje bić, a ciało staje się tylko ochłapem mięsa – powiedział. – A i to nie jest wcale takie pewne. Więc nie mów mi o końcu.

– Czy możemy cokolwiek zrobić?

– Czekać – odparł Magetot i usiadł obok Czeladnika.

– Na co? Na cud?

– Właśnie tak. – Zaszeleściła słoma, z której Magetot mościł posłanie. – Na cud.

Cartesal podniósł wzrok.

– To ty, panie, sprowadziłeś do Santerav wojowników Kentgerontmontu, prawda? – spytał. W jego głosie brzmiała nadzieja.

– Niezupełnie. Po prostu byli w pobliżu. Ale nie wątpię, że przyczyniłem się do tego.

– Przyczyniłeś? – zdumiał się.

– Magia, która we mnie tkwi, nie jest mi posłuszna. Przynajmniej zazwyczaj nie – rzekł Mageot. – To moc, jakiej nikt nie zdoła w pełni osiąść. Przynajmniej nie dziś. Nie my. Nie ludzie, jakich znamy.

– Ty jednak ją okiełznałeś. Gradion Czewsker przybył z odsieczą.

Mageot potrząsnął siwą głową.

– Było akurat odwrotnie. W tamtej chwili to magia zawładnęła mną. Wykorzystała mnie, by przetrwać. Jestem tylko naczyniem. Jak wiadro nosiwody, które, puste, jest tylko stertą klepek spiętych stalowymi obręczami. Ale gdy napełnisz je wodą, bacz pilnie, by w wiadrze nie pojawiła się dziura, bo woda wycieknie i wsiąknie w piasek, skąd nie odzyskasz jej żadnym sposobem. Magia to woda, która sama potrafi zadbać o swoje wiadro. Uczyni wszystko, aby się w nim utrzymać.

– Wodę można przelać w inne naczynie – zauważył roztropnie Cartesal.

– Jak najbardziej. Nierzadko nawet trzeba, nic nie jest wieczne. Oprócz magii i gwiazd.

Cartesal położył się na słomianym pościeliu. Patrzył wprost na wąskie okienko pod stropem.

– Ale twoja magia robi to po raz drugi, prawda? – spytał. – Uratuje nas?

– Uratuje mnie – sprostował Mageot. – A ja wezmę cię ze sobą, gdyż jesteś moim Czeladnikiem.

Młody Crommelin długo jeszcze wpatrywał się w okno, aż w końcu zniknęły resztki światła; na zewnątrz zapadła noc. Korytarzem z rzadka przechodził dozorca i wtedy blask pochodni rozjaśniał zimne i wilgotne mury, gdzie nawet pająki z rzadka tylko decydowały się na założenie swej sieci.

Ponownie przeszedł dozorca, znacząc swą obecność stukotem kroków i blaskiem światła. I nagle Cartesal przestraszył się. Wyobraził sobie, że oto magia opuszcza jego pana, porzuca nieprzydatne już naczynie i przenosi się w ciało dozorca, człeka wolnego, zdolnego do opuszczenia więziennych lochów. A jego pozostawia tutaj, z tym starcem, pustym jak kokon po wylęgnięciu się motyla.

* * *

Gdy się obudził, ciemność zniknęła. Było jaśniej niż wczoraj, gdyż wschodzące słońce znalazło się akurat na wysokości szczelinowego okna i żółte promienie bez przeszkód padały na przeciwległą ścianę celi. Stało się teraz oczywiste, dlaczego mech gęściej obrasta kamień w tym miejscu.

Mageot nie spał. Siedział na ławie i jadł coś z blaszanej misy, trzymając ją w jednej ręce – tej zniekształconej – i wybierając pokarm drugą. W celi nie było stołu, a jak widać i łyżek nie podawano. Druga misa, dla Cartesala, stała przy kracie, u wejścia.

– Mocny masz sen – zagadnął Mageot. Młodzieniec kaszlnął i wytrzeptał słomę z włosów.

– Długo nie mogłem zasnąć – wyjaśnił.

– Obmyślałeś zapewne, kogo można by zaczarować? Cartesal popatrzył zaskoczony.

– Oczywiście! – przytaknął. A gdyby tak dozorcę – rzekł chytrze po chwili milczenia.

– Jak wtedy tego gradiona. Nie mógłby otworzyć nam drzwi celi?

Po raz pierwszy od chwili wydobycia Mageota z katakumb Wermontu Cartesal usłyszał jego śmiech.

– I co dalej? – padło pytanie. – Pozabijamy żołnierzy, którzy staną nam na drodze, zdobędziemy konie i przejedziemy przez cały Kentgerontmont, rączo uciekając przed pogonią? Tak to sobie wyobrażasz, jak przypuszczam?

Mageot wstał, odstawił pustą miskę pod kratę i podał Czeladnikowi drugą.

– Lepiej zjedz, nabierzesz lepszej kondycji – skomentował. – Zresztą, mówiłem ci, że to niezupełnie ode mnie zależy. Nie mam wpływu na to, kiedy odezwie się magia.

Cartesal mruknął coś niechętnie i odebrał swoją porcję posiłku. W misce leżała pojedyncza kromka chleba, a obok niej coś przywodzącego na myśl zasuszony owoc albo może i kawałek mięsa.

– Mam nadzieję, że to nie szczur – burknął.

Słyszając te słowa, Mageot się ożywił.

– Szczur, powiedziałaś? – spytał wyczekująco i sięgnął ręką do kieszeni. – A może być mysz?

– Nnie wiem – odparł niepewnie Cartesal.

Mageot wyjął z kieszeni coś szarego.

– Taka? – zapytał. Między kciukiem a palcem wskazującym trzymał ogon myszy, która wiła się i podskakiwała nad podziw żwawo, zważywszy na brak punktu podparcia.

Młodzieniec wpatrywał się w gryzonia z otwartymi ze zdumienia ustami.

– To nie czary! – roześmiał się Mageot. – Złapałem ją dziś rano, gdy jeszcze spałeś. Prawdę mówiąc, sen miała mocny jak ty.

Cartesal nie odpowiedział. Z pewnym wstydem opuścił głowę i zaczął jeść więzienną porcję. Mimo że zawartość miski cuchnęła starą ścierką i była zupełnie bez smaku, do czysta opróżnił miskę, zostawiwszy tylko drobny kawałek czerstwej skórki od chleba. Dla myszy.

– Po co nam mysz, panie? – zapytał jakiś czas później.

– Mysz... – zaczął Mageot i umilkł. Cartesal spojrział na niego pytająco i nagle się przestraszył. Przed chwilą widział oblicze pogodne, roześmiane, a teraz zakryła je jakaś maska. Niby te same rysy, te same zmarszczki, a jednak należące do kogoś innego. Naraz zrozumiał, na czym polegała różnica: ta twarz była nieruchoma, jak wystrugana z drewna, nawet powieki nie zamykały się i nie poruszały gałki oczne. Podobnie jak wtedy w Santerav, przed odsieczą żołnierzy Kentgerontmontu, gdy powiedział do nic nie rozumiejącego Cartesala: „Los nam sprzyja”.

Cały ten stan minął równie nagle jak się pojawił. Mageot spojrział przytomniej i otworzył dłoń, na której leżał szary, kosmaty kształt. Przez moment wydawało się, że mysz jest martwa, że nie przeżyła uścisku, ale po chwili poruszyła drobnymi wąsikami, strzeliła w bok wystraszonym spojrzeniem. Niespodziewanie skoczyła, usiłując zbiec. Mageot wykazał się refleksem i chwycił ją za ogon.

– Czasem mysz jest zdolna pokonać niedźwiedzia – rzekł zagadkowo. – Wszystko jest kwestią sposobu, w jaki się do tego zabierzesz.

Wieczorem, gdy ciemność połknęła półmrok panujący za dnia w czterech ścianach celi, Mageot obudził drzemiącego współwięźnia.

– Wstań – szepnął. – Teraz jest sposobna chwila.

– Na co?

– Wypuścimy mysz.

W panującym mroku nie widzieli nawet siebie samych, lecz równocześnie i ich nie mógł nikt dostrzec. A nadchodzącego dozorcę zdradziłby nie tylko odgłos kroków, lecz i blask pochodni.

– Weź ją. – Mageot odszukał dłoń Czeladnika i przekazał mu mysz. – Tylko nie upuść.

Zwierzątko przycupnęło, przerażone zapewne tą zmianą. Ku zdumieniu Cartesala całe było mokre. Nigdy by nie przypuszczał, iż powiedzenie: *spocić się jak mysz*, jest prawdziwe.

– Musi wyjść na zewnątrz – powiedział Mageot. – Przez to okienko.

Otwór był za wysoko jak na możliwości jednego człowieka. Cartesal wszedł na ramiona podpartego o ścianę Mageota i sięgnął krawędzi. Już wczorajszego wieczoru, wiedziony naturalnym instynktem więźnia, badał ten jedyny łącznik ze światem, nie mając jeszcze pojęcia o planach Mageota, wiedział więc, że nie mogło być nawet mowy o ucieczce tą drogą. Ale mysz z łatwością mogła się prześliznąć.

Tylko po co?

Gdy tylko zwierzątko poczuło świeży powiew, smyrnęło na zewnątrz, niczym poderwane wiatrem.

– Po co, panie? – zapytał Mageota Cartesal.

– Wielu miałem niegdyś Czeladników – usłyszał w odpowiedzi – ale w żadnym ciekawość nie była tak nieposkromiona.

Mijały dni, bliźniacze jak krople wody: rankiem posiłek, jedyny przez cały dzień, stanowiący nie lada urozmaicenie harmonogramu. Jedli wszystko, co do okrucha, choć za każdym prawie razem to samo; niezidentyfikowane żarcie, w którym raz tylko pojawiło się coś nieco wykwintniejszego, jakieś placki, zapewne resztki z pańskiego stołu, którymi pogardził nadzorca psiarni.

Pewnego razu ktoś inny, prócz dozorca, zajrzał do ich celi. Gradion Czewsker. Nie wyglądał na zadowolonego.

– Książę zamierzał was przesłuchać – powiedział. – Ale pewnie zapomniał. Ja mu nie przypomnę, bądźcie pewni. Przez was skompromitowałem się w jego oczach.

– Wiem, że rzuciłeś na mnie urok, starcze – dodał.

I poszedł.

Dnia piątego, o nietypowej porze, zastukały podkute buty więziennego dozorca. Zazgrzytał klucz, obracany w przerdzewiałym zamku.

– Ten stary...! – zawołał donośnie dozorca, choć stał tuż przed Mageotem. Echo poniosło w głąb lochów jego zachrypnięty głos, przeżarty mocnymi trunkami, a może jakąś chorobą gardła. – Idzie za mną!

Uchylił drzwi.

Gdy Mageot wychodził, dozorca wznosił ostentacyjnie pejcz w stronę Cartesala. Nie miał żadnej innej broni, nawet marnego sztyletu, ale po wprawie, z jaką obchodził się z pejczem, można było wnioskować, iż nad podziw jest obyty z tym narzędziem. Młodemu Crommelinowi ani w głowie było szukanie okazji do sprawdzania umiejętności strażnika.

Dozorca wyprowadził Mageota z piwnic, dwa razy jeszcze otwierając i zamykając kratowane drzwi. A przy każdym stał wartownik, z dziwacznie skróconą halabardą, zapewne dla potrzeb ewentualnej potyczki w ciasnych korytarzach. Wyjście z więzienia prowadziło bezpośrednio na dworski dziedziniec, nic dziwnego zatem, że tak skrupulatnie dbano o jego nadzór.

Na zewnątrz czekało na nich dwóch żołnierzy, którzy przejęli więźnia. Jeden z nich trzymał obnażony miecz. Byli wyraźnie podekscytowani. Cała trójka przecięła ukosem podwórzec i weszli do okazałej przybudówki, wyglądającej na pomieszczenia dla służby. Gdy jeden z żołnierzy otworzył któreś z kolei drzwi, jakich dziesiątki wydawały się mieścić po obu stronach długiej sieni, Mageot zobaczył balię z wodą i człowieka

z nożyczkami. Zorientował się o co chodzi.

– Czemu zawdzięczam ten zaszczyt? – zapytał.

– Myj się, nie gadaj! – usłyszał w odpowiedzi. Ale po chwili głos złagodniał: – Sam księżę będzie z tobą rozmawiał.

– Szkoda. Będę musiał uważać – dodał mężczyzna z nożyczkami, poszczekując wymownie swoim narzędziem.

Jeden z żołnierzy zarechotał, lecz drugi, ten z wyciągniętym z pochwy mieczem, cofnął się pod ścianę.

– Rozbieraj się – rozkazał. – Księżę nie będzie czekał.

Więzień wykonał polecenie. Wszedł do balii.

– Woda jest zimna – zauważył.

– A jaka ma być? – zapytał balwierz.

Mageot nie podjął dyskusji. Umył się, po czym gadatliwy mężczyzna przyciął mu włosy i brodę.

– No! – skomentował swoją robotę. – Możecie śmiało prowadzić do księcia.

– Ręce do tyłu! – polecił Mageotowi żołnierz i wyjął sznur, którym obwiązał dokładnie nadgarstki więźnia. Przez nieuwagę dotknął pazura zniekształconej dłoni; cofnął rękę jak oparzony, z niepewną miną masował palce, które zetknęły się ze zwierzęcym szponem.

– I jak tam? – zapytał wchodzący do izby gradion Czewsker. – Aresztant gotowy?

– Mało bym się nie skaleczył – powiedział żołnierz, z odrazą wskazując na rękę Mageota.

– Obciąć! Balwierz pochylił się:

– Tymi nożyczkami nie dam rady.

– Weź inne. Obciąć trzeba, taki pazur może służyć jako broń. Pośpieszcie się, księżę nie będzie czekał.

Znaleziono większe nożyce i uporano się wreszcie z kosmetyką, którą Mageot przyjął ze stoickim spokojem. Odwrotnie niż balwierz, dokonujący cięcia z twarzą bladą jak mleko, jakby to na nim dokonywano zabiegu, a nie odwrotnie.

Przed wyjściem żołnierz założył pętlę na szyję Mageota, drugi koniec tego iście szubienicznego sznura przytroczył do własnego pasa.

– Idziemy!

Na dziedzińcu skręcili w stronę murów z bogatą elewacją; części zajmowanej przez księcia Rollinamana. Poprowadzono więźnia na piętro, potem wyściełanymi dywanami korytarzami. Napotykana służba pierzchała na ich widok; zapewne to nie żołnierze wywoływali taką reakcję, lecz spętany człowiek, prowadzony na sznurze niczym pies na

postronku. Weszli do dużej komnaty, w której czekało kilku rośliych żołnierzy. Czewsker szepnął coś do jednego z nich, ten skinął głową i wyszedł bocznym wejściem.

Gradion skinął znacząco na żołnierza ze sznurem, który najwyraźniej został wcześniej dokładnie poinstruowany co do swojej roli, gdyż natychmiast zabrał się do roboty. Odpiął sznur z pasa, sprawdził więzy, a przede wszystkim pętlę na szyi więźnia, po czym spojrzał w górę, na powałę poprzecinaną szeregiem drewnianych belek. Właśnie na jedną z nich zarzucił sznur i ściągnął w dół jego koniec; mocno, aż Mageot poczuł opór na grdyce.

Wyprostował się. Wisielec na szubienicy.

Wszedł książę Rollinaman, Pan Kentgerontmontu, w towarzystwie osobnika niezwykle niskiego wzrostu. Władca usiadł w fotelu, podczas gdy karzeł stanął obok.

– Nie boisz się? – zapytał książę Rollinam, patrząc zimno na Mageota.

Więzień pokręcił głową, a podczas tego ruchu sznur się zakołysał.

– Gdybyś zamierzał mnie powiesić, panie, nie czyniłbyś tego, jak mniemam, w swojej audiencyjnej komnacie. A tym bardziej nie kazałbyś wykapać. Jeszcze nie słyszałem o takim przedegzekucyjnym rytuale.

Książę uśmiechnął się nieznacznie.

– O! – Nieco teatralnie uniósł wskazujący palec. – Dobrze przeczuwałem, że mądry z ciebie człek. Aż szkoda, że nie znalazłem czasu na rozmowę, nim przybył mój łaskawy gość. – Otwartą dłońią wskazał na karła. – Ale do rzeczy. Chciałbym dowiedzieć się czegoś o tobie. Podobno otumanieś biednego Czewskera, twierdząc, że jesteś przybyszem z obcego kraju, którego niezasłużenie prześladowuje Grademieun.

– Prawda to, że jestem obcy w waszym świecie.

– Obcy. Niewiele to znaczy. Skąd zatem pochodzisz? Więzień śmiało popatrzył w oczy władcy. Kąpiel i balwierska toaleta ujęły mu nieco lat, lecz wciąż wyglądał staro. Naprawdę taki był.

– Przed tak dostojną osobą jak ty, panie – rzekł uprzejmie – nie zwykłem grać komedii. Domyślam się, że wiesz, kim jestem, i nie zamierzam zaprzeczać. Masz rację. Nazywam się Mageot.

Książę zerknął znacząco na karła, po czym powrócił spojrzeniem do więźnia.

– Skąd wiedziałeś, że wiem? – spytał.

– Ta szubienica.

– Nie rozumiem.

– Zawsze tak było. Ludzie obawiają się, że Mageot zrobi im krzywdę, a ponieważ boją się go zabić, sądzą, iż groźba utraty życia zdoła powstrzymać czary. A jeśli nawet nie, to sama śmierć je przerwie.

– Twierdzisz, że boję się ciebie zabić? – Rollinaman spoważniał. Zmarszczył brwi, dając do zrozumienia, że gotów jest czynem udowodnić nieprawdziwość zarzutu.

– Tylko przypuszczam – rzekł pośpiesznie Mageot. – Na to liczę, szczerze mówiąc.

– Rzeczywiście jesteś szczerzy – zauważył książę. – Widzisz? – zwrócił się do karła. – A przewidywałeś, że będą kłopoty. Nie tylko się nie wypiera, ale wygląda na dumnego ze swej roli.

– Oddasz mi go? – zapytał karzeł.

– Oddam – odparł książę Rollinaman. – Niech jednak bogowie mają w opiece Niterte, zabiję tę staruchę i jej syna, jeśli nie dotrzymają słowa. A pewien szpieg będzie trzy dni konał na palu, wystawionym na rynku ku uciesze gawiedzi.

Karzeł skulił się, jakby nagle zmroził go zimowy wiatr.

* * *

Otyła służąca wyjęła czop z dna wanny i brudna woda zaczęła wylewać się do koryta, prowadzącego do otworu w murze, a stamtąd na zewnątrz, wprost na tyły podwórza. Uśmiechnęła się, słysząc wrzask wszędobyłskiej dzieciarni, tylko czekającej na taki nagły, ciepły prysznic. Nie wiedzieć skąd, zawsze wiedziały kiedy zebrać się pod murem.

Balwierz sprzątał izbę. Miotłą zamiatął ścięte włosy, zgarniał je na szufłę i wrzucał do worka, w którym wcześniej znalazło się zawzione ubranie więźnia. Ta miotła – wykonana z osadzonej na kiju deszczułki, przez której otwory poprzątkowano znaczną ilość sztywnego, pochodzącego z końskich ogonów włosia – była jego osobistym wynalazkiem. Kiedyś usiłował zainteresować pomysłem zarządcę nadwornej służby, ale nie spotkał się ze zrozumieniem. Służba nadal używała wiązanych gałązek, szmat i niezliczonej ilości wody, wylewanej z wiader wprost na podłogi.

Coś poturlało się pod nogami balwierza. Schylił się. To był pazur. Przez chwilę trzymał go w palcach, przyglądając się z niejaką odrazą, po czym wrzucił do kieszeni fartucha, gdzie miał nożyczki i inne drobne akcesoria niezbędne do pracy. Wieczorem, w szynku, nie tylko będzie o czym opowiadać przy piwie, ale również poprzez słowa dowodem rzeczowym.

Brudna woda wylała się wreszcie z wanny, służąca przetarła ją byle jak, później raz jeszcze, już dokładniej, dostrzegając karcące spojrzenie balwierza, i wyszła z izby, demonstracyjnie zatrząskując za sobą drzwi. Balwierz został sam.

Dokończył sprzątanie. Czule wyczyścił swoją ulubioną miotłę i zdjął fartuch. Gdy wyjmował z kieszeni narzędzia, coś ukłuło go w palec. Syknął z bólu, wyszarpnął rękę. W samym środku opuszka serdecznego palca tkwił pazur Mageota. Strzepnął dłonią

i pazur poleciał gdzieś w kąt. Na palcu balwierzka pojawiła się kropla krwi. Uniósł rękę ku ustom – w odruchowym zamiarze wyssania ranki – lecz nie dotarła ona do miejsca przeznaczenia. Zatrzymała się w pół ruchu i tak zastygła, jakby nagle zatrzymał się czas. Zastygła cała postać balwierzka.

Nadzwyczaj długo człowiecza kłoda balansowała w dziwnej równowadze, wreszcie runęła na podłogę, sztywno, niczym powalone przez drwala drzewo.

Zbliżał się wieczór, lecz wciąż nikt nie zaglądał do łaziennej izby, ku rozpaczyci wciąż przytomnego balwierzka, nie mogącego wykonać najmniejszego ruchu. Ale wkrótce nie strach przed śmiercią czy dożywotnim paraliżem stał się największą udręką leżącego mężczyzny. Najokropniejszy okazał się ból oczu, których nie mógł zamknąć, przykryć skamieniałymi powiekami. Łkał, krzyczał, modlił się, błagał o litość, śmierć – wszystko to wewnątrz siebie, w klatce własnego umysłu. Na zewnątrz był tylko przedmiotem.

Widać modlitwy zostały jednak wysłuchane, bo nim ciemność zapadła na dobre, życie wróciło w człowiecze ciało. I jeszcze tej samej nocy nieszczęsny balwierz odzyskał wzrok. Ale do końca swoich dni przeklinał te potworne chwile, gdy przyszło mu stanąć na granicy życia.

Nigdy nie powiązał faktów, iż od tego wydarzenia wszelkie choroby omijały go z daleka, że rany goiły się jak na przysłowiowym psie, a zdrowie dopisywało do późnej starości.

Rozdział 6.

Wśród traw biegła wychudzona mysz. Postrach już niemal w pełni wisiał na nocnym niebie, a i Groźnemu niewiele brakowało; oba księżyce rzucały jasny blask na pozbawioną drzew równinę. Hen, na horyzoncie ciemniała ściana lasu. To stamtąd nadleciał szary puchacz.

O tej porze roku trawa była gęsta i wysoka, lecz bystry wzrok nocnego łowcy wypatrzył zdobycz. Ptak zniżył lot i z rozpostartymi szeroko skrzydłami sunął ponad łąką. Chybił za pierwszym podejściem, ale zawróciwszy, naprawił błąd; zakrzywione pazury wbiły się w ciało gryzonia.

Puchacz jeszcze przez chwilę kontynuował bezszelestny lot, po czym przysiadł na piaszczystej hałdzie. Musiał być bardzo wygłodzony, gdyż nie rozszarpał dziobem zdobyczy, jak miał w zwyczaju jego gatunek, lecz połknął w całości, potrząsając swą wielką głową.

Powiał lekki wiatr, głaskając jasne pióra. Puchacz zakołysał się. Zamrugał kilkakrotnie oczami, pomarańczowymi i lśniącymi w ciemnościach niczym dwa mikroskopijne słońca. Nie odpoczywał długo; ociężale wzbił się w górę, wypatrując kolejnej zdobyczy.

W pewnej chwili zachwiał się w locie, jakby trafił go bełt niewidzialnego kusznika. Zatrzepotał skrzydłami, walcząc z własnym ciężarem, lecz nie na wiele to się zdało. Spikował w dół.

Gdy wydawało się, że już rozbije się o ziemię, w ostatniej chwili zdołał złapać równowagę. Wyrównał lot, szorując brzuchem o wierzchołki najwyższych traw.

Bez dalszych trudności osiągnął wyższy pułap; z niedawnej niedyspozycji nie pozostało śladu.

Odleciał.

Prosto i pewnie.

Ale nie w stronę lasu, gdzie w skalnej szczelinie znajdowało się jego gniazdo, a w nim młode, wyczekujące na pożywienie. Odleciał w bezkresny step, tam gdzie niedawno zaszło słońce. Już nie był tak cichy i ostrożny. Przestał być myśliwym.

* * *

Rzeką płynęła łódka. Jej pasażerami byli dwaj chłopcy, w wieku dalekim jeszcze do tego, gdy nazywać się ich będzie mężczyznami, ale już nie takim, by nie mogli samodzielnie wybrać się na ryby. Wiosłowali nadzwyczaj sprawnie, zważywszy, że

kierowali się pod prąd – zawsze tak robili, wybierając się na połów, gdyż w ten sposób mogli płynąć jak najdalej, na ile tylko wystarczyło sił, nie obawiając się o powrót. Ryb było pod dostatkiem również bliżej ich osady, lecz gdy ma się ich lata, od pracy ważniejsza jest przygoda, a czas nie czyni z człowieka niewolnika.

Dzień był bardzo gorący. Słońce paliło niemiłosiernie, ale tu, na rzeczonym nurcie, nie było to zbyt uciążliwe. Tym bardziej, że z jednej strony mieli wysoki las, z drugiej cień nadbrzeżnych wierzb i leszczynowych krzewów.

– Patrz! – powiedział w pewnej chwili jeden z chłopców i przestał wiosłować.

Wskazał ręką w górę.

– Jakiś dziwny ptak – stwierdził jego towarzysz.

– Jastrząb.

– No coś ty! Taka baryłka?

– Jakoś dziwnie leci. Może jest ranny? – powiedział ten, który pierwszy zauważył podniebnego wędrowca.

– To dlaczego nie usiądzie na ziemi, żeby odpocząć? – Zapatrzili się i łódka zaczęła spływać z nurtem.

– Uważaj!

Chwycili za wiosła. Ledwie wyrównali kurs, a coś chlapnęło solidnie, dobrych kilkadziesiąt stóp przed łodzią. Rdzawo-szary, opierzony kształt.

– To on! Spadł!

Obaj wychylili się za burłę, omal nie przewracając łódki. Gdy rzeczny nurt przeniósł ptaka obok, siedzący z przodu zdołał go chwycić.

– Sowa – powiedział zdumiony, trzymając zdobycz w obu rękach.

– Puchacz – uściślił drugi. – Zwykle sowy są mniejsze.

– Co mu się stało?

Chłopiec przyglądał się w skupieniu zwierzęciu. Położył je na deskach i ostrożnie dotknął zakrzywionego dzioba. Ptak ani drgnął.

– Chyba jest nieżywy...

– Zabiło go słońce. Sowy nie latają w dzień.

– Głupiś! Pewnie, że nie latają, ale to nie znaczy, że światło je zabija.

Łódkę znowu zaczął znosić prąd, więc przybili do brzegu, osiadając na piaszczystej hałdzie.

– Co z nim zrobimy? – Jeden z chłopców dźgnął martwego puchacza wiosłem.

– Ciekawe czy jest jadalny?

– Nie zamierzam próbować. Widziałeś, że ledwie leciał. Może jest chory...?

Chłopiec wyjął nóż.

– Jak nie dla nas, to dla ryb. Zanęćmy świeżym mięsem. Odwrócił ptaka brzuchem do góry i wbił ostrze. Odsunął się gwałtownie, jakby się obawiał, że puchacz ożyje nagle i kolnie go swym dziobem, sterczącym pośrodku głowy niby wielki pazur. Ale nic się nie stało. Pomarańczowe oczy zaszyły już bielmem. Chłopiec ponownie chwycił tkwiący w puchu nóż i rozkroił podbrzusze. Nie przeszkadzała mu krew, cieknąca po palcach i mieszająca się z wodą na dnie łódki – nie raz oprawiał już zwierzęta.

Nagle obaj podróżnicy krzyknęli, a ten z nożem odskoczył jak oparzony. Coś wyskoczyło z otwartych wnętrzności. Niewielki, szary kształt zawisł przez chwilę na burcie łódki, po czym skoczył do rzeki. Unosił się na wodzie, walcząc rozpaczliwie o utrzymanie się na powierzchni.

– Mysz! – wykrztusili równocześnie wystraszeni chłopcy.

Walka o życie nie trwała długo. Niespodziewanie z głębin wyskoczył szczupak – wielki jak ramię dorosłego mężczyzny – z szeroko otwartą paszczą. Szamocząca się mysz zniknęła w niej w jednej chwili. Prysnęły krople wody i szczupak przepadł w odmętach.

Później, przez wiele tygodni, dwaj chłopcy opowiadali tę niesamowitą historię każdemu, kto chciał tego słuchać. Ale prawie nikt im nie wierzył.

* * *

W górę rzeki płynął szczupak. W swoim środowisku nie miał wrogów; nawet niedźwiedzie, chętnie polujące na ryby – zwłaszcza wiosną, ale i latem nie gardzące taką przekąską – nie ośmiały się zaczepiać tak wielkiego drapieżnika. Płynął środkiem nurtu, równym tempem pokonując wodną przestrzeń. Mniejsze ryby pierzchały w popłochu, gdy przepływał obok, ale on nie zwracał na nie uwagi, niezamordowanie podążając naprzód.

Zapadła noc, a szczupak wciąż płynął. Nie był już tak żwawy ani szybki, jak wówczas, gdy rozpoczynał swą wędrówkę, lecz wciąż zdolny pokonać rzeczny prąd. Gdy nastał świt, szczupak płynął nadal – pośród ciemnego boru, coraz dzikszego i tak gęstego, że gałęzie wiekowych drzew zamykały się kopułą nad szeroką w tych miejscach rzeką. Brzegi nie były łagodne, jak na stepowych równinach, a piaszczyste hałdy zniknęły zupełnie. Zastąpiło je grząskie błoto; czarne i pełne szlamu oraz zgniłych liści, pośród których krążyły niezliczone chmary drobnych owadów.

Słońce coraz wyżej podnosiło się na nieboskłonie, ale światło z trudem przenikało przez chaszczę. Powierzchnia rzeki była równie czarna jak nadbrzeża, a dno zupełnie pozbawione roślinności i pokryte mułem, przyrastającym od tysiącleci i tworzącym rozległe, grząskie mielizny.

Wycieńczona ryba wpłynęła na jedno z takich rozlewisk i zatrzymała się. Mogłoby

się wydawać, że odpoczywa, ale wcale tak nie było. Powoli podpłynęła do brzegu, nie zważając na płycticzną. Szorowała podbrzuszem o miękki muł, lecz mimo to uparcie dążyła naprzód. Gdy nie była już w stanie płynąć, posuwała się dalej skokami, wyginając swe wielkie, pokryte łuskami cielsko. Wreszcie ugrzęzła w przybrzeżnym błocie i legła tam bez ruchu, otwierając tylko i zamykając pysk. Leżała na boku, a patrzące w górę skamieniałe oko wyglądało jak szklany paciorek. To do niego zabrały się najpierw nadciągające zewsząd owady.

Około południa nad cichym brzegiem pojawił się czworonożny cień. Przez chwilę stał na skarpie, węsząc. Obserwował rozlewisko. Warknął, odwracając błyskawicznie małą, szarą głowę, gdy w pewnej chwili zatrzeszczało obumarłe drzewo, których dziesiątki tkwiły tu z pniami zanurzonymi w wodzie. Cisza go uspokoiła.

Zwierzę było samicą. Nabrzmiące sutki, niektóre z kroplami mleka na wierzchu, wskazywały, że to karmiąca matka.

Samica dostrzegła leżącą w błocie rybę. Zeskoczyła miękko ze skarpy, z gracją, niczym kot, którego trochę w istocie przypominała, i ostrożnie zbliżyła się, klucząc, aby nie zmoczyć zbytnio łap w błotnistej mazi. Dopadła szczupaka, który żył jeszcze, bo wyprężył się, gdy wbiła w niego ostre jak szpikulce zęby.

Najpierw próbowała zawlec zdobycz do lasu, ale szybko zrezygnowała. Kontynuowała posiłek na miejscu. Była tak zajęta wyszarpywaniem smakowitych kąsków, że nawet nie zauważyła, jak w pewnym momencie mała mysz przemknęła pomiędzy jej łapami.

Mysz była lekka i bez trudu pokonała oddzielające ją od brzegu bagnisko. Wspięła się na skarpe i śmignęła w leśny mech, który doskonale radził sobie z mrokiem wilgotnej puszczy. Ocierając się o niego, jak również o mizerne trawy, przebijające się tu i ówdzie, oczyściła futerko z oblepiającego je krwawego śluzu.

Biegła coraz wolniej, aż zatrzymała się na skraju wielkiej polany. Na środku znajdowała się góra, wysoka jak najwyższe w lesie drzewa. Otaczała ją grupa skał, jedynych w tej okolicy i spiętrzonych niczym klocki rzucone ręką olbrzyma.

Mysz drgnęła. Powoli, jakby nagle zeszywniały jej wszystkie mięśnie, ruszyła ku skałom.

Nie śpieszyła się.

Była u celu.

Skrajem polany przemknęło wilcze zwierzę, to samo, które dopadło szczupaka. W pysku niosło rybi ochłap, zapas na czarną godzinę, lub raczej przekąskę dla potomstwa. Samica nie była w stanie zauważyć drobnego gryzonia, który wspiał się na skałę i zniknął w kamiennej szczelinie.

Szczelina okazała się przejściem prowadzącym wprost do wnętrza góry. W środku było szaro, ale nie ciemno, gdyż bielejący gdzieś w górze otwór łączył grotę ze światem. Zresztą nawet gdyby ciemność była głębsza niż najczarniejsza noc, mysz bez trudności odnalazłaby stalową zbroję, leżącą w beładzie pod skalnym wyłomem. I tak samo jak teraz wpełzłaby do środka, przez otwartą przyłbicę, by odpocząć wreszcie po trudach tułaczki.

Słońce już prawie zaszło, gdy zza skał wyłoniła się dwunożna, ludzka postać. Poruszała się niezgrabnie, powoli przenosząc ciężar ciała z nogi nogę. Elementy zbroi, nieużywanej od dwóch wieków, zgrzytały w leśnej ciszy.

Jakiś spóźniony, ostatni promień słońca przebił się przez drzewa i padł prosto na stalowy hełm. Przyłbica była zamknięta, a ze szczelin wyzierała jedynie ciemność.

Rozdział 7.

Dozorca więzienny zbliżył pochodnię do twarzy Cartesala. Przesuwał płomień raz w prawo, raz w lewo, jakby nie był pewien, czy znalazł właściwego człowieka. A przecież nie mógł mieć wątpliwości – Mageot, wyprowadzony rankiem, nie powrócił na noc i nie wiadomo co się z nim stało. Cartesal przeczuwał najgorsze.

– Idziemy! – powiedział dozorca.

– Dokąd?

– Nie moja rzecz – odburknął dozorca. – Kazali, to i won! – Strzelił z nieodłącznego bicia.

Przy wyjściu z lochu czekał żołnierz. Poleciał Cartesalowi założyć ręce do tyłu i mocno związał je w nadgarstkach.

Świtało. Na dziedzińcu, okolonym wysokim murem i zabudowaniami, wciąż panował rozjaśniany pochodniami mrok, lecz nad głowami niebo różowiało już od wschodu. Przy bramie krzątało się kilka ludzkich cieni, siodłających konie i wrzucających coś na kryty budą wóz.

– Dalej! – Żołnierz szturchnął Cartesala.

Gdy podeszli, spod budy wychyliła się zarośnięta, cuchnąca zwarzonym piwem twarz.

– Zwiąż go dokładnie – rzekł ochryplym głosem jej właściciel. – Nogi też. Nie chcę mieć kłopotów.

Mimo że mówiący wyglądał jak ostatni obwieś, żołnierz posłuchał bez słowa.

Śmierzący piwem obdartus zeskoczył na bruk dziedzińca, skontrolował supty, po czym razem z żołnierzem wrzucili związanego młodzieńca do wozu; bez ceregieli, jakby był pakunkiem, nie żywym człowiekiem. Zatrzasnęli drzwi i Cartesal znalazł się w całkowitych ciemnościach, gdyż buda nie posiadała żadnego okna ani nawet wentylacyjnego otworu. Za to pachniało w niej pietruszką i innymi warzywami, widać na co dzień pojazd służył do przewozu produktów rolnych.

Nagle szarpnęło wozem, aż Cartesal potoczył się i uderzył boleśnie głową o ścianę. Ruszyli. Młodzian wsłuchiwał się w stukot drewnianych kół o bruk, potem o deski mostu, aż wreszcie jednostajny klekot na bitej drodze. Opuścili Kentgerontmont. Jechali.

Dokąd?

Dokądkolwiek zmierzali, Cartesal zorientował się, że eskorta nie jest zbyt liczna. Sądząc po odgłosach, za wozem jechało dwóch, najwyżej trzech jeźdźców. No i ktoś musiał powozić, a ponieważ z przodu nikt nie rozmawiał, na koźle siedział zapewne samotny woźnica. Młodzieniec był gotów założyć się, że jest nim pewien skacowany

amator piwa.

Po kilku godzinach w budzie zrobiło się bardzo gorąco. Na zewnątrz słońce musiało mocno przygrzewać. Lecz gorszy od upału okazał się brak powietrza. W tak małej kubaturze nie było już czym oddychać. Cartesal nawoływał, początkowo dość nieśmiało, nie chcąc wywoływać gniewu eskorty, lecz w końcu – z braku reakcji – począł drzeć się jak opętany. Aż naprawdę zaczął się dusić.

Wóz zatrzymał się wreszcie. Szczęknięta kłoda blokująca drzwi, które otworzyły się na oścież, wpuszczając do środka kaskady światła. I ożywcze powietrze, wydające się więźniowi chłodne jak nadrzeczny wiatr.

Gdy Cartesal otworzył wreszcie łzawiące oczy, przekonał się, iż nie myliło go przecucie co do woźnicy. Rzeczywiście był to człowiek, który wraz z żołnierzem wrzucił go do wozu.

– Czego?! – zawołał ochryple woźnica.

– Przecież nie mam czym oddychać – poskarżył się Cartesal.

– Poza tym muszę się opróżnić.

– Co zrobić? – zarechotał obdartus. – Patrzcie go jaki paniczyk. On się opróżnia! – zarechotał ponownie.

Podjechali dwaj ludzie na koniach. Ku swemu niebotycznemu zdumieniu Cartesal Crommelin rozpoznał obu. Znał ich od dawna. Karzeł o dość zadziwiającej, dziewczęcej urodzie, był nikim innym jak błaznem samego księcia Grademieun. Monkario, tak brzmiało jego cudzoziemskie nazwisko, choć ponoć był rodowitym Wermontczykiem. Wyższy mężczyzna to jego służący, z którym Cartesal niegdyś zamienił nawet parę słów, podczas zabawy w karczmie na krańcu Santerav. – Prędzej spodziewałby się ujrzeć demona na podobieństwo szorka, niż tutaj obu tych ludzi. Wszak wciąż znajdowali się na terenie księstwa Kentgerontmontu, o przysłowiowy rzut kamieniem od miasta! W dodatku eskortowali wóz od samej siedziby księcia Rollinamana; przecież słyszał ich od początku!

Książęcy błazen. Karzeł o anielskiej twarzy. A przede wszystkim Wermontczyk. Co tu robił Wermontczyk?

– Co się stało? – zapytał zniecierpliwiony sługa Monkaria, podjeżdżając bliżej.

Woźnica skłonił się. Sięgnął do wozu, chwycił skrupowane stopy Cartesala i wyciągnął więźnia na zewnątrz, niczym skrzynkę warzyw, z którymi miał zapewne na co dzień do czynienia. W ostatniej chwili podtrzymał obolałego młodzieńca, uchroniając go przed upadkiem na ziemię.

– Ten tu... – Wskazał skinieniem głowy. – Ma ważne potrzeby... – Powrócił wzrokiem do twarzy służącego i zamilkł. Przez chwilę gapił się na Wermontczyka,

z ustami wciąż otwartymi, jakby złapał go skurcz szczęki.

Coś było nie tak.

Najwyraźniej coś było nie tak, skoro oczy sługi zaokrągliły się nienaturalnie, a oblicze pożółkło, jak oblane nagle warstwą wosku.

Również karzeł Monkario nie pozostał obojętny. Zaklął i zeskoczył z konia. Podchodził do Cartesala powoli, przygarbiony, z wysuniętą do przodu głową. Wpatrywał się w więźnia przymrużonymi oczami, niczym zaklinacz węży w swoich podopiecznych. Wyciągnął rękę i chwycił za rzadki młodzieńczy zarost. Potem zajrzał jeszcze do otwartej budy wozu, jakby spodziewał się coś tam znaleźć.

Gdy się odwrócił, wyraz zaskoczenia powoli zniknął z jego twarzy, ale nie oznaczało to, że wracał na nią spokój. Wręcz przeciwnie.

– Kto to jest, he? Powiedz mi to, Frobian... – zapytał, cedząc słowa i wyraźnie hamując wściekłość.

Przez dłuższą chwilę woźnica nie odpowiadał. Nie bardzo rozumiał czego od niego chciał.

– Ja tam się nie wyznaję na tej waszej magii – wykrztusił wreszcie. – Kazaliście, to i wiozę... A nazywam się Ferobian, a nie Fro...

– Wszystko jedno! – wrzasnął karzeł, czerwieniejąc. – Pytam, kim jest ten człowiek?!

– No... Mageot. Ponoć.

– Nie! – krzyczał dalej Monkario. – Nie! Posłuchaj, chamie! Wynająłem cię, bo nikt inny nie chciał podjąć się tego zadania.

Woleliby diabła pocałować, niż wieść Mageota. Czy jesteś na tyle głupi, że pomyliłeś mi więźniów? A może na tyle bezczelny, że próbujesz jakichś sztuczek?!

– Hola, panie! – Woźnica nagle odzyskał rezon. – Miarkuj się! Wynająłem się do roboty, nie do krzyków. Jego mi przyprowadzono, to i jego wiozę!

– Jak śmiesz!

– A tak! – wychrypiął woźnica Ferobian, błysnął zaczerwienionymi oczami i wydobył zza pasa nóż, z klingą długą i ostrzoną dwustronnie. – Sami jesteśmy na tym stepie i tyle każdy wart, ile sam potrafi.

– Co?! – Karzeł odskoczył na kilka kroków i wyciągnął miecz. Stał w rozkroku. Jego ruchy były pozbawione gracji, która wskazywałaby na solidny, szermierczy trening.

W odpowiedzi Ferobian schylił się i przeciął więzy krępujące nogi Cartesala. Spojrzał wyzywająco na książęcego błazna.

– No i co? – Zarechotał, jakby opowiedział jakiś dobry dowcip. – Co robisz?! – krzyknął sługa. Również wyciągnął miecz, lecz zrobił to z wyraźnie większą wprawą od swojego pana.

– To! – Rozsierdzony woźnica jeszcze jednym cięciem rozciął sznur między nadgarstkami Cartesala. Ten krzyknął, bo ostrze rozcięło również skórę, i skoczył za wóz. Gorączkowo zdierał z siebie resztki więzów, nie zważając na ciekącą po dłoni krew.

Sługa Monkaria spiął konia i ruszył na woźnicę. Uniósł miecz, gotując się do zadania ciosu. Nie zdążył. Ferobian zamachnął się i rzucił nożem, wydając z siebie chrapliwy okrzyk. Sługa uchylił się, lecz zrobił to na swoje nieszczęście, gdyż ostrze może ześliznęłoby się po kaftanie, a już na pewno gruba skóra złagodziłaby siłę uderzenia. Zamiast tego nóż trafił prosto w oko pechowego jeźdźca. Miętko wbił się w oczodół i nie napotykając żadnej przeszkody, zatrzymał się dopiero na wewnętrznej stronie tylnego płatu czaszki. Sługa tylko stęknął i w jednej chwili oddał ducha. Miecz wypadł z bezwładnej dłoni. Spłoszony koń włókł czas jakiś martwe ciało, z nogą uwięzioną w strzemieniu, aż wreszcie uwolnił się od ciężaru i pognął w step, z wysoko uniesionym ogonem.

Nawet jeśli ułomny wzrostem książęcy błazen nie był dobrym wojownikiem, to nie można mu było odmówić refleksu. Ruszył na zbuntowanego woźnicę, wykorzystując fakt, że ten został bez broni.

Ferobian zagapił się na uciekającego konia sługi, zapewne sam zaskoczony skutecznością własnego ataku. Odskoczył w ostatniej chwili, ale miecz Wermontczyka trafił go w ramię, raniąc dość poważnie. Woźnica zachwiał się, jednak zdołał utrzymać się na nogach. Zebrał siły i cofnął się przed ponownym atakiem.

Stali tak naprzeciw siebie, wypucowany mały paniczyk i cuchnący piwem zarośnięty rzezimieszek. I choć jeden miał miecz, a drugi tylko własne łapska i w dodatku krwawił, to jednak oczy tego bezbronnego pałały wściekłością i żądzą walki. W drugich była tylko czujność i wyrachowanie.

Ferobian zerknął na leżącego nieopodal martwego sługę, kalkulując szanse szybkiego odzyskania noża. W końcu zdecydował się i skoczył w tamtą stronę. Monkario jakby tylko na to czekał. Rzucił się za nim, z mieczem gotowym do ostatecznego ciosu. I zapewne dopięłby swego – ranny woźnica nie miał szans, mimo swej determinacji – gdyby nie zatrzymał go głośny okrzyk.

– Stój!

Zaskoczeni przeciwnicy znieruchomieli.

Przy wozie stał Cartesal Crommelin. W dłoni ścisnął rękojeść miecza; tego, który upuścił sługa Monkaria, gdy trafił go nóż Ferobiana.

– Jeszcze nigdy w życiu nikogo nie zabiłem, panie – powiedział do karła. – Ale tym razem zamierzam to zrobić. – Machnął wymownie mieczem, demonstrując swe, jako takie, obycie z bronią.

Mały człowiek zawahał się. Widząc to, Ferobian cofnął się o krok. Wtem stęknął z bólu. Sprawną ręką sięgnął do broczącego krwią ramienia, wykrzywiając cierpiętniczo twarz. Pobladł i osunął się na ziemię. Ale jego przeciwnikowi nie w głowie było wykorzystywanie sytuacji – w milczeniu przypatrywał się stojącemu opodal wozu młodzieńcowi, który stał się powodem tak nieoczekiwanej zmiany sytuacji.

– Kim ty jesteś, na ognie piekielne?!

– Wermontczykiem, jak i ty, panie.

– Zdrajcą!

– Ja, zdrajcą?! – oburzył się Cartesal. – W Kentgerontmoncie siedziałem w lochach.

A ty, panie, co tam robiłeś?

Karzeł nie odpowiedział.

– Schowaj miecz, panie! – polecił śmiało Cartesal. Nie czuł respektu przed dworskim błaznem, czym w jakimś stopniu sam był zaskoczony. Jeszcze niedawno wiejski chłopak nie byłby w stanie odezwać się w ten sposób.

Ku jego zdziwieniu Monkario posłuchał natychmiast. Ostentacyjnym ruchem wsunął miecz do pochwy i zbliżał się wolnym krokiem. Na wszelki wypadek Cartesal ścisnął mocniej oręż. Nie ufał przeciwnikowi ani na jotę. Nieoczekiwanie karzeł strzelił oczami w bok i poderwał się do biegu. W kilku susach, zadziwiająco długich przy jego wzroście, dopadł swego konia.

– Jeszcze się spotkamy! – zawołał, sadowiąc się w siodle. Spiął wierzchowca i galopem popędził przed siebie. W stronę Kentgerontmontu.

– Niby jakim sposobem? – mruknął pod nosem Cartesal.

Patrzył za oddalającym się jeźdźcem, aż malejąca sylwetka zniknęła zupełnie, a i wówczas zwlekał jeszcze, obawiając się, czy to nie podstęp tylko. Nic jednak na to nie wskazywało. Równina wciąż pozostawała pusta, aż po horyzont. Nagle usłyszał jęk. To zbuntowany woźnica wracał do przytomności. Cartesal podszedł do niego, przyklęknął i obejrzał ranę. Było to bardzo głębokie rozcięcie, które chyba uszkodziło również kość, ale nie wyglądało na to, żeby rana bezpośrednio zagrażała życiu. Przynajmniej nie w tej chwili, gdyż jakimś cudem ustał prawie wypływ krwi.

Cartesal odsłonił poły krótkiego kaftana bez rękawów, w który odziany był Ferobian, i mocnym szarpnięciem rozerwał zapoconą koszulę. Ranny zaklął w słabym proteście, ale młodzieniec nie zwracał na to uwagi. Oderwał okazały kawał grubego, lnianego materiału, potem z drugiej strony jeszcze jeden i uzyskanym w ten sposób opatrunkiem przewiązał ranę.

– No i dobrze. – Woźnica zdobył się na słowa podziękowań.

– Dasz radę wstać?

Ferobian machnął ręką, jakby opędzał się od uprzykrzonej muchy, i jakoś stanął na nogi. Zachwiał się, ale utrzymał równowagę, choć twarz miał pobladłą, co było widać mimo bujnego zarostu i brudu na twarzy.

– A teraz zamiana ról – powiedział Cartesal, gdy znaleźli się przy wozie. – Ty do środka, ja na kozioł.

– A dokąd to zamierzasz jechać, hę? – zagadnął podejrzliwie Ferobian.

Cartesal stropił się. Jego sytuacja była nie najlepsza, wręcz fatalna. Był ścigany zarówno w Kentgerontmoncie, jak i pewnie w Wermoncie.

– Tymczasem trzeba zjechać z traktu – odparł. – Karzeł nie popuści.

– Jadę z tobą na kozle – zdecydował Ferobian, najwyraźniej demonstrując brak zaufania.

– Jak chcesz. – Cartesal wzruszył ramionami.

* * *

Zmierzchało już, gdy dotarli do rzeki, przez którą przerzucono niewielki most. Opłakany stan mostu potwierdzał fakt, że z pewnością zjechali z gościńca.

– Czas na obóz – poinformował Cartesal.

– Mhm – wyraził aprobatę Ferobian, który przysypiał i dwa razy omal nie stoczył się z kozła, ale za nic nie dawał się namówić, żeby jechać pod budą.

– Znam ten most – dodał po chwili. – Dwa dni drogi stąd, za odnogą puszczy, jest wieś. Całkowita dzicz. W sam raz dla nas. I znachorkę niezłą mają. – Skrzywił się, dotykając ostrożnie opatrunku.

Ognisko rozpalili nieopodal, na wszelki wypadek ukryci od strony drogi za kępą krzaków. Ferobian wskazał okazałą skrzynię, zamocowaną na dachu wozu, wśród innych bagaży.

– Kuchnia Monkaria – wyjaśnił. – Pewnie i dla pokrzepienia cosik znajdziem.

Nie mylił się. Oprócz jedzenia, dość wykwintnego jak na podniebienia obu uciekinierów, znaleźli spory bukłaczek wina.

– Lepsze od piwa – zdumiał się Ferobian.

Ucztowali w milczeniu, nie mając sobie wiele do powiedzenia. Mimo to obaj czuli przyjemną błogość, odprężenie, jakie daje zasłużony wypoczynek, choć zapewne i wino nie mało się do takiego nastroju przyczyniło. Słońce już zaszło dobrych parę chwil temu, ale nie zrobiło się wiele chłodniej. Nie o tej porze roku.

Nagle od strony mostu dobiegł głuchy stuk. Zaraz potem jeszcze jeden.

– Ktoś jedzie! – Cartesal zerwał się i jednym kopnięciem rozrzucił ognisko.

– Ciii... – Ferobian uciszył go gestem ręki. Nasłuchiwali. Minęła dobra chwila, nim usłyszeli szelest. Coś przeciskało się przez zarośla.

– Sprawdź – szepnął Cartesal.

Chwycił za miecz i pobiegł w bok, nisko pochylony, wzdłuż linii krzaków. Zatrzymał się, odczekawszy, aż szelest się powtórzy, po czym ruszył w tamtą stronę. W pewnym momencie stanął jak wryty. Nieopodal majaczał w ciemnościach podłużny, nieruchomy kształt. Skała? Akurat tędy jechali wozem – nie było jej wtedy; nie da się nie zauważyć takiej skały na pustym, piaszczystym nadbrzeżu rzeki.

I wtedy kształt drgnął, a raczej zafalowała jego górna część. Przyczajony młodzieniec poczuł, jak ciarki przechodzą mu po grzbiecie. Upiór?! Czując ogarniające go przerażenie, byłby odstał pola, uciekając gdzie bądź, gdy nagle postać wydała znajomy dźwięk. Poruszyła się i zmieniła pozycję.

Całe gorąco uczuciem ulgi spłynęło do nóg Cartesala. Koń! To tylko koń. Siwek poległego sługi Monkaria, który tak ochoczo zrejterował w step. Młodzieniec aż sapnął i nieoczekiwanie zawstydził się przed samym sobą. Jak nazwał go Mageot? Swoim Czeladnikiem? Czy ktoś taki może mieć cokolwiek wspólnego z legendarną magią?

Nagle zdał sobie sprawę, że przez cały ten czas, od chwili gdy oddalili się od zamku Rollinamana, ani razu nie pomyślał o swoim więziennym towarzyszku.

„Uwolniłem się od niego!”.

To dziwne, ale wcale nie poczuł się przez to lepiej.

– Mądre zwierzę – rzekł, przyprowadzając sprawcę zamieszania do miejsca obozowiska. – Musiał przez cały czas iść za nami. – Mówił spokojnie; za nic w świecie nie przyznałby się, jak niewiele brakowało, by uciekł.

Nie rozniecali ponownie ogniska. Zgarnęli tylko w kopczyk popiół i dymiące polana, żeby żar utrzymał się do rana, i położyli się spać.

– Jak mogli pomylić cię z tym czarownikiem, co? – zapytał nieoczekiwanie Ferobian. Mówił powoli, wyważając słowa. Chyba od jakiegoś już czasu musiał nosić się z tym pytaniem.

Cartesal Crommelin nie odpowiedział. Udawał, że zasnął.

* * *

Zbliżało się południe. Promienie słońca zachłannie wciskały się do komnaty. Jasne i gorące, traciły tu swoje cechy; nie potrafiły rozjaśnić czerni żałobnego sukna ani ogrzać chłodnego powietrza.

Niterte, w latach młodości konkubina Wielkiego Księcia Grademieun, przywrócona

do łask po latach wygnania, leżała martwa na swym łożu. Ubrana w odświętne szaty, z biżuterią na woskowych dłoniach, spoczywała tak już od wczoraj, a upłynąć miał jeszcze jeden dzień, nim jej ciało zostanie zwyczajowo pochowane.

Obok – pośród nieprzeliczonej ilości białych jak śnieg kwiatów – stał Poratorn, z nieruchomą, poważną twarzą.

Ciszę przerwało skrzypnięcie drzwi. Poratorn zerknął w tamtą stronę, lecz zobaczywszy księcia, powrócił spojrzeniem do matki. Grademieun zbliżył się, a w ciszy każdy jego krok wydawał się głośniejszy, niż był w istocie. Stanął tuż za plecami syna.

– Nadal sądzisz, że to jaja otrułem? – zapytał. Poratorn wzdrygnął się, jakby ukłuto go szpilką.

– Nie wiem. Odmówiłeś wyjaśnień.

– Musiałem poczekać – odparł Grademieun.

Białe kwiaty zakołysały się, poruszone podmuchem z otwartego okna. – Na co?

– Żeby się przekonać, czy nie bierzesz udziału w spisku.

Zaskoczony Poratorn odwrócił się. Patrzył prosto w oczy ojca. Byli jednakowego wzrostu i gdy tak stali naprzeciw siebie, można było dostrzec niezaprzeczone podobieństwo – nie tylko rysów twarzy, ale i całej sylwetki.

– Spisku?

Książę wyciągnął rękę. Na dłoni leżała niewielka tulejka, wykonana z miedzianej blaszki.

– Trzy dni temu był piękny, słoneczny ranek, pamiętasz, Poratornie? Zdecydowałem się zjeść śniadanie w ogrodzie. Was nie zaprosiłem, wybaczyć, ale cały urok takiego posiłku polega na tym, że spożywa się go w samotności. Właśnie podano świeży, ciepły jeszcze chleb i śmietanę, gdy nadleciał gołąb. Nie miałem wątpliwości, że pochodzi z mojego nadwornego gołębnika – nigdzie indziej nie spotkasz takiej rasy. Ptak przysiadł na krawędzi stołu i wykonawszy kilka niezgrabnych kroków, znalazł się przy misie z wodą, z której bez ceregieli zaczął się częstować. Od razu zwróciłem uwagę, że jest bardzo spragniony. Tak łączywie gołębie piją wyłącznie po długim locie. Rzuciłem na stół okruchy chleba, do których mój niespodziewany gość przyskoczył niczym wróbel do ziarna. Wówczas zauważyłem coś na jego nodze...

Książę zawiesił głos.

– Oto tulejka, którą dostarczył gołąb – rzekł.

Poratorn niepewnie pochwycił podany mu przedmiot. Wyjął ze środka skrawek pergaminu. Przez chwilę odcyfrowywał drobne znaki, potem wyprostowała się i zamknął oczy.

– Mają Mageota! – szepnął.

– Mój uroczy błazen go tu wiezie – potwierdził Grademieun.
– Nie wiedziałem, panie, że po niego wysłałeś.
– Nie wysłałem – basowy głos księcia odbił się echem od ścian. – Nie ja! – A kto?
– Ona! – Pan Wermontu wskazał oskarżycielsko na pokryte kwieciami łożo. – Twoja matka go wysłała. Chytra lisica. Za moimi plecami!

Poratorn wzdrygnął się.

– Nie mów tak, panie. Ona jeszcze...

– Będę mówił co zechcę! – z głosu księcia zniknęła łagodność. – Podejdź tu... – Skierował się ku otwartemu oknu.

– Widzisz? – Uchylił futrynę jeszcze bardziej. Poratorn błędnym wzrokiem po dziedzińcu.

– Co, panie?

– Tam dalej, za murem.

Podążył wzrokiem na równinę nieopodal Santerav, ku kępie czterech samotnych drzew, nazywanych drzewami wisielców, choć tak naprawdę to nie na nich wieszano skazańców, lecz na szafocie zbudowanym w cieniu rozłożystych konarów. Szubienice były puste. Ale obok coś stało. Jak strach na wróble. Poratorn wyteńczył wzrok i upewnił się, że nie może być mowy o pomyłce.

Na palu wisiał człowiek.

– Kto to? – zapytał Poratorn drewnianym głosem.

– Rasmus.

– Przyboczny Tanavara?

– Ten sam.

Książę uważnie przyglądał się swemu synowi, dziecku z nieprawego łoża, którego zamierzał uczynić swoim następcą. Wyczekiwał na pytanie, ale ponieważ nie padło, sam je zadał:

– Nie jesteś ciekaw, dlaczego?

– Powiedziałeś – odrzekł Poratorn, nie odwracając wzroku. – Za spisek.

Pan Wermontu uśmiechnął się nieznacznie.

– Zgadza się. Na szczęście jesteś niegłupi. Tchórzliwy, ale niegłupi. Dobre i to. Z tchórzostwa można wyleczyć, z głupoty nigdy.

– Zerwał się wiatr – powiedział Poratorn i zamknął okno. – Nie lubię przeciągów.

Powrócił przed łożo Niterte. Patrzył na jej twarz, niewyraźną pod delikatną, koronkową woalką.

– Na czym polegał spisek? Na nieposłuszeństwie?

– Nie bądź naiwny. – Książę zbliżył się i położył dłoń na ramieniu Poratorna. –

Gdybym władał w ten sposób, szybko utraciłbym połowę poddanych, a już z pewnością większość dworu. Spisek był przeciwko władzy, godził w przyszłość Wermontu.

– Moja matka?!

– Właśnie ona. Jak sądzisz, co Monkario mógł obiecać w jej imieniu Rollinamanowi, skoro ten wydał mu Mageota?

Poratorn odsunął się. Uniósł brwi, lecz milczał.

– Obiecała hołd przysłego władcy księstwa Wermontu – kontynuował Grademieun.

– Twój hołd, Poratornie. Po mojej śmierci, rzecz jasna. Nie wątpię, że przyśpieszonej, choć nie mam na to dowodów. Zdradziła nas obu, synu. Ciebie też. Chciałbyś być parobkiem Kentgerontmontu? Powiedz!

– Była szalona – przekonywał Poratorn, również sam siebie. – Pragnęła, aby Mageot przekazał mi swą moc. Wszystko, co robiła, robiła dla mnie, ale... W jakiś sposób również dla Wermontu.

– Tak łatwo godzisz się z tym, że obiecała lenno w twoim imieniu?!

– Słowa bez pokrycia. Dyplomatyczna gra, czyż nie tak się to nazywa?

– Mam nadzieję. Gdyby nie to... – Księżę nerwowo zaciskał dłonie. Sięgnął po jeden z białych kwiatów, zerwał i ścisnął bezwiednie. Gdy wypuścił resztki, na palcach pozostał biały pyłek. – A ty? – podjął. – Również pragniesz potęgi Mageota?

Poratorn zaprzeczył. Bez zastanowienia. Błądził wzrokiem po łukowych sklepieniach, zamykających się w ustawionych w czworoboki kolumnach.

– Ja chcę być Panem Wermontu – rzekł, z rzadko u niego spotykaną stanowczością. – Nikim innym.

Dłoń księcia powróciła na synowskie ramię.

– Przecież i ja tego chcę, chyba nie masz wątpliwości?

– Nie mam.

Zapanowała cisza, podczas której obaj mężczyźni patrzyli na Niterte. W tej chwili ich posągowe twarze nie wyrażały żadnych uczuć. Nawet smutku.

Pierwszy odezwał się Poratorn:

– Jesteś pewien co do obietnic, jakie złożyła Rollinamanowi?

– Jedynie tak przypuszczam – przyznał księżę. – Ale jakim innym atutem, prócz ciebie, mogła dysponować? Niemniej pewność mieć będę, gdy powróci błazen. Niejedno da się wycisnąć z tego szpiega. Niejedno!

– Szpiega?

Grademieun zaśmiał się rubasznie.

– Właśnie tak! Mniej więcej od pięciu lat był szpiegiem Kentgerontmontu.

– I wiedziałeś o tym? Dlaczego w takim razie...?

– Tolerowałem go? – wszedł w słowo ksiązę. – Cóż, lepszy znany szpieg, którego jesteś w stanie kontrolować, niż niepewność: kto i kiedy. Będiesz i tego musiał się nauczyć. Pozbyć się wroga jest łatwo, ale na jego miejscu z pewnością pojawi się inny, którego nie będziesz znał. Zresztą, co się odwlecze to nie uciecze, dni tego człowieka są już policzone. Swoją drogą ciekaw jestem, skąd Niterte wiedziała, że właśnie Monkario tak doskonale nadaje się do tej misji?

Nie oczekując odpowiedzi na oczywistą retorykę, ksiązę Grademieun skrzyżował ręce na piersiach.

– Tak... – Westchnął. – Przesłuchując błazna, zdobędę pewność również co do twojej osoby, Poratornie.

– Co takiego?!

– Rasmus zeznał, że karzeł osobiście pobrał od niego gołębia. Zachowanie tajemnicy poparł mieszkaniem złota i zastrzegł sobie, że wyłącznie Niterte może odebrać wiadomość. Co do udziału twojej osoby: zaprzeczył. Dlatego w ogóle zdecydowałem się z tobą rozmawiać. Jestem przekonany, że jest, jak mówił, ale przekonanie to jedno, a pewność drugie. Jak miałaś okazję się przekonać, Rasmus nie cieszył się długo dobrym zdrowiem, zatem dopiero zeznanie błazna ostatecznie wyjaśni kwestię twego udziału w spisku.

– Marnie widać płacisz strażnikom, panie, że tak łatwo ich przekupić – zauważył ponuro Poratorn.

– Złoto było dodatkiem. Niterte zaoferowała Rasmusowi miejsce komendanta, zajmowane przez Tanavara. Ta kobieta zadziwiająco szczerze szafowała władzą, której jeszcze nie miała.

– Skoro tak się sprawy mają, to czy nie powinienesz, panie, wysłać oddziału zbrojnych, aby umożliwić karłowi pomyślny powrót?

– Tak właśnie uczyniłem. Ale cieszy mnie, że o tym wspominasz.

– Należy zabić Mageota – kontynuował Poratorn.

Wargi księcia Grademieun skrzywiły się w nieznacznym uśmiechu. Pokiwał głową.

– Takie właśnie zadanie otrzymali żołnierze – oznajmił. – Zastrzegłem sobie nawet, że to ważniejsze od sprowadzenia błazna zdrajcy.

– Wiesz co? – Nagle zmienił ton głosu. – Nie spodziewałem się, że tak dobrze będzie nam się rozmawiało. Widzę, że uwolnienie się spod wpływów matki dobrze na ciebie wpłynęło. – Uniósł dłoń, powstrzymując Poratorna, usiłującego wpaść mu w słowo. – Zrobię tak... – na moment zawiesił głos – ...wysłę zaraz gońca za tym oddziałem. Niech zabiją wszystkich, których spotkają z Mageotem. Monkaria przede wszystkim.

– A jego zeznania? – zapytał śmiało Poratorn. – Co z twoją pewnością, że nie jestem spiskowcem?

– Nic – odparł książe. – Właśnie zdałem sobie sprawę, że jakakolwiek była tu twoja rola, lub jej brak, to w każdym przypadku nadajesz się na mego następcę. Albo jesteś lojalny, albo... – Westchnął. – Czyż człowiek, jeśli chce zdobyć władzę, może mieć czyste ręce? Skończmy z tym raz na zawsze. Nie chcę już nic więcej wiedzieć!

– Nie chcę wiedzieć – powtórzył. – Tak! – Skłonił głowę i podążył ku wyjściu z komnaty.

– Ale to ty kazałeś ją otruć?! – krzyknął za nim Poratorn. Książe szedł dalej, jakby nie słyszał, ale będąc już przy samych drzwiach, zatrzymał się i powiedział:

– Nie mogłem przecież wbić na pal matki przyszłego Pana Wermontu!

Książe Rollinaman nie był we własnych lochach ponad rok. Nie, żeby uważał, że nie przystoi, ale nie lubił wilgoci i smrodu. Ostatnio – przynajmniej ze trzy lata temu – odwiedził tu swą niewierną konkubinę. A może i nie była niewierna, faktem jednak pozostało, iż zbój Ramcajs zbiegł z niewoli na dzień przed egzekucją, za jej to właśnie knowaniem. Podobno był krewnym zdrajczynie, tak brzmiała przynajmniej oficjalna wersja przebiegu wydarzeń, sam Rollinaman miał jednak co do tego wątpliwości. Bo choć nie wymyślił tej wersji osobiście, to jednak nie wątpił w spryt swoich doradców i ich troskę o dobre samopoczucie władcy. Chemie wszakże skorzystał z podsuniętego rozwiązania.

Plan był taki, żeby konkubina oddawała ducha w kilkunastu męskich celach, tak długo, aż wreszcie wyzionie go zupełnie. Ostatecznie jednak jej szlachetnie urodzony pierwszy kochanek zrezygnował z tak drastycznej kary, osobiście fatygując się na dół, żeby jej to oznajmić. I chociaż ten gest nie spotkał się z życzliwością (książe został posłany do piekła, mniejsza o szczegóły), jako człowiek honoru podtrzymał wszakże ułaskawienie i pozwolił zdrajczynie umrzeć na szafocie.

Ale to było dawno. Tak dawno, że gdyby nie było go tu w tej chwili, pewnie by sobie o tym nie przypomniął.

Teraz Rollinaman znów schodził po prowadzących do lochów schodach i znów z powodu ucieczki więźnia. Przed nim skakał jękający się dozorca więzienny, wymachujący pochodnią, jakby zamierzał oczyścić z pajęczyn wszystkie ściany. Karzeł Monkario i przyboczny żołnierz księcia szli tuż za nim.

Wreszcie zatrzymali się przed kratami. W głębi celi siedziała skulona, zarośnięta postać. Dozorca otworzył skrzypiące drzwi i wszedł do środka. Poświecił.

– Ej, Monkario – zganił karła Rollinaman. – Co ty znowu wymyśliłeś! To ja schodzę tu, marnuję czas! Co to za żarty! Błaznem jesteś u Grademieuna, a nie u mnie.

Oniemiały Monkario z niedowierzaniem spoglądał na mężczyznę w celi. Przygarbił się i powoli wszedł w ślad za dozorcą. Rollinaman wolał pozostać na zewnątrz. Jego

przyboczny żołnierz spoglądał wyczekująco na swego pana, ale nie doczekał się żadnych rozkazów.

– Przecież to ten... jak mu tam? Crommelin – kontynuował książę. – Mageot jest starcem, siwym jak gołąb. A ten... Sam widzisz.

– Przysięgam, panie! – zawołał z uporem karzeł. – Zabraliśmy Crommelina zamiast Mageota!

Nagle coś go tknęło.

– Zaraz! Dlaczego tak chowasz ręce, wieśniaku?

Postać ani drgnęła.

– Pokaż lewą dłoń. Pokaż!

Monkario wyrwał pochodnię z rąk dozorca i przystawił ją do twarzy więźnia, tak blisko, że aż zaskwierczało. Rozszedł się fetor przypalanych włosów. Więzień poderwał głowę i zasłonił się ręką przed ogniem. Spod postrzępionego rękawa wyłoniła się bezpalczysta dłoń, z nasadą przyciętego pazura.

Głowa przekształciła się w jednej chwili, szybciej niż ktokolwiek zdołałby mrugnąć powieką. Skołtunionie włosy stały się białe, na twarzy wyrosły bruzdy.

– Oto moja dłoń – powiedział Mageot. Wstał i wyciągnął rękę. – Chcesz ją może uścisnąć, panie błaznie?

Karzeł cofnął się. Najwyraźniej nie wyrażał ochoty.

– Oszukałeś mnie – syknął.

Nieoczekiwanie z korytarza dobiegł głośny śmiech Rollinamana.

– Po raz pierwszy widzę więźnia, który oszukuje, żeby pozostać w więzieniu – rzekł.
– Jak dotąd, jakoś wszyscy upierali się przy odwrotnym koncepcie.

Monkario ponownie zbliżył się do Mageota. Wściekłość wyraźnie dodała mu odwagi.

– Dlaczego to zrobiłeś?

Twarz Mageota nie wyrażała żadnych uczuć.

– Szkoda było chłopaka. Przeze mnie tu trafił.

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem. Pierwszy nie wytrzymał karzeł. Odwrócił głowę.

– Nie wierz mu, panie – powiedział do księcia, maskując zmieszanie. – Z pewnością coś knuje.

– Wcale w to nie wątpię – stwierdził Rollinaman, już poważny. – I nie ukrywam, że bardzo mi się to nie podoba. Dlatego wolę, żebyś go stąd zabrał. Chyba chcesz tego nadal?

– Oczywiście, szlachetny panie! – przytaknął skwapliwie Monkario.

– I skoro sprawy tak się mają – ciągnął książę – tym razem dam ci nawet eskortę. Zdaje się, że mój gradion aż się pali do tego zadania, upokorzony przykrą znajomością.

Książę Rollinaman odwrócił się i ruszył ku wyjściu z lochów. Nikt nie widział, jak odprężyła się jego twarz, ukryta w mroku.

Zamierzał osobiście dopilnować, aby Monkario wyjechał jak najszybciej. Nie ufał za bardzo obietnicom Niterte, ale nic nie tracił, oddając tego czarownika. Pozbywał się go z prawdziwą ulgą. Ten człowiek budził w nim lęk. Nie strach, zagrożenie, lecz lęk właśnie – głęboki ściskający trzewia lęk. Sporo go kosztowało, żeby nikt tego nie zauważył. A najgorsze było to, że obecność Mageota wciąż przypominała mu pewną burzową noc w oberży, z czasów gdy był jeszcze młodym następcą swego ojca, władcy Kentgerontmontu. Noc, którą wyrzucał z pamięci, gdyż była najpotworniejszym koszmarem, jaki przeżył.

Zdał sobie sprawę, że gdyby szpieg Monkario nie chciał zabrać stąd Mageota, sam puściłby go wolno, darując w dodatku rączego konia, na którym tym rychlej opuściłby jego ziemie.

Tak. Puściłby go wolno. Nie byłby w stanie zabić. Paradoksalnie powstrzymywał go przed tym właśnie tamten wieloletni, obudzony nagle z letargu lęk.

* * *

Wyruszyli dopiero po dwóch dniach, gdyż Monkaria chwyciła ostra gorączka, będąca prawdopodobnie skutkiem zabrudzenia drobnej rany odniesionej podczas walki ze zdrażliwym woźnicą Ferobianem. Nie wiedzieli, że książę Rollinaman obserwuje ich wyjazd, stojąc w tym samym oknie, z którego po raz pierwszy zobaczył Mageota.

Dzień był upalny – kolejny gorący dzień wczesnego, bezdeszczowego lata – w dodatku zbliżało się południe. Jechali po doskonale widocznych śladach ciężkiego wozu Ferobiana. Gradion Czewsker pozostawał nieco z tyłu, prowadząc konia tuż przy szkapie, na której posadzono więźnia. Doszedł do wniosku, że skoro bez przygód przywiózł Mageota do Kentgerontmontu na koniu, skrzepowanego sznurem, to i tym razem takie rozwiązanie będzie najlepsze. Monkario zgodził się z nim. Zresztą Monkario chciał wyjechać jak najprędzej i gradion żywił podejrzenie, że w tej akurat chwili bardziej zależy mu na zemście na tamym wiejskim pachołku, aniżeli na szybkim odstawieniu Mageota do Wermontu.

Jak się okazało, miał rację.

Gdy dotarli na miejsce haniebnej potyczki z uciekinierami, karzeł zwolnił i poczekał na jadących za nim żołnierzy, których prócz dowodzącego gradiona było trzech. Nie wysilił się książę Rollinaman, mimo obietnicy w więziennych lochach. Najpierw wyglądało na to, że da mu cały oddział, a potem jakby zawstydził się swej zapalczywości

i skończyło się na trzech żołnierzach. Ale karzeł i tak był zadowolony. Było to więcej, niż śmiał oczekiwać.

– Skrećamy! – powiedział do Czewskera, wskazując kierunek przeciwny do tego, w jakim aktualnie zmierzali. Tam gdzie prowadziły wciąż widoczne koleiny wozu Ferobiana.

Gradion westchnął.

– Otrzymałem rozkaz eskortowania ciebie i czarownika do granicy – powiedział bez przekonania.

– Właśnie – podchwycił Monkario. – A ja jadę tędy! – Popędził konia i wysforował się naprzód.

Czewsker dał znak żołnierzom, żeby jechali za karłem. Rozkaz to rozkaz, a w dodatku zdał sobie sprawę, że nie bardzo będzie miał co zrobić z Mageotem, jeśli Wermontczyk odłączy się od nich. Nie wróci z nim przecież do księcia Rollinamana, a samego też nie pozostawi, bo z własnej woli z pewnością nie powróci w objęcia władcy Wermontu.

Mageot milczał, przez cały czas wpatrując się w horyzont.

– Tam ktoś leży! – zawołał jeden z żołnierzy.

Monkario pogalopował na swym drobnym koniu. Zawrócił, będąc w połowie drogi.

– To mój pechowy ordynus – wyjaśnił. – A raczej to, co z niego zostało. Czego by nie powiedzieć o sępach szarych, nie należą do leniuchów. – Zaśmiał się nieprzyjemnie.

Gradion skrzywił się. Niesmaczny to był dowcip, zważywszy, czym sługą był nieboszczyk.

Nie lubił Monkaria. Od pierwszej chwili kiedy go zobaczył. Ten człowiek wydawał mu się uosobieniem obiegowej opinii o złośliwych karłach. W jednej z drużyn Kentgerontmontu służył mężczyzna z podobnym kalectwem, lecz pozostawał przeciwieństwem wermonckiego błazna. Dobry i karny był z niego żołnierz, a mieczem władał niezgorzej od innych, zwinnością nadrabiając niedostatek wzrostu i siły. Czewsker lubił zabierać go ze sobą na różne wypadki i byłby zabrał i dzisiaj, gdyby nie to, że nie chciał dostarczać żołnierzom okazji do żartów, które niewątpliwie by miały miejsce z powodu obecności dwóch karłów w tak małym oddziale.

– Pochować go trzeba – powiedział. Uśmiech zniknął z twarzy Monkaria.

– Na to brak czasu.

– Nie godzi się zostawiać tak człowieka – odparł spokojnie gradion. – Jeśli ci pilno, panie, jedź proszę. Ale jeżeli nie chcesz jechać samotnie, musisz poczekać. Gdy skończymy, pojedziemy, jak i gdzie sobie życzysz.

Zsiadł z konia i dał znak żołnierzom, by uczynili to samo.

– Jak chcesz – prychnął karzeł. – Nie zamierzam się z tobą sprzeczać. Wiedz jednak, że jeśli chodzi o mnie, to jest mi dokładnie wszystko jedno, co stanie się z moim ciałem, gdy umrę.

– Nie wątpię w to – odrzekł gradion Czewsker.

Nagle dostrzegł, że zasepiony Mageot przygląda mu się z zainteresowaniem. Wytrzymał to spojrzenie i już chciał zwrócić więźniowi uwagę, by pilnował własnych spraw, gdy podbiegł doń żołnierz.

– Panie! – zawołał. – Ktoś palił ognisko! I to całkiem niedawno.

– Wy? – zapytał Monkaria gradion.

– Skąd... – Karzeł wzruszył ramionami. – Ten chłystek z Ferobianem też nie. Przez pewien czas jechałem za nimi w stosownej odległości, żeby zobaczyć dokąd zmierzają. Odjechali od razu.

Czewsker podszedł do wypalonego czarnego koła. Rozgarnął nogą popiół.

– Rzeczywiście świeże. Może Grademieun śle szpiegów? Zawrócił, lecz po kilku krokach coś w trawie niespodziewanie przykuło jego uwagę. Pochylił się. Martwy chomik. Trochę dalej jeszcze jeden. Coś zgrzytnęło pod butem; podniósł nogę, odsłaniając kilka os. Ale to nie jego but pozbawił je życia.

Wraz z żołnierzami przepatrzyli teren, znajdując jeszcze nieżywą mysz i całe mnóstwo różnych owadów. Co ciekawe, wszystkie znajdowały się w pewnej odległości od ogniska, tworząc niemal idealny okrąg.

– Samotny Chłopiec – powiedział jeden z żołnierzy.

Rozdział 8.

Manetta zamasztywym ruchem postawiła na ziemi napełnione wiadro. Woda zakołysała się i chlapnęła na zewnątrz, wprost pod nogi, ale kobieta nie zwróciła na to uwagi; popołudniową porą wokół żurawia i tak było pełno błota – nosiwoda Jawef skończył już swoją dniówkę, trwającą od samego rana, i zdążył narozlewać niemilosiernie. Nosiwoda był już stary; powinien raczej odwiedzić swoich przodków, niż parać się dalej tym zajęciem. Zresztą, władzę nad głównym żurawiem wioski Bordorav przejął już młody Dortolef i niedługo chyba upomni się i o ten, leżący na skraju, ale z którego i tak było bliżej do czwartej części chałup.

Zawiesiła na kole drugie, puste jeszcze wiadro, przesunęła haczykową zasuwkę i zapuściła żuraw. Stłumione chlupnięcie oznajmiło, iż naczynie dotarło do lustra wody, ale Manetta nie podnosiła ramienia żurawia. Stała nieruchomo i wpatrywała się w horyzont. Od strony stepu zbliżała się samotna postać. Było w niej coś dziwnego, w jej sposobie poruszania się i wyglądzie. Znajdowała się, co prawda, jeszcze dość daleko, ale kobieta miała dobry wzrok, a w dodatku patrzyła ze słońcem, które jeszcze dość wysoko stało na niebie.

Wydawało jej się, że ten ktoś ma na głowie wiadro.

Jeszcze nie czuła strachu, ciekawość tylko – nieznajomy to jakiś czy też swój, wyprawiający z nudów takie kawały. Ciemna sylwetka przybliżała się bardzo powoli. Ktokolwiek to był, śpieszyć się nie chciał. Albo nie mógł. To drugie przyszło jej do głowy, gdy zauważyła, jakim dziwnym rytmem przybysz brnie przez trawę, jak przesuwając nogi, kołysząc się za każdym krokiem. Ktoś ranny?

– Rycerz z zamku! – oświeciło ją nagle.

Już chciała biec ku niemu, przepytac, może pomóc, gdy nagle coś ją powstrzymało. Niepewnie rozejrzała się dookoła. Nikogo. Tylko ona i ten ktoś. Nagle zorientowała się, że wokół zapadła jakaś niesamowita cisza. Ucichły nie tylko ptaki, ale i owady; przepadły gdzieś nawet uciążliwe małe muszki, których zawsze było pełno koło wody. Słyszała tylko własny oddech i szum wiatru.

– Hej! – zawołała, zdobywszy się na odwagę, ale zaraz tego pożałowała, gdyż tajemnicza postać nie tylko nie odpowiedziała, ale – przechodząc dotąd trochę bokiem – teraz skierowała się wprost na nią.

Widziała już dokładnie. Idący był cały zakuty w żelazo. Calutki. Nawet żołnierze księcia Rollinamana tak nie wyglądali. Ani ci z Wermontu, których pamiętała jeszcze za młodu, nim Kentgerontmont nie przejął tych ziem.

Przez dobrą chwilę kobieta stała jeszcze, zaczarowana widokiem, wreszcie

wzdrygnęła się i uciekła w stronę chałup. Puszczony żurawi balast podciągnął gwałtownie całe ramię wyciągu, wrywając wiadro ze studni.

Majestatyczny rycerz podążał niewzruszenie, nie przyśpieszając marszu, wręcz przeciwnie, zataczał się nieco, niczym raniony na polowaniu zwierz, który naprzód prze po to tylko, by znaleźć swe miejsce spoczynku. Gdy stalowe buty, zdobione gwiazdzistymi ostrogami, zapadły się w okalającym studnię błocie, wysiłek maszerującego stał się jeszcze bardziej widoczny. Glina cmokała z każdym krokiem i zasklepiąła się niczym zablizniająca rana.

Przybysz dotarł do żurawia i oparł się o drewniany drąg. Przez dłuższy czas tkwił w tej pozycji, z przodem przyłbicy skierowanym wprost na stojące u jego stóp pełne wody wiadro, lecz nie wykonał najmniejszego gestu, by po nie sięgnąć. Jedyne palce u rąk w żelaznych rękawicach drgały lekko, jak u wiekowego starca. Wreszcie uniósł głowę i na powrót podjął swą wędrówkę. Zdołał jakoś wydostać się na twardy grunt, gdy spoza chałup wyłonili się ludzie. Mieszkańcy wioski, uzbrojeni w drągi i widły, nadciągali gromadnie, wymachując swymi narzędziami. Idący na przedzie świniopas dysponował nawet starą, rycerską piką.

Nie wyglądało na to, żeby widok ten wywarł jakiegokolwiek wrażenie na tajemniczym wędrowcu. Trudno było orzec, czy w ogóle dostrzegął nadchodzących. Szedł im naprzeciw, wciąż tym samym, jednostajnym rytmem, gdy więc nagle się zatrzymał, tłum wieśniaków zareagował natychmiast. Ucichły okrzyki, pierwsi stanęli jak wryci, a za nimi inni. Kilkoro bosonogich ciekawskich dzieciaków odbiegło na bok, gdzie i bezpieczniej, i widok znacznie lepszy.

Nieoczekiwanie czarny rycerz zachwiał się. Przez moment tkwił w jakiejś dziwnej pozycji, jakby przytrzymał się niewidzialnej podpory, po czym runął na wznak, sztywno wyprostowany. Nie wykonał najmniejszego gestu, aby złagodzić upadek. Przez dłuższy czas leżał bez ruchu, aż z gromady chłopów wystąpił świniopas. Zgarbiony, przyczajony, zbliżył się do leżącego i trącił go piką. Szmer przebiegł po przyglądających się mu sąsiadach. Ośmielony świniopas walnął silnie w napierśnik zbroi, aż zgrzytnęło.

– Nie dycha! – obwieścił.

Tłum, coraz liczniejszy, zbliżył się skwapliwie, choć wciąż z pewną obawą. Bardziej napierali ci z tyłu, aniżeli wykazywali ochotę ci pierwsi.

– Może on tylko zemdlony? – wyraził wątpliwość nosiwoda Jawef.

– Może...

– Trza go do chałupy i rozdziać – powiedziała jedna z dziewcząt, stojąca z tyłu wraz z innymi kobietami.

– O, chętna jaka! – przyganił jej świniopas. – Tutejsi ci za mali?

– Do znachorki! – poparły dziewczynę sąsiadki. – Człowiekowi trza pomóc. Żyw może.

– A jeśli to zbój jakowys?! – Na wszelki wypadek pastuch raz jeszcze pomacał leżącego pika.

– Ty, Giermek, sameś zbój! – wykrzyknęła ta sama dziewczyna, która odezwała się pierwsza. – Patrzcie go, durnia! Zbój! Od kiedy to zbóje cali w żelazie chadzają?

– Złupić mógl!

– Broni żadnej nie ma... Ani konia! – Tym bardziej...

– Dajta spokój. – Młody Dortolef złapał świniopasa za rękę. – Sprawdzić trza.

Przecie nie dobijemy go tu, bo może w rzeczy samej z zamku jest. Niestety chceś sprowadzić?

– Jeśli to pan jakiś, może i złota nie pożałuje – dodał ktoś.

– Co może nam zrobić sam jeden? – przekonywał dalej Dortolef. – Jakby co, zawsze zdążymy go... – Wykonał znaczący gest palcem po gardle, czym wywołał salwę śmiechu. To rozładowało napięcie.

Dortolef schylił się i bez obaw chwycił leżącą postać pod pachy.

– No! – Rozejrzał się ponagląco. – Do znachorki trza człowieka!

Dwóch innych porzuciło swe drągi i doskoczyło do pomocy.

– Wcale nie ciężki taki – rzekł jeden z młodzieńców, gdy podnieśli rycerza. –

Myślałem, że w tym żelastwie...

– Stał dobra – wyjaśnił drugi. Uśmiechnął się szeroko i dodał: – Jakby leziesz mieć z takiej, woły dzień i noc orać by mogły, co?

Gdy przechodzili obok kobiet, nieoczekiwanie wystąpiła spośród nich Manetta.

– Uważajcież – powiedziała z zatroskana twarzą. – Uważajcież...

– Na co?

– To ona zoczyła go pierwsza – odezwał się nosiwoda Jawef.

– No to co?

Manetta spojrzała w oczy Dortolefa.

– Nie wiem... – przyznała. Jej bladą twarz pokryła sieć zmarszczek. – To było jakieś... dziwne. Myślałam, że... umieram. Że zabrać mnie chce gdzieś...

– Gdzie? Kto?

– On! – Oskarżycielsko wyciągnęła wskazujący palec. Przez chwilę wydawało się, że strach kobiety zdołał wsączyć się w młodzieńca. Dortolef spoważniał, jego towarzysze również.

– No a teraz? Chce cię zabrać? Przez chwilę się nie odzywała.

– Teraz nie.

Zaśmiał się. Głośno, tak żeby wszyscy słyszeli. Podziałało. Ponieśli ładunek, wśród rechotów i wrzasków. Towarzyszyła im cała wieś.

Tylko Manetta pozostała. Wpatrywała się w ziemię. Na klepisku drogi pozostał odcisnięty ślad rycerskiej zbroi. Uniosła stopę i pieczołowicie zagarnęła ziemię. Potem jeszcze raz. I jeszcze. Wreszcie ruszyła za innymi. Bała się zostać sama.

Chociaż chata znachorki izbę miała obszerną, zdołała wejść tam tylko część ciekawskich. Ci, którzy pozostali na zewnątrz, zaglądali w brudne okna, jeden przez drugiego, dopóki świniopas nie wypadł z chałupy i nie przepędził ich piką.

– Toć światło zasłaniacie! Nic nie widać. Ludzie!

Rozpierzchli się, a dzieci uciekały z chóralnym krzykiem. Świniopas miał na imię Dratiuk, lecz wołano na niego Giermek, od czasów młodości, kiedy to którejś zimy odważył się towarzyszyć pewnemu rycerzowi w pogoni za złodziejami. Pomyłony to był rycerz, dzielił złotem jak chlebem, nic dziwnego, że poległ zadźgany przez rzezimieszków, których ścigał. A świniopas powrócił wtedy jak bohater, na koniu wysokim prawie na dwóch ludzi i z kutą metalem najprawdziwszą piką. Wołałby wrócić z mieczem zabitego przez zbójów rycerza, lecz ten okazał się tak ciężki, że ledwie potrafił go unieść. Co do rasowego wierzchowca, to był to wówczas jedyny koń we wsi, ale na nic się nie zdał. Okaleczył się tylko, gdy próbowano go zaprząć do pługa, i tak zakończył żywot.

Dratiuk zwany Giermkem pogroził piką odchodzącym, odwrócił się i pochylił głowę przed niskimi ościeżami drzwi. Nagle zatrzymał się w pół kroku.

Głos...

Wydało mu się, że coś usłyszał. Coś znajomego, o czym wołałby nie pamiętać. Nigdy by się do tego nie przyznał, ale za nic w świecie nie opuściłby rodzinnej wioski, jak wtedy, z tamtym rycerzem, gdy był młody i głupi, i cud, że nie zginął wraz z nim.

Wtedy też słyszał Głos.

Wołanie nie powtórzyło się. Może było tylko złudzeniem? Z pewnością złudzeniem. Wołał nie sprawdzać; z łoskotem wszedł do chałupy i zatrzasnął za sobą drzwi.

Pachniało ziołami i kadzidłem. Powietrze było parne i przesycone wilgocią, gdyż na piecu gotował się wielki kocioł z wywarem. Kilkunastu wieśniaków otaczało stół, na którym położono przybysza.

– I co? Żyw? – zapytał świniopas.

Nikt nie odpowiedział.

– Czy żyw, pytam! – huknął basem.

Nawet nie drgnęli.

Odsunął najbliższego sąsiada i przepchnął się do stołu. Na brudnej, drewnianej

ławie leżał odpięty hełm, z otwartą teraz przyłbicą. Postać spoczywająca na stole była pozbawiona głowy.

– Co... Coście mu zrobili...? – Giermek zająknął się. Dortolef w milczeniu pokazał mu zdjęty z przybysza stalowy but z długą ostrogą, który trzymał dwoma tylko palcami, z dala od siebie, jakby śmierdział gnojówką. Dopiero teraz świniopas spostrzegł, że rycerz nie ma również stopy. Rycerz?

– Odsuńta się – rzekł drewnianym głosem.

Wszyscy wykonali polecenie, w milczeniu niezwykłym jak na zgromadzenie tylu ludzi. Pika powędrowała w podnaramiennikową ciemność. Ostrze zniknęło w otworze, nie napotykając oporu. Zastukało od wewnątrz w napierśnik.

– Nie ma go – odezwała się ponuro garbata zielarka, właścicielka chaty. – Pusto.

Upuszczony but z ostrogą zagrzechotał na glinianej polepie. To, co z niego wypadło, potoczyło się pod ławę. Mysz. Martwe, wyschnięte do samej kości mysie truchło.

Słychać było tylko ciężkie oddechy i posapywania.

– Co robimy? – zapytał wreszcie świniopas.

Milczeli.

* * *

Traktem, tak zarośniętym trawą, że ledwie widocznym, jechał kryty budą wóz. Z tyłu biegł na uwięzi wierzchowiec, może nie najczystszej krwi, ale – w odróżnieniu od zaprzęgniętego do dyszla pobratymca – z pewnością nienawykły do wieśniaczej pracy.

Na koźle siedział samotny mężczyzna, z ogorzałą od słońca twarzą i gęstą, jasną czupryną. W pewnej chwili młodzieniec wyprostował się, dostrzegając coś w oddali. Pociągnął za lejce.

– Stóóój! – Przez chwilę wpatrywał się w horyzont, po czym zeskoczył na ziemię. Otworzył drzwi w tyle budy.

– Chyba dotarliśmy na miejsce – powiedział. – Mówisz, że jak nazywa się ta osada?

– Bordorav! – dobiegło ze środka wozu jęknięcie, potem niewyraźne przekleństwo i na zewnątrz wytoczył się zarośnięty jak jaźwiec mężczyzna. Lewe ramię miał obwiązane prowizorycznym opatrunkiem wykonanym ze strzępów brudnej koszuli, przesiąkniętej zakrzepłą krwią.

– Jasny... – zaczął Ferobian, łapiąc równowagę, lecz nie dokończył, gdyż ponowny atak bólu zatkał mu usta. Zbladł i oparł się o wóz. – Czemu stanąłeś? – wykrztusił wreszcie. – Chcesz, żebym u celu skonał jak pies?

– Dopóki boli, nie jest źle – odparł bez ceregieli Cartesal Crommelin.

– Tak. Bo nie ciebie. – Ranny skrzywił się.

– Pomyślałem, że lepiej będzie, jeśli siądziesz obok na koźle – wyjaśnił Cartesal. – Nie wiem, jak w wiosce zareagują na mój widok. Sądząc po trakcie, pewnie nawet diabeł tu nie zagląda.

– Ano nie zagląda. Chyba że ja – błysnął wisielczym konceptem Ferobian. – Nie! – wyjaśnił wątpliwości towarzysza. – To ćwoki. Jak trzeba pomyśleć, zajmuje im to więcej czasu niż tobie szczanie... Ale sięść koło ciebie mogę, w tej skrzyni jak nic siekiere można zawiesić.

Gdy dojeżdżali do wsi, kilka wychudłych, szczekających psów wybiegło im na spotkanie. Byli już przy pierwszej chałupie, a ludzi wciąż nie było widać.

– Aż tacy bojaźliwi? – zdziwił się Cartesal.

– No... bez przesady – odrzekł Ferobian, również zaskoczony. Był coraz bledszy, a przez zaskorupiałą koszulę przebijała świeża krew. – Mniejsza o to. – Zakaszłał. – Zawieź mnie do tej czarownicy, bo ducha oddam, ani chybi.

Niespodziewanie usłyszeli daleki, chóralny okrzyk i daleko przed nimi przebiegła przez drogę gromada dzieci. Zniknęły za załomem, ale za chwilę kilka małych sylwetek pojawiło się ponownie. Pokazywały sobie nadjeżdżający wóz. Towarzysz Cartesala najwyraźniej zamierzał pozdrowić dzieciaki, ale zaledwie ruszył dłonią, jego twarz wykrzywił grymas bólu. Skulił się na koźle, chwycił zdrową ręką zranione ramię.

– Gdzie ona mieszka?

– Co? – Ferobian wydawał się coraz mniej przytomny. Najwyraźniej lepiej by zrobił, gdyby pozostał pod budą wozu.

– Ta machorka! Gdzie mam cię wieźć?

– Do znachorki... – Było coraz gorzej. Wyglądało na to, że ranny nie bardzo rozumie, co się do niego mówi.

W oddali, za dziećmi, pojawiła się grupa kobiet i kilku mężczyzn.

Cartesal sprawdził, czy miecz pewnie tkwi u pasa, i już zamierzał podciąć konia, by przyspieszyć, gdy Ferobian się zachwiał. Niespodzianie runął w dół, jak kłoda drewna, wymykając się zbyt późno wyciągniętej ręce towarzysza. Cud, że nie skręcił karku; gruchnął plecami o ziemię aż zadudniło. Cartesal błyskawicznie zeskoczył z wozu.

– Co ci? – Dotknął rannego.

– Nie, nic... – stęknął Ferobian. Chciał jeszcze coś powiedzieć, lecz poruszał tylko niemo ustami. Kaszlnął, wyprężył się, najwyraźniej uderzony atakiem bólu, i nagle zwiotczał.

Cartesal szarpnął za koszulę i przyłożył głowę do piersi. Usłyszawszy słabe bicie serca, odetchnął z ulgą. Nigdy nie przypuszczał, że może zaprzyjaźnić się z takim

rzezimieszkiem, ale prawdą było, iż kilka dni tułaczki, w strachu przed pościgiem żołnierzy Rollinamana i zemstą zdradzieckiego karła, zbliżyło w jakiś sposób do siebie obu mężczyzn. Wydawało się, że z raną Ferobiana nie jest tak źle, jednak teraz sytuacja uległa zmianie. Pomoc musiała być natychmiastowa.

Zerwał się na nogi i pobiegł ku wieśniakom. Z powodu braku pochwy miecz miał zatknięty za pasek, co przeszkadzało w szybkim biegu, więc pochwycił rękojeść, by utrzymać broń w stabilnej pozycji. Nie zdawał sobie sprawy, jaki popłoch może wywołać wśród chłopów pędzący ku nim uzbrojony mężczyzna; zorientował się dopiero, gdy pierzchnęli wszyscy, tak dzieci i kobiety, jak i kilku nielicznych mężczyzn. Ledwie zdołał pochwycić jakiegoś smarkacza, który wił się niczym piskorz i gryzł, dopóki nie dostał z otwartej dłoni w twarz.

– Gdzie chałupa znachorki?! – powtarzał Cartesal. – Gadaj! Skowyczący i zapłakany chłopiec zdołał wreszcie pokonać przerażenie.

– Tam – wykrztusił, pokazując ręką wzdłuż prawej strony drogi. – Gdzie kur na dachu.

Cartesal puścił chłopaka, u którego jedna strona twarzy już nabierała purpurowej barwy, i pobiegł we wskazanym kierunku. Bez trudu odnalazł chatę z wielkim kogutem, malowanym kiedyś pewnie na czerwono, lecz teraz z farbą łuszczącą się i wypłukaną do szarości przez deszcze. Dopadł drzwi, które poddały się bez oporu. Wpadł do środka i stanął jak wryty.

Spoglądało na niego kilkanaście – albo i więcej – par zdumionych oczu. Ktoś jęknął, wyraźnie przerażony, i nagle przed zgromadzonych wyskoczył krępy mężczyzna, z najprawdziwszą bojową piką w dłoniach. Nim Cartesal zdołał się odezwać, wieśniak wykonał zadziwiająco wprawny ruch i ostrze piki znalazło się przy jego brzuchu. Stał nie przebiła kaftana, lecz nacisk był silny i – sądząc po zawziętości malującej się na twarzy atakującego – nie trzeba było wiele, aby groźbę zmienić w czyn. Rozległ się szmer głosów pozostałych obecnych, wśród których była jedna tylko kobieta. Zielarka, jak domyślał się oszołomiony Cartesal.

Coś wielkiego leżało na stole. Jakby...

– Jakeś stamtąd wylazł? – zapytał właściciel piki.

– Skąd? – wykrztusił Cartesal.

Inny mężczyzna chwycił leżącą nieopodal siekierę i przyskoczył do nich.

– Dobra robota, Giermek – powiedział, trzymając siekierę w pogotowiu. – No! – Spojrzał gniewnie w oczy Cartesala. – Gadaj! Czarciem jesteś jakimś czy innym plugastwem?!

– Krew trza sprawdzić – odezwała się wiedźma z tyłu. – Czy nie cuchnie i w smaku

jaka.

– Oczu z żelastwa nie spuszczałem – zawtórował inny głos z grupy mężczyzn. – Człek to nie jest. Widziałbym, jak wyłazi.

Ruszyli się i pozostali, i wtedy młody Wermontczyk upewnił się, że wzrok go nie myli. Na stole rzeczywiście leżała zdekompletowana rycerska zbroja.

– O czym wy... – usiłował coś powiedzieć, ale nagle usłyszał za plecami skrzypnięcie drzwi. Nie zdążył nawet poczuć bólu, gdy coś twardego uderzyło go w tył głowy.

Dortolef i świniopas cofnęli się o krok, a przybysz zwałił się na klepisko. W świetle drzwi stał nosiwoda Jawef z kłodą w rękach.

– Wszystkom słyszał – rzekł chętnie.

– Dobić trza. Póki niemy! – Świniopas uniósł pikę.

– Czekaj! – powstrzymał go Dortolef. Coś go zastanowiło. – Przecie rycerz broni nie miał. – Pochylił się nad leżącym i wyciągnął mu zza paska miecz.

– Prawdziwy? – padło pytanie.

Świniopas z miną znawcy przejechał kciukiem po ostrzu. Skrzywił się i wsadził zakrwawiony paluch do ust.

* * *

Co tak pachnie? Zioła...?

Otworzył oczy. Była noc. Nieopodal, w uchylonym piecowym palenisku żarzyły się węgle. Panowała cisza, zakłócana jedynie czymś donośnym chrapaniem. Cartesal Crommelin leżał na grubej warstwie słomy, złożonej w kącie izby, a chrapiący mężczyzna dzielił z nim to postanie.

Przysunął się nieco bliżej; śpiącym był Ferobian! Najwyraźniej został opatrzony fachową ręką i w dodatku ostrzyżony do gołej skóry, tak na głowie jak i twarzy. Niezwykle, w jakim stopniu taki prosty zabieg może zmienić wygląd człowieka.

– Oj! Co widzę? – zaskrzeczał niespodziewanie ktoś obok.

Cartesal drgnął, zaskoczony, i usiadł gwałtownie na pościeli.

Aż jęknął, tak ostry był ból z tyłu głowy. Sięgnął ręką i skrzywił się, wyczuwając opatrunek.

– Jeszcze ma krzepę stary Jawef, co? Nie na darmo pół życia wiadrzyska targał... – Jakiś cień przemknął w stronę paleniska, przesłonił żar i nagle zajaśniało w izbie. Zielarka wyprostowała się, trzymając w ręku lampę.

– Gdzie jestem? – Młodzieniec rozejrzał się.

– A u mnie – odpowiedziała spokojnie kobieta. – A gdzie ma być? Chyba że w ziemi

wolałby... Oj, niedużo brakowało. Krzepę ma stary Jaw...

– Dlaczego? – przerwał jej Cartesal, przypomniawszy sobie nagle uzbrojonych wieśniaków. – Dlaczego oni tak na mnie...? Przecież ratować tylko chciałem. Jego! – Skinął głową w stronę Ferobiana.

– Tak, wiem. Aleś w chwili takiej zaszedł, że sama myślała, żeś czart, a co dopiero taki chłop ciemny.

– Czart? – powtórzył Cartesal.

– Chodź, to i zobaczysz – zachęciła go i podeszła do stołu. Postawiła lampę na blacie i skinęła zapraszająco dłonią.

Na stole leżała rycerska zbroja. Najprawdziwsza z prawdziwych, i to nie byle jaka, lecz bitewna, tyle pewnie warta, co cała taka wieś z inwentarzem razem wzięta.

– Skąd to wzięłaś?

– Nie ja... – Odsunęła się przestraszona i splunęła w kąt. – Sama przyszła.

Cartesal spojrział pytająco, nic nie rozumiejąc.

– Znaczy się... – zielarka zmieszała się nieco – przynieśli ją tu chłopcy. Przynieśli do mnie, bo myśleli, że... nie wiedzieli, że... – Zawahała się, ostatecznie uznając, iż nie ma co opowiadać młodziakowi, jak było. W końcu osobiście tego nie widziała. Nie jej to rzecz.

– No a wtedy ty wlałeś niespodzianie i wymyślili, że pewnikiem twoje to czary – dokończyła.

– Chłop ciemny – powtórzyła wcześniejszą konkluzję.

– A tyś światła? – Cartesala rozbawił poważny ton głosu zielarki.

Popatrzyła na niego ukosem.

– Kobieta jestem, nie widać? Toć wiadomo, że choć głowa męża szybciej pracuje, to przez to czasem takie głupoty wymyśla, że niewieście milczeć tylko wypada – wypaliła zgryźliwie.

Cartesal Crommelin wzruszył ramionami. Wziął do ręki hełm i poruszył przyłbicą. Jeszcze nigdy w życiu nawet nie dotykał zbroi. Podobne widywał tylko na księciu Grademieun i kilku dworskich dostojnikach podczas uroczystości, ale raz jeden przywieziono zwłoki zbuntowanego rycerza, pragnącego odłączyć część włości od księstwa Wermontu. Wtedy to zobaczył, jaka jest różnica między wypolerowanym, pokazowym rynsztunkiem, lekkim i zdobionym klejnotami, a prawdziwą bojową osłoną. Bardzo też dziwił się słowom ojca, który wyjaśnił, iż mimo braku złota i drogich kamieni więcej jest warta zbroja bitewna, bo stal w niej taka, z jakiej miecze kują. A i gdy polegnie rycerz, bogactwo klejnotów rabusiów nie wabi.

Cartesal odłożył hełm i dotykał kolejno innych elementów. Wielkiego jak tarcza

napierśnika, połączonego z naplecznikiem masywnymi zawiasami, elementów rękawów i pokryw nitowych, fartucha z taszką, nagolenic i wreszcie pokranych, ostro zakończonych butów. Brakowało pewnych drobiazgów, jak na przykład czepca, czy kubraka pod żelazo, ale w zasadzie można je było zastąpić byle czym. Zbroja była kompletna.

– Przynieśli, ale zabrać nie ma komu – poskarżyła się znachorka. – Zestrachani jak zajęte jakie. Poszli sobie, a mnie zostawili z tym żelastwem.

– Też się boisz?

– Nie za bardzo. Jeśli była w niej jaka siła nieczysta, najwyraźniej z niej wyciekła... Ale spać nie mogę – przyznała. – I nie zasnę, póki jej nie zabierzesz.

– Ja? – Zaskoczony Cartesal spojrzął na nią, rozbawiony.

– A kto? – oświadczyła. – Myślisz, że po co kąt ci dała. I głowę opatrzyła. Ferobian to co innego. On prawie ci nasz, przynajmniej dwoje jego gzubów po wsi biega, ale ty? Obcy.

– Też wieśniakiem jestem.

– A po pańsku jakoś prawisz.

– Co? Ja? Przy zamku mieszkam, ale żeby...

– Tak, tak. – Pokiwała głową, sama sobie przytakując. – Bierz zbroję i ruszaj w swoje strony, dobrze radzę. Nie wiem, co jutro chłopcy uradzą – zagroziła chytrze. – Porywcze są. Po mojemu dokończą spartoloną robotę Jawefa jak nic. Ruszaj, jeśli ci miły ten świat.

Zdezorientowany Cartesal rozejrzał się dookoła, jakby już teraz spodziewał się w kącie przyczajonego wieśniaka.

– Pieszko mam iść? – wykrztusił.

– Toć czy to nie twój koń przywiązany był do wozu Ferobiana? A tera w chlewiku świniom spać nie daje? A co zdjęłam z niego, tam rzuciłam. – Kobieta wskazała pod ścianę, gdzie w półmroku Cartesal dostrzegł siodło i czaprak z frędzlami, „odziedziczone” po słudze Karła Monkario.

– To jak będzie? – ponagliła.

– Po nocy tak?

– No nie... – Złagodniała. – Ale jak wyjedziesz o świtanie, na dobrą drogę wałówkę dam, a i napitku nie pożałuję. Tu nic po tobie. Dziś ledwie przegnała chłopów, bo by mi nieszczęście na chałupę sprowadzili, ale co będzie jutro...? – zawiesiła głos. –

O wschodzie chłop leniwy, to i śpi twardo. A bab się nie bój.

– Jeszcze czego... – Wzruszył ramionami. Pokiwała głową.

Nie boisz się – mruknęła. – Wiedziałam, żeś nie za mądry. Cartesal Crommelin usiadł na słomie, służącej mu za posłanie, obok znieruchomiałego Ferobiana, którego

najwidoczniej żaden hałas nie był zdolny obudzić. Zamyślił się, wpatrzony w czerwone węgle paleniska.

– Co tak dumasz? – zapytała zielarka przyjaznym tonem. Może ruszyło ją sumienie, że wypędza gościa.

– Nie wiem dokąd pójść – odrzekł szczerze młodzieniec. – Nie mam gdzie. Ani do kogo.

– Ale odejdziesz? Przecież się zgodziłeś? – głos kobiety wystrzył się.

– Odejdę. – A gdzie mój miecz? – przypomniał sobie.

– Jest, jest – uspokoiła go zielarka. – Chłopy najpierw zabrać chcieli, ale Jawef rzucił, że szatański, to i zostawili. Jak słowa dotrzymasz, pochwę nań dorzucę, która w komórce od niepamiętnych czasów leży. Ale zrobiona z dobrej końskiej skóry, zdatna pewnie jeszcze.

Pokiwał głową na zgodę. Położył się na słomie i zamknął oczy. Przez czas jakiś słyszał krzątającą się gospodynię, a gdy nagle zapadła cisza, zorientował się, że kobieta stoi tuż obok. Otworzył oczy.

– Nie śpisz? – zagała.

–Nie.

Przez chwilę kręciła się, jakby zamierzała zrzucić z pleców brzemię garbu. W końcu powiedziała:

– Więc pomyślałam sobie, że jeśli prawda to, że iść nie masz dokąd, to jest pewna możliwość.

– Mogę zostać? – spytał, ucieszony i zdziwiony jednocześnie tą odmianą.

– O tym nie ma mowy – ucięła krótko. – Dla mojego i twojego dobra. Tłumaczyłam przecie!

Cartesal wzruszył ramionami. Ponownie przymknął powieki, demonstrując brak zainteresowania.

– A nie boisz się ty demonów? – zapytała nieoczekiwanie.

Usiadł. Przez chwilę zwalczał w sobie przekonanie, że oto stara zielarka w rzeczywistości jest wiedźmą, która potrafi czytać myśli, i stąd dowiedziała się o szorku i Mageocie.

– Nie wierzę w demony – powiedział, siląc się na beztroskę. Zerkał gdzieś w bok, będąc pewnym, że w przeciwnym razie baba roześmieje mu się prosto w twarz, ale ona najwyraźniej nie to miała w głowie.

– A ja raz jednego widziałam! Teraz mogłam zobaczyć drugiego. – Skinęła w stronę stołu, na którym leżały części zbroi. – Gdyby nie wyparował.

– Co za bzdury opowiadasz?!

Cartesal już oddychał lżej; rozluźnił się.

– Bzdury? – zaoponowała zielarka. – A ty sam, pewien taki jesteś, że wszystko, co w życiu widziałeś, z tego świata jest, he?

Śmiechem maskował zmieszanie.

– Dobra, mniejsza z tym. Mów, co wymyśliłeś.

– Kawalek za wsią jest stara oberża. To znaczy była. Kiedyś. Teraz to ruina, chociaż opuszczona dopiero od dziesięciu lat. Ale jakiś kąt da się wygospodarować. Z wodą też nie problem, mimo że studnia zapadła się całkiem, bo oberża nad samą rzeką stoi...

– No i co? – ponaglił Cartesal.

Jak to co? Tam możesz zamieszkać. Niby sam, ale jednak wieś pod bokiem. Nikt cię nie ruszy, bo upiorów bardziej się boją niż własnej śmierci. A z czasem, jak się miejscowi do cię przyzwyczają, a Ferobian wydobrzeje i rację przyzna, to może i do wsi wrócisz. A i starej znachorce odwdzięczysz się jakoś za opiekę i radę dobrą.

Kobieta umilkła. W stojącej na stole lampie kończyła się oliwa; światło przybladło i zaczęło migotać.

– Ale... – zaczął Cartesal.

– Co? Nie podoba się? – Zielarka się nadała. – To zabieraj manele i w świat szeroki, jak z dobrego serca rada nie pasuje.

– Nie! – powstrzymał ją Cartesal. – Propozycja jest jak najbardziej. Bardzo dobra. Ale...

– No, wykrztuś wreszcie.

– Co z tymi upiorami?

Na pooranej zmarszczkami twarzy pojawił się tryumfalny uśmiech.

– A, tu cię mam, bratku! Przecie w demony nie wierzysz?

– Bo nie wierzę. Z ciekawości pytam, skoro mam tam mieszkać.

– Z ciekawości, mówisz... Straszyc cię nie będę, bo nie po to mówię o starej gospodzie, żeby cię jaka krzywda spotkała. Wiem dobrze, że niektóry człek taki jest, że chociaż nikogo koło niego nie będzie, to oszaleć potrafi albo i umrzeć od samego tego obrazu, co tylko w jego własnej głowie się wylęgnie. A dzieje się tak dlatego, że obraz ten, choć wymyślony, prawdziwym światem dla niego się staje. Ty raczej nie z tych, rozum twój zdaje mi się trochę na to za krótki, ale dla własnego spokoju powiem ci tyle tylko, że demony raz jeden faktycznie się tam pojawiły, dziesięć, albo i może jedenaście już lat temu. I od tego czasu spokój. Spokój, powiadam. A wiem o tym, bo ziola w tamtej okolicy dobre, a i takie, których gdzie indziej nie uświadczysz, więc nie raz spałam w starej gospodzie, gdy pora zbiorów nastawała. I nigdy żadnego upiora nie spotkałam, chyba że kto uzna za niego starą sowę, co to na stryszku mieszka i czasem pohukuje, że

człeka nienawykłego ciarki przechodzą. To raczej mnie raz za demona wzięli nocni wnykarze, gdy, coby czasu nie marnować, przy pełni księżyców zioła suszyłam na gospodowym ganku. Uciekli wtedy, omal gnatów nie łamiąc, i tym sposobem tylko się odmienność tego miejsca potwierdziła. Bezpieczny tam będziesz. Pójdiesz?

– Pójdę! – Cartesal podjął decyzję. – I żelastwo zabierzesz?

– Zabiorę.

Cartesal zasnął szybko i spał jak kamień, nie nękany żadnymi omamami. Garbata zielarka nie zapomniała o nim i przed świtem został obudzony brutalnym szarpaniem za ramię.

– Czas na ciebie. Tfu!

– Czemu plujesz, babo?! – zdenerwował się Cartesal i tak wystarczająco zły, że musi uciekać jak jakiś bandyta.

– Bo za miękkie mam serce, ot co! Za karę już zły znak niebo przykrył. Odejdź człowieku, nim będzie za późno.

– Jaki znak?

– A taki! – Wskazała za okno.

Crommelin podszedł bliżej i spojrział przez brudną szybę. Przystawił rozwarte dłonie do skroni, zakrywając światło lampy.

– Nic nie widzę – rzekł po chwili. – Tylko chmury nadciągnęły od zachodu.

– Jakie chmury?! – zachnęła się zielarka. – Noc kryształowa przecie jak woda w strumieniu.

– Eee... – mruknął lekceważąco Cartesal, odwrócił się od okna i począł przygotowywać do odjazdu.

Kobieta przypatrywała mu się niecierpliwie. W pewnym momencie podeszła do okna, wyraźnie czymś zaciekawiona.

– Chmury! – prychnęła z tryumfem. – To popatrz sobie raz jeszcze.

Zdumiony Cartesal Crommelin zobaczył na niebie tylko gwiazdy. Morze jasnych, niezliczonych gwiazd, dokąd tylko okiem sięgnąć.

– Wiatr przegnał.

– A skąd wiatr nagle? Toć cicho jak makiem zasiał. Idź już lepiej.

– Przecież idę! Otworzył drzwi.

– I nie miej żalu – dogonił go zachrypnięty głos. – Dobrze ci życzę. Może jeszcze kiedyś to docenisz.

– Wątpię – mruknął Cartesal.

Stuknęły zatrzaśnięte drzwi.

Zbroja została zapakowana w wielki stary worek, owinięty dodatkowo sznurkami.

Obok leżał mniejszy pakunek, z którego wystawała szyjka butelki. Widać stara zielarka w ogóle nie spała tej nocy. Cartesal wyszedł przed chatę i postawił bagaż przy płocie. Zauważył, że przy każdym oddechu z ust wydobywa mu się para. Było bardzo chłodno. Zadziwiająco chłodno jak na letnią porę roku.

Zacierając ramiona, ruszył do świńskiej stajni po konia. Przyprowadził go pod ganek i narzucił czaprak. Schylił się po siodło.

Miał wrażenie, że robi się coraz zimniej.

Rozdział 9.

Wzdłuż krawędzi lasu, po wyschniętych stepowych trawach, przemieszczał się oddział jeźdźców. Im bardziej słońce chyliło się ku zachodowi, tym wolniej wlokły się zmęczone konie, ale przewodzący grupie komendant Tanavar wciąż ponaglał towarzyszących mu strażników Wermontu.

– Do fortu już niedaleko.

Nikt nie protestował. Żołnierzy było dziewięciu i wszyscy doskonale wiedzieli, jakie czeka ich zadanie i że ksiązę Grademieun byłby bardzo niezadowolony, gdyby nie udało się go wykonać.

Opuszczając Wermont, przejeżdżali obok kwartetu wisielczych drzew, u stóp których do nie wkopanego jeszcze w ziemię zaostzonego niedbale pala, pełnego drzazg i zadziorów, zaprzęgano właśnie konia. Przyboczny Rasmus został zmuszony do obserwacji tych przygotowań. Stał ze związanymi do tyłu rękami, z twarzą bladą jak śmierć, z którą rychło już miał się spotkać, i za każdym razem, gdy odwracał głowę lub przymykał oczy, na obnażone plecy spadał cios rzemiennego pejcza.

Nie dane im było obejrzeć tego widowiska, czas naglił, lecz nie wątpili, że się odbyło.

Mieli zabić Mageota i schwytać żywcem błazna Monkario. I nikt nie będzie miał pretensji o okaleczenia, byle ten pierwszy wyzionął ducha, a drugi nadawał się do przesłuchania.

Zadanie proste dla żołnierza, jak wypicie duszkiem kwarty wina – jedyne, czego się obawiali, to, że mogą rozminąć się ze ściganymi.

– Karzeł nie wie o niczym, będzie wracać głównym traktem – pewnym głosem oznajmił podwładnym Tanavar. – To najkrótsza droga.

Dla siebie zachował wątpliwości. Na przykład, że jeśli Monkario jakimś cudem dowie się o śmierci Niterte, domyśli się zapewne, że jest zdradzony, i nie wróci ani głównym szlakiem, ani żadnym innym. Dlatego zależało mu na czasie. I na żołnierzach z fortu granicznego, na wypadek gdyby przyszło przeszukiwać step lub, co gorsza, walczyć z ludźmi Rollinamana.

– Jest! Drugi Fort Północny! – zawołał jadący za nim strażnik. Wskazywał ręką przed siebie.

Zza horyzontu wyłaniał się daleki ostrokół, z górującą nad nim wieżą.

– Doskonale. Zaraz zmierzch, ale zdążymy przed nocą.

Mądre konie same przyspieszyły, nie trzeba było ich ponaglać.

* * *

– Kto wy?!

Przy bramie płonęły już pochodnie, choć z zachodniej części nieba nie zniknęła jeszcze poświata minionego dnia. Tanavar szturchnął piętą koński bok i podjechał bliżej.

– Kto?! – ponownie dobiegło z góry.

– Ech, ty! – wtrącił z naganą inny, niezwykle zachrypnięty głos. – Pana komendanta nie poznajesz? Ruszyć się! Otwierać bramę!

Między strzelniczymi otworami zakotłowały się ognie pochodni, dobiegł tupot nóg po drewnianych schodach. Szczęknęły rygle i otworzyło się jedno z ościeży.

– Witamy! – rzekł z wyraźną radością właściciel schrypniętego głosu. – Tak bez zapowiedzi, mój drogi Arhalcie? Przygotowalibyśmy odpowiednią kolację.

– Zadanie nagłe to i wizyta taka – odparł Tanavar i dał znak swoim ludziom. Wjechali na podwórze, a skrzydło bramy się zamknęło. Sztaby powróciły na swoje miejsce.

Tanavar z wyraźną ulgą zsiadł z konia. Cały dzień w siodle solidnie dał mu się we znaki. Chyba bardziej niż towarzyszącym mu strażnikom, którzy i młodszy byli, i ćwiczyli co dzień. Stanowisko dowódcy straży Wermontu miało liczne zalety, lecz z pewnością nie sprzyjało doskonaleniu żołnierskiej kondycji.

– Witaj, Hamilbat – rzekł. – Cóż to? Dowódca garnizonu na warcie stoi?

– Eeech, nie! – Zagadnięty zaśmiał się, machając ręką. Był to człowiek dość mizernej postury, lecz pod ubraniem kryły się mięśnie z żelaza. – Te kobyle łby – wskazał w górę, na wracających na swoje stanowiska wartowników – dostrzegły dym w stepie.

– Dym? – podjął czujnie Tanavar.

– Nie wiadomo. To kobyle łby, mówiłem, gotowe przedwieczorną mgłę pomylić z babskim cyckiem. Teraz nic nie widać.

– Bo już prawie ciemno.

– Fakt – przytaknął z westchnieniem Hamilbat. – A czy ja mówię, że nie należy tego sprawdzić? W końcu jesteśmy fortem granicznym.

– Pojadę z wami – zdecydował Tanavar. – Weź z tuzin ludzi. Moi niech odpoczną, po takim dniu niewielki z nich pożytek.

– Tuzin? – Hamilbat wybałuszyl oczy. – Dla kawałka dymu?

Nie doczekał się wyjaśnień, więc dodał:

– Może raczej też odpocznij, zjedz kolację jak przystało. Dopiero co wysłałem tam dwóch na zwiady, nie myśl sobie...

Zamilkł, zgaszony niecierpliwym spojrzeniem.

- Ale skoro konieczność taka, to oczywiście sam sprawdzę.
- Taka. A odpoczywać będę później – uciął Tanavar. – Jedźmy już!

Hamilbat odwrócił się, uniósł dłonie ku ustom i wykrzyczał kilka rozkazów. Część przybyłych z Wermontu młodych strażników nie znała dowódcy Drugiego Fortu i ze zdumieniem przyglądała się tym bezceremonialnym poczynaniom. Nie mniejsze zdumienie budziła umiejętność wydobycia z siebie tak gromkiego głosu przy wyraźnym felerze gardła. Brzmiało to tak, jakby ktoś usiłował krzyczeć szeptem. Tyle że Hamilbatowi taka sztuczka wychodziło zupełnie udanie.

W drodze Tanavar zaznajomił dowódcę ze swoim zadaniem. Jechali w ciemnościach, które zdążyły już zapaść na dobre, tym szybciej, że niebo zaciągnęło się chmurami. Ale nie wyglądało na to, żeby miało padać.

Komendant zabronił palić pochodnie.

– Rozumiem, że spodziewasz się, że ten dym pochodzi z obozowiska Monkaria? – stwierdził raczej niż zapytał Hamilbat.

– Sprawdzić trzeba – padła wymijająca odpowiedź. – Wolę nie spotkać go wcale, niż żeby miał przemknąć niezauważony i pierwszy dotrzeć do Wermontu. Grademieux ostatnio nie jest w najlepszym nastroju...

Poinformował o losie swojego byłego Przybocznego, Rasmusa.

– Co prawda, sam sobie zasłużył na taki koniec. Chciał zająć moje miejsce – zakończył.

Przez chwilę jechali w milczeniu.

– Źle się dzieje w Wermoncie – zauważył Hamilbat.

– Ano źle. A zapowiada się, że będzie gorzej. Nie widziałeś tego Poratora. Lepszym władcą byłby chyba chłop prosto od pługa. A ten ni to, ni owo, na takiego dziwoląga go Niterte wychowała. Ani pan, ani parobek.

– Panie! – z boku dobiegł nagły szept. Jeden z żołnierzy zrównał się z nimi w szyku. – Jest ogień!

Podciągnęli cugle i wierzchowce się zatrzymały. Z prawej strony, jeszcze dość daleko, mrugało nikłe światełko.

– Z koni! – rozkazał Tanavar.

Podchodzili w ciszy. Ostrożnie prowadzili konie, muskając dłońmi zwierzęce chrapy, by nie wydobyło się z nich nieoczekiwane parsknięcie.

Nagle z mroku wyłoniła się ludzka postać.

– To nasz! Zwiadowca – uspokoił Hamilbat sięgającego po miecz Tanavara.

Za pierwszym zwiadowcą pojawił się drugi, ubezpieczający towarzysza.

– No, co tam? – ponaglił dowódca.

– Nic takiego – odparł lekceważąco żołnierz. – To tylko Samotny Chłopiec.

– Kto? – zapytał zdumiony Tanavar.

– Słyszałem, że kręci się ostatnio po okolicy – wychrypiał Hamilbat. – Podobno Rollinaman próbował ściągnąć go na swój dwór. I to siłą. Stary dureń! – Splunął wymownie.

– O kim wy mówicie? Dowiem się wreszcie? – odezwał się zniecierpliwiony Tanavar.

Zwiadowca wyprostował się służbiście. Najwyraźniej dopiero teraz zorientował się, kto towarzyszy jego dowódcy.

– Wybacz – załagodził sytuację Hamilbat. – Oczywiście. Możesz nie wiedzieć.

Pojawił się przed jakimiś dwoma tygodniami. Nie wiadomo skąd przybył.

– Kim więc jest?

– Tego również nikt nie wie.

– Skoro jest tu już od dwóch tygodni, dlaczego nie było o tym w raportach?

Hamilbat nie dał się zbesztać.

– Nie było również o ścierwnikach białych ani o babach zbierających zioła i końskie gówno. Samotny Chłopiec nie stanowi zagrożenia. Zresztą znajduje się po Kentgerontmondzkiej stronie, panie komendancie!

Tanavar uśmiechnął się, choć w mroku nikt pewnie tego nie zauważył. Lubił Hamilbata, jego bezpośredniość i trzeźwe poglądy. Niegdyś, w młodzieńczych latach, bardzo się przyjaźnili, potem ich drogi rozeszły się, lecz przyjaźń chyba pozostała.

– Dość o tym! – skomentował krótko, ze względu na żołnierzy. – Idziemy!

– Dokąd?

– Tam. – Wskazał na bliskie już ognisko. – Chcę sobie obejrzeć tego chłopca... jak mu tam?

– Samotny Chłopiec. Tak zwą go ludziska.

Hamilbat wydał żołnierzom rozkazy, po wysłuchaniu których odjechali w stronę fortu. Pozostał tylko jeden, przy koniach. Tanavar zdecydował, że pójdą pieszo na ten rekonesans. Nie chciał, żeby tajemniczy chłopiec zorientował się, że jest obserwowany.

Podchodzili ostrożnie, niczym do łownej zwierzyny. Ognisko było dość duże, jakby dopiero co dołożono doń opału, jednak nie dostrzegali przy nim nikogo.

– Może zorientował się i skrył w cieniu? – szepnął Tanavar.

Hamilbat wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, to jestem pewien, że opowiadają o nim same bajki. Tego się zresztą spodziewałem, ale okoliczni swoje gadają, a i moi żołnierze coś też ostatnio.

– A cóż takiego mówią?

– Że Samotny Chłopiec, nawet zaatakowany, nie obawia się niczego. Nie musi się ukrywać, bo jest niedostępny.

Przez chwilę Tanavar zbierał myśli. – Jaki?

– Niedostępny. Nie można zrobić mu krzywdy.

– Każdemu można.

Hamilbat wykrzywił wargi w pełnym zważenia uśmiechu.

– Jakbym słyszał wielmożnego księcia Grademieun. Ale fakt, że to prawda. Wiem coś o tym. Powtarzam tylko, co mówią ci, którzy, jak twierdzą, mieli z dzieciakiem do czynienia.

Zatrzymali się przy kępie wyschniętych, kolczastych krzaków.

– Jest! – zauważył Hamilbat. – Popatrz!

Samotny Chłopiec leżał nieopodal ogniska. Wprost na trawie, bez żadnej derki czy koca. – Śpi?

– Wątpię. Nad żarem wisi dymiący garnek.

– Chcę z nim porozmawiać. Może spotkał Monkaria albo słyszał coś godnego uwagi – powiedział Tanavar. Odsunął gałązkę i syknął, gdy ostry kolec wbił mu się w palec.

– Poczekaj – próbował powstrzymać go Hamilbat, lecz komendant już szedł naprzód, zbliżając się do linii światła.

Nagle się zatrzymał. Wyciągnął do przodu rękę niczym aktor z pantomimy, potem drugą. Z wyraźnym wysiłkiem, bardzo powoli, postąpił naprzód. Odnosiło się wrażenie, iż obiema dłońmi naciska przestrzeń przed sobą. Jeszcze jeden krok, jeszcze trudniejszy, jakby czas zamierał. Niespodziewanie się odchylił i niechybnie straciłby równowagę, gdyby się w porę nie cofnął.

Samotny Chłopiec wstał.

Wyglądał na dziesięciolatka. Wychudzony, z czarnymi długimi włosami, patrzył wprost na Tanavara. Tylko jedną stronę twarzy oświetlało coraz nędzniejsze ognisko, druga ginęła w cieniu nocy.

Chłopiec milczał. Nagle pochylił się i dorzucił gałąź do ogniska, na chwilę tylko odrywając wzrok od obserwujących go mężczyzn. Powrócił spojrzeniem, znów wyprostowany. Zarzucił głową, odgarniając włosy.

– W tym właśnie rzecz – szepnął Hamilbat, dotykając ramienia komendanta. – Jest niedostępny.

– Tam nic nie było! – sapnął zdumiony komendant. – Tylko powietrze. Dlaczego nie mogłem przejść?

– Niedawno to samo spotkało jednego z moich zwiadowców. Przyznaję, że nie

bardzo mu wierzyłem, człek ten często nietrzeźwy chodzi, ale teraz widzę, że nie łągał. Opowiadał, że wbijał się w niewidzialny, gigantyczny rybi pęcherz, który otaczał Chłopca ze wszystkich stron. I jest jeszcze coś, ale to już całkiem między bajki włożyłem. Wieśniacy głosili, że podobno żołnierze Rollinamana strzelali do niego z kuszy i żaden bełt się nie przebił. Wszystkie upadły na ziemię ładnych parę łokci przed Samotnym Chłopcem.

– Chodźmy stąd – zdecydował Tanavar. Czuł się niezręcznie, obserwowany przez obdartego dzieciaka, którego niezwykłość przyszło mu poznać już przy pierwszym spotkaniu.

Wycofali się za krzewy. Samotny Chłopiec jeszcze przez kilka chwil patrzył w tamtą stronę i obaj Wermontczycy odnieśli wrażenie, że wciąż ich widzi, pomimo mroku nocy. Chyba jednak tak nie było, bo w końcu zajął się swoimi sprawami. Zdjął garnek. Pośpiesznie – i jakby z odrazą – zgasił wąty ogień, potem przykucnął i wyjął z kieszeni łyżkę. Zaczął jeść. Wprost z garnka.

– Mówiłeś, że nie jest niebezpieczny – odezwał się komendant Tanavar.

– Bo nie jest. Tak sądzę. Nikt jak dotąd nie ucierpiał, nawet ci, którzy strzelali.

Zauważ, że nie ma żadnej broni. Poza tym to jeszcze dziecko.

Tanavar pokręcił z powątpiewaniem głową.

– A ten pęcherz?

– Broni się tylko.

– To jakaś magia... – Tanavar cofnął się bezwiednie. – Coś mi się tu nie podoba.

– Przyznaję, dziwne to wszystko – powiedział Hamilbat. – Ale nadal nie uważam, żeby się było czym przejmować. Nie sądzisz chyba, że taki niedorostek może stanowić zagrożenie?

– Na razie jedynie się zastanawiam – odparł komendant. – Ile masz lat, Hamilbarze?

– Trzydziestka trójka za miesiąc huknie.

– Czy przez te wszystkie lata choć raz spotkałeś się z magią? Taką prawdziwą.

Tajemniczą. Straszną?

– Nooo... – zachrypiał dowódca fortu. – Nie raz ludzie opowiadali...

– Pytam, czy zetknąłeś się z nią osobiście!

– No, nie!

– Ani ja. Atu nagle pojawia się w Wermoncie legendarny Mageot, którego miałem za postać z babskich bajan, i teraz jeszcze ten chłopak tutaj. Jak tu nie sądzić, że te nagłe objawienia jakoś się ze sobą wiążą?

– Owszem, dziwaczne to wszystko – mruknął cicho Hamilbat. – Jeśli to magia.

– A cóż innego?

– Nie wiem.

– A ja wiem. I czuję, że Mageot i Samotny Chłopiec mają ze sobą coś wspólnego...

Hamilbat pokręcił głową. Jedyne, co mógł powiedzieć, to że jego zdaniem przyjaciel zbyt poważnie traktuje tę historię. Owszem, dziwnie się czuł, widząc Tanavara grzęznącego w powietrzu niczym w bagnie, a naprzeciw niego tego smarkacza, nieruchomego, z twarzą jak z brązu. Rzeczywiście, nieprzyjemne to było wrażenie, gdy chłód jakiś dotykał trzewi. Strach? Nie, nie strach to! Skąd strach?

Ale żeby przejmować się jakimś szczeniakiem? Ot, wybryk natury, jakich nie mało na świecie. Życie byłoby nudne bez takich tajemnic.

– Szkoda naszego czasu. Pora wracać – rzekł.

Jak na potwierdzenie tych słów z dała dobiegło parsknięcie konia. Na stepie noc doskonale niesie każdy dźwięk, a widać żołnierza, który z końmi pozostał, niezbyt sumiennie ich pilnował.

– Jeszcze nie – odparł nieoczekiwanie Tanavar. – Co?

– Chcę z nim pogadać.

Ruszył, nie czekając na odpowiedź. Gdy tylko wyłonił się zza ostrokrzewu, Samotny Chłopiec przestał jeść. Za moment już stał wyprostowany, tak jak poprzednio, z tą samą sztuczną sztywnością.

Tym razem komendant zatrzymał się w stosownej odległości.

– Nazywam się Arhal Tanavar – poinformował głośno. – Dowodzę Strażą Wermontu. Nie bój się! Możemy porozmawiać?

Chłopiec przyglądał mu się bez śladu wyraźniejszego zainteresowania.

– Dlaczego miałbym się bać? – zapytał poniewczasie. – Chyba mówisz o sobie, człowieku?!

Treść słów Tanavar puścił mimo uszu. Wszak w dziecinnych ustach mogły brzmieć tylko zabawnie. W gruncie rzeczy był zadowolony, ponieważ się obawiał, że zagadkowy dzieciak w ogóle nie zechce z nim rozmawiać.

– Nie, nie mówię o sobie – odparł. – Ale chcę o coś spytać.

Chłopiec nie podchwycił tematu. Jedyne patrzył wyczekująco.

– Mogę podejść bliżej? – zapytał Tanavar.

– To raczej niemożliwe... Czy takie jest właśnie twoje pytanie?

– Oczywiście, że nie. Chciałem zapytać, czy może w ostatnich dniach nie spotkałeś Mageota? – Komendant zaakcentował imię na końcu zdania, bacznie obserwując słabo oświetloną twarz Samotnego Chłopca.

Poczuł się zawiedziony, gdyż jego twarz nic nie wyrażała, a przynajmniej nie było tego widać z tej odległości. Zniknął jedynie ślad uśmiechu.

– Nie – padła spóźniona odpowiedź.

– Szukam go. Pomyślałem, że może chciałbyś przyłączyć się do mnie?

– Nie sądzę. Czy jeszcze coś? Jestem zmęczony.

– Co tutaj robisz? Skąd przybyłeś?

– Jestem zmęczony – powtórzył Samotny Chłopiec i odwrócił się. Na tle przygasającego ognia jego szczupła sylwetka zdawała się rozpląwać w ciemnościach.

Tanavar miał ochotę podejść do niego, bezpośrednio zadać kilka następnych pytań, ale zatrzymał się w pół kroku. To nie miało sensu. Szkoda czasu; miał chyba rację Hamilbat.

Wrócił do przyjaciela i z rezygnacją machnął ręką. Dotarli do swoich koni i podążyli do fortu.

– Nadal jestem przekonany, że chłopak ma coś wspólnego z Mageotem – odezwał się w pewnej chwili Tanavar. – Chcę, żebyście go obserwowali.

– Jak tylko wrócimy do fortu, wyślę kogoś – potwierdził Hamilbat.

W nocy Arhal Tanavar spał przy otwartym oknie. Tuż przed świtem zbudził się z powodu zimna. Okrył się dokładniej kocem i przewrócił na drugi bok. Ale nie mógł zasnąć. Wciąż było zimno. O tej porze roku? Wstał i po lodowatej podłodze przeszedł do okna. Gdy je zamykał, jakiś cień padł na znaczną część nieba, ale on nie zauważył tego, pragnąc jak najszybciej wrócić pod koc. Zresztą cień wkrótce zniknął, tak samo nagle jak się pojawił, a na sklepienie powróciły gorejące gwiazdy.

Rozdział 10.

Odpiął sznur i uwolnił konia od ładunku. Zagrzehotała zawartość spadającego na ziemię wora. Cartesal Crommelin nie miał doświadczenia w obchodzeniu się z rycerskim rynsztunkiem, ale nie przypuszczał, żeby taka bezceremonialność mogła zbroi w jakiś sposób zaszkodzić. Wszak w boju nie takim jest poddawana uderzeniom.

Stara oberża stała się ruiną głównie dlatego, że olbrzymi buk, kończąc swój wielowiekowy żywot, zwałił się wprost na nią. Główny pień wbił się w kryte słomą gonty, zmiotł kawał dachu i utknął w połowie wysokości ścian nośnych budynku. Musiało stać się to parę ładnych lat temu, ponieważ obecnie drzewo było prawie pozbawione kory, wyschnięte i spróchniałe, a niektóre konary poodpadały.

Cartesal uwolnił konia od siodła, zdjął również czaprak i wytarł trawą zapocone miejsca. Gdy tylko puścił zwierzę wolno, zbiegło ze skarpy wprost do rzeki, wchodząc do wody aż po brzuch.

– I mnie przydałaby się kąpiel – mruknął Cartesal.

– Ale najpierw... – Z uśmiechem sięgnął po węzełek, który dała mu znachorka. Co by o niej nie powiedzieć, nie była skąpa. W dużej butelce było piwo, a chleba i kiełbasy wystarczy nie na jeden, ale i na trzy posiłki.

Trzy posiłki. Cartesalowi zrzęda mina. A co dalej? Może jednak nie powinien tu pozostawać? Ale w takim razie co począć?

Do Santerav, swej rodzinnej wsi, nie miał powrotu. Potyczka ze strażnikami Wermontu nie mogła mu ujść na sucho, a i pewnie poszukują go za wyczyny diabelskiego szorka. Kto wie, czy nie jest ścigany przez Monkaria, pragnącego zemsty, albo może i żołdaków Rollinamana, z którego lochów udało mu się wydostać. Uciekł nawet ze wsi Ferobiana, jedynej przystani, gdzie – wydawałoby się – mógłby zagrać miejsce. Spojrzał na worek ze zbroją i kopnął go ze złością, aż poczuł ból w palcu u nogi. To przez nią! Co za niefart, że akurat tego dnia czart przyprowadził ją do domu znachorki!

Był ciepły, letni poranek. Po przedświtowym chłodzie nie pozostało śladu. Przed gankiem stały trzy stoły, zaśmiecone zwiędłym listowiem, patykami i ptasimi odchodami. Daszek nad nimi był połamany i świecił licznymi dziurami, lecz same stoły trzymały się całkiem nieźle, gdyż wykonano je z ociosanych połówek masywnych pni. Za czasów świetności gospody służyły zapewne gościom lubiącym pić piwo na świeżym powietrzu. Na jednym z nich Cartesal Crommelin rozłożył swoje śniadanie, wypróbował wyprzednio stabilność przystolikowej ławy.

Jadł, przypatrując się budynkowi. Z jednej strony korciło go, by od razu zbadać wnętrze chałupy, jednak z drugiej coś go powstrzymywało. Może nie strach, to za wiele

powiedziane, ale jakiś niepokój. Niemniej, dobrze tak było sobie jeść, w ażurowym cieniu połamanego daszku, wśród śpiewu ptaków, nie śpiesząc się i odwlekając chwilę, gdy trzeba będzie wreszcie wstać.

Koń wyszedł już z wody i raczył się trawą, bujnie rosnącą pod upadającym płotem. Cartesal skończył posiłek i dokończył piwo. Wypił całą zawartość butelki, postanawiając nie roztkliwiać się nad przyszłością. W końcu nadszedł moment, gdy musiał wstać i wejść na prowadzący do sieni ganek.

Wnętrze opuszczonej gospody nie wyglądało tak tragicznie, jak to się mogło wydawać z perspektywy podwórza. Owszem, główna izba i przylegające pomieszczenia nie nadawały się do niczego, rosły tam już chwasty i nawet małe krzaczki w miejscach, gdzie nawiało ziemi. Ale gdy przez wyłamane drzwi przeszedł w głąb, znalazł się w części, gdzie padający buk nie zdołał sięgnąć konarami. Główną zaletą tego miejsca okazał się fakt, iż była to część kuchenna, z piecem w zupełnie dobrym stanie i najwyraźniej drożnym przewodem kominowym. Zauważył nawet ślady niedawnego używania; jak sądził, przez starą zielarkę, zważywszy reputację gospody.

Zwiedził jeszcze piętro, gdzie dawniej mieściły się gościnne pokoje, było tu jednak bardzo ponuro, a dach cały dziurawy. Postanowił zatem urządzić się w kuchni. Brał jeszcze pod rozwagę przylegający do niej pokój, w którym stało stare, zakurzone łóżko, ale w pewnej chwili poczuł się tu jakoś nieswojo, więc zrezygnował.

Zniósł do kuchni wszystkie swoje rzeczy, po czym wyszedł na podwórze, by rozejrzeć się za miejscem dla konia. Obszerna stajnia była w znacznie lepszym stanie niż budynek główny, wszak prócz czasu nie dotknęła jej żadna żywiołowa kłeska. Podobnie leżący na tyłach chlew. Jednak po namyśle Cartesal zdecydował, że wierzchowiec również zanocuje w chałupie. Raz, że strach zostawiać konia bez dozoru na takim pustkowiu, dwa, że reputacja karczmy jest taka, iż raźniej mieć przy sobie żywe stworzenie.

Do wieczora zdążył wykapać się w rzece, przeprać koszulę i posprzątać nieco w miejscu, gdzie zamierzał nocować. Najwięcej czasu zabrało szperanie po pomieszczeniach w poszukiwaniu przedmiotów, które mogły się przydać. Nie było tego wiele. Reputacja reputacją, a chłop i tak wyszabruje, co się da.

Najcenniejszą rzeczą, jaką znalazł, był niewielki rogowy łuk, z jedną jedyną strzałą o zardzewiałym grocie. Ktoś schował go w skrytce w dnie szafy, która stała nad rozwalonym dachem i była tak spróchniała, że rozleciała się, gdy tylko Cartesal dotknął zwichrowanych drzwiczek. Taki łuk, pochodzący z dawnych czasów, o elastycznym pręcie wyszlifowanym z rogu jakiegoś zamorskiego zwierzęcia, był rzadkością. Niezwykle cenną. Skąd taka broń w starej oberży?

Wreszcie zaczęło się ściemniać.

Z niejakim trudem wprowadził konia po schodach ganku, potem do sieni i przywiązał do konaru buka. Dopóki krzątał się po izbie, jakoś szło, lecz gdy tylko położył się i nakrył kocem, zaraz dusza wskoczyła mu na ramię. Zapewnienia starej znachorki swoją drogą, a rzeczywistość swoją. Dlaczego demony, które raz nawiedziły to miejsce, nie miałyby kiedyś powrócić? Zagwizdał fragment piosenki, by odpędzić nieprzyjemne myśli i dodać sobie otuchy. Ciemność łagodnie niosła dźwięk i nic się nie działo. Przerwał. Cisza; tylko cykady nie milkły za oknami. Pora spać! Przewracał się z boku na bok, ale sen nie nadchodził. Zaczął żałować, że w ogóle dał się namówić na pozostanie. Mógłby być daleko stąd...

Wspomnił Machacza, starego psa towarzyszącego mu od najmłodszych lat, który tak niefortunnie zakończył żywot w starciu z szorkiem. Przydałby się choć taki towarzysz na tym odludziu.

Coś zachrobotało i nagle zahukała sowa. Omal nie wyskoczył z siebie, nim uzmysłowił sobie, że zielarka wspominała o mieszkającym na strychu ptaku. Wstał i dołożył polano do kuchennego pieca, w którym rozpałił jeszcze przed kolacją. Noc była ciepła, ale pragnął choć odrobiny światła. Jutro trzeba poszukać jakiejś lampy.

Położył się i odetchnął pełną piersią. Może jednak nie będzie tak źle? W końcu zasnął, bardziej może znużony wyczekiwaniem aniżeli trudami dnia.

Śnił mu się Mageot.

* * *

Obudził się bardzo późno, długo po wschodzie słońca. Leżał na wznak, czując w mięśniach tępy ból, jaki odczuwa się po nadmiernym wysiłku. Było bardzo duszno. Otworzył oczy i zamarł. Najpierw odrętwiałe ciało przeszył dreszcz, a potem Cartesal wrzasnął przeraźliwie. Próbował usiąść i natychmiast niespodziewany ciężar wbił go z powrotem w pośłanie.

Przed oczami miał kraty.

Gdy Cartesal Crommelin był małym chłopcem, sprawiał rodzicom pewien kłopot, polegający na wstawaniu w środku nocy i chodzeniu we śnie po chacie. Rankiem, po przebudzeniu, nic nie pamiętał. Nazywano to lunatykowaniem, ponieważ nasilało się szczególnie podczas jasnych, obuksiężycowych nocy. Z upływem lat przypadłość minęła i Cartesal zupełnie o niej zapomniał. Ale teraz nagle powróciło wspomnienie matki, napominającej go bezskutecznie wieczorami, żeby zasypiał z silnym postanowieniem nieopuszczania łóżka.

Wspomnienie powróciło, ponieważ w żaden inny sposób Cartesal nie potrafił wytłumaczyć tego, co się właśnie stało...

Miał na sobie zbroję.

Wyjaśnienie, że wstał nocą i włożył zabrany z chaty znachorki rycerski rynsztunek, wydawało się jedynym możliwym. Przecież nikt nie nałożył mu jej siłą?! Niemożliwe. Nie sposób nie obudzić się w takiej sytuacji.

Cartesal powoli się uspokajał. Wziął głęboki oddech i usiadł. Ostrożnie, z obawą, że może zrobić sobie krzywdę. Wszak nigdy nie nosił prawdziwej zbroi. Zdjął z głowy hełm, który na szczęście szedł łatwo, widać żadne zapinki nie były zatrzaśnięte. W przeciwnym razie miałby ciężki orzech do zgryzienia.

Rozejrzył się po kuchni. Wszystko było tak, jak pozostawił wczorajszego wieczoru, za wyjątkiem porzuconego worka, w którym uprzednio znajdowała się zbroja. Wstał z łóżka. Zachwiał się i omal nie upadł. Niełatwo było chodzić w ciężkim żelazie, ale w pewnej chwili chwycił rytm i wycłapał z kuchni.

Przywiązany do powalonego drzewa koń spojrział podejrzliwie w jego stronę. Spłoszył się, naciągając powróż, ale Cartesal przemówił doń łagodnie, zbliżył się i poklepał po szyi, uważając, żeby przypadkiem nie zranić skóry żelazną rękawicą. Potem odwiązał konia i wyprowadził na zewnątrz, przy każdym kroku postukując i wzbijając małe obłoczki kurzu. Uspokojone zwierzę zajęło się skubaniem trawy, po rozpoznaniu właściciela najwyraźniej nie przejmując się jego dziwacznym odzieniem.

Cartesal Crommelin rozejrzył się, stojąc na szczycie ganku. Całe podwórze zarosły chwasty i trawa, przy płocie tak wysoka, że ledwie było widać końcówki sztachet. Nieopodal bramy leżały szczątki jakiegoś zaprzęgu, na które wczoraj nie zwrócił większej uwagi; teraz był pewien, że niegdyś była to kareta.

Na kilku, może jeszcze nie całkiem zdziczałych drzewach, rosły owoce. Na gruszki jeszcze za wcześnie, ale może jakieś jabłka...? Poczul głód, a z darowizny znachorki pewnie niewiele już zostało. Usłyszał plusk dochodzący od strony rzeki i przypomniał sobie, że gdzieś w chacie widział wędzisko i zardzewiały podbierak. Może uda się coś złować.

Może uda się tu zostać.

Wzruszył ramionami. Wciąż nie miał pewności, czy to dobry pomysł. Przez chwilę stał jeszcze na ganku, nieruchomy żelazny posąg, a potem wrócił do chaty. Miał nadzieję, że poradzi sobie ze zdjęciem zbroi; w końcu w nocy jakoś ją ubrał, chociaż nie był przytomny.

Po śniadaniu wziął się za porządki na podwórzu. Zostanie czy nie, musiał jakoś wypełnić dzień, a nienawykły był do lenistwa.

* * *

Zapadał już zmrok, gdy do drzwi chaty z łuszczącym się na dachu kogutem zastukały dziecięce piąstki.

– Obcy! Obcy jadą! – zawołało dziecko. – Pytali o Ferobiana!

Znachorka otworzyła rygiel, który akurat przed chwilą zawarła, uznając, że wieczór już późny. Do niedawna jeszcze nie miała w zwyczaju zamykać drzwi na noc, bo nie było przed kim, a i jeśli kto w nagłej okazał się potrzebie, to łatwiej można ją było dobudzić. A sen miał dobry, tak głęboki, że sama się dziwiła. Może na skutek ziół, które całymi dniami warzyła.

Jednak od tamtej nocy, gdy wyprawiła Cartesala wraz szatańską zbroją, drzwi zamykała dokładnie, jak tylko zaczynało się ściemniać. Jakiś niepokój ją ogarniał i nie puszczał, dopóki nie zamknęła.

– Co za obcy, Perejło? – zapytała dzieciaka, chłopaka może siedmioletniego, z jasnymi jak len włosami.

– Żołnierze – odparł z przejęciem chłopiec. – Wszyscy miecze mają. Wszyscy! A jeden śmieszny taki, wysokością całkiem jak ja, tylko grubszy i twarz stara.

Szurnęła odsuwana ława. To od stołu wstał Ferobian, jedzący właśnie kolację. Spod rozchełstanej koszuli wystawało mocowanie opatrunku, założonego na lewym ramieniu.

– I co im rzekłeś? – zapytał, zbliżając się jak kot, długimi miękkimi krokami.

– Nic.

Mężczyzna pochwycił małego Perejłę za koszulę na karku.

– Nic? Na pewno?

– Puszczaj! – pisnął chłopiec, usiłując się wyrwać. – Głupi nie jestem! Powiedziałem, żeś wyjechał.

Ferobian rozluźnił uścisk.

– Trza było mówić, że nie wiesz o kogo chodzi. Że nigdy nie widziałeś takiego.

– Jak to? – zdziwił się szczerze chłopiec. – Jak ojca własnego mogłem nie widzieć?

– A niby skąd mieliby wiedzieć, że... Tfu! – Ferobian splunął nagle. – Nie jesteś moim synem! Tylem razy ci mówił! Przyczepił się rzep jeden.

– Matka mówi, że jesteś. Do dziś ojciec, jak gorzałki się napije, leje ją za to gdzie popadnie.

– No sam widzisz, co gadasz? Ojciec. To dwóch ojców masz, głupolu jeden?

– Tak wychodzi – odrzekł niepewnie chłopiec. – A nie można? Przecie matka mówi...

– Matka taka sama mądra... – Mężczyzna umilkł. Coś usłyszał. Przypadł do drzwi i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Zaraz cofnął się jak oparzony.

– Nic im nie rzekłeś?! – syknął do Perejły. – To czemu tu jada, hę?

– Nie wiem. – Chłopiec zbladł. – Pewnie inni powiedzieli.

Ferobian rozejrzał się bezradnie, w wyraźnym popłochu.

Spojrzał na znachorkę.

– Utłuką – rzekł krótko, z rozpaczą.

– Do piwniczki! – zakomenderowała trzeźwo kobieta. – A siedź cicho, bo i mnie zgubisz.

– A ty – zwróciła się do chłopca – do stołu! Zupę jedz, jakby twoja była. Już! Dobrze się spiszesz, to ci ojciec jaki prezent da.

Wskakujący do cuchnącej zgniłymi ziemniakami piwniczki Ferobian spojrzał z ukosa, ale nic nie powiedział.

– Za miękkie mam serce – szeptała stara znachorka, z niepokojem wpatrując się w drzwi. – Za miękkie.

Żołnierze weszli bez pukania; trzasnęły pchnięte drzwi, omal nie wyskakując z zawiasów. Tak jak mówił chłopiec, był z nimi niezwykle niski mężczyzna, władczy i opryskliwy, rozglądający się po chacie, jakby była jego własnością.

– Gdzie Ferobian?! – warknął. Mimo że znachorka była niska i zgarbiona, patrząc na nią, zadzierał głowę.

Kobieta odwróciła wzrok, spoglądając na starca, którego przywiedli, na jego związane ręce. Wzdrygnęła się na widok odrażającej, bezpalczastej dłoni.

– Nie ma – odpowiedziała krótko. – Wyjechał dziś z samego rana.

Do chaty wślizgnął się świniopas Dratiuk, zwany Giermkciem, który najpierw wyszczerzył zęby w nieszczerym uśmiechu, a potem wbił wzrok w podłogę, przesuając nogą jakiś nieistniejący przedmiot.

– Dokąd wyjechał?

– A skąd mnie to wiedzieć? Jeszcze tak na świecie nie ma, żeby chłop babie się opowiadał.

– Ej, ty! – karzeł odwrócił się do Dratiuka. – No to jak? Mieszka tu czy nie?

– Po prawdzie to tak, panie – wił się świniopas. – Ale widać nie. To znaczy...

– Może na kolację ostaniecie, szlachetni panowie – odezwała się niespodziewanie znachorka, podchodząc do myszujących po chacie żołnierzy. Spojrzała w oczy młodego dowódcy, którego twarz wydała się jej jakaś znajoma. Może już ją kiedyś widziała?

– Strudzeniście pewnikiem, a noc już zapada – podjęła. – Wnukowi akurat kolację dają, to i dla was coś się znajdzie, choć bieda tu u mnie jak wszędzie. A nie bójta się, bo

choć, jak prawią niektóre gęby, zielarka różne trucizny warzy, oj różne, a nawet i czary zna – tu zerknęła znienacka i wyzywająco na Dratiuka – to nikt jeszcze z bólem ode mnie nie wyszedł.

– Nikt jeszcze – powtórzyła, nie spuszczać oka z szarzejącego na twarzy świniopasa.

– Nie wątpię w to – odparł grzecznie i z humorem gradion. – A za kolację z góry dziękujemy. W rzeczy samej pomysł to wyborny, prawda, panie Monkario?

Karzeł nie odpowiedział, ale i nie zaprotestował, więc dowódca skinął na żołnierzy, wyraźnie zadowolonych. Nie zwlekając, siedli przy stole, obok stremowanego Perejły. Ale Monkario pozostał na swoim miejscu, wciąż patrząc wyczekująco na Dratiuka.

– Tak – mówił świniopas, ponownie dłubiąc nogą w podłódze. – Sam widziałem, jak rano wyjeżdżał Ferobian, ale uważałem, że tak tylko, przecie rany miał jeszcze niewygojone. Myślałem, że wrócił. Ale widać nie. Znaczy się, został. Znaczy się, nie wiem gdzie...

– Więc jednak wyjechał? – Karzeł przerwał bezładny nieco monolog.

– Wyjechał – sapnął z ulgą świniopas Dratiuk.

Ostatecznie i Monkario dosiadł się do stołu, zajmując miejsce obok Mageota.

Gospodyni dyskretnie dołała wody do stojącego na piecu garnka z zupą. Po namyśle dorzuciła odżałowany kawał kiełbasy. W końcu sama zaproponowała tę kolację, raz, żeby udobruchać przybyszy, a dwa, pewna była, że by się wprosilili, lepiej więc samemu byka za rogi chwycić. Ale wykarm tu pięciu chłopca, aż strach bierze.

Zaniosła na stół drewniane miski i łyżki. Położyła wielki bochen chleba, dziś z pieca wyjęty, ale na trzy dni przeznaczony. Teraz pewnikiem w jeden wieczór pójdzie.

Zauważyła, że karzeł, choć usiadł, wciąż węszy po izbie i że nagle jego bystry wzrok zatrzymuje się na klapie w podłódze.

– Najpierw zupę dam na przeczekanie – powiedziała głośno, próbując odwrócić uwagę. – Kapustę już nastawiam. Mam w piwniczce ziemniaki, to parzybrodę migiem przyrządę. Parzybroda w sam raz będzie.

– Rusz się, Perejło! – warknęła na chłopca. – Po ziemniaki migiem! Ile czekać mają szlachetni panowie?

Zerwał się chłopak od stołu, z oczami jak dwie monety, i raz jeszcze ponaglony przypadł do klapy.

– Czekaj, głupolu, wiadro przecie, w gole ręce chcesz brać?! Rozum mu całkiem odjęło, od widoku tych mieczy pewnikiem – mruknęła, niby to sama do siebie.

Odwalił Perejło wierzeję podziemnej komórki, wrzucił do środka wiadro i sam zszedł po drabinie. Gospodyni dorzuciła kilka polan do kuchennego pieca, po czym podeszła do

piwnicznego otworu, ukłękła i wyciągnęła rękę, przejmując ciężkie wiadro. Chłopiec wyskoczył z piwnicy i chwycił za klapę.

– Nie zamykaj! – powstrzymała go znachorka. – Ziemniaki mokre jakieś, widać wilgoci dostały, niech się przewietrzą trochę.

Kątem oka dostrzegła, jak karzeł odwraca wreszcie swą wścibską głowę.

– Co to takiego ta parzybroda? – zapytał.

– Nie wiesz, mości Wermontczyku? – odparł pytaniem gradion Czewsker. – Ziemniaki zapiekane z siekaną kapustą. Gorąco tak trzymają, że po godzinie jeszcze gębę ci poparzą, stąd nazwa taka. Podstawowe to danie biedoty, ale nie obawiaj się panie, bardzo smaczne.

– Mam nadzieję.

– Rozchmurz się i docień zabiegi gospodyni. Bordorav to najdalej wysunięta na wschód osada Kentgerontmontu. Bieda i dzicz tu taka, że ledwie dwa razy w roku poborca księcia Rollinamana zajeżdża, a i tak tyle co nic na dwór przywozi.

– Albo sprytni są tutejsi i poborcę przechytrzyć potrafią – odrzekł karzeł Monkario.

– Mylisz się, panie. Ziemia marna i wciąż trzeba walczyć z lasem, żeby jej nie zabrał. Posądzeniem krzywdzisz ciemnych ludzi.

– Ja tam swoje wiem. Znam prawa natury: im chłop ciemniejszy, tym sprytu w nim więcej. – Monkario się zaśmiał.

Znachorka postawiła na stole garnek z zupą.

– Częstujcie się. To na początek.

– A ty piwnicę zamknij! – krzyknęła zrzędliwie na Perejłę. – Nie będą szlachetni panowie w czas jedzenia smrodu zgniłych pyrów wachać!

Nikt nie zwrócił uwagi na jej słowa. Nikt, prócz więźnia z ułomną dłonią.

Była pewna, że się uśmiechnął.

* * *

Gdy Cartesal Crommelin obudził się następnego ranka, od razu wiedział co się stało. Trudno, żeby nie wiedział, czując na sobie taki ciężar.

A może jest zaklęta, pomyślał przestraszony, licho wie, skąd naprawdę wzięli ją chłopci, dziwnie jakoś w bok strzelały oczy garbatej znachorki, gdy o zbroid mówiła! No i tak nalegała na jej zabranie... Ee, bzdury!

Albo może jednak ten starodawny demon z oberży czai się w lesie, czeka, aż zaśnie, a wtedy skrada się i rzuca czar jakiś senny, żeby się nie obudził, i odziewa w żelastwo dla jakichś praktyk diabelskich?!

– Bzdury! – raz jeszcze powtórzył sam do siebie. – Sam przywołuję upiory. Jak to powiedziała znachorka? Człek umrzeć może z przerażenia, jeśli uwierzy w to, co jedynie w jego własnej głowie się urodziło...

Wstał, grzechocząc blachami. Poruszał się ze zdecydowanie większą koordynacją ruchów niż poprzedniego dnia, co było dziwne, gdyż wczoraj przeszedł się w niej tylko na ganek i z powrotem, i zaraz ją zdjął (nie miał pojęcia, że to jest takie trudne).

Widać mam smykałkę, stwierdził z zadowoleniem, ale mina mu zrzęła natychmiast, gdy uświadomił sobie, że przecież nie wie, co działo się nocą. Skoro we śnie włożył zbroję, to równie dobrze mógł w niej spacerować i nie wiadomo czy na przykład nie po lesie. A było to możliwe, zważywszy, jaki czuł się zmęczony; w gruncie rzeczy jakby w ogóle nie spał, a w mięśniach kłuły zakwasy. Aż dreszcz przeszedł mu po karku, gdy wyobraził sobie, że nagle budzi się w ciemnym, huczącym borze...

Dosyć!

Postanowił oswajać konia z widokiem zbroi, skoro zrzędzeniem losu stał się jej właścicielem. Tak jak stał, wyszedł z izby. Po drodze zdjął z wieszaka wytartą pochwę darowaną przez znachorkę i wyciągnął z niej miecz. Zapewne był zbyt krótki do takiego rynsztunku, ale innego przecież nie posiadał.

Oczekiwał, że tym razem koń przyjmie go przyjaźniej niż wczoraj, tymczasem stało się odwrotnie. Zwierzę parsknęło, zarżało bardzo głośno i zastukało nerwowo kopytami w podłoże. Szarpało powrozem łączącym je z zawałającym karczemną salę drzewem, uciekając w bok przerażonymi, kasztanowymi oczami. Zapewne powodem był hełm – wczoraj widziało choć twarz człowieka, dzisiaj tylko stal. Crommelin zrobił jeszcze jeden krok do przodu. I to był błąd. Koń wierzgnął. Nagle stanął na tylnych nogach i wówczas naprężony powróz pękł. Uwolniony wierzchowiec wyrwał z chaty jak uderzony gorejącym batem.

Cartesal wybiegł za nim, kuśtykając niezgrabnie. Pokonał stopnie ganku i znalazł się na podwórzu. Rozejrzał się wokół, lecz szpara wzrokowa przyłbicy nie dawała zbyt dużego pola widzenia. Rzucił miecz i usiłował podnieść przyłbicę. Mógł stracić wszystko, ale nie konia!

Nagle zamarł, wpatrzony w daleki punkt poza ogrodzeniem. Serce mu zadygotało. Powoli, jakby elementy zbroi spoita tężejąca glina, schylił się po miecz.

Na wzniesieniu porośniętego trawą leśnego duktu widział jeźdźców. Słońce świeciło mu prosto w twarz, ale jednego z nich rozpoznał na pewno.

Był nim karzeł Monkario!

– Masz! – Monkario rzucił w trawę monetę. – Dobrze się spisałeś.

Świniopas Dratiuk schylił się skwapliwie. Jak tylko pochwycił srebro w swe palce, czarne i cienkie jak patyki, natychmiast uciekł w las.

– Powiedz no, magu, który to z nich być może? Ferobian czy raczej ten bezczelny Crommelin? – zapytał karzeł. – Zresztą obaj są równie bezczelni. I jakim prawem kmiot nałożył na się rycerską zbroję?

Mageot nie pokazał po sobie, że w ogóle dosłyszał pytanie. Z wyraźnym zainteresowaniem obserwował chodzącego po podwórzu człowieka, odzianego w ciężki pancerz. Znał tę zbroję. Znał również miejsce, w którym powinna się znajdować.

– Przekonajmy się, który to z nich! – zawołał podniecony Monkario. Niecierpliwie wyciągnął z pochwy miecz. Spiał konia.

– Jedziemy! – krzyknął do Czewskera.

Nie zauważył, że gradion, od chwili gdy ujrzał pancerną postać w obejściu oberży, tkwi sztywno w siodle, najwyraźniej oniemiały. On również rozpoznał zbroję. Rozpoznałby ją w samym piekle, choć pamiętał z zupełnie innych okoliczności aniżeli Mageot.

Zmieszani żołnierze spoglądali to na siebie, to na znieruchomiałego dowódcę. Jeden z nich najwyraźniej rozumiał zdumienie zwierzchnika. On to właśnie cofnął konia, wbrew zachęce Monkaria, i zbliżył się do gradiona.

– Myślisz o tym, co ja, panie? – zapytał cicho.

Czewsker wzdrygnął się, popatrzył z roztargnieniem na żołnierza.

– Ach, prawda! – powiedział nieobecny głosem. – Ty też tam wtedy byłeś.

– Byłem – potwierdził żołnierz, z niespodziewanym trudem wymawiając słowa. – To jest ta sama oberża, prawda?

Zniecierpliwiony Monkario zawrócił swojego nieopatrzenie popędzonego konia.

– Co się dzieje?! – krzyknął, zniecierpliwiony. – Dlaczego nie atakujemy?

– I ten sam rycerz – powiedział Czewsker do żołnierza.

Zapadła cisza. Wciąż stali na wzniesieniu starego, zapuszczonego gościńca, od którego łagodny zjazd skręcał wprost ku walącej się oberży, wpatrzeni w zbrojną postać, tak samo znieruchomiłą na podwórzu, jak ci, którzy ją obserwowali. Masywna sylwetka rzuciła długi, poranny cień. Raptem rycerz się schylił. Powoli podniósł z ziemi swój miecz. Wzniósł uzbrojoną rękę.

Mageot zaskoczył wszystkich. Jednym ruchem przełożył związane w nadgarstkach ręce przez koński łeb, przywarł do gniadej szyi i z całych sił uderzył nogami boki wierzchowca. Zwierzę jęknęło z nagłego bólu. Skoczyło naprzód. Poniosło w dół, wprost na podwórzec oberży.

– Stój! – wrzasnął Monkario.

– Co z tobą?! – krzyknął z rozpaczą do gradiona, który w ogóle nie zareagował. – Za nim!

Nikt go nie słuchał. Gradion był wciąż nieobecny, a zdezorientowani żołnierze czekali na jego rozkazy.

– Zniszczmy ich! – syczał wściekły Monkario, sam jednak nie mając odwagi ruszyć w pogoń. – Przecież to zwykły wieśniak, zobacz, jak trzyma miecz! A drugi rzezimieszek pewnie trzęsie się ze strachu w chałupie.

– Nie – odezwał się Czewsker.

Monkario, purpurowy na twarzy, patrzył na niego z niebotycznym zdumieniem.

– Co?! – zapiał piskliwie. – Przecież Mageot się nam wymyka! Chcesz mu na to pozwolić? Gdzie twój honor? Gradionie?

Czewsker drgnął, jakby ktoś dotknął go rozpalonym żelastwem.

„Gdzie twój honor?!”.

„Gdzie twój honor, panie?!?!”.

„Tam!”.

Głęboko zaczerpnął tchu.

– Wracajcie do Bordorav – powiedział do żołnierzy niskim, stłumionym głosem. – I bacząc na młode wilki lub dzikie koty. Gdyby któryś jakiegokolwiek zauważył, uciekajcie natychmiast.

„A jeśli kogo spotkam, osobiście powieszę go o świcie”.

– Rozumiesz mnie? – zwrócił się do druha ze starych lat. Ten przytaknął skwapliwie. Mimo upływu czasu doskonale pamiętał koszmarne demona z pewnej burzowej nocy.

– Jeżeli nie wrócę do południa, nie czekajcie dłużej, wracajcie prosto do Kengerontmontu i powiedzcie księciu Rollinamanowi, co widzieliście. On zrozumie.

Na twarzy gradiona Czewskera pojawił się spokój. Poczekał, aż żołnierze odjadą, po czym wyjął miecz, którego głownia zalśniła w porannym słońcu. Machnął, aż zafurczało powietrze.

Popatrzył przed siebie, na skapaną w słońcu karcznię, na rycerza, który rozciął już więzy Mageota i stał teraz z licem przyłbicy skierowanym wprost ku niemu. Zdawał się czekać.

– Za mną, Monkario! – krzyknął do zdezorientowanego karła. – Za mną!

Trysnął piach spod końskich kopyt.

– Na pohybel!

Popędzili na złamanie karku.

Mageot umknął do karczmy, pozostawiając odzianego w stal towarzysza samotnego na placu boju.

Czewsker pierwszy dopadł rycerza. Miał doskonałego wierzchowca, wyćwiczonego do walki wręcz, który potrafił w pędzie najechać przeciwnika, omal go nie tratując, by w ostatniej chwili skręcić o włos, umożliwiając jeźdźcowi zadanie ciosu. Tak też to się odbyło – niemal jak na pokazowym turnieju – i rycerz padł z łoskotem na ziemię, powalony siłą i impetem jednego uderzenia.

Uradowany Monkario wydał dziki okrzyk, w pełnym biegu zeskoczył z konia i dopadł człowieka w zbroi. Wpadł w furję. Okładał leżącego mieczem, zadając ciosy w głowę, w korpus, gdzie popadło. Ale w zapamiętaniu nie widział tego, co nie uszło uwagi Czewskera, który tymczasem zdążył zawrócić i stał nad nimi, powstrzymując drepczącego w miejscu ogiera.

Nie widział, że choć miecz musiał być ostry, a siła zadanych w szale uderzeń ogromna, blacha zbroi nie wgniotła się ani na jotę. W żadnym miejscu nie powstała nawet rysa.

Karzeł wymierzył kolejny cios, trzymając miecz oburącz, i wtedy gradion zauważył coś jeszcze. Pewien niewiarygodny szczegół. Pomimo że słychać było odgłos uderzeń, zgrzyt żelaza, sama głownia zdawała się nie dotykać zbroi. Mógłby przysiąc, że mijała ją o włos.

– No! – Monkario wreszcie przestał. Wyprostował się, dysząc, i z satysfakcją popatrzył na znieruchomiałego przeciwnika.

– A teraz – powiedział – przekonajmy się, kim był szacowny nieboszczyk! Crommelin to czy Ferobian?

– Jednak stawiam na Crommelina – rzekł wesoło do gradiona. – Zdecydowanie był większą ofermą!

Przyklęknął i zwolnił haczyk przyłbicy. Zobaczył niebieskie oczy i kosmyk jasnych włosów.

– Crommelin! – zawołał tryumfalnie. – Czyż nie miałem racji, mówiąc, że jeszcze się spotkamy, biedaku?

Nagle ze zdumieniem zorientował się, że oczy ofiary bynajmniej nie są martwe i w dodatku spoglądają na niego nadzwyczaj trzeźwo.

Cartesal Crommelin poruszył się, usiłując wstać.

Monkario poderwał się jak oparzony, natychmiast jednak opanował nerwy. Na jego twarz powrócił uśmiech, choć nieco niepewny. Przyłożył ostrze miecza za lewą stronę napierśnika i z mściwym uśmiechem podważył tarczkę opachową.

– I co teraz będzie, mój drogi chłopcze? – zapytał.

Były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział w swoim życiu.

Coś stuknęło głucho.

Oblicze karła Monkario spoważniało. Stęknął i wydał z siebie jeden krótki jęk. Wypuścił z dłoni miecz, z niemym wyrzutem spojrzął w górę, wprost w słońce i upadł w trawę na wznak. Z jego pleców sterczał cienki, drewniany pręt, zakończony lotką z ptasich piór.

Stojący na ganku Mageot opuścił łuk. Nie miał drugiej strzały.

Gradion Czewsker powoli zsiadł z konia. Podszedł do Monkaria i odwrócił go na plecy. Z kącika zaciśniętych warg sączyła się krew. Strzał był śmiertelny.

– Wstawaj! – zwrócił się do Cartesala. – Wiem, że nic ci nie jest. Zbliżył się i kopniakiem odrzucił krótki miecz. Wciąż zerkał bacznie na ganek; nie wiedział, dlaczego Mageot nie strzela po raz drugi.

– Nie mogę... – jęknął Crommelin. – Ja... nie mam siły. Jednak zdołał usiąść, na przekór swym słowom. Kentgerontmontczyk niespodziewanie pochylił się nad nim, sięgnął do klamry i jednym silnym ruchem zerwał z głowy hełm. Młodzieniec wrzasnął, nie wiadomo czy z bólu, czy przestraszony nagłym atakiem. Był blady i mokry od potu, jakby trawiła go wysoka gorączka.

Czewsker oglądał trzymane za nakarczek bojowe okrycie głowy. Zaokrąglony dzwon, zasłona twarzy z wąską lecz długą szparą wzrokową. Wciąż był pewien, że niegdyś jego własny miecz – znacznie lżejszy i krótszy od tego, który nosił dzisiaj – zetknął się z nim. Jak dawno to było? Dziesięć lat temu? Jedenaście?

Przeniósł wzrok na siedzącego wciąż w tej samej pozycji Wermontczyka. Wszak ten młodzian wówczas biegał na bosaka z koszulą w zębach! Nie on był napastnikiem. Pancierz ten sam, ale...

Może rację miała żona oberżysty, twierdząc, że wewnątrz pancerza nie było nikogo? A świniopas, który dziś przywiódł ich w to miejsce? Zaklinał się, że czart przywiódł zbroję do wsi, niewidzialny był, a umknął – jak twierdził – pewnie dlatego, że zdradził go fetor siarki, który, jak wiadomo, wszędzie sile nieczystej towarzyszy. Wzbudził wtedy śmiech żołnierzy, ale nie gradiona, który już wówczas skojarzył opowieść z odległym wydarzeniem w oberży. Natychmiast odrzucił od siebie to wspomnienie, tak jak odrzucał je zawsze, ilekroć powracało.

A teraz wyglądało na to, iż przeczucie nie okazało się tylko mirażem umysłu. Gdy z Monkariem wyjechali z za drzew i na podwórzu ujrzał rycerza, poczuł chłód, potworne zimno ogarniające w jednej chwili całe ciało.

I chyba dlatego Czewsker zwlekał. Nikt nigdy nie mógł zarzucić mu tchórzostwa. Nie bez powodu został najmłodszym gradionem w historii Kentgerontmontu. Ale w chwili, gdy zobaczył, że wewnątrz zbroi znajduje się człowiek z krwi i kości – w dodatku ktoś, o kim wiedział, że z pewnością nie jest żadnym wojownikiem – poczuł, jak uwalnia się

od jakiegoś ogromnego ciężaru.

– Jesteś ranny? – Pochylił się nad młodzieńcem.

– Nie. Chyba nie – stęknął Cartesal. – Nic mnie nie boli, ale czuję się... dziwnie.

– To zbroja – powiedział Mageot, powoli schodząc ze schodków. Był bez broni, łuk zostawił na ganku. – Nie pozwoliła zadać ci rany, ale nie zrobiła tego za darmo. Każdy otrzymany cios okupiłeś własną siłą. Byli już tacy, którzy dokonali w niej żywota, nie potrafiąc w porę zrezygnować z niezniszczalności, jaką daje.

Gradion rzucił na ziemię hełm, który spadł w trawę i poturlał się z cichym brzękiem. Ostrze miecza ostentacyjnie wyciągnął w stronę podchodzącego starca. Mageot zatrzymał się. Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem.

– Ta zbroja. Skąd się wzięła? – zapytał gradion. Nieco opuścił głowę.

– Jest bardzo stara. W różnym czasie różnym ludziom przyszło ją nosić, ale zawsze należała do Mageota. Teraz też należy do mnie. Zatem zdejmij ją, Czelandniku, póki jeszcze czas i póki możesz to zrobić. Wykonałeś swoje zadanie.

– A on? – Cartesal przesunął się, patrząc na stojącego nad nim żołnierza.

Starzec świdrował wzrokiem gradiona.

– Nic nam nie robi.

– Hola! – zawołał gniewnie Czewsker.

A cóż takiego możesz uczynić, panie? – zapytał Mageot. – Jeśli powrócimy do Kentgerontmontu, sądzisz, że księżę Rollinaman będzie z tego zadowolony? Czyżbyś nie zauważył, że chętnie się mnie pozbywa? Że najpewniej kazałby mnie stracić, gdyby tylko stało mu odwagi? A może pojedziemy do zamku Grademieunów, do Niterte? Chcesz przejąć rolę szpiega Monkaria?

Czewsker opuścił miecz. Po krótkiej chwili wahania schował go do pochwy. Zbliżył się do Mageota.

– Już raz, magu, udało ci się sprawić, że twoja wola stała się moją – powiedział, bez obaw patrząc prosto w twarz starca. – Czy myślisz, że uda ci się to po raz drugi?

– Nigdy nie możesz mieć pewności – odparł równie śmiało Mageot.

Wciąż mierzyli się wzrokiem. Pierwszy poddał się Czewsker.

– Ruszaj się! – krzyknął do Cartesala, który wreszcie zdołał odpiąć rękawy. – Zdejmij wreszcie z siebie to żelastwo!

– Nie tylko w stosunku do nas musisz podjąć decyzję – zauważył Mageot. – Również co do zbroi. Co zamierzasz z nią zrobić?

Gradion schylił się i pochwycił odpięty rękaw.

– To! – Wziął zamach i rzucił blachy w stronę rzeki. Spadły w sam środek nurtu, płosząc stadko dzikich kaczek. – I to! – Drugi rękaw wylądował w przybrzeżnych

trzcinach. – Resztę zakopiesz – polecił Cartesalowi. – Każdy element w innym miejscu. I pośpiesz się! Nie zamierzam czekać do wieczora.

– Zabierz hełm – powiedział nagle Mageot.

– Co? – Czewsker odruchowo odszukał wzrokiem czerniejący w trawie dzwon.

– Weź ze sobą hełm. Zawieź go księciu Rollinamanowi i powiedz, że to okup za moje życie.

– Kpisz sobie? Gdy zechcę, mogę mu go zawieźć bez twojego zezwolenia. I razem z tobą!

– Ale wówczas nadal będzie to hełm Mageota i ani książę, ani jego potomkowie nigdy nie będą mieli pewności, że jego właściciel pewnego dnia się o niego nie upomni. Natomiast jeśli okup zostanie przyjęty, stanie się legalną własnością Rollinamanów. Akurat w tym przypadku to olbrzymia różnica.

Czewsker rozsunał trawy i podniósł hełm. Wcale nie był taki ciężki, jak zdawała się sugerować grubość blachy, z której był wykonany.

– Nie jestem pewien, czy książę będzie zadowolony z takiej zamiany. Hełm za życie Mageota? – rzekł.

– Nie będzie – odparł z przekonaniem Mageot. – Ale wybaczy ci, gdy przekażesz, że wraz z hełmem oddaję w jego ręce swoje życie... Gdy go włoży, umrę.

Zarówno gradion, jak i Crommelin, który wreszcie zdołał powstać, spojrzeli na starca ze zdumieniem.

– Jak mam w to uwierzyć? – zapytał Czewsker. – Skąd ty sam możesz o tym wiedzieć?

– Skąd?

Na posągowej, pokrytej siwym zarostem twarzy Mageota pojawił się ledwie uchwytny cień. Może żalu, może rozpacz, a nawet udręki?

Nieoczekiwanie starzec wyciągnął przed siebie zniekształconą rękę i zadziorem przyciętego przez balwierza pazura przejechał po twarzy zaskoczonego gradiona. Na policzku momentalnie pojawiła się krwawa rysa. Czewsker usiłował chwycić za miecz, ale dłoń tylko zawisła ponad jelcem. Zdezorientowany Cartesal z niedowierzaniem obserwował, jak rosły żołnierz pada na ziemię, zeszywniały, zupełnie jak Monkario, gdy trafiła weń strzała. I zupełnie jak on leżał teraz w trawie, nieruchomy, w dziwnie wykręconej pozycji. Martwy?

– Zabiłeś go, panie?! – wykrzyknął.

Mageot zbliżył się do leżącego. Zdrową ręką dotknął tętnicy szyjnej.

– Żyje – rzekł. – I żyć będzie. Wróci do siebie, ale czas, który spędzi, nie władając swoim ciałem, nam pozwoli uciec, a jemu umożliwi zachowanie lojalności względem

księcia Rollinamana.

– Jak to zrobiłeś, panie?

– To ten pazur.

– Dlaczego nie użyłeś go wcześniej? Mogliśmy uciec! Mogliśmy w ogóle nie trafić do lochów Kentgerontmontu!

Mageot przez dłuższą chwilę spoglądał w rozgorączkowaną twarz Cartesala. Nagle uśmiechnął się.

– Bo, podobnie jak ty, nie miałem o tym pojęcia.

Rozdział 11.

Tego wieczoru aż trzech gońców – w tej samej niemal godzinie – zawitało do namiotu komendanta Straży Wermontu, Arhala Tanavara, który od kilku już dni niebezpiecznie penetrował tereny Kentgerontmontu. Jak na razie jednak jego skromny oddział nie był niepokojony przez żołnierzy Rollinamana. Widać wieść o wtargnięciu nie dotarła jeszcze do władcy tych ziem.

Najpierw przybył jeden z dwóch zwiadowców, wysłanych za Samotnym Chłopcem w celu śledzenia szlaku jego wędrówki. Chłopiec błąkał się po obszarze pogranicza obu księstw. Wykazywał zadziwiającą w tym wieku kondycję, zważywszy, iż przez cały czas wędrował pieszo, w dodatku wyłącznie nocą. Dnie przesypiał w jamach lub wprost na trawie bądź piasku, leżąc w dziwacznej pozycji, zawsze na brzuchu, z twarzą niemal wbitą w ziemię.

– Aż dziw, że nie dusi się z braku powietrza – wyraził zdziwienie zwiadowca.

Minionej nocy w zachowaniu chłopca zaszła zmiana. Tuż przed świtem, akurat w chwili zachodu Groźnego, niespodzianie zerwał się do biegu.

– Biegł truchtem przez cały czas – opowiadał zwiadowca. – Wzeszło słońce, a on tylko skulił się, schował głowę w ramionach i biegł dalej, jakby w ogóle nie odczuwał zmęczenia. Gdybyśmy nie byli konno, nie wiem, czy nadążylibyśmy za nim. Wreszcie padł jak kłoda na skraju lasu, jeszcze przed południem.

Nie byliśmy pewni, czy żyje, więc spróbowaliśmy podejść, ale... wciąż jest ta bariera. Więc chyba żyje...

Drugim gońcem, jaki stawił się w namiocie komendanta Tanavara, był Sapeka. Mężczyzna niewysoki, raczej niezbyt imponującej postaci, w dodatku z jednym okiem lekko zezującym, ale słynący z ciętego języka, z której to przyczyny miał wielu wrogów, ale i wielu przyjaciół. To jego ukarano chłostą za zbyt gorliwe przykładanie się do wykonywania powierzonego mu zadania, czyli za nazwanie Niterte, byłej księżęcej konkubiny, wiedźmą.

Sapeka wręczył komendantowi zalakowane folio z rozkazami.

– Trudno was znaleźć, panie – rzekł. – W Drugim Forcie powiedzieli, że pojechaliście na północny zachód, wprost do siedziby Rollinamana, ale ja od razu wiedziałem...

– Zapewne masz wieści z Wermontu – ukrócił oratorskie zapędy Tanavar.

– Wieści jest wiele – przyznał ochoczo żołnierz. – Chyba najważniejsza, że Niterte nie żyje.

Zaskoczony komendant zastygł, ze złamaną pieczęcią w palcach.

– Jak to się stało?

– Podobno choroba, ale krążą wieści...

– Nie interesują mnie plotki – rzekł zimno Tanavar. – A co z Poratorem?

– Cieszy się dobrym zdrowiem. Tym lepszym, że książę Grademieun ogłosił go swoim oficjalnym następcą. Również czułbym się bardzo dobrze, gdybym znalazł się na jego miejscu.

– Można się było tego spodziewać – mruknął Tanavar, kończąc rozpieczętowanie folio. – Jesteś wolny. – Machnął ręką w kierunku Sapeki.

Dwukrotnie przeczytał rozkazy. Bardzo mu się nie podobały. Miał zabić nie tylko Mageota, ale i karła Monkario, i jego służbę.

Trzeci goniec przyniósł wiadomość najbardziej brzemiennej w skutkach.

– Żołnierze Rollinamana! – krzyczał już z daleka, wpadając w pełnym pędzie do obozowiska, gdzie dopiero powstrzymał galopującego konia.

Arhał Tanavar wybiegł z namiotu.

– Tutaj! – przywołał jeźdźca, który natychmiast zeskoczył z siodła. – Ilu ich?

– Kilku zaledwie – wysapał zwiadowca.

– Może to właśnie karzeł wraca?

– Nie wiem. Są na otwartym stepie, nie mogłem ryzykować bliższego podejścia. Mogli mnie zauważyć.

– Zwijamy obóz! – rozkazał komendant. – Jedziemy!

Wkrótce byli gotowi; namiot zwinięty, ognisko wygaszone.

Popędzili w step za prowadzącym zwiadowcą.

Zatrzymali się dopiero, gdy zza płaskiego horyzontu wyłoniła się grupka ludzi.

Tanavar wysforował się przed żołnierzy. Obserwował jadących. Rzeczywiście nie było ich wielu, wyglądało na to, że jego drużyna jest liczniejsza. Jechali w kierunku zachodnim, a więc jednak nie ku granicy z Wermontem, co raczej wykluczało powrót zdrajcy Monkaria. Niemniej Tanavar – po chwili wahania – zdecydował się sprawdzić.

– Za mną! – zakomenderował i pierwszy kolnął bok konia. Wkrótce zostali zauważeni. Jeźdźcy, w liczbie czterech – teraz już nie ulegało wątpliwości, iż są odziani w kaftany oddziałów Rollinamana – zbili się w ciasną grupkę. Ich konie z wigorem dreptały w miejscu, widać udzielił im się niepokój właścicieli.

Tanavar ściągnął cugle, powstrzymując galop wierzchowca. Wyciągnął w górę rozpostartą szeroko dłoń, dając swoim ludziom znak do zatrzymania się.

Przez dobrą chwilę oba oddziały obserwowały się wzajemnie. Pierwszy ruszył Wermontczyk. Samotnie, drobnym truchtem, zbliżał się ku żołnierzom Rollinamana, od

których zaraz również oderwał się pojedynczy jeździec.

Po chwili stali już naprzeciw siebie, mierząc się wzrokiem.

– Jestem gradion Czewsker – powiedział Kentgerontmontczyk. Jego prawy policzek przeszywała świeża blizna; niezbyt głęboka, właściwie zadrapanie.

– Pamiętam cię z turnieju – odparł Tanavar, popatrując nad ramieniem gradiona na jego żołnierzy i jednego wolnego od jeźdźca, lecz solidnie obładowanego konia. – Dawne to czasy wspólnych turniejów. Jeśli dobrze kojarzę, byłeś wówczas ordynansem. Dość ciekawy awans.

Mógł sobie pozwolić na swobodny ton, teraz, upewniony co do liczebnej przewagi swojej drużyny. Jego słowa zostały puszczone mimo uszu.

– Co robisz na naszych ziemiach? Nie widzę poselskiego proporca! – zaatakował gradion.

– To nie poselstwo.

– Łamiecie traktat! – zawołał gniewnie Czewsker.

Z pewnością również dostrzegał przewagę przeciwnika, lecz nie wyglądało na to, żeby ten fakt deprimował go w jakiś sposób.

– Nie tak dawno wasi żołnierze wtargnęli do Santerav. Sądząc z opisu ich dowódcy...

– Tanavar celowo nie dokończył zdania, obserwując reakcję gradiona. Ale jeśli nawet, jak przypuszczał, to on był przywódcą napastników, potrafił zachować zimną krew. Jego twarz pozostała obojętna.

– Nie wiem, co było niedawno – odrzekł. – Widzę, co jest teraz.

– Szukam pewnych ludzi – powiedział ugodowo Tanavar. – Z Wermontu! – zaznaczył.

W oczach gradiona błysnęło nagłe zrozumienie.

– Karła Monkario – wypalił, ku zdumieniu komendanta.

– Skąd wiesz?

Czewsker obejrzał się, zerkając w stronę swoich żołnierzy. Powrócił wzrokiem do rozmówcy.

– Monkario nie żyje – stwierdził dość obojętnie.

– Mam tak uwierzyć? Na słowo?

– A masz inne wyjście, panie?

Na twarzy Tanavara pojawił się wyraz zniecierpliwienia.

– Ja muszę dostać Monkaria! – powiedział zdecydowanie. – Zważ, że jest nas dwukrotnie więcej.

– Owszem, jest was dwukrotnie więcej – syknął Czewsker. Jego koń, podekscytowany podniesionym tonem głosu, szarpnął głową i podwinął zaślinione

chrapy. – Ale nie takie zwycięskie walki widywano!

Komendant uspokoił go pokojowym gestem ręki:

– Nasze prawo wziąć odwet za ostatni napad. Ale nie chcę walki, jeśli do tego nie będę zmuszony – załagodził rozważnie. – Jak powiedziałem, chodzi mi o Monkaria. Kto go zabił?

– Mageot – padła niechętna odpowiedź.

Tym razem podskoczył wierzchowiec Tanavara, ściśnięty bezwiednie kolanami jeźdźca, co nie uszło uwagi gradiona.

– Jak to się stało?

– Jego też poszukujesz, panie?

– Pytam: jak go zabił?

– Zabił i już! – Czewsker wzruszył ramionami. – Z łuku. A potem uciekł.

– Pozwoliliście mu uciec?

– Nie moja to sprawa. I chyba również nie twoja, panie... Ale jeśli już chcesz – podjął z nagłym zdecydowaniem – i jeśli interesuje cię Monkario martwy, to może mogę ci pomóc.

Arhal Tanavar spoglądał wyczekująco. Podobał mu się ten młody dowódca. Był odważny i nie dawał się zbić z tropu. Przydałby się taki przyboczny w straży księcia Grademieun.

– Owszem, martwy Monkario interesuje mnie równie mocno jak żywy – odpowiedział.

Nieoczekiwanie uśmiechnął się.

– A może nawet bardziej niż żywy? – dodał.

– W takim razie... – Koń Kentgerontmontczyka wykonał zgrabny półobrót i gradion przywołał jednego ze swoich żołnierzy. Tego, który wiódł luzaka z bagażem.

Już gdy żołnierz się zbliżał, Tanavar zorientował się, jaki to ładunek znajduje się na końskim grzbiecie. Jeszcze nie dowierzał, bo trudno było uwierzyć w taki zbieg okoliczności, ale tryumf w oczach młodego gradiona zdawał się wykluczać każdą inną ewentualność.

Czewsker zwolnił węzeł i wór zsunął się z siodła. Ciężar gruchnął o ziemię.

– Szczęśliwej drogi powrotnej! – zawołał gradion, nie wiedzieć, czy to z kpina, czy rzeczywistą życzliwością, i odjechał wraz z żołnierzem.

Tanavar nie zwlekając zeskoczył z siodła. Szybkim ruchem wyciągnął z pochwy miecz i rozciął sznur. Worek rozchylił się, ukazując zsiniałą twarz karła Monkario. Jedna z powiek nieboszczyka podwinęła się, ukazując bielmo oka.

Komendant wyprostował się.

– A Mageot?! – krzyknął za odjeżdżającymi.

Gradion Czewsker odwrócił się. Pokręcił głową.

– Możesz uważać, że nie żyje! – zawołał. Sięgnął do skórzanej torby przy siodle.

Akurat zaszło słońce. Pociemniało. Może dlatego przez krótką chwilę Tanavarowi wydawało się, że Kentgerontmontczyk trzyma w ręce ludzką głowę. Głowę Mageota!

Ale to był tylko stalowy hełm.

Po cóż gradion pokazywał mu hełm?

Komendantowi Straży Wermontu nadal podobała się odwaga i stanowczość młodego żołnierza Rollinamana, ale nie był już taki pewien, czy chciałby mieć podobnego przybocznego pod swoją komendą. Był chyba zbyt szalony.

* * *

– To mniej więcej tam! – powiedział żołnierz, wskazując na ciemną linię lasu, która wyłoniła się zza horyzontu.

Było południe. Już południe, chociaż wyruszyli w drogę o świtaniu i nie szczędzili koni. Brakowało Sapeki, którego Tanavar odesłał do Wermontu ze zwłokami Monkaria i z wiadomością, że wciąż próbuje znaleźć Mageota.

„Możesz uważać, że nie żyje”, na dobrą sprawę te dziwne słowa młodego Czewskera oznaczały wszakże, że Mageot jednak żyje. Dlatego komendant zdecydował się na kontynuowanie poszukiwań. I coraz bardziej żałował, że jednak pozwolił Kentgerontmontczykowi odjechać. Obawiał się, że poszukiwania zakończą się niepowodzeniem. Jedyńm śladem, jaki mu pozostał, był Samotny Chłopiec i przecucie, że wędrowka niezwykłego dzieciaka ma związek z Mageotem.

Z lasu wychyłała samotna postać. Drugi ze zwiadowców, wysłany za Samotnym Chłopcem. Machał w ich kierunku.

– Uciekł – powiedział, gdy podjechali.

– Jak to uciekł?! – zawołał wściekły Tanavar. Oto wymykała mu się ostatnia szansa dopadnięcia Mageota. Szansa, która, co prawda, mogła być tylko iluzoryczna. Chłopiec wcale nie musiał, i pewnie nie był, związany z Mageotem, niemniej zawsze istniała taka możliwość.

– O zmroku ruszył w las – tłumaczył się żołnierz. – A chaszcze tutaj nie do przebycia, musiałem zostawić konia, ale i tak ledwie nadązałem. Takiemu dzieciakowi łatwiej się przecisnąć...

– Zauważył cię.

– Tak. – Zwiadowca otarł rękawem brudną i spoconą twarz. Dopiero teraz Tanavar

zwrócił uwagę na krwawą krechę przecinającą policzek.

– To chyba nie on?

– Nie... – Żołnierz dotknął świeżej rany i skrzywił się. – Podrapałem się w tym piekielnym lesie. Dobrze, że nie zabłądziłem.

– Co zrobił Samotny Chłopiec, gdy zauważył, że go śledzisz? – zapytał Tanavar.

– Właściwie nic. – Zwiadowca wzruszył ramionami. – Zaraz cofnąłem się za drzewa, sądziłem, że zdążyłem ukryć się niezauważony, przecież była noc, a światło księżyców ledwie przebija się przez liście. Przez jaki czas szedł spokojnie dalej. Nie bał się niczego, ani strachów leśnych, ani dzikiego zwierza, choć dzieciak to jeszcze przecież... A potem nagle zerwał się jak oparzony i tyle go widziałem. Pognał jak jeleń, na złamanie karku! W ciemnościach ślady niewidoczne, musiałem zawrócić. Może teraz, w dzień...

Komendant Tanavar milczał. Zastanawiał się. Nagle wydało mu się...

– Jakie rozkazy, panie? – zapytał jeden z żołnierzy.

...śmieszne, zupełnie pozbawione sensu, że oto drużyna zbrojnych mężczyzn ściga jakiegoś, pomyłonego pewnie, dzieciaka, w imię jakichś tam przeczuć, jak również władczych ambicji księcia Grademieun. Gdy tymczasem prawda może być dokładnie taka, jak ujął to Hamilbat: „Mało to na świecie wybryków natury?”.

– Panie?

– Wracamy – zakomenderował Tanavar.

– A Mageot?

– Pewnie nie żyje. Nie słyszałeś, co mówił gradion Rollinamana?

Żołnierze popatrzyli po sobie. Ich twarze poweselały. Najwyraźniej i oni mieli dość tej włóczęgi.

– Wracamy do domu – powtórzył Tanavar.

Rozdział 12.

Cartesal Crommelin zorientował się, że las rzednie. Ucieszył się nie tylko ze względu na siebie, ale i na konie, które – wraz z Mageotem – wiedli za uzdy. Leśne chaszczki podrapały boki i brzuchy wierzchowców tak dotkliwie, że chwilami siłą trzeba było zmuszać biedne zwierzęta, aby szły dalej. Dzika puszcza to nie miejsce dla stworzeń kochających wolność i przestrzeń.

Szarobury kształt przemknął wśród drzew, bezszelestnie niczym duch. I jak duch zniknął.

Oba konie spłoszyły się równocześnie i pewnie próbowałyby ucieczki, gdyby nie odcinające odwrót krzaki. Po chwili zjawa śmignęła ponownie i znów jej nie było.

– Szork! – zauważył podekscytowany Cartesal.

– Szork – przytaknął Mageot. – A to oznacza, że dotarliśmy do celu. Zostawimy konie tutaj. Dobrzeje przywiąż, żeby nie uciekły.

– Będą bezpieczne? – zaniepokoił się Cartesal. – A szorki?

– Pójdą za nami. Właśnie dlatego zostawiamy konie, nie zamierzam walczyć o ich bezpieczeństwo.

Wyszli na dużą polanę. Jasną i słoneczną, mimo schyłku dnia, a może tak tylko się wydawało, po dniach spędzonych w wiecznym cieniu gęstych koron drzew. Wszędzie rosła wysoka trawa, zielona i soczysta, pełna różnokolorowych kwiatów, zupełnie inna niż ta na stepie, wypalona słońcem. Uwagę Cartesala przyciągnęła grupa skał, szczególnie ta największa: wyrastający w górę olbrzymi, kamienny masyw, w wielu miejscach pokryty mchem, a nawet małymi krzaczkami.

Szork stał naprzeciw nich. Szcherzył kły. Ale nie atakował.

Cartesal, nie spuszczać zeń spojrzenia, drżącą ręką poszukał rękojeści miecza, jednak Mageot najwyraźniej nie podzielał jego obaw.

– Jeden? – zdziwił się. – I nie wygląda na to, żeby miało być ich więcej.

Przeczuwałem, że coś jest nie tak już wówczas, kiedy tylko jeden przybył na wezwanie do Santerav.

Szork warknął, zjeżył sierść.

– Merkalen! – wykrzyknął Mageot.

W zachowaniu zwierzęcia zaszła zadziwiająca zmiana. Skulił się, pisnął. Po chwili, gdy Mageot wyciągnął ku niemu rękę, podszedł bliżej. Z pewną nieufnością powąchał bezpalczystą dłoń, okaleczony szczątek pazura. Odwrócił łeb ku Cartesalowi.

– Merkalen – powtórzył za starcem Crommelin.

Nie wiedział, co to słowo oznacza, lecz najwyraźniej na szorka miało niemal

magiczny wpływ. Zwierzę zawróciło leniwie, wilk przemieniony w jagnię, i truchtem pobiegło w stronę skał. Również ruszyli w tamtą stronę.

– Wielka polana, a rośnie tu tylko jedno drzewo – powiedział Cartesal, wskazując pólżywy endemit. – Nie wygląda na wiekowe, a już prawie całkiem uschło.

– Jest na świecie kilka miejsc szczególnych. Ta polana to właśnie jedno z nich – odparł wymijająco Mageot.

Dopiero gdy znaleźli się bardzo blisko skał, Cartesal dostrzegł wśród nich wyłom. Tam właśnie zniknął szork. Wyłom okazał się wejściem do jaskini. Zaraz w przejściu – nim strop zdążył się podnieść jeszcze na wysokość umożliwiającą człowiekowi wyprostowanie się – natknęli się na gniazdo. Błyszczące oczy szorka broniły dostępu do trzech powarkujących cieniutką nutą szczeniaków, ledwie widocznych w półmroku.

– Samica ma młode – powiedział Mageot. – Teraz rozumiem. Instynkt matki okazał się silniejszy od mojego wezwania. Dlatego do Santerav przybył samotny samiec.

– Kiedyś było wiele szorków?

– Może w dawnych czasach, gdy świata nie opanował jeszcze człowiek. Tutaj nigdy nie było ich wiele.

– A tamten szork? Wróci? Nie widziałem go od chwili wyjścia z katakumb.

Mageot pokręcił głową.

– Gdyby miał wrócić, dawno już by tu był. Z pewnością nie żyje.

– A więc to ostatnie szorki?

– Tak myślę.

– Jak to możliwe? Przecież są niezwyciężone.

– Niezwyciężone są w walce – sprostował Mageot. – Widać to nie zawsze wystarczy, by przeżyć.

Pochyleni, minęli niespokojną samicę i znaleźli się w obszernej pieczarze, gdzie mogli się wyprostować. Było jasno, ponieważ grota właściwie nie miała sklepienia; w górze skała była ścięta i odsłaniała połąć niebieskiego nieba.

– Odpoczniemy – powiedział Mageot, siadając na skalnej półce, bez wątplenia nie będącej dziełem natury. Westchnął.

– A więc wróciłem... – szepnął, rozglądając się po jaskini. Cartesal Crommelin nie śmiał się odezwać. Przez długi czas siedzieli w milczeniu, w ciszy przerywanej echem spadających kropel wody.

– Pewnie jesteś głodny, Czeladniku – stwierdził w pewnej chwili Mageot.

– Bardzo.

– Możesz zjeść resztę zapasów. Ja nie będę ich potrzebował.

– Przybyłeś tu, by umrzeć, panie, prawda? – Cartesal wykrztusił dręczące go pytanie.

– Może. Tak sądzę. – Mageot przymknął na chwilę powieki. – Nawet tego nie jestem pewien. Nawet tego... – powtórzył raz jeszcze.

Znów milczeli.

– Co to było za słowo, którym uspokoiłeś szorka? – przypomniał sobie Cartesal.

– Imię ich pierwszego właściciela, jeśli w ogóle w ich przypadku można mówić o własności.

– Merkalen?

– Bardzo dawno temu zabrał kilka szczeniąt ze Wzgórz Demonich, jeśli wiesz gdzie leżą Demonie Wzgórza...

– Nie mam pojęcia.

– To na północnym wschodzie, poza włościami Wermontu.

– Powiedziałeś: „bardzo dawno temu” – zauważył Cartesal. – W takim razie, ile lat żyją szorki?

– Około trzydziestu.

– Ale jeśli...

– Dziwisz się, jak to możliwe, że pamiętają to imię, skoro minęło wiele pokoleń? – domyślił się Mageot.

– Właśnie.

– Nie mam pojęcia. Ale pamiętają. Z pokolenia na pokolenie. Sam widziałeś. Cartesal kiwnął głową.

– I nie raz przekonałem się, że nie są zwykłymi zwierzętami – powiedział.

– Od zawsze brano je za demony. Być może tak jest w istocie.

– Mageot podniósł wzrok. Wpatrywał się w okrągłe okno w górze jaskini.

– Być może demonem jestem również ja – powiedział ponuro.

– Wiesz co? – Nagle się ożywił. – Przyrzeknij mi, że gdy już uwolnisz się ode mnie, zaprowadzisz szorki do Wzgórz Demonich. To ich naturalna enklawa. Tutaj z czasem zginą, tak jak zginęła reszta stada. Zabierz je. Wiele im zawdzięczam, wiele należy im się ode mnie, więc może chociaż zwrócę im prawdziwą wolność.

– Wierzę, że zaprowadzimy je tam razem – powiedział Cartesal.

– Tego również nie można wykluczyć – odparł Mageot. W jego głosie brzmiała obojętność, jakby było mu wszystko jedno, jak będzie wyglądał jutrzejszy dzień. – Niemniej przyrzeknij mi.

– Oczywiście. Przyrzekam.

– A teraz się prześpij. Wieczór już. Późno. Marsz był meczący.

– A ty, panie?

– Ja nie będę dzisiaj spał. Muszę czuwać.

– Na coś czekasz? Widzę to.

Mageot milczał.

– Będę czekał z tobą – oświadczył Cartesal Crommelin. – Ale na co?

– Nie jestem pewien – odparł Mageot.

* * *

Stanął na skrajku pasa drzew. Noc była ciepła, niebo bezchmurne, a Postrach i Groźny w pełni. Takich nocy nie lubił szczególnie, lecz dziś nie miało to wielkiego znaczenia. Bo – nie wiedzieć skąd – nagle był pewien, że pragnienie wreszcie przywiodło go do celu.

W centrum polany majaczył cień niezwykle wysokich skał; potężnych i wysokich. Autystyn ruszył w ich stronę, gdy nieoczekiwanie gdzieś z ciemności dobiegło ostrzegawcze warknięcie. Chłopiec zatrzymał się. Najpierw pomyślał, że to mały wilk, jednak gdy zwierzę się poruszyło, zorientował się w pomyłce. Wilki nie są w stanie wykonać skoku na odległość, jaką jednym spięciem mięśni pokonało dziwne stworzenie.

Oczywiście nie sięgnęło celu. Z piskiem złamało się w powietrzu, jakby trafiono je ciężkim pociskiem z kuszy, i upadło na ziemię. Oszołomione, zerwało się, znów stając na sprężystych łapach. Małe ślepiec płonęły wściekłym blaskiem. Ponowiło atak, nieco ostrożniej, choć z równie niewiarygodną szybkością. I znów bez powodzenia. Odskoczyło więc, obolałe, wyszczerzając rząd ostrych kłów, okładając boki długim i sprężystym jak wąż ogonem.

Autystyn z zaciekawieniem przyglądał się poczynaniom małego potwora. Po raz pierwszy w życiu widział takie zwierzę, ale to nie jego wygląd czy nadnaturalna energia ruchów tak go zdumiewały.

Samotny Chłopiec nigdy nie miał własnego zwierzęcia, nawet psa czy kota. Nigdy nie siedział na koniu. Nie zdarzyło się, by kiedykolwiek ukąsił go jakiś owad. Wszystkie zwierzęta, bez wyjątku, małe i duże, drapieżne i łagodne, unikały go jak ognia. Uciekały rozpaczliwe, gdy tylko zanadto się do nich zbliżył.

Nie bał się zwierząt; to one bały się jego. Nie bał się ludzi, gdyż, jeśli chciał, mógł w każdej chwili odgrodzić się od świata barierą własnej woli. I nagle tutaj, w sercu puszczy, jakiś drapieżnik zaatakował go zniemacka. Było to nawet...

Przyjemne?

Nie. Nie było przyjemne. Było inne.

Stworzenie oddaliło się nieco. Ale gdy tylko Autystyn ruszył naprzód, ponownie zaatakowało. Po kolejnym upadku na stalowej sierści pojawiła się krew. Zwierzak nie podniósł się już z takim wigorem jak poprzednio. Ale wciąż próbował podejść, kulejąc.

Chłopiec znowu postąpił o krok. Błysnęły ostrzegawczo wyszczerzone zębiska. Autystyn cofnął się. Siedzące go oczy jakby przygasły. Stworzenie najwyraźniej nie chciało dopuścić go w pobliże skał.

Przyjrzał się górze. U podnóża dostrzegł ciemniejszy zarys. Jaskinia? Wiedziony ciekawością skierował się w tę stronę.

Zwierzę oszalało. Raz za razem ponawiało ataki, nadziejąc się na niewidzialny mur. I chociaż rozpaczliwa determinacja nie przyniosła efektu, chociaż coraz więcej krwawych plam pojawiało się na ciele – nie rezygnowało. Aż w końcu nie zdołało się podnieść. Poranione samobójczymi atakami, jeszcze usiłowało pełznąć w kierunku przeciwnika, a gdy ten przeszedł obok, obojętny, pewny siebie, zaczęło wyć, dziko i upiornie.

Autystyn dotarł do szczeliny. Poczul orzeźwiający powiew; za szczeliną rzeczywiście znajdowała się jaskinia. Cofnął się. Było ciemno i chłodno, jak w niezliczonych zakątkach, których tyle przeszukał już w swoim życiu – on jednak poczuł się zawiedziony.

To znowu nie było to miejsce. Znowu nie! Skąd zatem przekonanie, że dotarł do celu, że oto wreszcie nastąpił kres poszukiwań?

I nagle już wiedział! Nie ma takiego miejsca. Nigdzie. Mógłby go szukać tysiąc lat i jeszcze nie znajdzie.

Takie miejsce trzeba stworzyć samemu.

Właśnie tu. Właśnie teraz. W odpowiedniej przestrzeni, w odpowiednim czasie. W skupisku właściwych mocy, podczas pełnych tarcz Groźnego i Postrachu, wiszących jak wielkie lampy na rozgwieżdżonym niebie.

Stworzyć samemu!

Wtem z jaskini dobiegł cichy skowyt. Zawtórował mu drugi. I jeszcze jeden. Na moment zapadła cisza, po czym piski się powtórzyły. Autystyn obejrzał się na wciąż pełzający z rozpaczą wilczy kształt i zrozumienie mignęło w chłopięcych oczach. Aż się zdziwił, że nie domyślił się tego wcześniej. Emocjonalnie wyobrażał sobie, że zwierzę broni dostępu do wielkiej tajemnicy, zagadki determinującej los Samotnego Chłopca, tymczasem ono, po prostu, nie chciało dopuścić obcego do swego gniazda.

Szczeniaki zakwiliły ponownie. Być może wzywały matkę, być może przeczuwały jej porażkę. A może były tylko głodne.

Autystyn zawrócił; nie interesowały go te zwierzęta. Nie teraz. Przechodząc obok umierającej samicy, mimochodem spojrzął w skośne oczy. Prócz śmierci zobaczył w nich istic człowieka ulgę. Wróg odchodził, pozostawiając młode w spokoju.

Nieopodal rośnie drzewo, jedyne na tej pokrytej trawą i kamieniami polanie. Kora

poodchodziła ze starego pnia, a większość gałęzi była sucha, jedynie na samym czubku szumiały liście. Drzewo nie było jeszcze martwe, ale niewiele czasu mu pozostało. Autystyn usiadł, opierając się plecami o wyłysiały pień. Patrzył w niebo, najpierw na gwiazdy, niezliczone, układające się w zadziwiające konstelacje, a potem na księżyc, na Postrach i Groźnego, dwie jasne kule, wchodzące akurat w koniunkcję, podczas której ich jednakowej niemal wielkości tarcze zahaczały brzegami o siebie, sprawiając wrażenie ogromnej, przewróconej klepsydry.

Samotny Chłopiec zapragnął...

Tu i teraz. Samemu stworzyć właściwe dla siebie miejsce!

Zamknął oczy. Łaknął ciemności jak pokarmu. Absolutnego, czarnego mroku. Ciemności Wszechświata. Nie tej, która była przed początkiem, ale takiej, która czeka na samym jego końcu.

Zapragnął. Chciał. Żądał.

Klepsydra księżyców zgasła.

W obu księstwach, Wermoncie i Kentgerontmoncie, jeden tylko człowiek, sędziwy astrolog księcia Grademieun, tej nocy układający na wieży horoskop, on jeden wiedział, że księżycy nie mogą zgasnąć. Za to zgasnąć może Słońce, którego blask odbijają te podniebne lustra.

A potem zaczęły gasnąć inne gwiazdy.

W chwili, gdy wychodzili z jaskini, zrobiło się ciemno. Zupełnie jakby ktoś zdmuchnął świece, zobaczywszy nieproszonych gości, nawiedzających jego dom w niewątpliwie złych zamiarach.

Zdumiony Cartesal Crommelin stał z zadartą głową.

– Gdzie księżycy? – szepnął z niedowierzaniem. – Przecież nie ma chmur!

Mageot również spoglądał na granatowe niebo.

– Jeszcze przed chwilą były! Widziałem je przez otwór w jaskini – mówił dalej Cartesal.

– Ciii... – uciszył go Mageot, z palcem położonym wymownie na ustach. – Patrz! – Wskazał przed siebie.

Młodzieniec nie od razu się zorientował, co pokazuje mu jego towarzysz. W ciemnościach trudno było dostrzec małą sylwetkę, czołgającą się nieopodal. Zbliżyli się ostrożnie.

– To szork! – zawołał zdumiony Cartesal.

– Cicho! – skarcił go Mageot. – Jest ranny! Ktoś kto go zranił... – Przerwał. Znów patrzył w niebo.

Cartesal Crommelin podążył za jego wzrokiem. W pierwszej chwili był przekonany, że to jednak powoli napływają chmury – widać wcześniej, gdy poszukiwał księżyców, jakoś uszło to jego uwagi; zaraz jednak się zreflektował. To nie chmury. Nie ma chmur, które rzucałyby taki cień. Nie ma chmur z dziurami jak sito, zasłaniających jedne gwiazdy, a oszczędzających inne.

Na jego oczach równocześnie zgasły dwie następne gwiazdy.

Mageot przykucnął przed szorkiem. Spomiędzy połyskujących kłów wysunął się gorący język. Drapieжник polizał wyciągniętą ku niemu rękę, powoli, z ogromnym wysiłkiem, uniósł łeb i wpatrywał się intensywnie w pochyloną nad nim twarz. Cartesal odniósł wrażenie, że między zwierzęciem a Mageotem tworzy się jakaś więź, niewidzialna linia porozumienia. Tkwili tak, znieruchomiali, wciąż wpatrując się w siebie, wreszcie głowa szorka opadła. Uderzyła o ziemię i więcej się nie podniosła. Ciało znieruchomiło, z wyprężonymi sztywno łapami.

Mageot wstał.

– Jest pod tym drzewem – powiedział.

Zrobiło się zimno. Po ciepłej nocy nie pozostało śladu – jakby w ciągu tych paru chwil cudem jakimś minął miesiąc i już zaczynała się jesień. Nagle Cartesal zdał sobie sprawę z niezwyklej ciszy, jaka zapanowała w lesie.

Starzec ruszył ku rachitycznemu drzewu, umierającemu samotnie na środku polany, Crommelin za nim. Pod drzewem siedział chłopiec o kruczoczarnych włosach, plecami wsparty o pień. Powieki miał zamknięte, właściwie zaciśnięte w nadludzkim wysiłku, lecz w kontraście – co sprawiało iście upiorne wrażenie – uśmiechał się. I choć wcale nie patrzył w gwiazdy, które gasły w dalekiej otchłani, Cartesal nie miał wątpliwości, że widzi je wszystkie, dokładniej niż on sam.

Mageot pochylił się nad chłopcem, delikatnie, bez pośpiechu, zupełnie tak, jak chwilę wcześniej nad konającym szorkiem. Objął wychudzone ciało swą zniekształconą, zdegenerowaną ręką i oderwał wątle plecy od oszronionego pnia. Posypały się igielki lodu, chociaż wcale nie było aż tak zimno. Wziął chłopca w ramiona. Przez jakiś czas stał nieruchomo, ściskając go mocno, nie wiedzieć, czy chciał go zmiażdżyć, czy rozgrzać. Potem usiadł, wciąż z chłopcem na rękach, bezwładnym, bezwolnym, nadal z zamkniętymi oczami i upiornym uśmiechem na ustach. Objął go jeszcze mocniej, aż dzieciak zginął prawie pod wielkimi ramionami i skołtunioną brodą. Drobne ciało nawet nie drgnęło, gdy wbijał się w nie tępy brzeg pazura zdegenerowanej ręki Mageota.

Wciąż trwała cisza.

Cartesal czekał. Czas mijał, lecz stary mężczyzna wciąż się nie poruszał, oplatając uściskiem wynędzniałego chłopca. Mimo różnicy wieku w jakiś sposób twarz Mageota

przypominała teraz oblicze jego małego towarzysza; tak samo zaciśnięte powieki, do granic wytrzymałości, usta skrzywione w podobnym uśmiechu.

Crommelin nie wiedział co ma robić. Zimno stawało się coraz bardziej dokuczliwe, więc zapiął szczelnie kaftan. Usiadł nieopodal, na kamieniu. Spojrzał w górę.

Nie musiał długo czekać, żeby zobaczyć, jak gasną kolejne gwiazdy.

* * *

Na stole leżał hełm. Lampa kopciła, gdyż kończyła się w niej oliwa, a zwęglony knot domagał się wymiany.

Książę Rollinaman, siedzący samotnie w swojej sypialnej komnacie, z łokciami wspartymi na blacie, z brodą wciśniętą pomiędzy knykcie, wpatrywał się intensywnie w szpary wzrokowe przyłbicy. Od północy tkwił niemal w tej samej pozycji, z rzadka tylko zmieniając punkt podparcia, gdy drętwiały mu kończyny.

Nie mógł spać. Ten hełm, niezwykle okup przywieziony przez gradiona Czewskera, dzisiejszej nocy nad wyraz skutecznie odebrał mu sen. Podarunek Mageota. Podstęp to czy igranie z mojrą? Drwina czy hazard? Zemsta czy honor?

– Wszak mogłem go zabić – szepnął do pustej komnaty młody władca Kentgerontmontu. – Zamiast tego, wypuściłem z lochów. To tak, jakbym darował mu życie...

Skąd zatem zemsta?

Nagle książę wstał. Jednym ruchem strącił ze stołu obiekt swych dociekań. Hełm brzęknął o podłogę, zawirował na kopule dzwonu niczym dziecięcy bączek. I po cóż to wszystko? Schować żelastwo do zbrojowni, nie, lepiej zakopać gdzieś głęboko, jak słusznie uczynił roztropny Czewsker z resztą zbroi!

Przechodząc obok hełmu, kopnął go jeszcze bosą nogą, wyładowując zniecierpliwienie. Rzucił się na łóżko, aż zatrzeszczała drewniana konstrukcja. Jutro zrobi z tym porządek. Koniec, kropka. Dość tych głupot! Teraz spać. Spać!

Zapomniał zgasić lampę. Płomień skakał po zniekształconym knocie, rzucając cienie na ściany i sufit. Jak tu spać, kiedy...

Niespodziewanie książę usiadł na łóżku. Jego twarz rozświetlał uśmiech.

– Kordygen! – zawołał na cały głos.

Kordygen nie spał, choć mógł, wszak zazwyczaj Rollinaman miał sen kamienny, a problemy nie z zaśnięciem lecz przebudzeniem. Warował pod drzwiami jak pies, zaraz wpadł do sypialni.

– Tak, panie?

Książę już stał pośrodku komnaty, z podkasaną nocną koszulą, z hełmem w dłoniach.

– Włóż to – powiedział.

– Ja, panie? – Rozbiegane oczy sługi zastygły w zdumieniu.

– Wkładaj! – skwitował książę, wręczając mu hełm.

Sługa uśmiechnął się głupkowato. Pamiętał jeszcze starego władcę, ten dopiero miewał dziwactwa, ale syn nigdy. Aż tu nagle teraz... Wzruszył ramionami. Co za różnica? Naciągnął żelastwo na głowę. Nie wchodziło.

– Czekaj! – Książę rozpiął klamry. – Spróbuj teraz.

Poszło lekko. Zesztywniały Kordygen obserwował swego pana przez wąską szczelinę hełmu. Nie śmiał się poruszyć, gdyż książę odskoczył nagle i patrzył na niego jak na jakąś zjawę.

Nic się nie działo. Tkwili naprzeciw siebie, bosi książę z jednej strony, z drugiej sługa z bojowym pancerzem na głowie.

– Co mam robić, panie? – ośmielił się w końcu odezwać Kordygen.

– Nic nie czujesz?

– Nic. A... co mam czuć? – zapytał zaciekawiony.

– Smród żelastwa – odparł Rollinaman, najwyraźniej zawiedziony. – Dawaj to! – Zdjął hełm z głowy sługi. – Możesz odejść.

– Dobranoc, panie.

– Yhm...

Książę obracał w dłoniach podarunek Mageota.

– A niech to! – zdecydował się. Włożył hełm. – A niech to! Serce biło mu jak dzwon. Przez jakiś czas bał się poruszyć, ręce wciąż trzymał uniesione, gotów w każdej chwili zerwać przeklęty garniec. Wziął głęboki oddech, jak gdyby zamierzał dać nura w rzeczny nurt, i powoli opuścił ręce. Nic – czuł się najnormalniej w świecie, jeśli pominąć wciąż nie malejące, nerwowe napięcie.

Na ścianie naprzeciw drzwi wisiało wielkie lustro, od sufitu aż do podłogi. Książę Rollinaman podszedł ku niemu, nagle ciekaw swego wyglądu w darowanym rynsztunku. Najpierw nie zobaczył nic, szkło było ciemne jak noc. Przechylił głowę, sądząc, że zgubił otwór oczny, i wtedy dostrzegł jakiś niewyraźny kształt.

Drzewo?!

Sługa Kordygen był w rozterce. Gdy tylko wyszedł z książęcej komnaty, przyłożył ucho do drzwi i – upewniwszy się, że Rollinaman nie stoi tuż-tuż – pochylił się nad dziurką od klucza. Był ogromnie zaskoczony dziwnym zachowaniem swego pana, ale teraz jego zdumienie sięgnęło zenitu. Młody książę – w żelaznym hełmie, z plecami wygiętymi w pałąk – stał w bezruchu, nawet nie drgnąwszy, i wpatrywał się w lustro.

Ręce trzymał wyciągnięte przed siebie, w półkolu, jakby zamierzał coś nimi objąć.

Starego Kordygena ogarnął strach. Niebываły, sięgający samych trzewi strach. Drżał na całym ciele, i to wcale nie z zimna, które nagle przyniosła głęboka noc. Wreszcie nie wytrzymał. Odrzucił konwenanse i wpadł jak burza do komnaty. Niech się dzieje co chce!

– Panie! – wrzasnął, a krzyk jego powędrował dalej, budząc służbę i alarmując wartowników.

Księżę Rollinaman nawet nie drgnął. Tkwił wciąż w tej samej, zgarbionej pozycji. A lustro! To nie było lustro. Raczej czarny obraz. Albo okno.

Zdesperowany sługa przypadł do władcy, szarpnął nim, raz, drugi, odnosząc wrażenie, iż ciało zamieniło się w zimny posąg. Zatrzeszczała rozdzielana tkanina, pękła nocna koszula księcia i wtedy obaj upadli na podłogę. Na tafli lustra w jednej chwili pojawiło się odbicie sypialni, jakby nigdy stamtąd nie zniknęło.

Przerażony Kordygen zerwał hełm z głowy pana, odrzucił go za siebie, wprost pod nogi wbiegających wartowników. Przyłożył ucho do księżęcej piersi i odetchnął z ogromną ulgą. Serce biło. Skostniałe ciało przypominało bryłę lodu, ale księżę żył. Otworzył oczy i zamrugał.

– Mageot umarł – odezwał się nieoczekiwanie.

Sługa przytaknął skwapliwie, nie rozumiejąc słów, w ogóle nie słuchając, szczęśliwy, że nie stało się nic złego.

Wszędzie był szron.

Cartesal Crommelin stracił poczucie czasu. Nie wiedział, czy chwile wyczekiwania tak się wydłużają, czy też rzeczywiście przyjdzie mu zamarznąć na tej ukrytej w ostępach dzikiej puszczy polanie. Bał się. Bał się zimna. Ciemności. I zamienionego w głaz Mageota, okrywającego niby kokon delikatne, chłopięce ciało. Ale najbardziej bał się tego, że już nigdy nie wstanie świt.

Zerwał się z kamienia, na którym siedział, gdyż Mageot nieoczekiwanie się poruszył. Cartesal zrobił krok, wpatrzony w znieruchomiałą ponownie sylwetkę i nagle odskoczył w tył, bezwiednie wydając okrzyk przestrawu. Oto Mageot oderwał się od pnia drzewa i upadł na wznak, rozkładając szeroko ręce, rozrywając iluzoryczny kokon. Poczwarka wyturlała się, niczym z orzechowej łupiny; chłopiec legł nieopodal, w tej samej co mag pozycji, ale jego oczy się otworzyły, wprost na nocne, krystaliczne niebo.

Oczy Mageota nie.

Crommelin przypadł do starca. Dotknął zmrożonej twarzy. Skóra była twarda jak stal. Nieoczekiwanie coś trzasnęło. Raz, drugi. Kamienny policzek przecięła głęboka rysa, od której rozchodziła się siateczka dalszych pęknięć. Trzaski się nasiliły. Pękało ciało,

włosy, ubranie; bez różnicy. A potem wszystko załamało się, rozpadło w jednej chwili na niezliczoną ilość elementów, mieszając się z ziemią i trawą. Ale popiół topniejących kryształów wciąż odciskał człowieczą sylwetkę.

Błysnęły zniecka dwie podniebne lampy. Postrach i Groźny wróciły na swoje miejsce, jakby dotąd tylko jakiś omam trzymał je w ukryciu. Księżycy minęły już punkt koniunkcji; rozleciała się przewrócona klepsydra, rozjechały jej pętle na dwa oddzielne koła. Gdzieś na ich szlaku rozbłysnął dawny gwiazdozbiór.

Cartesal Crommelin aż przymrużył oczy, tak silny wydał mu się nagły blask. Załśniły w świetle lodowe kryształy, mieniając się kolorami tęczy na białym, szronowym dywanie. Lśniły coraz bardziej, bo coraz więcej spływało z nich wodnych kropli. Kryształy topniały. A w miarę ich rozpadu coraz trudniej było dostrzec ślad leżącego człowieka. Ślad Mageota.

Słabe kasznięcie wyrwało Cartesala z odrętwienia.

Wąty chłopiec, o twarzy bielszej jeszcze niż świecące w górze księżycy, siedział na trawie, walcząc z ogarniającą go słabością. Podkrążone oczy, głęboko zapadnięte w głąb czaszki, niezbyt przytomnie błędziły po otoczeniu.

– Śniło mi się, że byłem szczęśliwy – powiedział chłopiec. Nagle dostrzegł Cartesala i smutne oczy znieruchomiały.

– Ale przyszedł jakiś dziwny starzec i wszystko mi zabrał. Wzburzony Crommelin poderwał się z miejsca.

– Zabrał! – krzyknął, stając nad chłopcem. – Jak to zabrał?! To raczej ty...! Kim ty jesteś?

– Mam na imię Autystyn. – Chłopiec odsunął się. Jego spojrzenie emanowało strachem. – Skąd ty? Jak ty...?! – Zakrzuszył się. – Jak do mnie podszedłeś?

To szczere zdumienie zupełnie zdezorientowało Cartesala. Nic nie rozumiał. Nieoczekiwanie wyparowała z niego cała złość. Zamiast tego poczuł wstyd, że podnosi głos na wycieńzonego dzieciaka, który pewnie jest bliski szaleństwa, o ile nie oszalał dotąd.

Zdecydowanym ruchem zdjął kaftan, chociaż nawet w nim wciąż było mu zimno, i podał chłopcu. Ten przyjął dar, nic nie powiedział, ale wdzięczność błysnęła w czarnych oczach. Wstał, opatulając się mocno przydużym odzieniem.

– To dziwne – powiedział, patrząc na Postrach i Groźnego.

– Co jest dziwne? – zapytał ostrożnie Cartesal.

– Księżycy. Takie mają posępne nazwy, a przecież są piękne. Cartesal wzruszył ramionami.

– Czy słońce również jest piękne? – zapytał Autystyn.

EPILOG Z zielonego płaskowyżu, otaczającego pagórkowaty obszar zwany Demonimi Wzgórzami, zjeżdżało dwóch jeźdźców. Dzielała ich różnica wieku nie była znów taka duża, chociaż jeden z nich był już mężczyzną, a drugi jeszcze dzieckiem. Poruszali się powoli, zwłaszcza ten młodszy opóźniał jazdę. Najwyraźniej nie miał wprawy w obchodzeniu się z koniem, wkrótce też zsunął się z siodła, kontynuując podróż piechotą. Odrzucił propozycję starszego towarzysza, przypięcia cugli do jego łęku – wolał prowadzić wierzchowca sam, mimo niewygód trudno mu było rozstać się z nim, z pierwszym w życiu domowym zwierzęciem, które bez problemów pozwalało mu zbliżyć się do siebie. Wciąż nie mógł uwierzyć, że teraz będzie tak zawsze. Dzień był upalny, jak niemal wszystkie tego wyjątkowo suchego lata.

– Niewdzięczne bydlę – powiedział Cartesal, poprawiając prowizoryczny opatrunek na prawej dłoni. – Zwracasz mu wolność, a ta gadzina próbuje rozszarpać ci rękę. Moje szczęście, że to tylko szczeniaki.

– Trzeba było uważać – odparł wesoło Autystyn. – Mnie nic nie zrobiły.

Cartesal mruknął coś w odpowiedzi, lecz w jego głosie nie było gniewu.

– Myślisz, że sobie poradzą? – zapytał z troską chłopiec. – Są takie małe.

– Może i małe, ale chrupią kości łatwiej niż ja czerstwy chleb. Co mają sobie nie poradzić?

Przez jakiś czas podążali w milczeniu; Autystyn wiodący swego konia za uzdę, Cartesal kiwający się na siodle, ze smętną miną spoglądający gdzieś przed siebie.

– O czym myślisz?

– Ja? – Crommelin oprzytomniał. – O niczym specjalnym.

– Coś cię gnębi, widzę to.

– Nie zrozumiesz – rzekł niechętnie Cartesal. – Ty masz miejsce, do którego wracasz, w którym czeka na ciebie ojciec, stryj. Nie zrozumiesz.

– Nie rozumiem?! – powtórzył z wyrzutem Autystyn. – Nazywano mnie Samotnym Chłopcem. Jak myślisz, dlaczego? Spójrz na nasze konie? Nagle traktują mnie obojętnie. Nawet nie wiesz, jaka to ulga, gdy ktoś traktuje cię obojętnie. To Mageot mógłby cię nie rozumieć. Nie ja.

Mageot!

Cartesal zatrzymał koma. Przez czas jakiś trwał w milczeniu, ważąc decyzję. Wciąż miał wrażenie, że coś przeoczył, że o czymś zapomniał. Nagle podciągnął cugle. Zawrócił i – ku zdumieniu Autystyna – pognął pod górę galopem, wyciskając z wierzchowca wszystkie poty. Zatrzymał się dopiero, gdy drogę zagrodziły mu skały, te same, za którymi nieco wcześniej zostawili młode szorki.

Uniósł ramiona.

– Mageot! – krzyknął w przestrzeń, ile tylko stało sił w piersiach. – Dokąd teraz?!
Dokąd?!

Niegdyś, przed wiekami, takie wezwanie Czeladnika nigdy nie pozostawało bez odpowiedzi. Lecz tym razem Cartesal Crommelin usłyszał jedynie echo własnego wołania. Mimo to przez długi czas czekał jeszcze, nieruchomy, pełen nadziei i obaw jednocześnie, sam nie wiedząc, czego w nim więcej. Wreszcie zawrócił, pogodzony z ciszą i z samym sobą. Dogonił Autystyna.

Gdy po wielu dniach dotarli do leśnej banicjenty, do piętrowej chaty diaspora Wilkana, spadł pierwszy od wielu tygodni deszcz. Gdzieś z oddali dobiegły grzmoty. Zwiastuny letniej burzy.